

Hemingway Amanda

Serce żmii

Pogrzeb Ruperta Van Leera, znakomitego architekta, w mroźny styczniowy dzień, nie zapowiadał się na ważne i interesujące wydarzenie, jednakże na smutną tę uroczystość przybyło wielu dziennikarzy, którzy mieli być świadkami konfrontacji między wdową a córką zmarłego. Gdyby którykolwiek z nich znajdował się dosyć blisko, kiedy dumano zmarłego, usłyszałby wzajemne oskarżenie dwóch kobiet - Morderczyni! Serce Żmii to historia rodzinnej klątwy, historia błyskotliwego, ale pełnego wad człowieka i jego mrocznej spuścizny. Historia, w której roi się od niebezpiecznych miejsc i skrywanych namiętności. To przede wszystkim historia dwóch kobiet w tym samym wieku i o zaskakująco podobnej aparycji - macochy i pasierbicy - palających do siebie taką nienawiścią, iż wydaje się, że tylko jedna z nich może przeżyć...

Rupert Van Leer, słynny architekt i zasłużony Armii Królewskiej, został pochowany w kościele, który sam zaprojektował, 13 stycznia 1987 roku. Było to drugiego dnia tygodnia nazwanego Wielkim Mrozem. Zima na południu Anglii przynosi zwykle słabe opady mokrego, szybko topniejącego śniegu i chłapę, lecz ten rok zaczął się zadymkami i minusowymi temperaturami, które wydawały się bić wszelkie rekordy. Jedyne mała grupka dziennikarzy i fotoreporterów stała przed kościołem, cierpiąc z powodu aury. Śmierć Sir Ruperta całkowicie wypełniła rubryki zgonów, lecz pogrzeb nie wróżył sensacji, zdawał się specjalnie nie różnić od tego typu uroczystości. Niewiele sławnych osobistości miało ochotę wyjść z domu w tak paskudną pogodę. Woleli ograniczyć się do wspomnień i omówienia aktualnej sytuacji: widmo tragedii nie odstępujące Sir Ruperta ani na krok, świeżość i uroda nieutulonej w żalu wdowy, pięcioletnie utarczki z Księciem Walii o nowoczesną przedziałnię w Yorkshire. Sytuacja nie zapowiadała się obiecująco. Tupiąc z zimna, postawili kołnierze i pokrzepili się łykiem czegoś mocniejszego z piersiówki. Mieli dość. Nawet nie myśleli o smutku. Zaczęło sypać od nowa, gdy zbliżył się sznur samochodów, z których wysiadła rodzina, przyjaciele i inni Żałobnicy. Wśród tych ostatnich był wiekowy aktor, znany przede wszystkim z ról w sztukach Szekspira, emerytowany przywódca związkowy, rzekoma księżniczka w okazałym futrze z lisów i pewien antykwariusz w jeszcze wspa-

nialszym — z rysia. Kamera TV zablokowała Się i jej operator zaklął z cicha pod nosem. Wreszcie pojawiły się damy, wysiadając w sposób zdradzający pewność siebie ze swoich daimlerów, każda z własnym adwokatem u boku. Wdowa po Sir Rupercie była kobietą o filigranowej wręcz figurze, spowitą w żałobną czerń sobolowego futra, w małym czarnym kapelusiku przekrzywionym na bok, spod którego opadała na plecy burza rudozłotych włosów. Jej twarz przysłaniała błyszcząca woalka, zza której niewiele można było dostrzec poza artystyczną bladością i błyskiem oczu, z pewnością bardzo bystrych, czujnych. Cały ten drogi, paradny strój wraz z wszelkimi przejawami jego dostojeństwa czynił z niej kruchą, dziewczęcą, małą osobkę, wręcz uginającą się pod ciężarem futra. Opierała się na ramieniu człowieka z wielkim nosem, o ciężkiej posturze. Nazywał się Greenbaum. Jedyne on sprawiał wrażenie, że jest mu gorąco, przypuszczalnie dlatego, że tak było wcześniej ustalone w kontrakcie. Pani Van Leer pomimo sobolowego futra dygotała z zimna. Elsa Van Leer, córka Sir Ruperta z pierwszego małżeństwa, weszła do kościoła za nimi. Znacznie wyższa niż jej macocha i jednocześnie szczuplejsza, odziana w czarny płaszcz z kaszmiru i kozaki od Gucciego, prezentowała się tak nieelegancko, jakby nigdy nie widziała się w lustrze. Dla wtajemniczonych jej twarz była wiernym odbiciem poprzednich członków rodziny Van Leerów, sprawiał to zbyt wydatny, lecz prosty, delikatny nos. Niby porcelanowa figurka, była jaskrawym przeciwieństwem Sir Ruperta — o mocnej, gigantycznej, granitowej niemal posturze. Jej twarz bez makijażu, szerokie blade usta, oczy podkrążone, utkwione nieruchomo gdzieś w przestrzeni, sprawiały niesamowite wrażenie. Gruby warkocz włosów o odcieniu mahoni opadał jej na plecy. W przeciwieństwie do pana Greenbauma anioł stróż panny Van Leer tryskał życiem, był rześki, czerstwy, w marynarce od Barboura podkreślającej ramiona asa drużyny rugby Blue. Nazywał

się Jonathan Sterling (John dla przyjaciół) i był zarazem aktualnym beneficjentem Langley i Mayhew, doradcą prawnym rodziny Van Leer od ponad pięćdziesięciu lat. Szedł trochę z tyłu za Elszą, spoglądając na nią z nie ukrywanym uwielbieniem. Przypuszczalnie chciał wziąć ją pod ramię, jak to uczynił tłusty Greenbaum w przypadku jej macochy, ale nie miał odwagi. Tak to przynajmniej wyglądało. Elsa Van Leer nie potrzebowała wsparcia, nawet nie pamiętała, że jest przy niej.

— Kto jest kto? — szepnął reporter, gdy obydwie kobiety zniknęły w kościele, zaskoczony tym, że są mniej więcej w tym samym wieku.

— Druga to córka — uświadomił go przyjaciel. — Odziedziczyła rude włosy po matce. Rupert lubił rudowłose.

Wielu to zapamiętało. Nikt nie zwracał uwagi na dwóch seniorów z Kampanii Diamentowej Van Leerów ani na architektów, współpracowników Sir Ruperta. Nie oni byli teraz ważni. Mężczyzna, który przybył ostatni — średniego wzrostu, w znoszonym kapeluszu — właściwie nie zwrócił uwagi.. Fakt, że nie był* w czerni, implikował dość luźne więzy ze zmarłym, może jakaś przelotna znajomość w interesach. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że jest to nieoficjalny spadkobierca spuścizny Van Leerów, ktoś, kto w przeszłości był tylko chłopcem na posyłki, nowicjuszem, uczniakiem. Nie okazywał żalu ani rozpacz; ale Michael Kovacs nie był zdolny do okazywania uczuć. Miał może czterdziestkę, ale mógł być też o dziesięć lat starszy lub młodszy. Błada twarz, cała w krostach, była tak odrażająca, że mogłaby zafascynować niejedną piękność. Jego włosy miały kolor siana, oczy były szare i zimne jak zimowe niebo zasnutę śniegowymi chmurami. Było coś tajemniczego w jego wyglądzie, jakby nieufność, czujność, jakaś lodowata siła, mogąca sugerować tłumioną pasję — może ambicję, chociaż jego niepozorna sylwetka była tego zaprzeczeniem. A jednak. W kościele stał na uboczu, tyłem

do nawy. W czasie modlitwy i pieśni żałobnych usta miał zamknięte. Ostatecznie wydobył z siebie tylko jedno słowo — amen. Jego wzrok obiegił wewnątrz ze znawstwem profesjonalisty. Przy sposobności spojrział na obydwie panie Van Leer: wdowa, jej głowa niby'omdlewający na lodydze kwiat, i Elsa, niemal tak samotna jak on, wyprostowana, z podniesionym czołem, dumna, nie zwracająca (jak myślał) uwagi na innych. Wydawało mu się, że wdowa pyszni się swoją słabością, gdy tymczasem córka stara się ją ukryć poprzez dumną postawę i powściągliwy wygląd. Patrzył na nie długo, obserwował dobrą chwilę, a wreszcie powrócił do badania architektury wnętrza.

Kościół św. Marii Magdaleny, potocznie znany jako kościół św. Marii Rozpustnicy, został wzniesiony w połowie lat sześćdziesiątych na miejscu kościoła pod tym samym wezwaniem, który został zniszczony podczas nalotu. Pierwotny budynek był niski, szeroki i przysadzisty, zupełnie nieciekawym, splamiony smogiem Rewolucji Przemysłowej. Nowy — dzieło marzeń i finansowych nakładów grupy miejskich filantropów -- był dumą (lub skandalem) miasta. Potężne białe, ściany łączyło klasyczne sklepienie; witrażowe panele, harmonizujące kształtem i rozmiarami, przedstawiały tajemnicze, trudne do rozszyfrowania pojęcia i dogmaty religijne. Być może Sir Rupert, będąc ateistą w głębi serca, widział kościół jako pseudoklasycystyczne cacko w majestatycznym okazałym ogrodzie dworskim — frywolny, bezużyteczny wybryk fantazji, cieszący oko. Jednak budowla ta, o czysto religijnym przeznaczeniu, zachowała podniosły nastrój. Ponad ołtarzem widniała brązowa figura Chrystusa na krzyżu dzieła Eduarda Duny. Nie była wielka ani imponująca, mimo to dominowała w kościele; zniszczona figura, pomniejszona cierpieniem bądź okiem artysty aż do najdrobniejszych elementów kości, ściągien, nawet duszy, niechrześcijańskie wyzwanie, wewnętrzny opór; podniesiona twarz, sterczące żebra, wygięty kręgosłup. Nie było w niej nic z pokory czy

przebaczenia, jedynie klęska rozpacz i niemy krzyk istoty ludzkiej, która w swej ostatniej godzinie zerwała więzy wiary. „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?” Statua zrobiła furorę. Dunny był przecież człowiekiem religijnym, chłopcem zamieszkującym krainę winnic wokół Bordeaux. Odniósł wiele sukcesów w życiu, powrócił tu i w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat został pochowany na cmentarzu obok swoich rodziców. Postać Chrystusa, jak wszystkie jego rzeźby, przywodziła na myśl pnąca winnych latorośli z jego rodzinnego krajobrazu.

Wśród żałobników niewielu było szczerze przejętych wagą wydarzenia. Wiekowy aktor — który zjawiał się na pogrzebie tylko po to, by choć na moment pokazać swoją twarz w telewizji, przypomnieć się publiczności i reżyserom — myślał o swoim garniturze i bilansach bankowych. Emerytowany lider związkowy z rozrzewnieniem myślał o swoich pamiątkach, które mógłby sygnować własnym nazwiskiem. Domniemana księżniczka za wszelką cenę próbowała myśleć tylko i wyłącznie o Bogu, lecz jej spokój zakłócał problem zamarzających rur kanalizacyjnych i szwankującego ogrzewania. Antykwariusz myślał o swoim przyjacielu. Spośród tej całej czwórki jedynie on, antykwariusz, potrafił uszanować podniosłość chwili.

Budynek posiadał własny system ogrzewania, ale nie był on przystosowany do tak niskich zimowych temperatur. Oddechy zamieniały się w białe obłoczki. Było zbyt mało ludzi (a raczej futer), by ogrzać wnętrze. Wikary, człowiek niezmiernie uduchowiony, miał trochę przydługie kazanie. Wdowa stopniowo opadała z sił, prawie mdlała, czemu starał się zaradzić Greenbaum, wachlując ją chusteczką. Elsa Van Leer była nieobecna duchem, nie słuchała. Kiedy kazanie dobiegło końca, wszyscy ruszyli za trumną.

Zdarzyło się to w chwili, gdy kondukt miał właśnie wyruszyć. Elsa i jej macocha stanęły twarzą w twarz. Większość spośród zebranych mało wiedziała o tych kobietach — łączył je zmarły mężczyzna, którego kochały, były

do niego przywiązane, a także wzajemne ugody i właśnie, okresy smutku czy wytchnienia. Teraz, chociaż nie padło choćby jedno słowo, wszyscy zrozumieli, że nadeszła chwila konfrontacji. Po raz pierwszy dopiero w tym momencie spojrzały sobie prosto w oczy. W i tak już lodowatym kościele atmosfera jeszcze się oziębila. Sztuczna poza Elsy nagle pękła jak bańka mydlana, jej skośne oczy nabrały zdecydowanej barwy, wzrok stał się przenikliwy. Jak bazyliszek utkwiała go w drugiej kobiecie. Mieniająca się woalka przysłaśniała jasny wzrok wdowy, który z każdą chwilą stawał się coraz jaśniejszy — może z powodu strachu, szoku lub złości. Wrażenie było niesamowite, sytuacja napięta do granic wytrzymałości. Adwokaci popadli w zakłopotanie, jak zresztą wszyscy wokół. Elsa cofnęła się, ręka Jonathana spoczęła na jej ramieniu. Profil dziewczyny z wyjątkowo kształtnym nosem wyrażał arystokratyczną pogardę. Wdowa ruszyła pierwsza, ale nikt tego nie uznał za jej zwycięstwo...

Ciągle padało. Wspaniały fronton kościoła św. Marii Rozpustnicy był w połowie przysypany śniegiem, czego z pewnością nie było w zamyśle architekta. Najzarliwsi dziennikarze czekali, zrezygnowani raczej niż cierpliwi, wymieniając między sobą różne uwagi. Zawartość piersiówki znacznie się uszczupliła.

— Co z Willem? — spytał jeden z nich. — Prawdopodobnie rzucił wszystko dla żony? — Prawdziwa historia obfitująca w intrygi .dworskie i poruszająca sprawy prywatnych majątków. Przyjaciele popadli w zadumę: Sir Rupert uchodził za człowieka ceniącego rodzinę i świadomego jej miejsca w życiu Człowieka. Ktoś napisał: „Lodowata Dziewica Wydziedziczona”, ot tak, bez żadnego związku. (Elsa Van Leer, domniemana spadkobierczyni nie tylko fortuny swojego ojca, lecz także części udziałów rodzinnych w diamentach, otrzymała pseudonim Lodowata Dziewica). Ciekawość i przelotne (może pobożne) życzenia wzięły górę. Czy wdowa ma kochanka? Czy kiedykolwiek

była striptizerką, czy grała w filmach porno? Czy można coś nowego wyciągnąć od Księcia Karola? Bramy kościoła otworzyły się: pojawiła się trumna. Kondukt zmierzał przez dziedziniec kościelny, na końcu prasa. Grób był czarną otchłanią w puszystej bieli śniegu. Zgromadzili się wokół, wdowa po jednej, córka po drugiej stronie. Pani Van Leer znowu przemieniła się w więdnący kwiat; Elsa popadła w hipnotyczny trans. Żadna nie płakała. Doprawdy nikt, nawet Michael Kovacs, nie uрониł łzy, chociaż całą swą karierę zawdzięczał wspaniałomyślności i pomocy Sir Ru-perta. Być może było zbyt zimno, by płakać. W taki dzień łzy mogłyby przymarznąć do policzka. Wyjątkowo lodowaty wiatr przenikał do szpiku kości. Może będą płakać później, ogrzani ciepłem kominka, w ustronnym miejscu, gdzie można sobie pozwolić na ten komfort. Smutek — jak większość emocji, łatwiej ujawnia się w luksusie.

W każdym razie nikt nie płakał.

Wikary dość szybko pożegnał zmarłego; grudka zmarzniętej ziemi, uderzając w wieko trumny, wydała głuchy odgłos. Nad grobem spojrzenia kobiet znowu się spotkały. Usta Elsy poruszyły się, jej głos — jeżeli dźwięk ten mógł tak być nazwany — był szeptem, ale szeptem bezgłośnym, którego żadne ucho ludzkie nie mogło usłyszeć, nawet ucho dziennikarza. Jej oddech na chwilę zamienił się w białą chmurkę, która szybko rozmyła się w powietrzu. Michael Kovacs obserwował, zastanawiał się, kojarzył, analizował. Wikary klęcząc rozglądał się. Ale wdowa słyszała, chociaż jej słuch nie był wyczulony; słyszała głos wewnątrz, bezdźwięczny szept wypełniał jej serce niczym przeszywający pocisk.

— Morderczyni...

Zadrzała, cała jej sylwetka zdawała się przemieniać, jej wnętrze kurczyło się, napinał się każdy nerw, twardniał każdy mięsień przygotowany na cios. Rozwarła usta: słowo, które uleciało, mogło być następnym oskarżeniem, bądź tylko rozedrganym jego echem. „Morderczyni...”

Dziennikarze, nie zdążywszy zwietrzyć sensacji, zbierali się do odejścia. Wdowa, córka i spadkobierca pozostali nad grobem — samotni, pogrążeni w żalu, gniewie, podejrzaniach, winie, uczuciach znanych tylko samym sobie. Trzy samotne postaci, szare cienie na tle białego śniegu. Samotni ze śmiercią.

I

Rupert Van Leer urodził się w dobrobycie, w rodzinie o znaczącej pozycji, z dobrym widokiem na spadek. Fortuna rodziny miała swe korzenie w Afryce Południowej, gdzie dziadek Ruperta, ryżawy, krzepki Bur o dziarskiej naturze i ekscentrycznych nawykach, odkrył złoża diamentów i miał prywatną kopalnię. Bertram, najstarszy syn, był wychowany w Anglii przez arystokratyczną rodzinę matki i z czasem spoczęła na nim odpowiedzialność za brytyjskie zakończenie diamentowej kampanii. Był potężną, lecz nieciekawą postacią, pozbawioną wyrazu, która zyskała w oczach otoczenia, gdy osiągnął trzydziestkę. Wtedy to zaczęły ujawniać się cechy jego przodków. Człowiek, którego kryterium wartości ograniczało się do dóbr materialnych, dla którego pięknem klejnotu była jego waga (liczba karatów) i cena rynkowa, dał się poznać jako prawdziwy Van Leer w I wojnie światowej, kiedy to dobrowolnie porzucił interesy i zaciągnął się do armii. Szybko dochrapał się oficera, czujny na polu walki, zaskakujący męstwem i odwagą swoich zwierzchników. Wojna zabiła w nim wszelkie uczucia. W jego żyłach przestała już płynąć gorąca krew rodziny Van Leer: nawet gdy wpadał w pasję, nikt nie był w stanie go rozszyfrować, a już na pewno nie jego syn, Rupert, który niespodziewanie przyszedł na świat w jesieni jego życia. Wyszedł z wojny spowity chwałą, odznaczony wieloma medalami, obdarzony szacunkiem tych, którymi dowodził. Gdy wrócił do cywila, nie skąpił czasu na pomnażanie swojego majątku. Twarz

zrobiła mu się puciołowata, głowa wrosła w szyję, sylwetka spotężniała i zyskała monumentalne wręcz kształty. Wyglądał jak wielka śniegowa kula o pulchnych rękach, co spychało go na niższy poziom towarzyskiej hierarchii. Wszystkie te zwały tłuszczu spajała mocna struktura kostna. Jego gruboskórność, a raczej grubokościstość szła w parze z wielkim sercem i niezłomną siłą woli. Rupert od ojca zdecydowanie się odsunął, gdy był nastolatkiem — w zasadzie nigdy nie byli sobie bliscy. Bertram nie był ojcem, który by okazywał czułość i wierzył w uczucia. Z dawna oczekiwany spadkobierca był dla niego tylko wyjątkowo wrażliwą lokatą kapitału: wychowany przez guwernantkę i matkę, Oxford i Eaton, pozostawał taką właśnie lokatą aż do czasu; kiedy był w stanie sam przynosić zyski. Miał ambicje, by zostać architektem — zrodziła się ona pod naciskiem matki — ale było to tylko pobożne życzenie, pozostające w sferze nie spełnionych marzeń. Rosa Van Leer miała w tej sprawie odmienne zdanie, podjudzała syna, ale unikała konfrontacji z mężem, bo wiedziała, że i tak przegra. Rosa Beamish — wdowa, która straciła męża na wojnie, poślubiła Bertrama z wygody raczej niż z miłości, po tym, gdy jego pierwsza żona umarła na tyfus. Ona właśnie rozmiłowała rodzinę Van Leer w sztuce: Bertram widział ją, jak wszystko inne, przez pryzmat banknotów i bilonu, myślał o niej jak o przebiegłym, bystrym znawcy-kolekcjonerze, ale ona swój talent trzymała w ukryciu, pożytkując go z nadwyżką w pracach domowych. Była obowiązkowa, posiadała wiele zdrowego rozsądku.

Rupert miał normalne dzieciństwo. Bertram był ojcem tylko z nazwy, z urzędu, wzbudzającym gniew, nieprzystępnym, wszechwładnym, który wypełniał swoje obowiązki wobec potomka wyjątkowo skrupulatnie, a przy tym ozięble, zwracając uwagę tylko na wyniki w nauce i zachowanie wobec guwernantki i matki. Było już za późno, gdy zdecydował, że sam zajmie się wychowaniem syna.

Niestety, Rupert był motorem wszystkiego, ogniskował wszystkie sprawy. W wieku czternastu lat uświadomił sobie, że po pierwsze — ojciec oczekuje od niego, że przejmie po nim interesy rodziny, po drugie — że nieodwołalnie musi zostać architektem, i po trzecie — najwazniejsze — że tych dwóch spraw nie da się w żaden sposób pogodzić. Popadł w wewnętrzny konflikt, wyzwajający energie, entuzjazm i obawę, w czym przypominał swojego dziadka; Bertram to pamiętał. Ale nie dał się zwieść uczuciom, które zbuntowały się przeciw niemu, nie poddał się emocjom — jakże takie sprawy miałyby zaprzętać umysł hurtownika diamentów. Pozostał chłodny, opanowany, wyrachowany, miał wprawę w wydawaniu rozkazów, które zawsze były skrupulatnie wypełniane w obawie przed awanturą. Powtarzał: „Zrobisz to, zrobisz tamto”, nie spotykając jawnego sprzeciwu, jedynie milczący protest.

Jego tłumiona pasja była straszna, przerażająca w swoim wymiarze, tak jak burza wisząca nad horyzontem, na niebie pełnym szarych upiornych chmur, mająca już, już runąć na ziemię w postaci błyskawic i piorunów. Rupert pamiętał, że jeden jedyny raz ojciec dał upust swojemu gniewowi — gdy chłopiec miał szesnaście lat i odmówił przyjęcia jakiejś funkcji w kampanii jako przyszły spadkobierca. Być może w tym momencie Bertram zdał sobie sprawę, że już jest przegrany, w walce z synem nie ma żadnych szans. Ta góra mięsa trzęsła się cała ze złości, niemal piana toczyła mu się z ust, drżał cały dom. Wyglądało to jak echo szaleńczej walki przodków, ale ten ludzki potwór, będąc zarazem starzejącym się człowiekiem, stawał się czymś strasznym i patetycznym zarazem. Rupert, który doprawdy nigdy niczego się nie bał, przyprawiał ojca o skrajną wściekłość, która potem przejawiała się w zrzędzeniu, trzaskaniu drzwiami lub głuchej posepnej ciszy przy obiedzie. Rosa zносиła to wszystko w milczeniu, zachowując zimną krew.

Szczyście w nieszczęściu — wybuchła wojna — a że Van Leerom nigdy nie była ona obojętna, odsunęła w zupełności sprawy ogniska domowego na dalszy plan. Rupert starał się wziąć w niej udział, dołączyć po dwóch szaleńczych próbach w wieku piętnastu i szesnastu lat. Były one niestety bezowocne. Wreszcie, gdy skończył siedemnaście lat, udało mu się. Ucałował matkę i wyruszył przed siebie, nie pozostawiając Bertramowi żadnej wiadomości. Już nigdy więcej nie zobaczył ojca. Rupert był w Afryce Północnej we francuskiej armii, gdy dowiedział się o śmierci Bertrama. Brał wtedy udział w bitwie o Kas-serine Pass, nie mógł wracać do domu. Dotarło do niego, że ojciec zmarł na atak serca w domku letniskowym, a powodem śmierci była bezczelność siedmioletniego przybłądy, który uciekł ze służby. Bertram pozostawał w łóżku pod opieką dwóch pielęgniarek, gdy przed upływem końca tygodnia nawiedził go drugi atak. Nie zdążył zmienić ostatniej woli, choć może pragnął, by piekło pochłonęło Ruperta, dlatego że stracił majątek w bezowocnej walce — kopalnię przejął jego wspólnik, a znaczną część majątku — żona i syn. Dlaczego fakt, że żądał adwokata na łożu śmierci (pod nieobecność Rosy), został zignorowany przez głównego lokaja i zarządcę domu — tego nie udało się wyjaśnić. Lokaj tłumaczył się zaawansowanym wiekiem i głuchotą, zarządca — sprawą uciekiniera-przybłądy i opieszałością pielęgniarek. Wdowa po Bertramie zawsze zastanawiała się, czy przypadkiem powodem jego śmierci nie było silne rozdrażnienie, udaremniające ostatnie dyktatorskie zapędy. Rupert powrócił do domu wiosną 1943 roku jako kapral wciąż nic miał jeszcze dziewiętnastu lat (co ukrywał przed armią!). Przystojny, silny młodzieniec skwitował zarząd-iii: chłopak miał ponad 6 stóp wzrostu, był szeroki w ramionach (po dziadku) i miał silne, muskularne ciało. Nic, nie był przystojny, ale twarz jego o wydatnych

kościach policzkowych, krzaczastych brwiach i wystających szczękach świadczyła o sile i mocnym charakterze. Twarz lwa — dzika, ale i królewska, marsowa mina, spojrzenie bestii, szaleńczy śmiech, głębia oczu — była też twarzą myśliwego. W zasadzie nikt nie był zaskoczony, że najmłodszy ze zbiegów wrócił do swych korzeni. Ani lokaj, który wydobył z najciemniejszych zakamarków piwnicy tak stare wino, że tylko on mógł wiedzieć, że takie jeszcze się uchowało, ani Rosa, zwykle powściągliwa w uczuciach, która dała przejaw natury matczynej, gdy wzruszona ocierała oczy chusteczką, cała dumna, lecz zarazem rozczarowana, że jej mały synek tak szybko stał się mężczyzną. Wojna toczyła się nadal. Na wiosnę 1944 miała miejsce od dawna planowana inwazja Francji. Rupert, mający we krwi poczucie obowiązku, zaciągnął się w Paras, gdzie otrzymał stopień podporucznika. Koleje wojny rzuciły go w bezpośrednie sąsiedztwo Pegasus Bridge, potem walczył w Normandii, bronił Belgii, Holandii i wszystkich punktów na trasie wojsk amerykańskich zmierzających na wschód, do Niemiec. Były chwile budzące grozę — głównie okresy wyczekiwania: ciągnące się w nieskończoność noce poprzedzające atak, dłużące się przerwy w dżungli działań wojennych na terenach nieprzyjaciela, mrożąca krew w żyłach cisza między głuchymi wybuchami. Nawiedzały go dziwne uczucia, dominowało nerwowe napięcie; sytuacja była straszna, wyczuwał obecność śmierci czyhającej w pobliżu na jego nieostrożny gest, na brak czujności walczącego w słusznej sprawie. Śmierć w ogniu artyleryjskim, na polu walki, śmierć o świcie czy w blasku księżyca, w cieniu tańczących liści. Wszędzie czyhała ta biała dama, wszędzie była obecna. Rupert wymykał się jej, jak tylko potrafił, igrał z nią i oszukiwał, wrywał się z jej objęć. Jego żołnierze uważali go za szaleńca, ale szaleńca dodającego otuchy: byli mu oddani, brali z niego przykład. Zwierzchnicy Ruperta, pełni podziwu dla jego męstwa

i sztuki, wysuwali jego kandydaturę do nowych wciąż odznaczeń. A Rupert, spychając na dalszy plan swoje ambicje z czasów pokoju, w obliczu wojny dawał z siebie wszystko. Odziedziczył rodzinną zażartość w każdym calu — szaleństwo, które miało swoje korzenie w zatwardziałej pysze, w poczuciu własnej wartości. Ród Van.. Leer w swoim szaleństwie nie potępiał Boga: on Go lekceważył, gardził Nim. Byli dogłębnie przekonani, że żadna nadprzyrodzona siła nie jest w stanie ich zniszczyć, jedynie przypadkowy strzał, niespodziewany pocisk, granat lub bomba atomowa. Byli w stanie przetrwać każdy żywioł — trzęsienie ziemi, powódź, pożar, ale śmierć, gdy miała nadejść, zbliżała się powoli, pomna wielkości rodziny i respektu, czekając, aż jej ofiara dopełni swych obowiązków w doczesnym świecie, wycisnie wszystkie jego życiodajne soki.

Rupert przetrwał dezintegrację Europy z dala od strachu, nawet nie zadraśnięty, nie wiadomo jakim cudem. Wielu twierdziło, że zaprzedał duszę diabłu.

W Dachau pojawili się 29 kwietnia 1945 roku. Tylko garstka więźniów mogła ustać o własnych siłach. Reszta z trudem powłóczyła nogami, inni pełzali jak węże. Wielu leżało, konając z wyczerpania. Zwłoki rzucone były na kupe, nagie ciała, szczątki wychudłych, sterczących kości. Jeszcze żywi snuli się jak mary senne z surrealistycznych obrazów, niczym spacerujące szkielety, okryte podartymi pasiakami. Wypatrywali swego uwolnienia jak ci, którzy żyli w ciemności, bez Boga, pragnąc jedynie budzącego się dnia, nie znali granicy snu i nadziei. Ich łzy dawno oschły. A Rupert — ten właśnie twardy Rupert, stawiający czoło wrogowi, biegnący zawsze w pierwszym szeregu na spotkanie kul wroga, dostał mdłości, ciałem jego wstrząsnął dreszcz. Wiedział, że powinien współczuć tym ludziom, ale zamiast tego targał nim przejmujący niesmak. Niesmak i pewien rodzaj wstydu, że istota ludzka może być tak poniżona, pozbawiona nie tylko zdrowia i siły, ale wszel-

kiej godności i człowieczeństwa. Ecce Homo. Nie myśląc o tym wcześniej, Rupert zawsze uważał się za człowieka przyzwoitego, światowego, równego faceta, choć w gruncie rzeczy nigdy za wiele o tym nie myślał, dopiero teraz zaczął obawiać się samego siebie, postaci, którą sam wykreował; bał się prawdziwego człowieka, człowieka-bestii, występującego przeciwko moralności, ogarniętego wstrętem i szaleńczą furją. Miał ochotę nabić rewolwer, nacisnąć spust, otworzyć ogień i strzelać, strzelać tak długo, aż padnie ostatni z tych pariasów] A potem zebrać ich w kupę, zrównać z ziemią i zakopać głęboko, tak głęboko, by zaginął po nich ślad: niechby została tylko pamięć. Ucywilizowana część jego osobowości próbowała stawiać opór, ślepo podążając za nauką Kościoła i szkoły, ale bestia okazała się silniejsza.

Na drodze biegnącej przez obóz leżały zwłoki niemieckiego wartownika, z pewnością zabitego przez więźniów. Jego ciało było świeże, zdrowe, pulchne, o młodej, wręcz dziecinnej twarzy — cóż za kontrast z tym, co zobaczył wcześniej. Ciało było martwe, ale zwłoki nienaturalnie żywe, jakby powoli uchodziło z nich życie.

W tym momencie Rupert zaczął wymiotować.

Jeden z jego amerykańskich kolegów podał mu chusteczkę szepcząc: — W porządku, Rup. Wszyscy czujemy to samo. — Ale nie powiedział, co to za uczucie. Byli mężczyznami i żołnierzami: nie wypadało poruszać tego tematu, tematu uczuć. Nie było to zresztą konieczne.

Lubili dużego, rudowłosego, piegowatego, młodego Anglika, który był już starym wygą, zaliczył więcej kampanii, niż którykolwiek z nich, i przeszedł wszystkie etapy szaleństwa i brawury. Nawet nie przypuszczali, że jego reakcja mogłaby być inna niż ich. Potem, gdy oswoili się z tym widokiem, z ust ich padały przekleństwa pod adresem nazistów — słowa przynoszące ulgę na każdym polu walki, lecz dla Ruperta, w jego gorzkim przebudzeniu, brzmiały automatycznie i nieszczerze, były tylko

parawanem dla obojętności. Ponieważ on nie odczuwał litości, nie mogła ona istnieć. Łaska Chrystusa, miłość bliźniego i wszystkie inne dogmaty religijne były tylko tworem wyobraźni marzycieli, próbą przekonania siebie samych, że ludzie są doskonalsi od zwierząt. Po wojnie, w tym przerażającym powszechnym krzyku żałości z powodu istnienia obozów koncentracyjnych, Rupert słyszał tylko fałsz i hipokryzję ludzi okłamujących siebie samych, aby zdjąć z siebie winę i złożyć ją na karb nieświadomości. Wydawało mu się, że całe społeczeństwo grzęźnie w bagnie kretyńskiej konspiracji, uczestniczy w bezsensownym przedstawieniu, a w .sumie zawieszono jest w próżni. Od tego czasu Rupert przestał wierzyć w humanitarne wartości, w człowieka w ogóle, zrozumiał, że prawo przetrwania posiada jedyna rasa zwierząt — silniejszych, zwinniejszych i groźniejszych niż inne. I uznał siebie za jedno z nich.

Został wysłany do domu w 1946, po tym, jak zachorował na grype, która przerodziła się w gorączkę reumatyczną. Matka odwiozła go do domu w Surrey i oddała opiece zarządcy i głównego lokaja. Byli oni na każde zawołanie Ruperta leżącego cały czas w łóżku. Dom w Londynie legł w gruzach rok wcześniej, po ataku V-2, ale na szczęście Rosa dużo wcześniej przewiozła swoją kolekcję sztuki na wieś. W mrocznej sypialni w stylu wiktoriańskim, z jej potężnymi meblami i ciężkimi barokowymi zasłonami, fotogram Moholy-Nagy i autentyczny szkic Grosza wyglądały dziwacznie. Grosz — zbyt ostry, gorzki, a fotogram zbyt jasny i przejrzysty, w całej swej błogości nie splamiony skazą człowieczeństwa. Kiedyś nadejdzie taki dzień, myślał Rupert, chcąc skierować swoje myśli na przyjemniejsze tory, kiedy zbuduję sobie wspaniały dom, jasny i przestronny. Zgrabny, nowoczesny dom cały w bieli, bez zakamarków, portali, dusznych brokatów, z małą liczbą mebli. Już w dzieciństwie niena-

widził domu w Surrey, będącego odbiciem siedemnastowiecznego gotyku, z łukowatymi oknami, szczytowym dachem, kominami, olbrzymimi drzwiami, straszliwą, skrzypiącą bez powodu klatką schodową. Wręcz paradoksem było, że większość swojego życia musiał spędzić w tym właśnie domu. Po zakończeniu wojny Rupert zaczął realizować swoje młodzieńcze plany. Pobierał naukę w Związku Architektów, po rocznej praktyce zaczął pracować samodzielnie. Był zwolennikiem czystego funkcjonalizmu, podziwiał takich mistrzów jak -Le Corbusier i Mies van der Rohe, z czystą linią, wyraźnymi konturami, strzelistymi fasadami o dominacji metalu i szkła — domy bez pokoi, pokoje bez ścian, ściany bez drzwi. Po matce przejął fascynację rzeźbą kubistyczną, malarstwem Mondriana. Być może w upodobaniu do geometrycznych kształtów i czystej linii przejawiało się podświadome pragnienie ucieczki, transformacja jego zwierzęcej natury, krwiożerczość, brutalność i chaos w całej tej dominacji człowieczeństwa. Oczyma wyobraźni widział przejrzyste, oszklone wieżowce i śnieżnobiałe przestronne jaskinie. Jego marzenia senne były abstrakcyjne, nieuchwytnie zmysłami. Największa szansa Ruperta — pozostająca tylko w sferze marzeń niejednego architekta — nadarzyła się zupełnie przypadkowo. Był na weekendzie w Surrey jesienią 1955, kiedy to Rosa powtórzyła mu zasłyszaną plotkę, że powszechnie znany milioner zakupił w pobliżu niemały kawał ziemi i ma ochotę wybudować tam letni dom. Już dwóch architektów pracowało nad projektem domu. Stallibrass zbił majątek na złomie i odpadach metalowych jeszcze przed Wojną i dodatkowo podwoił go lub potroił inwestując w nieruchomości. Wykupywał atrakcyjne tereny, na których budował kompleksy biurowe, a następnie sprzedawał ze znacznym zyskiem. Urodzony w Newcastle w zupełnej biedzie, która stała się już mitem, dorobił się szybko, zbyt szybko i zbyt gwałtownie,

i po prostu pieniądze pomieszały mu w głowie. Oceniał ludzi według swych kryteriów, uważał, że reszta świata okrada go z jego majątku. Targował się ze sprzątającymi, służbą, kelnerami, nigdy nie dawał napiwków, cały czas harował w przekonaniu, że profesjonaliści (jak np. architekci) czerpią korzyści z braku wykształcenia swoich klientów, używając specyficznego żargonu i skomplikowanych rysunków, aby wyciągnąć jak największe pieniądze. Mając pięćdziesiątkę na karku, utył przeraźliwie, stał się odrażający i popadł w obsesję: maniakalnie przeliczał, ile winien przeznaczyć na pensje swoich pracowników, by przypadkiem nie wypłacić centa za dużo. Pewnego razu wyrzucił z pracy sekretarkę, która zapisała wiadomość telefoniczną na papierze firmowym — uznał to za przejaw ekstrawagancji i rozrzutności, która, jak twierdził, nie kontrolowana mogła doprowadzić firmę do kompletnego bankructwa w przeciągu miesiąca. Od wojny mieszkał w pałacu z okresu króla Edwarda w St. John's Wood, lecz doszedł do wniosku, że prestiż i pozycja towarzyska zmuszają go do posiadania domu na wsi. Czując niechęć do stoczonego przez robaki stylu Tudorów i zimnego wiktoriańskiego — z przeciągami, nie mogąc pogodzić się z ceną wywoławczą, brakiem wygód, kosztem instalacji, głupotą i skrywaną przeszłością kryminalną pośredników nieruchomości, gwałtownie zmienił swoje plany i zapatrywania, gdy dowiedział się, że jego żona jest w ciąży. Jako że miała już czterdzieści dwa lata, a najstarsza córka była nastolatką, wiadomość ta spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Natomiast żona, kobieta rozsądna, która rzadko wtrącała się w sprawy męża, nie podważając jego autorytetu i uznając jego prestiż, teraz, świadoma nadejścia małego członka rodziny, nalegała, aby mąż dla dobra swego potomka zatroszczył się o nową instalację gazową i wodno-kanalizacyjną, centralne ogrzewanie, a także zmodernizował kuchnię. Poskutkowało. Joe Stallibrass uznał, że jego przyszły spadkobierca nie może mieszkać w takiej

ruinie: musi mieć nowoczesny dom. Jednocześnie nie mógł pogodzić się z faktem, że koszty luksusowego domu zaprojektowanego przez renomowanego architekta mogą być wyższe od projektu całego kompleksu biurowców. Rupert po naradzie z matką przyznał, że z chęcią podjąłby się takiego zadania. Zaczął dumać nad projektem. Tak to już jest, że ziarno, w porę zasiane, zaczyna kiełkować. W trakcie obiadu Rupert cały czas rozmyślał, wyteżał swoją wyobraźnię, spoglądając na lśniące srebra rodzinne, które odbijały jego oczy. Nie mógł zasnąć. W ciągu następnych tygodni kręcił się w pobliżu posiadłości, wstępował do pobliskiego baru i próbował się dyskretnie czegoś dowiedzieć; ślęczał w wolnych chwilach (nawet w pracy) nad szkicami i projektami. W tym samym czasie Joe Stallibrass doczekał się potomka i zwolnił dwóch znanych i cenionych architektów, a pani Stallibrass wróciła do domu z renomowanej kliniki położniczej. W dzień po tym, gdy wydała na świat zdrowego chłopca (waga 7 funtów uncje, ochrzczony Anthony Charles Philip, to po rodzinie królewskiej), Rupert pojawił się w gabinecie jej męża. Stallibrass go nie przyjął. Następnego dnia Rupert powrócił. I następnego. Próbował do skutku. W tym czasie Stallibrass zdał sobie sprawę z tego, że nazwisko Van Leer nie jest mu obce, tyle że kojarzył je z diamentami raczej, a nie z architekturą. (Brenda Stallibrass posiadała kilka cennych diamentów, ale niestety, osadzone one były w nie-gustownym, rażącym towarzystwie rubinów, szafirów i pereł i noszone raczej dla pokazania ich wartości, a nie dla elegancji.) Ostatecznie zgodził się poświęcić Rupertowi kilka minut.

„Cztery dni zajęło Joe'emu Stallibrassowi studiowanie projektów, szkiców, konsultacja z doradcami — jak zwykle zupełnie nie brał ich zdania pod uwagę, gdy podejmował ostateczną decyzję.

— Podoba mi się ten chłopak — powiedział do żony leżącej w pokoju tonącym w egzotycznych kwiatach. —

Uparty. Zdecydowany. Ma głowę na karku. Przypomina mnie, gdy byłem w jego wieku. Żaden z tych zniewieś-ciałych chłoptasiów z artystycznych rodów, dzięki Bogu. Sprawia wrażenie, że zna wartość pieniądza. Pewnie ma to po ojcu. — Zamilkł na chwilę, zadumał się. — Spotkałem go kiedyś, Bóg wie jak dawno. Ojca. Bertrand-Bertram. Tak jakoś. Twardziel. Bez serca. — To było w stylu Joe'ego. Myślał, że on sam jest człowiekiem o gorącym, otwartym sercu, jedynie nie rozumianym przez resztę świata.

— Rupert jest w porządku. Powinien się ożenić. Powinien. — Przerwał mu przeraźliwy krzyk A.Ch. Philipa, zwiastujący głód. Pojawiła się pielęgniarzka z butelką wypełnioną ciepłym pokarmem.

— Wie pani — zaczął dumny ojciec żartem — mój sym nie będzie architektem ani nikiem takim. Jeżeli nie będzie podobało mu się u mnie — droga wolna, będzie musiał się wynieść; to jest dla mnie najważniejsze. Ale nie pozwolę, by miał coś wspólnego ze sztuką. Zabrzmiało to jak słowa Bertrama Van Leera. W końcu w życiu zdarzają się rzeczy o wiele gorsze niż sama sztuka. Na przykład protest-songi, marihuana, socjalizm. Wróżka z bajki pochyliła się nad kołyską i z tajemniczym uśmiechem uniosła swoją czarodziejską różdżkę. Na szczęście Stallibrass nie mógł jej zobaczyć. Co do Ruperta, wszedł on w spółkę Drayton Galsworthy, Architects and Surveyors, F.R.I.B.A. etc, spakował swoje manele i wyjechał. Zaszył się w samotności. Cały następny rok poświęcił J. Stallibrassowi i budowie mającej być symbolem jego wysokiej pozycji nadludzki wysiłek, aby pogodzić wymagania z kosztami, który podjął, zapracowując sobie na dobre imię. Wiele czasu upłynęło, zanim zrozumiał, że pozycję swą zawdzięcza opatrności Boskiej.

Dom wreszcie stanął i był naprawdę wspaniały. Podobał się tylko elitarniej grupie koneserów, lubiących awan-

gardowe pomysły, chwalać jego prostą linię, gigantyczne okna, całą jego harmonię. Znaleźli się tacy, którzy krytykowali zimną północną elewację, sugerując, iż jest podobny do wielkiego akwarium. Stał się kamieniem węgielnym w nowoczesnej architekturze, ozdobą krajobrazu w Surrey. Joe Stallibrass, wiedziony gustem swojego architekta, odebrał dzieło z cieniem wątpliwości i dumy zarazem. Natomiast żona była wprost zachwycona komfortowym wyposażeniem wewnątrz. Rupert zdobył rozgłos. Rozpoczął budowę swojego domu — mniejszego, prostszego, nieomal surowego — i na wiosnę 1957 ożenił się.

Johanna Van Leer, z domu Johanna Muldoon, była córką kuzynki Ruperta, Isobel — było to więc zbyt bliskie pokrewieństwo, by zezwalało na zawarcie legalnego małżeństwa. Rosa nie była z tego zadowolona, Isobel też miała swoje zdanie na ten temat, ale jej mąż Patrick Muldoon, urodzony optymista, szybko rozwiał jej obawy. Powrócił z Afryki Południowej wraz z rodziną latem 1956, aby przejąć zarządzanie angielską linią kampanii diamentowej Van Leerów i widząc w tym przyszłość, postanowił umocnić swą pozycję. Ślub jego najstarszej córki z jednym z głównych udziałowców mógł mu tylko w tym dopomóc.

Johanna była małomówna, słuchała bez słowa nie kończących się narzekań matki, jej nieuzasadnionych obaw, choć prawdopodobnie niewiele z tego do niej docierało — była pod całkowitym wpływem swego narzeczonego. Nikt nie mógł jej rozgryźć, nie był pewien, o czym myśli i czy w ogóle jest zdolna myśleć samodzielnie.' Jedyne jej siostra, Barbara, próbowała ją zrozumieć, natomiast Rupert — nigdy. On — jak zresztą inni — nie znał nic poza jej twarzą.

Johanna była kobietą o niespotykanej urodzie, piękną, a o tajemniczości zdecydowała jej własna osobowość. Miała namiętne, wydatne usta, klasyczną sylwetkę o łabędziej szyi, wyraźną oprawę niebieskich oczu, zmieniających

się w zielone, gdy przebierała się do kolacji w zieloną suknię (taką, w jakiej po raz pierwszy ujrzał ją Rupert). Jej włosy były dziedzictwem czerwieni Van Leer ów w przypadku Johanny miały odcień krwistopomarańczowy ze złotym połyskiem, ale nie metalicznym, bo zbyt subtelnym, a jednocześnie były delikatniejsze niż jedwab. Młodzi londyńczycy z towarzystwa uważali jej perfekcyjność za niepokojącą: podziwiali ją na dystans i szukali mniej wykwintnego towarzystwa siedemnastoletniej Barbary. Miała ona zadarty nos, szczery uśmiech i urocze, niesymetryczne dołeczki w twarzy. Johanna rzadko się uśmiechała. Nie miała poczucia humoru ani nie była rozmowna, mało tego, nie miała ochoty zmieniać swego charakteru. Zresztą od dzieciństwa była tak wychowana; wpojono jej, że musi siedzieć prosto i pięknie wyglądać. Nauczyła się tego sumiennie i w zasadzie tylko to umiała.

— Polubiłam go — powiedziała Barbarze w nocy, po spotkaniu z Rupertem. Barbara spojrzała na nią zaskoczona. Po raz pierwszy w życiu jej siostra poczuła coś do mężczyzny.

— Dlaczego? — spytała Barbara z ciekawością. — On jest inny — odparła Johanna z przejęciem, choć nie wiedziała, że to całkiem normalne.

— Wiem, że nie jest zbyt przystojny, ale on ma coś w sobie. On jest ponad... ponad tym wszystkim. On jest bardziej żywy, bardziej uczuciowy, jakiś taki inny... Kiedy poprosił, abym podała mu masło, jego słowa zabrzmiały dostojnie.

— Doprawdy? — zdziwiła się Barbara.

Długo po tym, pamiętając tę rozmowę, Barbara podsumowała, że obydwójce dobrali się idealnie, na zasadzie przyciągających się dwóch przeciwności. Osobowość Johanny może nie istniała albo była jeszcze nie ukształtowana; natomiast charakter Ruperta przejawiał stanowczość, bezwzględność, siłę, gwałtowność. Ignorancja graniczyła z cynizmem, uległość z agresją, opanowanie z bun-

tem. Może pod tą maską Johanny gdzieś w głębi ukrywała się nuta zmysłowości, pewien rodzaj drżającego pragnienia, które instynktownie przyciągał fizyczny magnetyzm Ruperta. Jeśli nawet tak było, to tak też pozostało, nietknięte. Dla Ruperta Johanna była żyjącym przejawem jego poszukiwań, ucieleśnieniem tego, czego szukał w swoich mocnych, wyraźnych kształtach: surowym obrazem z kamienia i szkła, ponadludzką doskonałością, formą i linią raczej niż ciałem i duszą, wytworem sztuki, a nie kobietą. Traktował ją szalenie delikatnie, w obawie, aby jej nie zranić. Teraz starał się, aby zrozumiała, co to jest szczerłość, czystość, uczucie, miłość, choć te cechy w młodości odrzucał, były one zaprzeczeniem jego młodzieńczej natury. Teraz stał się bardziej ludzki. Czynił to z typową dla siebie porywczością, gwałtownością, nie był pewny, czy ona to zrozumie, a Johanna, cierpliwy, doskonały słuchacz, zgadzała się i przytakiwała w zależności od potrzeby. Wpatrując się w jej piękną, skupioną twarz spędzał z nią długie wieczory, które upływały na jego wylewnych wyznaniach, dyskusjach, wynurzeniach oświetlonych spojrzeniem jej dużych akwamarynowych oczu, blaskiem doskonałości jej kształtów. Wyobrażał ją sobie starzejącą się, o wypłowiałych włosach, wystających kościach policzkowych, z twarzą pokrytą zmarszczkami. Miał wiele kobiet pięknych i delikatnych, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, aby zastanawiać się nad procesem ich starzenia; nawet nie pamiętał koloru ich oczu. Johanna była jego pierwszą i jedyną miłością. Nigdy nie pomyślał o tym, by zażądać dowodu jej miłości, poznać jej ciało. Gdy zgodziła się zostać jego żoną, uznał to za cud. Faktycznie jednak nigdy sobie nie wyobrażał, że mogłaby mu odmówić.

Wzięli ślub w kościele przystrojonym bajecznymi kwiatami, wśród wielu wpływowych gości. Johanna miała długą suknię z trenem i strojny welon — niemal jak księżniczka Elżbieta. Isobel Muldoon wyglądała na zde

nerwowaną, Rosa Van Leer — wspaniale, a Patrick Mul-doan był szczerze zachwycony. Barbara flirtowała z drużba, wypila zresztą zbyt dużo szampana. Potem nowożeńcy wyruszyli w podróż poślubną do Wenecji, nieprzypadkowo ich celem stała się właśnie Wenecja — przecież to raj dla architekta. Na karcie pocztowej wysłanej do domu Johanna napisała, że jest szczęśliwa. Nawet jeśli było to nieprawdą, nikt nigdy się o tym nie dowiedział.

W rok później pozowała Dunny'emu. Podobnie jak w swych rzeźbach, tak i tym razem próbował przedstawić swój model z elementów kształtu i osobowości, używając jednych do podkreślenia drugich. W przypadku Johanny Van Leer było to szalenie trudne. W rezultacie pod jego wprawną ręką jej twarz straciła piękno, a zyskała osobowość. Linia ust stała się wyraźna, kości policzkowe zbyt wydatne, skóra blada i delikatna — nie różowa magnolia, lecz biała kreda. Zielonkawe oczy miały w sobie coś zwierzęcego. Była to twarz dziecka, lecz nie cudownego i niewinnego, raczej krnąbrnego, żywiołowego dziecięcą bezwzględnością i nie tłumioną pasją. Efekt (zdaniem pewnej grupy krytyków) był imponujący, jakby artysta nieświadomie przetopił cechy męża w image żony. Ubiór był nieważny, jedno pociągnięcie pędzla bez żadnych detali, wydłużona linia szyi odsłaniająca nagie ramiona; diamenty Van Leerów zajmowały na portrecie pozycję pierwszoplanową, przesadzone w rozmiarze i blasku, zwisające kolczyki, sznury oplatające szyję i nadgarstki, olbrzymie krępujące ruchy kamienie. Niczym dziecko ubrane w klejnoty rodowe, opancerzone czy uwięzione — nie było to jasne — w przepychu bogactwa? Dunny nazwał portret „Kobieta z diamentów. Portret Johanny Van Leer” i był naprawdę zadowolony z niego — satysfakcja artysty, który stworzył coś, czego nikt nie potrafił zrozumieć. Rupert znienawidził ten obraz i wysłał go Barbarze, która poślubiła Amerykanina o nazwisku Richard Heydon i zabrała ów portret do Stanów.

W końcu 1957 Johanna zaszła w ciążę. Rupert przeszedł transformację, w blasku nadchodzącego szczęścia zachowywał się jak lew, który wreszcie, objął w posiadanie swoje królestwo w gęstwinach dżungli. Jak wielu ludzi, którzy roszczą sobie prawo do mizantropii, zachował osobny jej rodzaj dla własnej rodziny, obciążając całą siłą swojego zapału i złudzeniami kilka osób: Johan-nę, którą mało znał, matkę Rosę (kiedy myślał o niej) i przyszłego potomka. Nie dbał, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka, najważniejsze, że to jego dziecko, częśćka jego samego, obiekt jego niebezpiecznej, zaborczej miłości. Johanna na pozór zachowywała się spokojnie, była pogodna, lecz Barbara wyczuwała, że to tylko gra nerwów, coś jest nie tak. Nikt nie wiedział, że nie dbała o siebie podczas ciąży, opuszczała badania kontrolne. Siedziała tylko w swoim nowym obcym pałacu, bezmyślnie gapiąc się w okno i jedząc całe masy przepysznie dojrzałych owoców avocado. Służący, poganiany przez Ruperta, spędzał długie godziny przeczesując sklepy, by zaspokoić jej wszystkie zachcianki. Zdarzyło się to na dwa tygodnie przed obliczonym terminem porodu. Znaleźli ją leżącą u stóp schodów, obficie krwawiła. Nie byli w stanie zrozumieć, jak to możliwe, że w ogóle upadła. Może nagle omdlenie, może potknęła się, zwichnęła nogę, nie zdołała w porę uchwycić się balustrady. Schody były szerokie i wygodne, zbudowane według najnowszej mody. Karetka zawiozła ją do szpitala. Sekretarka powiadomiła Ruperta o wypadku, gdy dokonywał jednej z wielu inspekcji. Dopiero po trzech godzinach znalazł się przy łóżku Johanny.

— Obawiam się, że z nią nie jest dobrze — powiedział lekarz, nie przestając zajmować się pacjentką. Wokół uwijały się pielęgniarce. — Nie wiedzieliśmy, że to bliźniaki. Testy nie wykazały pracy dwóch serc.

Rupert machinalnie powtórzył: — Bliźniaki? — ale

wydawał się nie słyszeć słów doktora. Nie mógł dostrzec twarzy Johanny, jedynie fałd brzucha ukryty pod białym prześcieradłem i czerwone włosy rozrzucone w nieładzie na poduszce. Przez moment widział jej rozchylone uda i morze krwi. Była blada, zmęczona bólem, lecz jej ciało nic nie straciło ze swej doskonałości. Zapytał lekarza: — Czy będzie zdrowa? — ale ten nie przerywając czynności, odparł tylko, że Rupert ma zdrową córkę i że będą robić wszystko, by uratować drugie dziecko. Rupert ryknął: — Co z moją żoną? — Ale Johanna już tego nie słyszała. Kiedy pochylił się nad nią, wzrok miała nieruchomy, odległy. Jednak wciąż była piękna, choć jej białą twarz pokryły kropelki potu, a usta wykrzywiła agoniam. Wziął ją za rękę; dłonie miała mocno zaciśnięte. Mijały minuty, może godziny — on był przy niej, nieświadom upływu czasu. Targała nim rozpacz. Johanna jęknęła, nie były to słowa, nie mogła wiedzieć, że on z nią jest. Lekarz i pielęgniarki byli wciąż przy niej. Przez moment jej oczy otworzyły się szeroko — były zielone, zauważył, a nie niebieskie, zielone jak szmaragdy. Zaczepnęła tchu — słyszał, jak powietrze grzęźnie jej w gardle, po czym wypuszcza je z siebie wydając ostatnie tchnienie. Stopniowo z twarzy zniknął grymas, stała się znów łagodna i delikatna, zroszona potem. Niebiesko-zielone oczy patrzyły nieprzytomnie. Rupert stał bez ruchu, trzymając ją za rękę. Nagle zdał sobie sprawę, że lekarz i pielęgniarki, że cała ekipa medyczna nie zaniechała swoich czynności. Krzyknął, by zostawili ją w spokoju, a gdy lekarz wymamrotał coś o dziecku i pielęgniarki, rzuciwszy sobie porozumiewawcze spojrzenia, zdwoiły wysiłki, krzyknął: — Zostawcie ją w spokoju i pchnął jedną z nich z taką siłą, że osunęła się na podłogę. Na jej rękach i kitlu była krew — krew Johanny i krew była na jego ramieniu. Lekarz perswadował: Proszę musi pan zrozumieć — próbujemy ocalić dziecko. Rupert uderzył

go. Lekarz upadł na plecy, pielęgniarka wrzasnęła, a wózek z instrumentami przewrócił się z hukiem. Dźwięczny odgłos metalu i łoskot tłuczonego szkła. Jak spod ziemi wyrosli dwaj mężczyźni — potężni, dziarscy — portierzy. Złapali Ruperta od tyłu próbując go powstrzymać, ale nie dali mu rady. W kilka minut wszystko przerodziło się w kompletny chaos — kotłowanina ciał pełzających po antyseptycznej podłodze. Oddziałowa oparła się o ścianę, policzki miała posiniaczone, aż kipiała z O/burzenia. Rupert wpadł w szal, bił na oślep. Oczy zaszyły mu krwią, miał plamy przed oczami. Targał nim bezpodstawny gniew, pożerał go, dławił.

W czasie bijatyki kopnięte łóżko wylądowało w rogu sali — ale jedna z pielęgniarek nie odstępowała go. Jej zwycięski krzyk zaskoczył wszystkich, ustała kotłowanina, oddziałowa zamilkła. Rupert w szaleńczym opętaniu zobaczył, jak wyciąga coś z nieruchomej kupy mięsa, którą była Johanna. Coś żyjącego, krzyczącego, ubabranego krwią. Miniaturowy potwór o olbrzymiej głowie i pajęczych kończynach — żyjący pasożyt, wrzeszczący nad trupem swego żywiciela. Rupert doznał dziwnego uczucia, odrzuciło go. Pępowina została odcięta; położna przewróciła dziecko do góry nogami i uderzyła w pupę. Uchwyciło pierwszy łyk powietrza, zawahało się, wrzasnęło. Przeróżliwy głos, szorstki i okrutny, nieprawdopodobnie silny zdawał się wypełniać świat. Pielęgniarka z dzieckiem na ręku omiotła wzrokiem salę, w której panował kompletny bałagan, i podeszła do Ruperta. Była młoda, miała ciemne włosy, irlandzkie rysy, a jej twarz płonęła, jakby te pośmiertne narodziny były jej osobistą zasługą. — Proszę zobaczyć — uśmiechnęła się do ojca. — Już po wszystkim. Udało się. Ma pan uroczą córkę.

Poczuł mdłości. Myślał, że zwymiotuje. Kiedy w końcu przemówił, jego głos był matowy i przerażająco spokojny. — Zabij ją — wydusił.

Potem, gdy pojawiła się reszta rodziny, a Ruperta zmuszono, by zażył środek uspokajający, Rosa Van Leer przygarnęła swoje wnuczki-bliźniaczki.

— One nie są jednakowe — wyjaśniła młoda Irland-ka. — Ta większa — była pierwsza. Jakie imiona da im pani? — Barbara Muldoon powiedziała: — Jo chciała dziecku nadać imię Diana, jeśliby to miała być dziewczynka... — Nie mogła powstrzymać łez, a gdy spojrzała na te małe istotki, ostatecznie straciła panowanie nad sobą i wybuchnęła płaczem.

Rosa przytaknęła: — Więc Diana, dla starszej.

— A co z drugą? — spytała pielęgniarzka z fałszywym ożywieniem, w nadziei, że odwróci uwagę rozpaczającej Barbary.

— Nie wiem — szepnęła Rosa Nagle, spojrzawszy uważnie na szczerą, młodą twarz pielęgniarzki, wyszeptała: — Pani ją uratowała, nieprawdaż? Tak mówił lekarz. Jak pani na imię? — Elspeth. — Dziewczyna była zaskoczona. — Elspeth Corrigan.

— Elspeth — rzekła Rosa. — Tak będzie dobrze.

II

Diana była uroczym dzieckiem, Elspeth — nie. To wpływało na całe ich życie. Gdy wreszcie Rupert ochłonął i spojrzał na bliźniaczki, zobaczył dwa małe aniołki mniej lub bardziej podobne do siebie, które miały oczka jak małe kociątka i noski jak guziczki. Odraza, jaką poczuł zrazu do swej drugiej córki, jakby zniknęła. Lecz jedynie Diana posiadała ten pożądaný czar, urok, i na nieszczęście dla swojej siostry miała go w nadmiarze. Ciekawe świata kocie spojrzenie, błękit oczu zmieniający się w zieleń pod wpływem oświetlenia szpitalnego lub wyobraźni ojca, małe usteczka, zaciśnięte piąstki, brzoskwiniowa karnacja. Na czubku głowy loczek włosów, z pewnością złotoczerwonych. W Dianie Rupert widział cząstkę swojej zmarłej żony, odrobinę jej urody i piękna, tajemniczość zrodzoną pod wpływem jej tajemniczości, życie zrodzone z jej życia. W Elspeth widział tylko jej śmierć. Zapytał nawet pielęgniarkę, czy aby nie zaszła jakaś pomyłka, gdyż nie mógł zrozumieć, jak takie brzydactwo mogło przyjść na świat razem z Dianą o dziecięcej, lecz perfekcyjnej urodzie. Pomarszczony, skulony, zwinięty w kłębek kawałek mięsa, otwór zamiast ust, zaciśnięte oczy, nieustannie płaczące, jakby ten płacz był protestem, że w ogóle pojawiła się na tym świecie. Zjawiała się w koszmarach snach Ruperta — Elspeth jako dżdżownica wypełzająca z pękającego ciała Johanny. Raz widział ją jako rosnącego potwora, pijącego krew swojej siostry.

Dużo czasu zajęło Rosie, aby przekonać Ruperta, że niemowlęta muszą mieć w domu wspólny pokój. Korzystając z pierwszej okazji, sprzedał nowy dom, który wybudował tylko dla Johanny. Wrócił tam jeden jedyny raz, żeby pomóc Rosie uprzątnąć z niego wszystkie rzeczy. Wciąż widział przed oczami te schody, szerokie, nowoczesne. Prześladowały go na każdym kroku. Nigdy więcej takich nie projektował. W domu rodzinnym w Surrey nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Energicznie rzucił się w wir interesów. Pochłaniał go bez reszty kontrowersyjny biurowiec, nagrodzona galeria sztuki, willa nad Morzem Śródziemnym, które przypominały kubistyczny wytwór fantazji, konstrukcję ze szkła i betonu. Działo się to w tym samym czasie, gdy otrzymał zlecenie w sprawie kościoła Marii Nierządniczy. Zajął się tym przepełniony goryczą, z głębokim cynizmem. Wymyślił sobie, że będzie tu pochowany, być może fascynowała go ironia losu, który kazał mu zaprojektować sobie grobowiec — czuł się jak faraon spoglądający na piramidę, w której miał kiedyś spocząć wśród towarzyszących ceremonii religijnych obrzędów. A przecież tak się wystrzeżał otoczki religijnej, wręcz gardził nią. Dom przestał odgrywać jakąkolwiek rolę w jego życiu — widział w nim tylko ściany, dach, odstręczający styl wiktoriański, którego nie cierpiał. Zupełnie zobojętniał. Nic go nie obchodziło.

Co do wystroju wnętrza pokoju dziecinnego, zostawił Rosie wolną rękę. To ona uznała, że tapety w białą koniczynkę będą najodpowiedniejsze. Do tego lekkie per-kalowe zasłony, białe łóżeczka, na ścianach szkice Mabel Lucy Atwell, jednym słowem, doskonała harmonia. Rupert z góry założył, bez pytania nawet, że Rosa zajmie się wychowaniem dzieci. Matka zgodziła się, ale postawiła pewne warunki. Guwernantki zmieniały się, przychodziły i odchodziły, a nie były to głupie wiejskie dziewczyny, lecz młode, bystre, odcytane kobiety, którym Spock nie był

obcy, które znały psychikę dziecka i rozumiały ją. Czas upływał, Rosa zdawała sobie sprawę, że nie jest coraz młodsza, mimo swojego wspaniałego wyglądu była naprawdę chora, nasiliły się ataki artretyzmu, w nocy napadał ją lęk, nie mogła go opanować. Zbliżała się do siedemdziesiątki. Śmierć mogła być jeszcze daleko, ale także i niebezpiecznie blisko — ktoś to mógł wiedzieć, martwiła się, co stanie się z bliźniaczkami, gdy jej zabraknie. Próbowwała rozmawiać z Rupertem o Elspeth. Nie dało to żadnych rezultatów — zacinał się w sobie, zaciskał usta, jakby słuchał jej nie słysząc, nie zwracał uwagi na jej słowa, był obojętny. Zastanawiała się, co stało się z tym dzielnym, wyniosłym, żarliwym młodym człowiekiem, który był jej synem.

Teraz ukrył się w pancerzu, może ze strachu, z pasją rzucił się w wir pracy, istniała dla niego jedynie starsza córka. Mógł całymi godzinami tulić Dianę, nosić na rękach, pożerać wzrokiem jej dziecięcą piękność. Rosa zwracała mu uwagę, że jest niesprawiedliwy wobec Elspeth, że ją zaniedbuje. Nie mógł się przełamać, a gdy brał małą na ręce, rzucało się w oczy, że cierpi. Wolał, by w ogóle nie istniała. Gdy psociła, nie okazywał ani gniewu, ani złości, był oschły i zimny. Rosa może przesadzała w swej miłości do bliźniaczek, ale ponure widmo przyszłości zakłócało jej spokój; choroba postępowała.

Łóżeczka dziecinne zostały zastąpione tapczanikami, a ściany zdobiły szkice do portretów dziewczynek będące dziełem Rosy, wykonane w bólu i cierpieniu, rękami powykręcany przez artretyzm. Każdy portret był olbrzymim wysiłkiem i męką, ale wiedziała, że musi go skończyć. Nie był dokładnym odbiciem dziewczynek, dostrzegało się pewne niedociągnięcia i braki, niektóre cechy były wręcz przejawskrawione, "przesadne, a inne znowu zamazane.

Diana miała okrągłe policzki, delikatną, brzoskwiniową buźkę, jej oczy były duże i jasne; głowa cała w lokach rozwianych wiatrem.

Twarzyczka Elspeth była zadumana, blade policzki wyrażały smutek, „nadaśana”, jak to określił Rupert, gdy matka zmusiła go, by wyraził swoje zdanie na ten temat. Jej ponure spojrzenie było zbyt przygnębiające, jak na tak małą osobkę, włosy miała jak Cyganiątko.

Cóż możesz zrobić, pytała Rosa samą siebie w przypiływie goryczy, dla dziewczynki nie kochanej przez ojca? Serce nie sługa, nie słucha rozkazów. Miłość to nie domowa roślina, piękna, gdy hodowana na sztucznym nawozie, wystawiona na słońce. Miłość to dzikie pnącze, rozrastające się, puszczające wciąż nowe pędy, bez względu na to, czy hodowca dba o nie, czy nie. Jest niezależna. Rosa potrafiła kochać Elspeth, ale nie mogła zmusić do miłości Ruperta. Maluchy rosły, a jej serce cierpiało. Pojawiły się rozterki, zmarszczki porysowały jej twarz, ból w nocy stał się nie do wytrzymania. Zanim zrozumiała, że to koniec, było już za późno. W ostatnim słowie, jakie wypowiedziała, wyczerpana bólem, była usilna prośba, naleganie. Słowo to brzmiało: Elspeth. — Co ona powiedziała? — spytała pielęgniarzka zamykając jej oczy. — Nie mam pojęcia — odparł Rubert. To co Elspeth zapamiętała ze swego pokoju, to tapeta w białą koniczynkę. Widziała ją leżąc w łóżeczku dziecięcym, widziała ją także na szafce nocnej. Na szafce stał także kleik jęczmienny od Robinsona, na wypadek gdyby w nocy obudził ją głód. Kleik podobno był dobry dla zdrowia, lecz Elspeth nie cierpiała go, smakował obrzydliwie. Diana lubiła go. Diana lubiła wszystko, niezależnie od smaku, zjadała z wielkim apetytem to, co pojawiała się przed nią na stole. Elspeth, zrzędziła ciotka, jest grymaśna, kapryśna, trudna, powinna jeść więcej warzyw, wie czy nie wie, że w Afryce dzieci umierają z głodu?

Pewnego razu Elspeth zapakowała nie dojedzone resztki, z zamiarem wysłania ich do Afryki. Kobieta pracującą na poczcie bardzo to wzruszyło, ale ciotka Grizzle była wściekła i zbesztła dziewczynkę. Szarpnęła ją za

ramię (nigdy nie używała przemocy), wypchnęła na ulicę i rozpowiedziała ludziom chichocząc złośliwie o głupocie Elspeth, zanim ta nie zrozumiała, że cierpienie i głód są lepsze niż publiczne upokorzenie. Ciotka Grizzle zamieszkała z nimi po śmierci babci. Bliźniaczki miały wtedy prawie pięć lat i chodziły do przedszkola. We wrześniu miały rozpocząć naukę w szkole. Elspeth pamiętała babkę jak przez mgłę; pamiętała jej dobroć, ciepły uśmiech i koczek jej srebrnosiwych włosów. Dzieci nic nie wiedziały o jej ostatniej chorobie, była w szpitalu, w bezpiecznej odległości; pamiętały, że ich urodzinowe przyjęcie zostało odwołane, długi okres nieobecności i pustki, a potem jak to bywa z dziećmi — totalna zmiana, zapomnienie, adaptacja i akceptacja, nowego porządku. Niemniej jednak Elspeth wyczuła, że coś się stało. A było to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy schowała się w spiżarni. Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego kojarzyła to z dniem wyrządzonej sobie niesprawiedliwości i przytłaczającego, nieprzeparatego cierpienia, wręcz nieszczęścia. Nie, to nie był żal, lecz całkowita, pochłaniająca litość nad nieszczęściem własnego dzieciństwa, nie kończąca się rozpacz. Spiżarnia, w której się schowała, była pod tylnymi schodami, niewygodna nawet dla małego dziecka; zamknęła się na klucz, przypadkowo czy celowo, nie wiadomo, i wydawało się jej, że siedzi tam całe wieki. Myślała, że cały dom zapomniał o niej, że umrze tu w zapomnieniu, niepotrzebna nikomu, nie zauważona, opuszczona przez wszystkich, nawet przez Smitty i Dianę. W końcu zaczęła wrzeszczeć i kopać w drzwi, gospodyni ją wypuściła. Wybuchnęła płaczem, niania sprawiła jej solidne lanie, ale to nie zrobiło na niej wrażenia. Nigdy nie zapomni wnętrza spiżarni, duszącej, przytłaczającej ciemności, wiązki światła przenikającej przez szparę w drzwiach i dużego czarnego pajaka pełzającego po jej nodze i dotrzymującego jej towarzystwa.

Nie bala się pająka; nikt jej nie nauczył, że małe śliczne panienki boją się pajaków. Ciotka Grizzle (przezwana tak w tajemnicy, a potem nazywana tak już oficjalnie) była ich ciocią-babcią, młodszą siostrą Rosy o jakieś piętnaście lat. Właściwie nazywała się Grizelda Skerritt, pojawiała się czasami na uroczystościach weselnych, chrzcinach, pogrzebach, zawsze w tym samym kapeluszu, próbująca zbyt obcesowo wkraść się w wytworne towarzystwo swoich krewnych. Kiedy Rosa umarła, Rupert odkrył nagle, że może być bardzo przydatna. W tydzień później wprowadziła się, aby przejąć opiekę nad bliźniaczkami, wystrojona w nowy kapelusz, niewiele różniący się od poprzedniego, pełna wdzięczności, która, z czego zdawał sobie sprawę, miała później doprowadzić go do szału. Uważała Ruperta za boga. Dianę wciąż faworyzowała, natomiast Elspeth była dla niej „trudnym dzieckiem”, zamkniętym w sobie, nadętym, dzieckiem pozbawionym uroku. Grizelda jako dziecko była śliczną rozkapryszą panienką i uważała, że wszystkie małe dziewczynki winny być śliczne i rozpieszczone; bez wyjątku. Niestety jej szczerzy urok niezwykle szybko uleciał, pozostawiając tylko ogólne zmanierowanie i niezadowolenie. Teraz była drobną, zmizerniałą, zaniedbaną kobietą, która zestarzała się zbyt wcześnie, miewała swoje humory i niezbyt przypominała pod tym względem swoją starszą siostrę, kobietę zrównoważoną i praktyczną. Typowa stara panna, był kiedyś w jej życiu, jak twierdziła, niejaki pan Skerrit, dawno, w zamierzchłej przeszłości, pastor, który zmarł lub po prostu zniknął bez śladu, pozostawiając po sobie jedynie nazwisko i niewielkie pieniądze, szczupłość tej sumy wręcz uwłaczała jej godności. Przebywając w domu bratanka uwielbiała gładzić antyczne srebra, rozkoszować się porcelaną ze Spode i kryształami z Waterford, z dumą, ale i z wprawą wydawała rozkazy służbie, jak ma dbać o dywany, boazerię, brokatowe zasłony, aby całe to bogactwo było nieskazitelnie czyste. Rupert wynagradzał

ją hojnie, a ona nie szczydziła pieniędzy na nowe kapelusze, potem nawet na suknie, coraz droższe i elegantsze, lecz mimo to wciąż wyglądała tak samo. Wkrótce po tym, jak przeniosła się do Ruperta, zaczęła rozsyłać listy do swoich znajomych, z którymi dawno już straciła kontakt, używając do tego celu firmowego papieru; wprost umierała z zachwyty, gdy goście i ludzie z branży tytułowali ją panią Van Leer, uważając, że pochodzi z innej linii rodziny. Przypuszczalnie w głębi serca podkochiwała się Rupercie; była właściwie w takim wieku, przeżywała swoją drugą młodość (a może trzecią), a Rupert był w jej typie: wysoki, przystojny, niezależny, te cechy najbardziej ceniła u mężczyzn. Dziewczynki raz widziały, jak zawstydzona oblała się rumieńcem, gdy ktoś uznał ją za żonę Ruperta (oczywiście ktoś, kto jej nie znał), i momentalnie wyprowadziła gościa z błędu. Żeby chociaż odrobina fantazji, trochę humoru — nie, Grizelda żadnej z tych cech nie posiadała. Niemniej jednak była święcie przekonana, że uwielbia dzieci. Na każdym kroku ubolewała, że nie posiada własnych, zaklinała się, że będzie jak „prawdziwa matka” dla tych nieszczęśliwych bliźniaczek. Rupert puszczał jej słowa mimo uszu, wiedział, że chce w ten sposób zwrócić na siebie uwagę, a gospodyni domu, pani Smith, wzruszała tylko ramionami. Według ciotki Diana była żywiołowym dzieckiem, może trochę rozkapryszonym. Wyjątkowo rozpieszczana, Diana potrafiła to wykorzystać, natomiast Elspeth uważano za „trudne dziecko”, buntownicze, nieprzystępne, cierpiące i zranione przez los. W domu Van Leerów święcie wierzą, że Diana jest odbiciem swojej matki. W rzeczywistości nie było to prawdą; Rupert stopniowo przelewał osobowość córki na żonę, którą wciąż miał w pamięci, zastępował obiekt swojej pasji nowym. Grizelda, która widziała Johannę raz czy dwa i zapamiętała jej wspaniałe warkocz, teraz oczywiście dostrzegła w Dianie niesamowite podobieństwo.

Faktycznie Diana nie była ani tak piękna, jak jej matka, ani tak urocza jak jej ojciec — wszystko to było ulotnym wrażeniem i wymaginywanym obrazem, jaki stworzyły sobie stara ciotka i siostra-bliźniaczka. Miała ognisto-rude włosy, wyraziste oczy, które czasami wydawały się szare, a czasami piwne, bez cienia zieleni — i zdrową różową cerę, która nie straciła nic ze swej świeżości, nawet w okresie dojrzewania, nie dając się trądzikowi młodzieńczemu.

Johanna była osobą opanowaną, utrzymywała harmonię duszy i ciała, spokojna niczym Madonna, tłumiąca wszelkie emocje. Jej córka natomiast była dzieckiem o niezwykłym temperamencie, tętniącym życiem, zadowolonym z siebie i z całego otaczającego ją świata, czego nie starała się ukryć. Kochała i oczekiwała miłości, była pewna, że cały świat otwiera się przed nią, jest dla niej i jest za nią, bez zbędnych pytań i niedomówień. Była jeszcze zbyt młoda, aby poważnie myśleć, nie znała bólu i cierpienia, była także zbyt młoda, by zrozumieć zasady rządzące światem. A mimo to w wieku siedmiu czy ośmiu lat jej pogoda ducha, jak też jej pewność siebie były już jak gdyby uformowane, ustalone, patrzyła na życie już nie oczyma dziecka, lecz dorastającej młodej osoby. Nawet jeśli gnębiły ją jakieś wewnętrzne rozterki, kłopoty, żal, nie dawała tego poznać po sobie. Ufała ludziom, była łatwowierna, nie wiedziała, co to przemoc. Z wielką łatwością obdarzała swym uczuciem wszystkich wokół i równie łatwo zdobywała ojca, babcię, nianię, ciotkę, ich miłość. Ale na pierwszym miejscu była zawsze jej siostra.

Z wyglądu Elspeth i Diana nie były podobne. Elspeth była blada, nie miała rumieńców, co przekreślało jej urodę w oczach ciotki, włosy miała ciemne, zbyt ciemne, kręcone, może nawet trochę skołtunione, gdyż nie pozwalała im tknąć Grizeldzie, wrzeszcząc i kopiąc, gdy stara ciotka chciała je przystrzyć, a choćby tylko starannie rozczesać. Dobrze wiedziała, że ciotka Grizelda mogłaby sprząć ją za

to, nigdy jednak tego nie zrobiła. Gdy dziewczynki stały obok siebie, wyglądały jakby jedna cały czas była oświetlona blaskiem słońca, a druga ukrywała się w cieniu. Oczy Elspeth faktycznie były zielone, ale nie była to zieleń szmaragdów jak u Johanny, lecz zieleń ochry, oczy wiedźmy (mawiała Grizelda), które dwieście lat temu mogłyby wzbudzić podejrzenie, że została zamieniona przez wróżkę.

Dlaczego niebieskozielone oczy mają być piękne, a żółtozielone szalone? Nikt Elspeth tego nie wyjaśnił, ale pogodziła się z tym i dorastała w przekonaniu, że to prawda. Niemniej jednak czasami było jej trudno żyć ze świadomością, że cokolwiek zrobi, będzie złe, natomiast to co robi Diana — zawsze dobre.

Grizelda hołdowała tradycyjnej kuchni; posiłki sprowadzały się do rostbefu, puddingu, legumin z konfiturami i befsztyku zapiekanego w cieście. Sama chuda jak szczapa, nie miała pojęcia, co to przemiana materii, metabolizm, poziom cukru we krwi i inne kaprysy ludzkiego organizmu; jej zdaniem ludzie grubi są grubymi, gdyż objadają się, a grube dzieci powinny być karane za to, że są grube, ponieważ opychają się cukierkami i czekoladkami, a nie jedzą „zdrowego pożywienia”. Stąd gdy Elspeth mając może siedem lat zaczęła przybierać na wadze, uważała, że dziewczynka sama jest temu winna. Elspeth uwielbiała czekoladę, ale był to owoc zakazany, ponieważ według ciotki sam fakt, że- dziecko lubi czekoladę, był jawnym sygnałem jego żarłoczności, którego konsekwencją są okrągłutkie kształty młodej osóбки.

Na deser Diana, która z natury była szczupłą, dostawała lody, Elspeth musiała zadowolić się jabłkiem lub surową marchewką. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że ciotka nalegała, aby Elspeth skończyła jeść podstawowy posiłek: suflet, słodkie kluseczki — nie cierpiała ich, były szalenie tuczące, ale ciotka uważała je właśnie za najodpowiedniejsze dla niej. W rezultacie Elspeth nabierała okrągłych kształtów, a jej buźka była

coraz bledsza. Wspomagana przez swoją siostrę ukrywała tabliczki czekolady w swojej sypialni i w sekrecie zjadała je, przy czym każdemu kęsowi towarzyszyło poczucie winy i żalości zarazem, co jednak nie powstrzymywało jej, wręcz przeciwnie, było bodźcem do dalszych orgii czekoladowych, pełnych żalosnej chciwości. Raz najadła się batoników i zaczęła wymiotować. W wieku dziesięciu lat jej twarz stała się puciołowata, była nadal blada, a jej usta ułożyły się w grymas wiecznego niezadowolenia. Każda emocja, każde przeżycie odbijało się na zachowaniu Diany, podczas gdy Elspeth pozostawała jak gdyby odizolowana, obojętna, co Grizelda interpretowała jako przejaw suchwalstwa i bezczelności. Tłuste dzieciaki zawsze wyglądają jednakowo, jak tłuste kluseczki, i wcale nie są z tego powodu nieszczęśliwe. Ale Elspeth była inna, bardzo to przeżywała w głębi serca, ale wiedziała o tym tylko jej siostra.

Zdolność do niepomamowanej pasji Elspeth odziedziczyła po swoich szalonych przodkach, ona kochała lub nienawidziła, nie znała pośrednich uczuć. Kochała Smitty, która czasami posyłała jej zakazane ciasteczka, i Josha, ogrodnika, który pomagał jej chować skarby w szopie. Jakże nie cierpiała starej ciotki, a przecież wierzyła w to, co ta wygadywała, przekonana o swojej brzydocie, żarłoczności, wrodzonej złośliwości i nikczemności. Oddała się więc znu, nienawidząc z całą siłą i rozgoryczeniem, które wypełniało jej cierpiące serduszko. Pewnego razu zrobiła z wosku lalkę, przyozdobiła ją kwiatem z kapelusza ciotki Grizzle i resztkami włosów skradzionych z jej szczotki. Wbiła w nią całą furę szpilek, a wielką igłą przebiła jej tors i wrzuciła do piepa. Kiedy Smitty poczuła zapach topionego wosku, który skapywał do piekarnika, wszystko się wydało. Smitty, uważając Elspeth za szaloną, kazała jej przyrzec, że już nigdy więcej tego nie robi. W przeciwnym razie ciotka Grizzle dowie się o wszystkim. Elspeth złożyła uroczystą przysięgę, a Smitty dotrzymała obietnicy.

Elspeth miała dwie wielkie namiętności, które były zarazem powodem jej cierpienia. Z siostrą łączyła ją specyficzna, tajemnicza więź, będąca cechą tylko bliźniaków: absolutna, całkowita lojalność, instynktowne zrozumienie, porozumiewanie się bez słów graniczące z telepatią. Lecz w przypadku Elspeth ta bezwzględna, ślepa miłość była źródłem cierpienia wynikającego z zazdrości. Elspeth wiedziała, że czyni źle, ale nie była w stanie tego przetrwać. To co kochała u Diany, było jednocześnie powodem jej nienawiści: połysk włosów, rumieniec policzków, popularność, przyjacielski stosunek do otoczenia, uczucie miłości, jakie Diana wyzwaliała u wszystkich wokół, nie czyniąc ku temu żadnych starań. Gorycz płynąca z jej nienawiści zaostriła tylko jej miłość, sprawiając jej osobliwą przyjemność i ból jednocześnie; czasami aż pragnęła ujrzeć swoją siostrę umierającą w chaosie tych uczuć. Lecz największą dla niej męczarnią było patrzenie na ojca i Dianę, gdy byli razem. Elspeth kochała ojca jak nikogo na świecie, z desperacją, jaką może wyzwolić tylko niechciana miłość. Zabijał ją jego wzrok, jakim patrzył na Dianę pełen adoracji, uwielbienia — i sama Diana biorąca tę miłość tak łatwo i lekko, jak coś naturalnego, podczas gdy ona, Elspeth, oddałaby całą swą dumę za kilka cieplejszych słów. Była niczym czcicielka, modląca się u ołtarza swego boga, niewzruszonego, czekająca na cud; lecz nie miała nadziei, że on zejdzie do niej, pochyli się nad nią, dotknie stopami ziemi. Wcześniej rozumiała, że miłość żeruje na bólu i cierpieniu, wspomagana jeszcze nieszczęściem, i faktycznie nie mogła sobie wyobrazić miłości zrodzonej inaczej. Nigdy nie zaznała zwykłej dziecięcej miłości, miłości nie zepsutej, nie skażonej, miłości bez winy, udreki i cierpienia. Wszystkie jej ulubione historie i opowiadania były osnute na tym właśnie wątku, wątku ofiarnej miłości, miłości nie zauważonej, nie spełnionej: mała delikatna rusałka tańcząca na ostrzach noży dla uwielbianego księcia, który miał dla niej tylko obojęt-

ność; Sydney Carton poświęciła życie, została ścięta, Ifigenia wypowiedziała wojnę własnemu ojcu. Cały czas przemyśliwała, jak zdobyć miłość Ruperta. Marzył się jej jakiś heroiczny czyn, nieprawdopodobny, jedyny w swoim rodzaju przejaw geniuszu. A może powinna stać się choć trochę podobna do Diany, przynajmniej częściowo jej dorównać. Ale on nigdy nie zauważył jej wysiłków, wzlotów czy upadków, jej pasji, pragnień i tęsknoty, która pozostała na zawsze zamknięta w jej sercu. Diana była świadoma, co dzieje się z siostrą, ale dopiero po latach naprawdę zrozumiała, dlaczego tak było. Początkowo uważała skłonność Elspeth do zmartwień i zgryzoty jako nieodłączną część jej charakteru, jej osobowości, tak jak kolor jej oczu czy kręcone włosy. Dla niej było to naturalne. Czasami próbowała jej pomóc, naprawić zrujnowany dziecięcy świat siostry; ale wszystkie próby kończyły się klęską. Najgorsze stało się na lekcjach tańca, gdy dziewczynki miały dziewięć lat. Elspeth nie cierpiała tych lekcji. Jej figura (a raczej jej brak) wprawiała ją w zażenowanie, nieśmiałość powodowała niezdarność, a docinki i uwagi dzieci, te prawdziwe i te wyolbrzymione, będące wytworem jej wyobraźni, mocno raniły jej duszę. Nauczycielka niby dodawała jej otuchy, ale trochę tak, jakby poganiała czy trenowała konia na pokazie. „Trzymaj tę nogę prosto, Elspeth, prosto. Wyprostuj palec! Wiem, że to potrafisz. Spójrz na Dianę”. Elspeth uważnie obserwowała Dianę. W rzeczywistości jej siostra nie była aż tak wspaniała, lecz wyglądała ślicznie, była obowiązkowa, dawała z siebie wszystko, a pozycja rodziny uwalniała ją od kłopotów, skrepowania czy widma klęski. — Potrafisz to zrobić — powtarzała Diana jak echo swej nauczycielki, tylko trochę bardziej poufale. — Mówię ci, spróbuj wyobrazić sobie, że jesteś Margot Fouteyn! To było bez sensu. W głębi serca, jak inne dziewczynki, Elspeth pragnęła być Margot Fonteyn, która w przezroczyściej jak mgiełka sukience, z lekkością piórka uno-

szonemu podmuchem wiatru wykonywała na scenie piruety. Niestety, nawet próby poruszania się z taką lekkością były dla niej torturą, większą nawet niż docinki i chichoty rówieśniczek. — No cóż, gdybyś nie była taką tłustą kluseczką... — westchnęła ciotka Grizzle, gdy Elspeth zakończyła próby nieudanych piruetów. — Ona nie jest tłusta — krzyknęła z oburzeniem Diana, po czym zwróciła się do Elspeth. — Nie zwracaj na nią uwagi. My im pokażemy, my im wszystkim pokażemy! Mam pomysł!

Przy końcu każdego roku były organizowane kostiumowe przedstawienia, w których rodzice mogli podziwiać swoje pociechy. Do tej pory Elspeth próbowała ukryć się w tłumie, a jej występ ograniczał się do kilku taktów, po których szybko znikła nie zauważona. Tym razem starsze już dziewczynki przygotowały się do kilku scen ze „Snu nocy letniej”, a Diana, mająca zagrać ćmę, wspaniałomyślnie zaproponowała, aby jej siostra odegrała rolę Gorczyca. Zanim Elspeth się zorientowała, było już za późno.

Rupert Van Leer był znakomitością z sąsiedztwa, Diana klasową faworytką: dopięła swego. — Wszystko będzie dobrze — gorąco zapewniała siostrę. — Pomogę ci, będziemy ćwiczyć i ćwiczyć... — Elspeth, pogrążona w marzeniach o karierze tancerki, dała się w końcu przekonać. Ćwiczyły w sekrecie w sypialni Diany (pokoje dziewczynek, od czasu gdy skończyły pięć lat, były zabarykadowane po sam sufit przed niespodziewaną inwazją ciotki Grizzle). Diana była pełna inwencji, Elspeth pracowała zawzięcie, bez wytchnienia. Diana atakowała, Elspeth odpierała te ataki. Kiedy były gotowe, dały próbę przedstawienia przed Smitty i Joshem w kuchni i zostały nagrodzone brawami i ciasteczkami.

Wreszcie nadszedł ten wielki dzień. Diana wyglądała uroczo, jak olbrzymi motyl, z płonącymi włosami i błyszczącymi zielonymi skrzydełkami. Żółty trykotowy kostium Elspeth wyszczuplał ją trochę.

Czekały na wejście na scenę. Nerwy dawały znać o sobie, Elspeth dostała mdłości. Ostatni rzut oka, chwila koncentracji i na dany znak obydwie tanecznym krokiem wpłynęły na scenę, lekko wirując w piruetach, pokłoniły się i zamarły w bezruchu, lewa noga wyprostowana, prawe ramię półkolistym ruchem nad głową — bezruchu zapowiadającym dalszy ciąg tańca. Zapadła cisza.

Z głębi sali Elspeth usłyszała jakiś szept, przytłumiony chichot. „Wygląda raczej jak chochlik niż jak wróżka, jeśli mam być szczery”, rozczarował się czyjś ojciec zapominając, jak to zresztą mają zwyczaj czynić dorośli, że dzieci nie są ani głuche, ani mało wrażliwe. A wręcz przeciwnie.

— Jak jeden z tych hipopotamów w *Fantazji*. Pani Morrisol powinna była wytypować Deborę, ale oczywiście bliźniaczki Van Leer zawsze mają to, czego chcą... — I najgorsze, co tylko mogła usłyszeć: — Och, biedne dziecko.

Tego było już za wiele, Elspeth nie wytrzymała. Jej ręka opadła, noga zaczęła dygotać. Ten wstyd. Ogromny wstyd, było jej na zmianę gorąco i zimno. Jakżeż ośmieliła się nawet pomyśleć, że kiedykolwiek będzie mogła zostać tancerką! Była tu tylko z powodu Diany. Ludzie znacząco uśmiechali się, robili głupie uwagi pod jej adresem lub tylko współczuli. Nadszedł odpowiedni moment i Diana zwiwnym płasem, niemal rutynowo, rozpoczęła drugą część tańca. Elspeth nie była w stanie się poruszyć, uczynić najmniejszego gestu, kroku, jak marionetka opuszczona przez swego animatora. Nogi wrosły jej w ziemię. — Ruszaj — siostra ponagliła ją nerwowym szeptem. — Przecież umiesz, tyle razy to ćwiczyłyśmy. — Elspeth zamarła. Łzy napłynęły jej do oczu i skapywały po pulchnych policzkach. Z widowni dobiegły gwizdy, nieprzyjemne uwagi, odgłosy rozczarowania. Rodzice rywalizujących ze sobą dzieci spoglądali ze współczuciem lub z wyższością, zależnie od temperamentu. Nauczycielka tańca w rozpaczy zakryła oczy rękoma. Ty tania była wściekła. — Proszę, Elspeth — syknęła Diana. — Proszę, spróbuj. — Elspeth

tylko pokręciła głową. Diana zakończyła taniec zbyt szybko, zanim ucichły dźwięki pianina; podbiegła do siostry i ściągnęła ją ze sceny.

W ostatnim rzędzie Rupert, który zwolnił się z pracy, aby obejrzeć przedstawienie, siedział z zaciśniętymi ustami i grobową miną. Obok niego ciotka Grizzle, zdenerwowana, podniecona, szukająca przyczyn i oczywiście potępiająca winowajczynię.

— Nic się nie stało — powiedział Rupert, rozluźniając zaciśnięte pięści. Niestety, stało się. Ciotka Grizzle, winiaca siebie za występki Elspeth, sięgnęła po chusteczkę do nosa. Rupert nie zwracał na nią uwagi.

Ciotka Grizzle, krytyczne uwagi Ruperta, łzy i szloch — bliźniaczki zaszyły się w pokoju Elspeth i przytulone do siebie siedziały na łóżku.

Elspeth odesłano do jej pokoju- bez kolacji, w swoim milczeniu i postawie była teraz odbiciem ojca. Diana, która wypłakała się już i wyżałiła, podziobała widelcem w talerzu, po czym wśliznęła się na górę, niosąc kilka ciasteczek od Smitty.

— Nie chcę ich — wzruszyła ramionami Elspeth. — Nie jestem głodna! — Widać było, że bardzo cierpi. Siedziała z podkurczonymi nogami, które mocno oplótła ramionami niczym kleszczami — płód w łonie matki otoczony pępownią. Wreszcie zapytała siostrę, która godzina. Diana spojrzała na zegarek, prezent na ostatnie urodziny. Elspeth także miała zegarek, zawsze dostawała to, co chciała na urodziny lub Gwiazdkę Diana, lecz jej był zepsuty.

— Dziesiąta dwadzieścia trzy.

— Zdecydowałam się — oświadczyła Elspeth — uciekam. Dłużej tego nie zniosę.

Nawet nie zapytała, czy Diana ucieknie z nią. Diana nie zdradzała ochoty. Widziała Elspeth przez mgłę uczucia, ale i wątpliwości, obawiała się, że „to” nie było tylko nieudanym przedstawieniem; „to” było czymś niedostrze-

galnym, niewyraźnym, wiszącym nad nimi jak ołowiana chmura. Cień ostatniego tygodnia, nadchodząca burza, koszmary nocne, jakie trudno spamiętać; księżyc, który zmieniał się w czarną kulę. Spytała: — Dzisiejszej nocy? Elspeth skinęła głową. — Bardzo późno — dodała — gdy wszyscy będą spali. Po północy.

Po chwili ciszy Diana znów zapytała: — Dokąd pójdziemy? Elspeth usłyszała słowo „my”, lecz nie zareagowała na nie. W błahych sprawach — psotach, figlarnych wygłupach Diana była zawsze prowodyrem. Lecz w rzadszych, bardziej brawurowych i szaleńczych wyskokach przywództwo obejmowała Elspeth. Zawsze gdy jedna prowadziła, druga się podporządkowywała, ulegała rozkazom. Było to niepisane prawo...

— Pojedziemy do Ameryki — zdecydowała Elspeth. — Do cioci Barbary.

Wiedziała niewiele o ciotce Barbarze, a jeszcze mniej

O Ameryce, lecz zabrzmiało to wystarczająco ekscytująco

i było tak daleko... Ich wyprawa znalazła cel, a wraz z tym nabrała kształtów. Zaczęły obmyślać plan.

— Możemy pieszo dojść do Newheaven — powiedziała Elspeth — a potem wsiądziemy na statek.

— Statki w Newheaven nie płyną do Ameryki — zauważyła Diana. — One płyną tylko do Dieppe.

— Owszem, statki pasażerskie. Lecz towarowe płyną do wszystkich portów świata. Nie pamiętasz, jak byliśmy z ojcem na wycieczce w porcie i był tam statek ze Szwecji, a jeden nawet z Zatoki Perskiej?

— Gdzie jest ta Zatoka? — zaciekawiała się Diana. Elspeth nie wiedziała. — Zresztą nieważne — odparła. — W każdym razie gdzieś tam będzie statek do Ameryki. Musi być.

Diana wróciła do swojego pokoju. Nie umówiwszy się wcześniej, zaczęły pakować rzeczy do tornistrów szkolnych: trochę czekoladek, ciasteczek od Smitty, oszczędności i zaskórniaki, których nie zdążyły wydać. Diana wzięła szczoteczkę do zębów i ukochaną lalkę, Elspeth zniszczoną

książkę „The Hobbit”. Coś ją tknęło, by wrzucić jeszcze ręcznik, tak na wszelki wypadek, aby można było dokładnie się umyć. Nie ściągając ubrań położyły się do swoich łóżek i dokładnie otuliły kołdrami, na wypadek gdyby jeszcze ciotka Grizzle przyszła im powiedzieć dobranoc.

Diana zdążyła zasnąć, lecz Elspeth czuwała, aż cały dom się uciszył, a wskazówki zegara pokazały północ. Było coś, co ją przytłaczało, może świadomość, że postępuje źle, a może coś innego, nieuchwytnego, czego dłużej nie mogła znieść. Tej nocy, tej godziny pragnęła pozbyć się nie tylko tego brzemienia, tej góry smutków i żalu, lecz samej siebie, zmienić skórę jak kameleon, zostawić to wszystko zamknięte w czasie, w starym życiu. Obudziła siostrę i wysunęły się z domu. Była cudowna, letnia noc, niebo pełne migotających gwiazd, drzewa rzucające rozczapierzone cienie. Początkowo dziewczynki były podniecone, miały doskonały humor. Udały się w kierunku, który uznały za właściwy, w kierunku wybrzeża. Maszerowały naprzód, niewidoczne zza żywopłotu, wreszcie zobaczyły nadjeżdżający samochód. Stopniowo Churston pozostało w tyle, a one wkraczały we wszechogarniającą, nocną ciszę nieznannej okolicy. Przystawały co chwilę i nadśluchiwały, niepewne ciemności i czyhających wokół tajemnic; słyszały tylko lekki poszum wiatru, szelest liści opadających na ziemię i bezgłośny szept traw.

— Jest tak cicho... — szepnęła Diana. Nie powiedziała tego, ale czuła się nieswojo, bała się.

— Wszystko w porządku — odparła uspokajająco Elspeth.

Strach siostry ośmielił ją, po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, że jest odważniejsza i dzielniejsza od Diany. Od razu poczuła, że chyba przełamała wstyd, skrępowanie i niezdarność i stała się nie tyle kimś innym, lecz sobą, taką, o jakiej zawsze marzyła, była to ona, ukrywająca się aż tak długo pod żalostną postacią. Należa-

ła do nocy, do magicznego świata cieni i gwiazd, była w swoim żywiole...

Z nastaniem dnia wiatr zmienił kierunek; świt wdzierał się złotym blaskiem pokonując barierę chmur. Wraz ze słońcem i zmęczeniem wrócił niepokój. Dla Elspeth, oczarowanej magiczną ciemnością, wszystko wydawało się w nocy możliwe, lecz rano sprowadził ją z obłoków na ziemię, uświadomiła sobie, że Ameryka jest zbyt daleko, a ciocia Barbara to prawie obca osoba. Skurczyła się, zamknęła w sobie, stając się znów tłustą, małą dziewczynką o wybujałych marzeniach. Serce podpowiadało jej, że muszą wracać.

Koło dziesiątej usiadły na ławce i zjadły ciasteczka. — Jestem taka zmęczona — rzekła Diana. — Może tak byśmy zawróciły?

— Nigdy nie wrócę — twardo odparła Elspeth.

Gdzieś w godzinę później policjanci zapakowali je do samochodu i odstawili do domu. Rupert uściskał Dianę, ciotka Grizzle płakała; wszyscy krzyczeli, nawet Smitty. A Elspeth, obwiniona — przynajmniej raz słusznie — za całą eskapadę została zamknięta na klucz w swoim pokoju na cały dzień i pozbawiona kieszonkowego na cały miesiąc.

Gdy bliźniaczki miały jedenaście lat, wysłano je do oddzielnych szkół. Elspeth cieszyła się mniejszą popularnością niż Diana, lecz była o wiele bystrzejsza; nie było w tym nic dziwnego, że to ona powinna pomagać siostrze w zadaniach domowych, nawet odrabiała je za nią od czasu do czasu. Diana zaś broniła siostry przed koleżankami i kolegami, którzy naśmiewali się z jej niezdarnej sylwetki. Nauczyciele, powiadomiwszy o tym Ruperta w czasie spotkania z rodzicami, byli zaskoczeni, a nawet wstrząśnięci jego reakcją. Rupert wprost nie mógł uwierzyć, że jego ukochana Diana mogłaby skłamać, także z wielką trudnością przyszło mu zaakceptować jej intelektualną „niższosc”. „Wymaga specjalnej uwagi. Elspeth ma

na nią zły wpływ", „sprowadza ją na złą drogę" — przy pomocy Grizeldy odkrył kilka wygodnych, wyświechtanych frazesów, by zataić oburzenie czy uprzedzenie nawet przed samym sobą.

Nauczyciele — to zarozumiali idioci; któż mógł zrozumieć jego córkę lepiej niż jej własny ojciec (zawsze myślał o Dianie jak o swojej jedynej córce, przekreślając istnienie Elspeth, w ogóle nie myśląc o niej w kategoriach pokrewieństwa). Stąd też Dianę wysłano do ekskluzywnej i drogiej szkoły z internatem w Brayfield, a Elspeth umieszczono w miejscowej podstawówce. Niechybnie właśnie Elspeth najbardziej odczuła to rozstanie.

Diana tęskniła za siostrą, ale szybko przystosowała się do nowego otoczenia, pisywała nieczęsto i szybko poczuła się szczęśliwa w nowej szkole. Był to przepiękny, stary budynek o nieskazitelnym stylu i kształcie. Ściany z ciemnej cegły oplatało dzikie wino; otoczony szeregiem przybudówek, miał kilka skrzydeł — w środku szachownica kortów tenisowych. Był wyraźnym akcentem wśród falistych, kredowych pagórków. Dziewczęta w każdy weekend spacerowały parami, w jednakowych mundurkach i kapelusikach z okrągłym rondkiem. Grzecznie modliły się w nocy we wspólnych sypialniach. Chciwie, nawet z zazdrością, spoglądały na swoje starsze koleżanki. Każda miała swoją faworytkę. Doroślejsze panny wdrapywały się na mur po dzikim winie, grały w tenisa, wagarowały, opalały się na dachu zupełnie nago — były podglądane (oczywiście przez lornetki) przez chłopców z męskiej szkoły, oddalonej może ze trzy mile. Diana dostosowała się z łatwością, tak jak to ona potrafiła. Trochę spóźniła się z wyborem swej pierwszej idolki, lecz w drugim roku zakochała się bez pamięci w córce południowoamerykańskiego milionera: długonoga, opalona piękność z rozwianymi włosami na korcie tenisowym. Czarnowłosa piękność. Diana chowała swoje desery dla ulubienicy, zamian za co dostawała dużego całusa przed lekcją gimnastyki. Zaczęły się dla niej bezsenne noce, pełne westchnień do

nowego obiektu uczuć. Nie trwało to długo - pojawiła się inna pasja, a to za przyczyną Roberta Wagnera i Clinta Eastwooda, choć ciągle jeszcze tkwiło w niej przeświadczenie, że połączenie czarnych włosów z brązową karnacją jest najbardziej atrakcyjne. Akceptowała samą siebie bez żadnego szczególnego samouwielbienia, wiedziała, że jest śliczna, lecz otaczała podziwem Sofię Loren, jej wspaniałą twarz, delikatną figurę Audrey Hepburn, długie blond włosy Brigitte Bardot, wszystko, czego nie miała. Jednakże nie cierpiała z tego powodu, była z siebie zadowolona, w przeciwieństwie do siostry — nie miała pojęcia o zżerającej zazdrości i łamiących serce niedoskonałościach, które gnębiły Elspeth.

Na czternaste urodziny ojciec ofiarował jej kucyka. Wiele dziewcząt miało swoje kucyki w stajni w Brayfield, oprócz tuzina tych, które były własnością szkoły; przestronne tereny doskonale nadawały się do nauki jazdy konnej, skoków, woltyżerki.

Diana prosiła o lekcje jazdy konnej, ale nie przyszło jej do głowy, by poprosić ojca o własnego konia; dawno temu dostała chomika, parę królików, wspaniałe buty skórzane z ostrogami, ale wszystko to było niczym w porównaniu ze wspaniałością faktu otrzymania swego własnego kucyka i ponoszenia pełnej odpowiedzialności za niego. Miała nadzieję, ale nie śmiała prosić. Kiedy marzenie o koniku spełniło się, przyjęła prezent bardzo uradowana i zaskoczona, jak dziecko, które nigdy nic nie dostało — a raczej nigdy nic tak wspaniałego. Była rozpieszczona, to fakt, ale nie aż do tego stopnia, by stać się zblazowaną panienką. Kucyk był szary, nakrapiany, taki jak konik na biegunach, którym bawiły się z Elspeth w dzieciństwie; miał fantazyjną grzywę, falujący ogon i rozmarzone oczy kryjące się za firanką „disneyowskich” rzęs. Diana nazwała go „Księżycowym Cieniem” i kochała go tak zaborczą miłością, jaką jej siostra żywiła do nieczułych ludzi. Gdy patrzyła na jego aksamitny pysk i uzdę nabijaną

łśniącymi napami, działo się z nią coś dziwnego, czuła jakiś tępy ból; gdy siedziała mu na grzbiecie mocno obejmując nogami, czuła go pod sobą, wyzwalalo się w niej nie zaspokojone, nieokreślone pragnienie, graniczące nawet z pożądaniem, czego nie mogła dokładnie zrozumieć. Był dla niej wszystkim, jedynie dwa razy w życiu była tak bezgranicznie zakochana. Gdy jechała konno, miała poczucie wolności — było to dla niej zupełnie nowe uczucie, uczucie siły, niezależności, ożywienia, spotkania bratniej duszy — poważne odkrycie w jej młodzieńczych poszukiwaniach, podniesiona na duchu, z sercem otwartym na świat. Stopniowo zaczęła sobie zdawać sprawę, że w wielu wypadkach nie była ani tak wolna, ani tak niezależna, jak się jej do tej pory wydawało. Dyscyplina w Brayfield nie przerażała jej wcale, lecz w domu uświadomiła sobie nagle brak swobody, spostrzegła, że coś ją ogranicza. Szkoła dała jej wiele: Diana szybko dorastała, wakacje wpłynęły na zmianę jej osobowości, każdy przyjazd do domu był pouczającym przeżyciem, otworzyły się jej oczy na wiele spraw. Całe to nadskakiwanie ojca, jego nadmierna troskliwość, początkowo wcale nie zauważana, zaczęła ją trochę martwić, niepojęta siła jego miłości zaciężyla na jej sercu — delikatnie, prawie niedostrzegalnie, ale jednak był to pewien ciężar.

Elsbeth nie miała tych kłopotów. Gdy jej siostra była daleko, cierpiała w samotności — ona nie musiała być kochana. Było to niemal paradoksem, że Rupert, w obawie o dobro Diany, wysłał swą ukochaną córkę z domu, a zostawił tę, której nie cierpiał. Elspeth czuła się zawiedziona i rozczarowana. Rupert pracował ciężko, wracał do domu bardzo późno lub wcale, rzadko widując się z nią lub z ciotką. Smitty niedawno odeszła na emeryturę, Elspeth i Grizelda były więc teraz skazane na siebie. Siadały do kolacji po przeciwległych krańcach olbrzymiego stołu, wpatrując się w żenującej ciszy w ponurą prze-

strzeń lnianego obrusa. Wojna nerwów kończyła się zwycięstwem Klspeth. Po kilku minutach milczenia ciotka Grizzle absolutnie nie mogła oprzeć się pokusie, by jej nie dokuczyć, nie zacząć gderać, nie poszukać jakiejś winy — był to potok słów, przerywany w momentach przełykania posiłku lub dla złapania głębszego oddechu; jakby obawiała się tej śmiertelnej ciszy, jaka zapadnie, gdy ona przestanie mówić. Elspeth puszczała jej słowa mimo uszu, nie zwracała na nie uwagi, gapiła się przed siebie z lodowatą kamienną miną, miną, jaką potrafi mieć jedynie grube dziecko; jadła mało — opychała się później w swoim pokoju ciasteczkami i czekoladkami, sprytnie ukrywanymi w schowku pod łóżkiem — teraz tylko siedziała i jak twierdziła ciotka, wyglądała jak tłusta klucha. Wyglądała jak kluska, to fakt, czuła się jak kluska i nienawidziła ciotki Grizzle i całego świata, a najbardziej siebie samej. Dlatego objadała się po kryjomu, z każdym dniem stawała się coraz grubsza i coraz bardziej nieszczęśliwa. Mściła się na swoim ciebie, swoim życiu i na każdym, kto musiał ją znosić. Nie mogła temu zaradzić.

Churston Comprehensive School w niczym nie przypominała Brayfield; bez kapelusików, dzikiego wina, natomiast z chłopcami uczącymi się w tej samej klasie co dziewczęta, a nie w oddalonej o kilka mil szkole. To niestety nie robiło na dziewczętach większego wrażenia. Jednakże nauczyciele starali się bardzo, a Elspeth, szczęśliwie dla siebie, była na tyle bystra, że nie potrzebowała dodatkowych lekcji. Mr Scoffield, nauczyciel plastyki, szczególnie się nią nie interesował. Wiedziała, że powinna mizdrzyć się do niego, ponieważ każda z dziewcząt umiz-giwała się do nauczyciela plastyki, ale niestety, chociaż był stosunkowo młody, już łysiał, nosił okulary, był wysoki, chudy, jego tęczówki przypominały kolorem marmoladę agrestową, a nos — ryjek. Mimo to próbowała wytrwale. Po jego kilku pocieszających słowach usiłowała przekonać samą siebie, że to nie wygląd jest ważny, lecz jedynie

wspaniała dusza. A z drugiej strony, jakież ona miała prawo, z całą tą swoją brzydota, zakochać się w prawdziwie przystojnym chłopaku? Pokazała mu kilka próbek swoich możliwości — do tej pory był to tylko przywilej Diany. Pewnego dnia, gdy pracowali do późna, zwierzyła mu się, jak bardzo nienawidzi swojego wyglądu, swojej wagi, braku atrakcyjności. Powiedział jej, że wygląd człowieka nie jest ważny, i natychmiast wygłosił wykład

O artystach poszukujących idealnych kształtów: da Vinci

i jego Gioconda, Simonetta Botticellego, Andy Warhol i Marilyn Monroe. On sam miałby ochotę namalować Helen Asher, ze względu na linię jej podbródka. Elspeth wróciła do domu, popłakała chwilę, pó czym bez żadnych trudności wymazała go ze swego serca.

Uczucia nieświadomego pożądania, którego Diana doznawała siedząc na grzbiecie kucyka, Elspeth doświadczyła na motorowerze. Nosila skórzaną kurtkę nabijaną napami i opięte dżinsy, próbując zatuszować swoją atletyczną budowę obszernymi swetrami; ściśnięte biodra, wypięta pierś. Jej twarz straciła trochę ze swej okrągłości, zeszczipłała, a szkarłatna szminka i ciemna konturówka nieźle maskowały jej mankamenty. Śmiała fryzura i kolczyk w nosie. Nawet ten kolczyk nie zrobił wrażenia na jej ojcu. Wobec ciotki Grizzle używała mocnych słów, co ciotkę szokowało, ale nikt nawet nie próbował jej zganić. Gri-zeldy nie bawiły narzekania na nią, a Rupert — jak zwykle — był obojętny. Jeździła w kółko na motorze do późna w noc wraz z całą bandą, robili wiele hałasu, terroryzując mieszkańców udających się na spoczynek, bądź pragnących ciszy.

Wracała do domu podchmielona lub po prostu kompletnie pijana, czasami nie mogąc ustać na nogach. Pewnego razu zwymiotowała w salonie i spędziła pół nocy na czyszczeniu dywanu. Nikt się nie obudził. Nikt nie wyrzucił jej do swojego pokoju. Nikt nawet niczego nie zauważył. Dowlokła się na górę, z trudem utrzymując

równowagę, dosłownie klejąc się do balustrady. Padła na łóżko, wszystko wirowało jej przed oczami. Nazajutrz jedynie sprzątaczką spytała, czy czuje się lepiej.

Elspeth miała trzynaście lat, gdy po raz pierwszy spotkała ją przygoda natury seksualnej. W zasadzie nie była to przygoda; coś więcej jednak niż dotyk, przelotne wrażenie, nagła burza hormonalna. Zakłóciło to jej spokój - do tego stopnia, że nie mogła o tym zapomnieć, a zdarzyło się w letni weekend, gdy ojciec i ciotka Grizzle pojechali do Brayfield, do Diany na Dzień Sportu. Zjawił się wtedy jakiś student z dokumentami, które (jak twierdził) Rupert chciał mieć jeszcze przed końcem tygodnia. Praktykanci Van Leera musieli mieć doskonałą opinię, być wyjątkowo inteligentni, błyskotliwi i oczywiście musieli mieć zapewnione miejsce pracy. Stawiano przed nimi wysokie wymagania ze względu na prestiż firmy — musieli czcić Ruperta jak swego mistrza, swego guru — a także załatwiać sprawunki, robić herbatę i, wiele innych rzeczy, które doprawdy miały niewiele wspólnego z architekturą. Ten wyjątkowy student miał około dwudziestki, lecz jego twarz była okropnie stara, emanowała z niej obojętność, ostrożność i powściągliwość. Przedstawił się jako Michael O'Hara, ale nie wyglądał na Irlandczyka. Dla Elspeth był równie brzydki, jak Mr Scoffield (ten, którego ostatnio wyeliminowała ze swojego życia), i dlatego zastanawiała się, jak można się zakochać, skoro na świecie istnieją sami nieatrakcyjni mężczyźni. Mimo to, pod nieobecność starej ciotki, Elspeth okazała dobre maniery, zaprosiła go do środka, poczęstowała mocną herbatą, trochę za mocną, a nawet uległa jego prośbie i oprowadziła go po domu.

— Jestem zaskoczony — zamyślił się w połowie schodów — że twój ojciec nie wybrał dla siebie czegoś bardziej... nowoczesnego.

— Lubi to miejsce — skłamała Elspeth. — Ten dom należał do mojej babki.

— Czy ona zmarła?

— Tak.

— A twoja matka?

— Też.

Wyprzedził ją na schodach i gwałtownie odwrócił się spoglądając jej w oczy. Przemknęło jej przez myśl, że ta jego brzydota jest inna niż brzydota pana Scofiel-da, ale nie była w stanie sprecyzować różnicy. Miał dziobatą twarz, lodowato szare oczy, blond włosy — długie i matowe — na modę wczesnych lat siedemdziesiątych. Kiedy mówił, jego głos przeszywał ją, czuła go z pełną świadomością — był jednocześnie szorstki i pieśzczośliwy, szorstki jak papier ścierny, delikatny jak aksamit.

Rzekł: — Musisz być samotna.

Chciała się odsunąć, lecz nie mogła zrobić kroku, nogi wrosły jej w ziemię. W dolnej części brzucha poczuła coś bardzo dziwnego, jakby coś w niej pulsowało. Szybko doszła do siebie i rzekła:

— Mam siostrę. — Nie przerywał jej. — Ojciec mnie kocha. — Zawsze rozpowiadała wszystkim, że ojciec ją kocha, jakby to rzeczywiście było prawdą. A może uważała mówienie prawdy za zdradę?

— Czy aby na pewno?

Rzucił jej taksujące spojrzenie pełne szaleńczej poufałości, a może intymności, jego wzrok przeniknął ją, jej tłuste ciało, brzydotę, tłumioną agresję. Wydało jej się, że widzi błysk satysfakcji w jego oczach.

Powiedział: — Opowiedz mi o swojej siostrze.

— Ona jest piękna — oznajmiła głośno — nie taka jak ja.

— Piękna. — Niemal się roześmiał. Podszedł do niej i zwrócił jej twarz w stronę światła. Jego palce były masywne i silne, nie były to delikatne, długie palce, palce, które zawsze kojarzyła z zawodem ojca.

— Wewnątrz twarzy kryją się kości — rzekł. — Pewnego dnia zaczną się ukazywać. Być może okażą się

bardzo interesujące. Albo nawet piękne. Któregoś dnia spojrzysz w lusterko, zaczniesz jeść seler i zeszczuplejesz. Kupisz sobie drogie suknie — kilka przypadnie ci do gustu. Teraz jesteś jak plastelina, bezkształtna. Ładna — brzydka — ładna — brzydka — to ulotne słowa. One nie będą trwały wiecznie. One nie przetrwają. Ile masz lat?

— Trzynaście.

— Trzynaście. Za dziesięć lat będziesz inna. Zmienisz się. Wszystko to — boleśnie dotknął jej policzka — to tylko poczwarka. Kto wie, co za motyl się z niej wykluje?

Elsbeth patrzyła na niego, niezdolna wykrztusić słowa. Nikt nigdy nie mówił do niej w ten sposób.

— Za dziesięć lat — dodał — może nawet będę miał ochotę cię pocałować.

Stał przy niej bardzo blisko. Mogła dostrzec chropowatość jego skóry, postrzępioną firankę rzęs okalających jego lodowate oczy. Nie mogła patrzeć na jego usta. Odjął rękę od jej twarzy, palce spoczęły na szyi. To był moment — jedno uderzenie serca — jedno tchnienie, gdy jego usta musnęły jej usta, w pocałunku delikatnym jak szept, jego ręka pieszczotliwie dotknęła jej piersi. Stała sparaliżowana, zatopiona w chaosie sprzecznych uczuć: szok, rozgoryczenie, przemoc, kompletne poniżenie. Wcześniej jednak zręcznym gestem pozwolił jej odejść. Odsunął się od niej, spoglądając na nią z uśmiechem, który uznała za szatański.

— Nie bój się — powiedział — poczekam dziesięć lat. Może trochę więcej, może trochę mniej.

Tętno stawało się coraz wolniejsze, jakby pod wpływem jego woli. Strach gdzieś uleciał, pozostawiając oburzenie i wątpliwości. Zaprowadziła go do kuchni, starając się za wszelką cenę panować nad sobą.

— Ojciec zaraz wróci — poinformowała go z przekonaniem nie mającym poparcia w rzeczywistości. Dom był pusty — byli jedynie oni i Josh, w ogrodzie. Nawet by nie usłyszał, gdyby krzyczała — był coraz bardziej głuchy.

W żadnym wypadku nie mogła krzyczeć: byłoby to przejawem słabości, dziecinadą, tchórzostwem. Cóż mogłaby powiedzieć? Czuła się jak współniczka w specyficznej, bliżej nieokreślonej zbrodni. Wciąż grając rolę rezolutnej, dobrze wychowanej panienki, zapytała go, czy nie zechciałby się czegoś napić.

— Tak, proszę. — Nie wiedziała, czy ma się bać, czy złościć. — Whisky, jeśli mi potowarzyszysz.

— Tak — wy bąkała — przyłączę się.

Gdy podawała drinki, ręce jej drżały. Ale nie ze strachu. Sączyli małymi łyčzkami, próbując zachować zimną krew (paskudztwo, co to za ohydny zapach). Michael O'Hara chyba domyślał się, ale zapytał:

— Gdzie jest twoja siostra?

— W szkole — odparła. — Jej szkoła ma internat, moja — nie.

— Być może... — rozważał Michael — twój ojciec kocha cię więcej? Może nie mógłby znieść rozstania z tobą?

Zamurowało ją. Objął szklanke swoimi dużymi silnymi palcami. Paluchami wiejskiego chłopca.

— Spróbuj, postaraj się — nie bądź jeszcze jednym z tych biednych, bogatych dzieci. Mówię ci, spróbuj.

Milczenie się przedłużało.

— Wygląda, że twój ojciec się spóźnia — zauważył. Elspeth była pewna, że spróbuje z niej zadrwić, ale trzymała się dzielnie. Jej serce zaczęło znów walić jak młotem, gdy wstał i spojrzał na nią z tym swoim uśmiechem (diabelskim uśmiechem). Szepnął: — Nie odprowadzisz mnie?

Towarzyszyła mu w drodze do wyjścia, pożegnała się zimno. Gdy drzwi zatrzasnęły się, podbiegła do okna, by się upewnić, czy rzeczywiście sobie poszedł. Szedł w dół ulicy, ale nagle zatrzymał się, odwrócił i patrzył na dom, długą chwilę, jakby wiedział, że ona go obserwuje.

Dziewictwo straciła trzy lata później, gdy nastąpiła era motocykli i młodzi mężczyźni w skórzanych kurtkach działali na jej zmysły. W końcu jednak było to wynikiem

czystej ciekawości, buntu, gry raczej niż pożądania. Była pewna, że tym zaszokuje ciotkę, miała nadzieję, że może wstrząśnie to ojcem — ale nigdy poważnie nie myślała, aby im o tym powiedzieć. Oczywiście powiedziała siostrze: mówiła jej o wszystkim, z wyjątkiem tego, co dotyczyło Michaela O'Hary — nie wiedziała dlaczego. Nie powiedziała też Dianie, jakie to było wstrętne; podczas prywatki, w pokoju gdzieś na tyłach domu, na łóżku, w stercie mokrych płaszczy, z ludźmi co chwilę niecierpliwie stukającymi do drzwi i partnerem, który cuchnął jak wieprzek, a odbijało mu się stęchłym piwem. Była świadoma tego, co robi, lecz zbyt pijana, by zaprotestować — choć może właśnie za mało pijana? Bolało ją. Nie była przygotowana na taki ból — nikt jej o tym nie powiedział, nigdzie o tym nie czytała. Ugryzła go w ramię, by powstrzymać się od krzyku; myślał, że to przejaw jej temperamentu. — Odpreż się — szepnął, automatycznie, dźgając ją czymś, co wydawało się jej sztywnym, drewnianym kołkiem, szukającym wejścia do jej ciała. Wreszcie wcisnął się w nią, gwałtownie wdzierał się coraz głębiej, aż wreszcie zamarł na chwilę, chrząknął jak wieprzek, czknął i doprowadził siebie do orgazmu. Nagły wytrysk nasienia uśmierzył ból jej ciała. Upewniła się, że nie pomyliła się w obliczeniach, zastanawiając się, czy nadal brać pigułkę.

— Dla mnie to było bezbolesne — powiedziała Diana w chwilę potem.

Diana straciła cnotę przez kucyka, podczas wyjątkowo żywiołowego galopu, gdy miała piętnaście lat. Opiekunka wyjaśniła jej, dlaczego ma zakrwawione majteczki, i sama będąc rozsądną kobietą, nie kazała się tym przejmować. Faktycznie straciła ją następnej wiosny z pewnym chłopcem z sąsiedniej męskiej szkoły; miał na imię Nigel i przyrzekła mu, że z nim zostanie. Miał jasnoblonde włosy, delikatny podbródek — jak David Essex. Wiele dziewcząt kochało się w nim, dlatego też z żadną nie wytrzymał dłużej niż pół semestru. Natura obdarzyła Nigela bardzo

małym członkiem, toteż bezboleśnie pozbawiał cnoty swoje „ofiary”, prawie niezauważalnie. Początkowo podniecało ją to, potem nudziło (wciąż wołała swego kucyka), ale przeżyła to bezboleśnie, bez urazy. Wszystkie urazy wydawały się omijać Dianę z daleka, jakby świadome, że nie jest ona dla nich podatnym gruntem.

Spotykała się z Nigelem na randkach — przeważnie pokonując najpierw dzikie wino; wspólnie z kolegą Nigela — Terrym i jego dziewczyną, córką właścicielki trafiki. Bez świadomego snobizmu czuła się jak socjalistka, bez zahamowań wychodziła z córką, właśnie z córką sklepi-karki. Tamta nosiła imię Nicky i miała REPUTACJĘ. Chłopcy uważali ją za „niezły towarek”, dziewczęta twierdziły, że jest cierpkawa, a wszystko to dodawało jej w oczach Diany niezwykłego blasku. Nie była piękna, miała proste, szarobrązowe włosy i niezdrową bladą cerę, jak ktoś, kto w ogóle nie zażywa świeżego powietrza, ale przy tym fascynujące, wręcz wspaniałe, olbrzymie, szeroko rozstawione szare oczy i malutkie, niemal pozbawione koloru, lecz wydatne usta — i wyjątkowo uroczy uśmiech. Lubiła zbyt rzucający się w oczy makijaż, krótkie spódniczki, chociaż mini wychodziło już wtedy z mody. Jednak Diana lubiła z nią rozmawiać — bawiła ją, a może nawet szokowała — i zapewniała swoich chłopaków (ale nie Nigela), że ją lubi. W przeciwnym bowiem razie spotkania z Nigelem przestałyby być ciekawe. Cała czwórka przeważnie chodziła do miejscowego pubu, obłęzonego przez podstarzałych pijaczków; chłopcy grali na flipperach, wypatrując węszących nauczycieli, a dziewczyny siedziały w kącie i plotkowały o chłopakach. Kiedyś poszli do kina, ale Diana była nieprzyjemnie rozczarowana filmem. Uprawiali miłość w sypialni nad sklepikiem, gdy matki Nicky nie było w domu (nie miała ojca), na łóżku Nicky lub saloniku na dywanie. Ostatnim razem pani Simpson wróciła wcześniej, kiedy byli jeszcze na górze; spojrzała później

na Dianę takim wzrokiem, że ta poczuła się strasznie, i zrobiła Nicki karczemną awanturę — wszystko było słycać, chociaż drzwi do pokoju zamknięto. Jednak później Diana była mile zaskoczona widząc, że Nicky nie przejęła się tym zbytnio — widocznie była do tego przyzwyczajona.

Ostatnia randka z Nigelem miała niespodziewany koniec. Poszli do pubu w sąsiedniej wiosce i natknęli się tam na wuefistę. Chłopcy uciekli bocznymi drzwiami bez słowa pożegnania, zostawiając dziewczyny na pastwę losu — musiały wracać same. Przedtem, wspólnie w czwórkę, planowali powrót taksówką, ale teraz Nicky i Diana nie miały na tyle pieniędzy, mogły najwyżej złapać autobus. Przystanek był w zacisznym miejscu, o jakieś pięćdziesiąt jardów za wsią, tuż przy bocznicy kolejowej. W końcu zaczęło padać. Czekwały na autobus ponad godzinę, ale się nie pojawił. Pojawił się natomiast jakiś facet, który (zdaniem Diany) wyglądał na takiego, co lubi zaczepiać samotne dziewczęta — przystanął, przyglądając się im, aż Nicky zaczęła chichotać, czym go spłoszyła. Diana była wściekła na Nigela i nagle poczuła coś niezwykłego do swojej towarzyszk; coś, czego nigdy dotąd nie zaznała, jakby obydwie stały się prawdziwymi przyjaciółkami, a nie tylko bogatą uczennicą i córką właścicielki trafiki; obydwie spotkały się zrzędzeniem losu. Nicky uważała, że powinny złapać okazję. Diana miała wątpliwości, ale zgodziła się. Nicky w pozie autostopowiczki — wyprostowana noga, kciuk wskazujący kierunek — pojawiała się przed każdym zbliżającym się samochodem, ale ruch był mały i spędziły tak następne czterdzieści minut. Wreszcie coś zatrzymały. Diana bała się wsiąść do samochodu, lecz Nicky wepchnęła ją na tylne siedzenie, sama sadowiąc się na przednim. Kierowca, komiwojażer, rozpoczął rozmowę z Nicky, a raczej był to jego monolog. Nicky wypuszczała go sprytnie, pozwalając mu przy tym podziwiać własne kolana, podczas gdy Diana siedziała z tyłu jak trusia.

Na szczęście nic strasznego się im nie przytrafiło — jedynie te straszne zwierzenia komiwojażera dotyczące jego żony, która go nie rozumie. Wysiadły przed sklepem pani Simpson — Nicky znudzona, Diana odprężona, że już po wszystkim. Nie miała ochoty wracać do szkoły; musiałyby sama, bez pomocy Nigela i jego latarki, pokonać graniczny mur. Dotychczas zawsze był razem z nią; otaczała ich ciemność wypełniana pocałunkami, czułymi słówkami, westchnieniami. Tym razem, chociaż oczywiście się nie bała (Diana wiedziała, że nazywając się Van Leer nie może bać się zupełnie, ale to zupełnie niczego), była wściekła na Nigela i wytrącona z równowagi.

— Nic ci nie jest? — zapytała Nicky.

Diana zawahała się: — Czy nie mogłabym — masz może latarkę? Jest takie miejsce w murze, trudne do znalezienia i...

— Poczekaj. — Nicky sforsowała zamek i zniknęła wewnątrz sklepu; pojawiła się ponownie w kilka minut później.

— I co?

— Mam w kieszeni. — Szczęk klucza w zamku. — Idę z tobą.

— Ale będziesz musiała sama wracać!

— Nieważne — rzekła Nicky niedbale. — Wszystko jedno, idę z tobą.

Było ciemno. Dianie zaimponowała odwaga Nicky; nie robiły na niej wrażenia ani nie oświetlone ulice, ani fantomy drzew, ani gąszcz żywopłotu. Była wdzięczna, ale i trochę zawstydzona.

— Nie musisz — rzekła. — Dam sobie radę.

Lecz Nicky poszła. Po drodze nie spotkały nikogo; stosunkowo łatwo znalazły wyłom muru. Diana oparła się na znajomej gałęzi.

— Myślę, że nie będziesz miała kłopotów — rzekła Nicky i ześlizgnęła się sprytnie.

— To nie ma znaczenia.

Gdy ochłonęła, zapragnęła dorównać Nicky w jej obojętności, wręcz ignorowaniu niebezpieczeństwa. Chciała jeszcze coś powiedzieć — coś o wdzięczności, zobowiązaniu, że po przeżyciach ostatniej nocy powinny zostać dozgonnymi przyjaciółkami — ale jakoś nie mogła się na to zdobyć.

— Do zobaczenia — wyszeptała.

— Dobrej nocy — Nicky zniknęła w mroku.

W czasie wakacji Diana opowiedziała całą tę historię siostrze: jak straciła dziewictwo, o Nigelu i niespodziewanej, choć szalenie ważnej przyjaźni z Nicky Simpson.

— Czy ona jest ładna? — zapytała zazdrośnie Elspeth. Diana odparła, że nie, jej się nie podoba, ale ma duże

oczy. To wystarczyło. Pograżona w samotności Elspeth dużo czytała, o wiele więcej niż siostra, stąd też wiedziała, że wyglądające na uosobienie łagodności dziewczęta, z dużymi oczami (była pewna, że Nicky właśnie tak wygląda), są najgorsze. Takie właśnie były Becky Sharps i Lucy Steels, miały delikatne głosiki, gdy czegoś słuchały, ich oczy stawały się coraz większe, były wyjątkowo brzydkie i nie opierały się mężczyznom. Dla takiej dziewczyny, córki właścicielki trafik, był to pierwszy krok do „kariery”. W rzeczywistości Nicky Simpson nie była ani milutka, ani łatwa, lecz Diana nie umiała tego odpowiednio przedstawić. Elspeth wyczuła tylko to, że Diana szaleje za Nicky, co- ją wyjątkowo zraniło.

— Ciebie kocham najbardziej — zapewniała ją Diana przed wyjazdem do szkoły. — Ty jesteś moją siostrą. Zawsze będziesz na pierwszym miejscu. — Obydwie wiedziały, że takie słowa są dla Elspeth bardzo ważne, musiała je czasami usłyszeć. Elspeth kochała swoją siostrę tak samo, o ile nie bardziej — bardziej zaborczo, bardziej boleśnie — ale nigdy nie musiała tego powtarzać.

Lato szybko minęło. Diana robiła wszystko, aby dotrzymać obietnicy danej sobie samej, że zostanie przyjaciółką Nicky. Odwiedzała pokój nad trafiką i siedziały tam godzinami paląc papierosy, pijąc colę prosto z puszki — „nie wolno pić z puszki”, powtarzała ciotka Grizzle, „to jest trujące” — rozmawiały o makijażu, zespołach rockowych, gwiazdach telewizyjnych, nauczycielach, spinkach do

włosów, chłopakach. Terry został zastąpiony przez Andrewa, a Andrew — przez Jake'a. Jake nie chodził do męskiej szkoły, był bardzo stary (miał około dwudziestu czterech lat) i pracował. — Starsi mężczyźni są najlepsi — oświadczyła Nicky. Diana nie znalazła nikogo na miejsce Nigela i Nicky pomyślała, że z pewnością spodoba się jej przyjaciel Jake'a — Lenny; niestety, nie spodobał się. Czasami Diana zastanawiała się, czy rzeczywiście Nicky posiada jakiś wewnętrzny urok. Były chwile, kiedy czuła, że musi zdradzić tajemnice, których nigdy nie powinna ujawnić, dzieliła się myślami, które nie powinny zostać wypowiedziane — a powodowało ją niewyraźne pragnienie podobania się, wywołane blaskiem uśmiechu Nicky, osobliwą winą, która zrodziła się z jej nieokreślonego poczucia wyższości. Diana, wbrew własnej instynktownej ostrożności, dawała z siebie zbyt wiele swojej przyjaciółce, której niezbyt wierzyła.

Żadna przyjaźń między ludźmi, którzy mają niewiele ze sobą wspólnego, nie może trwać wiecznie. Tak też było i tym razem. Egzaminy zmusiły Dianę do ślęczenia nad książkami, ze średnim rezultatem. Nicky też zdała egzaminy w swej miejskiej szkole, ale była teraz bardziej zajęta własnym życiem uczuciowym. Mimo to, gdy Diana pojawiała się w trafice, była zawsze mile widziana — to sprawiło, że przełamała się wewnętrznie i zaprosiła Nicky do stajni, aby wspólnie mogły podziwiać kuca. Pani Simpson starała się być grzeczna, ale sprawiała wrażenie, że nie akceptuje pomysłu. Diana nie wiedziała, dlaczego. Lecz Nicky miała w nosie zdanie matki, uważała, że wszystkie matki są jednakowe i szukają tylko zaczepki, a dorastające pociechy muszą je znosić, aż do chwili kiedy będą niezależne.

— Dlaczego ona mnie nie lubi? — spytała Diana po drodze do Brafield. — Czy chodzi jej o to zajście z Nigelem?

— Och, nie. Ona cię naprawdę lubi — chłodno wyjaśniła Nicky. — Ona tylko nie lubi, gdy się z tobą spotykam.

Diana oczekiwała wyjaśnień, ale uważała, że lepiej nie poruszać teraz tego tematu.

W stajni Nicky klepnęła kuca po nozdrzach, nakarmiła go kostkami cukru, traktowała go zgodnie z wymogami. W duchu Diana myślała, że Nicky będzie skrepowana, będzie czuła się nieswojo w towarzystwie koni, ale żar w jej oczach zaskoczył ją i zmylił — była zdezorientowana. Kiedy Nicky zapytała: — Czy mogę go dosiąść? Proszę... Tylko na chwileczkę... — wiedziała, że głupio byłoby odmówić. Ogarnęło ją przedziwne uczucie, trudne do opisanía. Księżycowy Cień był jej kucykiem, nigdy nikt na nim nie jeździł — tylko ona. Nicky równie dobrze mogła poprosić ją, by pożyczyła swego chłopaka lub siostrę--bliźniaczkę. Zasugerowała jej, że może nie spodoba mu się ktoś inny na grzbiecie, ale Nicky roześmiała się tylko, poklepała go po szyi i zapewniła ją, że wszystko będzie dobrze. — Podobam mu się. Zobacz!

Diana poczuła jakiś ucisk, skurcz żołądka, który mógł być podobny do tego, jakie miewała jej siostra — nagły napad zazdrości, czegoś takiego nigdy sobie nie wyobrażała. Pomogła Nicky dosiąść konia, lecz ta nie potrzebowała zbytnej pomocy, i wyprowadziła kucyka wraz z niechcianym jeźdźcem na podwórze. Zwierzę rzuciło łbem, parsknęło, ale nie stawiało oporu, chociaż Diana miała trochę nadziei, a i trochę się obawiała, że może zrzucić Nicky na ziemię. Jestem podła, zganiała siebie Diana. Powinnam umieć się dzielić. Niestety. Zdała sobie sprawę, że nie ma skłonności do bycia socjalistką: Księżycowy Cień należał do niej i ona łaskawie zaprosiła Nicky, aby go obejrzała, a nie jeździła na nim. Ten czyn był nieopisanym przejawem krzywdy, który mogła wybaczyć,

ale którego nie mogła zapomnieć. I nagle spoglądając na Nicky po raz pierwszy jak na inną dziewczynę, przeszła ją dziwna myśl — dziwna jak na Dianę, której wyobraźnia była nieco ograniczona. Nicky była roześmiana, opalona, włosy rozwiane podmuchem wiatru — siedziała na koniu, jakby była do tego stworzona; przez moment wydawało się Dianie, że jej przyjaciółka zajęła jej miejsce, wślizgując się w jej osobę tak łatwo i bezmyślnie, jak wślizguje się w nową sukienkę. Wszystkie różnice — te klasowe i te w wykształceniu — nie miały znaczenia. Kości zostały rzucone — Nicky stała się Dianą.

Mara zniknęła, ale zbyt powoli. Nicky zsiadała z konia, jakby wyczuwając, że zrobiła coś złego. Diana odzywała się milutko, może zbyt milutko, ale wiedziała, że już nigdy nie będzie mogła udawać, że są przyjaciółkami. Zbliżały się wakacje; łatwiej się było rozstać. Powiedziała: „Do zobaczenia wkrótce”, ale wcale tak nie myślała, a Nicky to zrozumiała.

Tydzień później, lub może dwa, wpadła na chwilę na filiżankę kawy; dzięki temu miała czyste sumienie. Do czasu rozpoczęcia semestru jesienno zima cała historia się skończyła.

Elsbeth uspokoiła się, gdy siostra powiedziała jej, przypadkiem zresztą, że już nigdy nie zobaczy się z Nicky Simpson. Ale Diana nie powiedziała jej, dlaczego.

III

Elspeth po raz pierwszy ujrzała Dom Stallibrassa, gdy miała sześć lat. Ciotka Grizzle, z pewnych powodów, uważała za swój obowiązek pokazać dzieciom owoc pracy ojca — w rzeczy samej nie zachwycała się wybrykami nowoczesnej architektury i wcale by nie podziwiała tego domu, gdyby zaprojektował go kto inny.

Na długie lata utkwily w pamięci Elspeth olbrzymie, szklane fasady, w których przeglądały się chmury, szare rafy ścian wspierające nie istniejący dach, ostre betonowe wieżyczki i trójkątne daszki ostro wbijające się w niebo. Kiedy była starsza, powróciła tu sama; najpierw jechała autobusem, potem dotarła pieszo i wspięła się na wzniesienie, z którego obserwowała dom. Doszła do wniosku, że to wcale nie dom, lecz jedynie rodzaj rozległej rzeźby o geometrycznych kształtach, którą nieopatrznie zamieszkiwali ludzie. To jej pomogło zrozumieć zamysł ojca. Dom stał na małym wzniesieniu, dokładnie wytyczonym, wokół nie było nawet śladu pnączy, płożących się roślinek lub drzew rzucających cień — tylko kamienne tarasy i dywanowe trawniki. W środku widniał basen w kształcie romboïdu, z jasnoniebieską wodą — szalony kontrast z naturą — dzieło człowieka wdzierającego się w ziemię — wydał się jej szalenie piękny. Tak jakby poczuła się bliższa ojcu; starała się podziwiać to, co stworzył. Marzyła, by porozmawiać z nim na ten temat — jakie wywarł na niej wrażenie, że obudził jej poczucie piękna, ale, jak zwykle, wszystko było tylko marzeniem. Pewnego dnia próbowała

przedyskutować tę sprawę z siostrą — prawie zawsze opowiadała jej o wszystkim, lecz Diana nie interesowała się architekturą.

Kiedy była nastolatką, chadzała do miejscowego pubu ze swymi kolegami — motocyklistami i podsłuchiwała miejscowych, którzy odnosili się do nowej budowli z pewnego rodzaju pychą wywołaną jej nieposkromioną herezją. Mówili o niej Szklany Dom, Betonowy Sen, Akwarium, Potworność.

Jeśli chodzi o pana Joe'ego, to był on chciwym starym dziwakiem, miał węża w kieszeni — fakt ten był powszechnie znany. Owszem, zainstalował w domu centralne ogrzewanie, ale był tak skąpy, że go nie używał — przez co olbrzymie pokoje były zimne i akustyczne, niczym groty czy jaskinie. Krążyła nawet plotka, że tam straszy, lecz nikt dokładnie nie wiedział, dlaczego. Pewien młody robotnik spadł z dachu w czasie budowy, zwykły wypadek zdaniem koronera, lecz uważano, że był w zмовie ze Stallibrassem, a nawet z Rupertem; każdy z nich skrywał w sobie złowieszcze zamiary według spragnionego sensacji tłumu. Prawdą było także, o czym dowiedziała się Elspeth, że ten nieszczęśliwy chłopak nastąpił na obluzowaną deskę, która zachybotła się i zrzuciła go na dół. Jakkolwiek tragiczne wypadki rzadko zdarzają się na budowach, a nowoczesne domy nie są nawiedzane przez duchy, wizerunek tego domu miał w sobie coś szatańskiego. Cała ta historia była zmyślnie przekręcona przez matkę tego młodego człowieka — bardzo chudą, zmizerowaną, ponad pięćdziesięcioletnią kobietę, która po kilku drinkach stawała się śmiała i odważna, wrzeszczała coś o „krwi i kamieniu”, o klątwie wiszącej nad domem, Joe'em Stallibrassie lub jeszcze o kimś innym. Pewnego wieczoru zobaczyła w barze Elspeth, co doprowadziło do niezmiernie kłopotliwej sytuacji.

— Więc jesteś jego córką — stwierdziła szalona kobieta. — Jego córką! A niechże cię — nie wyglądasz na miłą

dziewczynkę. Sir Rupert — tak się nazywa — a cóż on sobie myśli, kimże on jest? Sir Rupert. On mi zapłaci — wszyscy mi zapłacicie! Zobaczycie sami. Mój syn nie zginął przypadkowo, to nie był wypadek. ONI to zrobili — ONI zepchnęli go z dachu i powiedzieli, że to była deska! I kto mógł im zaprzeczyć? Obluzowana deska, w rzeczy samej! On nie był głupcem, mój chłopiec! Mówił, że był to zły dom, budowany przez złego człowieka, i dlatego mu to zrobili. Lecz pewnego dnia — on im pokaże. Sir Rupert — bydlę! Obydwoje im pokażemy. Zobaczycie.

— Mój ojciec nie zwykł zabijać swoich pracowników — rzekła później Elspeth, próbując rozładować atmosferę. — To opóźnia pracę! — Jej przyjaciele parsknęli śmiechem i wszyscy zapomnieli o sprawie, ale nie ona. Ona wiedziała, wiedziała doskonale, jak łatwo ludzie znajdują kozła ofiarnego, aby odegrać się za osobistą tragedię, lecz porywczosć kobiety dręczyła ją.

Następnego dnia powróciła, by spojrzeć na dom jeszcze raz: absolutnie nie sprawiał wrażenia nawiedzanego przez duchy, był przeciętny, po prostu wytwór brutalnej cywilizacji, która odrzucała paranormalne zjawiska jako szczątkowe zabobony wiejskiej przeszłości. To dom, pomyślała nagle, bez zagadek i bez uczuć, bez serca. Jego wyobcowanie, jego ostre kształty stały się nienaturalnie przytłaczające i drażniące. Wydawało się jej, że żaden ptak tu nigdy nie zaświergotał, nie pojawił się nawet jeden maleńki robaczek. I wtem wyrosła jakaś postać, niczym spod ziemi, i skoczyła do basenu. Niebieska woda rozprysnęła się na boki, zakłócając harmonię domu. Elspeth odetchnęła z ulgą. Młody chłopak, pomyślała spokojnie: ciało i krew, nie duch. Z tej odległości mogła tylko dostrzec, że jest szczupły i opalony i ma ciemne włosy. Może syn, pomyślała.

Odeszła nie myśląc już o tym więcej.

Anthony Charles Phillip Stallibrass obchodził tego lata osiemnaste urodziny. Bliźniaczki, już szesnastolatki, zostały oczywiście zaproszone ze względu na swego ojca.

Nigdy nie spotykały się z Anthonym, nawet jako dzieci, a jego siostry były starsze o całą generację. Lecz Rupert i Josiah utrzymywali sporadyczne kontakty, obydwie rodziny mieszkały w sąsiedztwie, a nazwisko Van Leer miało cenę i styl. Zaproszenie nadeszło: ciotka Grizzle była podniecona, Diana

zachwycona, Elspeth pozornie pogardliwa. Nowe sukienki na tę okazję miała im uszyć krawcowa w mieście; według Diany powinny mieć podobny styl i fason, lecz inne kolory, aby tworzyły z Elspeth efektowną parę. W przeciwnym bowiem razie Diana obawiała się, że ciotka Grizzle w ogóle nie kupi nic nowego dla siostry. Diana wybrała krój — nie było jej winą, że nie miała dobrego gustu.

Dopasowana góra, falbanki — w których jej, Dianie było do twarzy — koszmarnie wyglądały na Elspeth. Jeśli chodzi o modę, to Elspeth miała wiele dobrego smaku; niestety przestała zwracać uwagę na stroje, gdy uznała swoją figurę i twarz za beznadziejne.

— Co ty na to? — niefortunnie zapytała Diana, gdy obydwie stały przed lustrem w imieninowych kreacjach. Lustro, niestety, nie kłamało.

— Coś workowatego — rzekła chłodno Elspeth — w sam raz, by ukryć moje bezkształtne, rozlazłe ciało.

Na balu mogło pojawić się kilka wystrojonych Kopciuszków, czujących się nieswojo w eleganckich szatach. Elspeth wybrała kolor purpurowoszkarłatny, aby rozdrażnić ciotkę Grizzle — tak naprawdę go nie znosiła, choć wyglądała w nim doroślej, a nawet smukłej. Czowała się jak wielka purpurowa paczka obwiązana sznurkami wstążek; poruszała się z trudem. A co gorsza jej włosy — nie znające fryzjera — obcinała je sama, czasami gdy miała chandrę — wytapirowane i skręcone w coś, co miało być kokiem, a wyglądało jak położone jeden na drugim dwa bochenki chleba. To wszystko było umocowane olbrzymią spinką — coś straszego, a na dodatek włosy były po prostu za długie. Ta sama fryzura u Diany (której włosy miały odpowiednią długość) wyglądała nawet trochę wy-

myslnie, wyszukanie — jak u księżniczki Anny: delikatne loczki spadały jej za uszy i na ramiona. Diana wybrała kolor błękitny, harmonizujący z jej karnacją, podkreślający jej młodzieńczą świeżość, jasność, czerwien ust i połysk włosów. Diana była zdenerwowana, Elspeth — zastraszona. Ale Elspeth nie musiała się przejmować. Wiedziała, że nikt nie zwróci na nią uwagi.

Przybyły z opóźnieniem, gdyż Diana zapomniała gdzieś swoje ulubione kolczyki, a ciotka Grizzle zapomniała zamówić taksówkę. (Rupert był zaproszony, lecz nie poszedł). Dom był już pełen gości; Elspeth próbowała obejrzeć jego wystrój, lecz było zbyt tłoczno, zbyt jasno i hałaśliwie. Tysiące głosów próbowały przekrzyczeć się wzajemnie i jeszcze dodatkowo muzykę, którą serwował jakiś lokalny jazz band (wynajęty przez Joe'ego), próbujący swych sił w tym, czego obecnie się słuchało. Na samym końcu czegoś, co można by nazwać salonem (niemal królewskim) — rockowa grupa ze szkoły Anthony'ego zainstalowała swoją aparaturę. Zręcznie dobrani goście reprezentujący różne pokolenia, przyglądali się sobie wzajemnie, stojąc ramię w ramię (czasem udo przy udzie)-posyłali sobie kurtuazyjne, słodziutkie uśmiechy, mienili się diamentami i sztuczną biżuterią; wystrojeni w skóry i tafty, jedwabie i drelichy — zupełny galimatias.

Elspeth długo żałowała swego kolczyka, który musiała wyjąć z nosa pod wpływem usilnych nalegań ciotki Grizzle i Diany. W hallu siostra Anthony'ego rozmawiała o ogródkach warzywnych z żoną pastora; w oranżerii kolega z klasy zwijał skręta z trawką, a dwie panienki Anthony'ego — ex — i przyszła dziewczyna — mierzyły się wzrokiem. Dumny ojciec zabawiając gości wyglądał gorzej niż zwykle; jego żona, zupełnie zagubiona i oszołomiona jakby straciła panowanie nad sytuacją, i rzeczywiście' wszystko wymykało się jej spod kontroli.

— Oczywiście — powtarzała półgłosem. — Córki Van Ruperta... Musicie poznać mego syna.

Obydwie panny, każda po swojemu, miały wrażenie, że są Kopciuszkiem uczestniczącym w swoim pierwszym balu. Żadna nie była przygotowana na księcia z bajki. Przynajmniej nie w osobie Anthony'ego Stallibrassa, którego wszelkie prawa natury i genetyki powinny uczynić grubym i pryszczatym i fizycznie odpychającym. Ale w jego przypadku bogini natura spletała niezłego figla. Josiah był niski i przygarbiony, miał wiszący brzuch, tłuste policzki — z twarzy był podobny do ropuchy, a nade wszystko rzucał się w oczy szeroki, płaski, grzybiasty nos — niczym spróchniały pniak. Jego żona, Brenda, była też niska, ich dwie córki — wyższe i znacznie smuklejsze — niezgodnie z założeniami Mendla. Ale Anthony — niczym kaprys, fenomen, niczym jednostka z cechami pierwotnymi, dziwaczna genetyczna mutacja — Anthony był piękny.

Miał około sześciu stóp wzrostu, fizjonomię greckiego młodzieńca i cygańską twarz: wystające kości policzkowe, ciemne dzikie oczy, kędzierzawe czarne włosy niczym kapłan frygijski. Wbrew swemu ojcu, nosił wytarte dżinsy i koszulę chłopkę, tandetnie ozdobioną jakimiś wyszywaniami, przewiazaną w pasie, okrywającą jego opalony, karmelowy tors. Ale co najgorsze — od razu rzucało się w oczy, że jest przystojny. W jego ciemnych oczach kryła się zarówno łagodność, jak i zwierzęca dzikość, a jego uśmiech miał w sobie coś kojącego. Wiele już zostało napisane o krzywdzie wyrządzonej za pośrednictwem piękna i okrucieństwa, ale ileż to krzywd wyrządzają młodzi mężczyźni, którzy są delikatni, rozważni, czarujący — pewien rodzaj takich młodych mężczyzn, którzy proszą do tańca samotną dziewczynę, utną sobie pogawędkę ze spokojną dziewczyną gdzieś w kątku, po czym pójdą swoją drogą zostawiając za sobą złamane serca. Tacy mężczyźni pojawiają się niezwykle rzadko, ale poprzez dziwną grę rodzicielskich chromosomów Anthony był jednym z nich. Swoją uśmiech przeznaczał dla Elspeth, ale

też dla Diany; jego ciemne oczy szukały nieśmiałego, wrażliwego stworzenia, o którym wiedział, że skrywa się gdzieś pod nieciekawą powierzchownością Elspeth. Gdyby tylko rzeczywiście było to nieśmiałe, wrażliwe stworzenie, fascynujące, ukrywające się gdzieś tam... Niestety, ono nie istnieje, myślała Elspeth z rozpaczą. Gdyby tylko mogła zeszczupłeć, być może, gdyby głodziła się przez tydzień... Przypomniała sobie, jak zobaczyła brązową postać wskakującą do basenu, było to chyba ponad rok wcześniej; serce zabiło jej mocniej, jakżeż mogła o tym zapomnieć. Tak blisko, a tak daleko — przemknęło jej przez myśl. Ale było już za późno. Ujrzał Dianę — oczywiście zlekceważył wszystkie inne dziewczyny w pokoju — Niestety, było już za późno.

Jeżeli chodzi o Dianę, to wszystkie jej szkolne miłości przepadły bez śladu w otchłani zapomnianej, bezpowrotnej przeszłości. Diana poślizgnęła się na krawędzi, złapała oddech, zanurkowała — i już jej nie było.

— Rozpuść włosy — powiedział do niej później, gdy byli na tarasie. — Nie podoba mi się ten styl. Wyglądasz jak księżniczka Anna.

Odpięła spinkę i włosy zaczęły opadać, pomału same rozplątywały się, były niczym ciężkie fale, wciąż sztywne od lakieru, spływały jej ciężko na ramiona. Przeczesała je palcami i potrząsnęła głową — podobnie potrząsał łbem Księżycowy Cień — aż wreszcie lakier i szpilki dały za wygraną i włosy uwolniły się z ich szpon — Anthony wbił w nie palce, mocno wtulił w nie swą twarz, zachłysnął się delikatnym zapachem jabłek (szampon Diany) wciąż utrzymującym się pomimo resztek lakieru i dymu papierosowego.

— Pocałuj mnie — wyszeptał. Nie musiał jej o to prosić. Jej usta były lepkie, pociągnięte truskawkowym błyszczkiem; wyobraził ją sobie jako wielki puchar pełen owoców, wielkich truskawek. Lecz smakował je pomału, nie chciał jej ponaglać: nowa znajomość — jeśli taka

była — nie powinna być zawierana pośpiesznie. W końcu było to jego przyjęcie urodzinowe. Po chwili powrócił do środka, zatańczył z dziewczyną, która jeszcze nie tańczyła, porozmawiał z Elspeth, z babcią, wujkiem, kumplem, przyjaciółmi rodziny. Na zewnątrz w ogrodzie siedziała Diana wpatrzona w rozgwieżdżone niebo, ogarnęło ją uczucie identyczne jak wtedy, gdy miała czternaście lat i ojciec podarował jej kucyka.

Przez następne dwa lata Anthony i Diana spotykali się coraz częściej. On był w Cambridge, ona przygotowywała się do matury, ale wakacje spędzali razem; Diana podchodziła filozoficznie do jego studiów.

— Nie mam mu za złe, gdy widuje inne dziewczyny, jeśli mnie tam nie ma — wyjaśniała z udawaną obojętnością, taką obojętnością, że Elspeth byłaby w stanie w to uwierzyć. — Myślę — chociaż wolałabym oczywiście, żeby tak nie było — że jeśli teraz poczuje się wolny i trochę się wyszaleje, będzie mu łatwiej ustatkować się w przyszłości.

Zdawało się, że nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że on się ożeni, i to w dodatku z nią. Jej obojętność wynikała z wielu przemyśleń i refleksji; nie mogła osądzać go z góry, choć czuła, że powinna udawać. Nigdy nie była zaborcza, szalona, przesadnie zazdrosna. Był cholernie przystojny, gdy wychodzili razem, widziała, jak inne dziewczyny spoglądają na niego, pragną przyciągnąć jego uwagę, ale ona zdawała się być obojętna na to, zachowywała się, jakby był zwykłym chłopakiem, mniej lub bardziej atrakcyjnym, którego po prostu polubiła trochę więcej od innych. Jeśli miała go zatrzymać, wiedziała, że nie wystarczy być zakochaną: będzie musiała nauczyć się być rozsądną. Na szczęście zachowanie rozsądku nie sprawiało jej większych trudności. Nawet pod wpływem silnych emocji i wieku dojrzewania jej temperament pozostawał na uwięzi — wynik nie tyle samokontroli, co przyzwyczajenia. Zdarzało się, że miewała głupawe pomysły —

aby zadzwonić do niego o trzeciej nad ranem, zrobić mu jakiegoś psikusa, dać się porwać do Gretna Green — ale obawiała się ich trochę i nawet nie myślała o ich realizacji. Jego ex-dziewczyna przedawkowała, a niedoszła — podcięła sobie żyły i Anthony — zawsze rycerski i odpowiedzialny — momentalnie popędził do nich do szpitala. Gdy jeden jedyny raz się pokłócili, Diana czekała przy telefonie ze stoickim spokojem.

— Jesteś taka spokojna — powiedział jej potem. — Mógłbym zostać z tobą na zawsze.

To wystarczyło.

Dla Elspeth był to okres pełen goryczy, beznadziejności, nie spełnionych marzeń. Diana wiedziała, że jej siostra lubi Anthony'ego, ale nie miała pojęcia, jak bardzo. Jednak ta tajemnica nie rozdzieliła ich; czasami nawet zbliżała je do siebie, Elspeth nie wybaczyłaby siostrze, gdyby go zraniła; nie wybaczyłaby też Anthony'emu, gdyby ją zranił, zastępując Dianę kimś innym. Były też krótkotrwałe okresy błogości, niebezpiecznej zadumy.

Pewnego popołudnia, gdy Diana musiała wyjść z domu, Anthony namówił Elspeth na partię szachów i śmiał się do rozpuku, gdy przegrał z kretelem. Kiedy indziej znowu zabrał ją na przejażdżkę swoim starym morganem, do którego to przekonał był ojca, mówiąc, że woli go od mercedesa (pan Joe odznaczał się wielką hojnością wobec swego jedynaka). Było także trochę perfidii ze strony Elspeth, gdy zastanawiała się, czy rzeczywiście on i Diana tak dobrze pasują do siebie, albo czy on zabiega o nią tak, jak ona by tego chciała. Diana — na przykład — z trudem zdałaby pięć początkowych egzaminów, i najprawdopodobniej oblała resztę, lecz Anthony, dzięki następnej genetycznej mutacji, był zdolny. Jego ojciec był bystry, lecz niewykształcony, czego zresztą nie żałował; matka była dobrą kucharką... kobietą raczej rozsądną niż inteligentną. Ale Anthony był i pod tym względem wyjątkowy: pałał szaloną chęcią do nauki, zdolny ślęczeć do późna w nocy,

by zrozumieć i ugruntować wiedzę. Zajmował się klasyką i filozofią, od Platona do Karola Marksa. Zaczynał mówić o chorym społeczeństwie, o sprawach Wschodu i Zachodu, o potrzebie realnego socjalizmu, który może wprowadzić prawość i jedność dla wszystkich. Tego wszystkiego — myślała Elspeth — Diana nie była w stanie zrozumieć. W sprawach miłości bowiem Anthony był jej oddany, ale Elspeth czasami podejrzewała, że jego zachowanie byłoby identyczne w stosunku do każdej innej w podobnej sytuacji: okazywałby to samo ciepło, wielkoduszność, delikatność każdej przyjaźni. Wydawało się jej nawet, że czasami patrzył na nią z takim samym uśmiechem w oczach, jakim obdarzał tylko Dianę.

Ale to wszystko było oczywiście nonsensem. Kiedy Anthony i Diana zaręczyli się latem '76, powiedziała sobie, że była zbyt mało doświadczona, by móc ich oceniać, zbyt naiwna — by zrozumieć. Nie odwzajemnione uczucie, zazdrość, pobożne życzenia — te sprawy zawładnęły jej umysłem do tego stopnia, że w pewnej chwili, gdy usłyszała tę nowinę od siostry, przestraszyła się, że to jej własna sekretna perfidia materializuje się. Nie wiedziała, że to Diana poruszyła temat zaręczyn, a Anthony zaakceptował ten pomysł, traktując go raczej jako utrwalenie ich związku niż prawdziwy krok ku małżeństwu. Dla Diany natomiast to było zupełnie serio: było nieodwołalne. Przyszła do domu wcześniej z nowym narzeczonym, cała kipiąca niczym gejzer. Pobiegła do pokoju siostry, aby jej o tym powiedzieć, potem do ciotki Grizzle. Ale — co najważniejsze — powiedziała ojcu.

Nawet jeśli ją coś dręczyło, byłaby czegoś niepewna,

1 tak by się nie przyznała. A teraz nie mogła, nie umiała stwierdzić, że było w niej coś więcej, niż tylko zaskoczenie.

Krzyknęła:

— Jestem zaręczona! Tatusiu! Wychodzę za mąż. Czyż to nie jest cudowne? — Pragnęła, by powiedział, że tak, to jest cudowne, żeby życzył jej szczęścia, jak każdy normalny ojciec.

Ale on nie był normalnym ojcem. Wcale nie wyglądał na człowieka, który zamierza życzyć jej szczęścia. W jego oczach była pustka — nie zaskoczenie. Szok. Powiedział: — Zamknij drzwi. Posłuchała. Drzwi były dębowe, z wielką klamką. Gdy je zamknęła, poczuła się jak w więzieniu. Ale to był jedynie gabinet ojca, jej ojca — półki z książkami sięgające aż pod sufit, ciemna boazeria, lampka biurowa rzucająca przytłaczające cienie na ściany. Wszystko bardzo znajome i jak zauważyła Diana, będące antytezą jego sztuki. Lecz Diana, jak większość nastolatek, nie oceniała swego ojca obiektywnie, jedynie w odniesieniu do siebie.

Mówiła dalej, próbując odzyskać wspaniałą nastrój sprzed kilku chwil: — Wychodzę za męża. Nie cieszysz się? Nie jesteś szczęśliwy, tatusiu?

Zapadło milczenie, trwające o sekundę za długo. Wtem Rupert zapytał: — Kto to?

— Anthony! — Zmarszczył brwi, zamyślił się, spojrzał z niedowierzaniem, jakby nie wiedział, o kim mówi. Zrozpaczona wybuchnęła: — Anthony Stallibrass, wiesz, tatusiu, spotykam się z nim od lat. — I znowu: — Zamierzamy się pobrać!

Anthony Stallibrass. Syn Josiaha. Przypomnił go sobie jak przez mgłę; tak, spotkał go u siebie w domu kilka razy. Jeden z przyjaciół Diany — tak pomyślał wtedy. Syknął: — Dobrze go znasz?

— Co... co masz na myśli? — Naprawdę nie zrozumiała. — Oczywiście, że dobrze go znam! Jesteśmy razem od jego osiemnastych urodzin. Nie martw się — on jest w porządku. Nie jest ani narkomanem, ani pedałem, ani nikiem takim. Jest zupełnie normalny — i bardzo, bardzo miły. Tatusiu...

Stała przed nim i chciała rzucić mu się na szyję. Coś ją zatrzymało, zawahała się; nie, byłoby to sztuczne. Rupert odsunął się, w tyle, za plecami miał lampkę, twarz pozostała w cieniu. Mogła tylko domyślać się, jak straszna

ma minę. Jego przysadziste ramiona czyniły go wielkim i złowieszczym. Stała przed nim, lampka oświetlała jej twarz — twarz dziecka: różowa buźka, uroczy uśmiech, szare oczy, czyste jak perły. Dziecko pełne nadziei, wątpliwości, pragnące zaufania... Zapytał: — Spałaś z nim?

— No cóż, ja...

— Pytam, czy spałaś z nim?

Nigdy nie wyobrażała sobie, że może być taki. — Tak, tak, spałam, oczywiście. Wszyscy to robią. Myślę, wydaje mi się, że chciałbyś... przypuszczam...

Uderzył ją. Z premedytacją. Widziała jego rękę, unoszącą się powoli, boleśnie opadającą na policzek.

— Dziwka! — Ledwo usłyszała jego głos. — Dziwka. — Nigdy nawet jej nie dotknął, nie dał klapsa, nie mówił tak do niej. Nie mogła w to wszystko uwierzyć. Z wysiłkiem trzymała się na nogach, zabrakło jej tchu — to szaleństwo. Uderzył ją znowu. Zatoczyła się i potrąciła lampę, zrzucając ją na podłogę. Zobaczyła jego twarz — oszalała, oczy zaszły mu krwią — krzyknęła: — Tatusiu! Tatusiu! — Ale on nie słyszał, wpadł w furję, bił ją. Upadła na podłogę, czuła tylko ciosy na całym ciele, aż ciemność ogarnęła ją całkowicie i wypełniła jej wnętrze ...

Ktoś ją podnosił. Była w czyichś ramionach, silnych ramionach swego ojca. Unosił ją w ciemności, tulił ją — ścisnął ją. Jego twarz na jej szyi. Jego głos. Szlochanie. I jej imię: „Diana... Diana” — moment zażenowania, rozsądek, ciepło, wracała miłość i normalność. Naprężone mięśnie rozluźniały się, posiniaczone miejsca zaczęły dawać sygnały bólu. Jego ramiona były zbyt silne: jego uścisk ranił ją. Próbowwała przemówić, próbowała oddychać. Ciemność wypełniła ją znowu, myślała, że zaczyna się dusić; poczuła na plecach dotyk rąk, dzika pieśszczota, brutalniej-sza raczej niż niebezpieczniejsza; jego wargi na jej szyi, policzkach, ustach. Otworzyła oczy, ale nie mogła nic zobaczyć. Krew pulsowała jej w głowie. Otworzyła usta,

chciała krzyknąć, błagać — poczuła jego język wpełzający w jej wnętrze, przywłaszczający ją, posiadający ją, bezczeszczący ją. Olbrzymi szorstki jęzor, jak ozór zwierzęcy, wciskający się w każdą szczelinę jej ciała, jej życia. Zemdliło ją, nie miała siły się opierać. Uczucie miłości i normalności zniknęło na zawsze. Świat się zmienił.

W innym czasie, w innym wymiarze pozwolił jej odejść. Biegła do drzwi, potrącając meble, nie mogąc zachować równowagi. Coś mówił, nie słuchała. Klamka była uparta, drzwi powoli puściły. Była przy schodach, wbiegła na nie, potem puściła się wzdłuż hallu i wreszcie zamknęła się w swoim pokoju. Świątynia, sanktuarium. Osunęła się na podłogę, ledwo łapała powietrze, niczym sparaliżowana, nie była w stanie płakać.

Zrobiło jej się niedobrze. Doczołgała się do łazienki — wyrzuciła z siebie obiad, herbatę, wszystko — wymiotowała aż to utraty sił, miała wrażenie, jakby pękał jej żołądek. Kiedy było już po wszystkim, odpoczęła chwilę, trzymając się kurczowo umywalki, przemywając oczy i nos. Po chwili była w stanie wrócić do pokoju. Serce podeszło jej do gardła, gdy usłyszała kroki na schodach; na szczycie moment zawahania i ktoś odchodził w drugi koniec domu. Skamieniała ze strachu, drżała; oparła się o drzwi, chcąc je zamknąć, ale nie było klucza — nigdy nie było potrzeby. Zabarykadowała się — przysunęła do drzwi fotel i komodę, teraz była pewna, że nikt tu nie wejdzie, nikt tu nie wtargnie. Potem musiała znowu usiąść, zachwiała się, nudności wróciły. Nie myślała o tym, wiedziała, że najlepiej nie myśleć. Myślenie oznaczało spotkanie z przeszłością, szukanie zabezpieczenia, kogoś bliskiego, pomocnego, jakiejś ucieczki — wszystkiego, czego oczekiwała od domu. I od rodziny. Dom... Rodzina... Słowa bez znaczenia. Nawet jej własny pokój nie był bezpieczny, pomimo barykady. Mogłaby na zawsze zamieszkać z siostrą — gdy były młodsze, zawsze spały razem, po koszmarach sennych, przed egzaminami — Elspeth potrafiła widzieć daleko i głęboko, i właśnie ta jej zdolność telepatii przerażała ją. Została tani, gdzie była, na dywaniku, skulona jak szczeniak podczas burzy z piorunami.

W jakiś czas potem wróciła do łazienki. Umyła zęby, wzięła prysznic, szorując dokładnie każdy skrawek ciała, jakby w ten sposób mogła zmyć z siebie pamięć jego dotyku. Wreszcie padła na łóżko, ale nie mogła zasnąć; ostatecznie wstała, weszła do wanny i zaczęła od nowa dokładne szorowanie. Elspeth słyszała siostrę, jak wchodzi po schodach — szła szybko, potykała się. Czekwała na Dianę. Odgłos bulgoczącej wody dobiegający z łazienki wyrwał ją ze snu. Zdziwiło ją to, zmyliło, ciekawa była, czemu Diana bierze kąpiel o tej porze. Zwykle kąpała się rano lub wczesnym wieczorem, tuż przed wyjściem. Elspeth zasnęła i obudziła się ponownie słysząc wodę spływającą w rurach. Spojrzała na zegarek, upłynęła już ponad godzina. Jej niepokój wzrósł, myślała, aby wstać z łóżka, lecz bulgotanie ustało i cały dom pogrążył się w ciszy. W końcu przyśniło się jej, że Diana siedzi w wannie wypełnionej zielonkawoszarym mułem, który ścieka jej po rękach — podpira się na nich, wymachuje nimi i patrzy na nią z wyrazem żalostnego oszołomienia.

Kiedy Elspeth obudziła się rano około szóstej z minutami, pierwszą rzeczą, jaką usłyszała, był szum wody wypuszczanej z wanny.

Wstała, ubrała szlafrok i poszła do pokoju siostry. Drzwi były zamknięte. Kiedy zapukała, Diana zapytała:

— Kto tam? Elspeth odparła:

— To ja — i usłyszała szuranie, jakby przesuwano po ziemi coś ciężkiego. Dopiero wtedy drzwi się otworzyły.

— Przepraszam — tłumaczyła się nieprzekonująco Diana. — Przysunęłam fotel w nocy. Wiesz, jak te drzwi skrzypią podczas wiatru. — Była ubrana w połowie, z wypiekami na twarzy, oczy miała podpuchnięte, być może od kąpieli. Nie patrzyła jej prosto w twarz.

Elspeth pomyślała: Nie było wiatru w nocy. Narastało złe przeczucie; poczuła, że siostra unika nie tylko jej wzroku, ale jej myśli. I nagle wydało się jej, że Dianę oblała ciemność, olbrzymi cień pozbawiający ją blasku dnia. Wrażenie było tak silne, że przez moment myślała, iż to chmura przysłania słońce. Lecz Diana stała przy oknie, niebo było błękitne i bezchmurne; żadnego dostrzegalnego cienia. Lecz ta koszmarna wizja nie znikła.

— Powiedziałaś mu o zaręczynach?! — zapytała Elspeth, mając na myśli Ruperta. — Co on na to? Diana wzruszyła ramionami. — No wiesz. Wydawał się trochę... zaskoczony. Myślę, że to był szok dla niego. Musi się do tego przyzwyczaić.

Elspeth nie myślała o tym wcześniej, ale wiedziała, że jej ojciec się do tego nie przyzwyczai. — Tak, oczywiście — rzekła z niezwykłym taktem w głosie — normalnie nie była taktowna wobec swojej siostry, lecz tego dnia z Dianą działo się coś dziwnego, była krucha i osłabiona, choć instynktownie tłumiała to w sobie.

Potem Diana udała się na przejażdżkę. Księżycowy Cień (był przy niej, odkąd skończyła Brayfield) wydawał się dziwnie rozdrażniony, stapał bokiem, płoszył się.

Elspeth widziała ich w tej samej nieokreślonej ciemności, dotknięta nagłym strachem, że coś może się wydarzyć, jakiś wypadek, że mogą nie wrócić lub co gorsze, że kuc może przygalopować do domu samotnie, z oszalałym wzrokiem, wlokąc po ziemi same lejce. Lecz chociaż Diana wróciła do domu cała i szczęśliwie, wcale się nie uspokoiła. Rumieńce na policzkach Diany były zbyt ostre, słowa zbyt szybkie i chaotyczne, wzrok nadal rozbiegany, jakby nie chciała czegoś widzieć.

Elspeth nalegała: — Proszę, powiedz mi, co się stało — chociaż intuicyjnie wiedziała, że nie wolno jej pytać — każde pytanie mogło wyprowadzić Dianę z równowagi. Wszystko, co mogła dla niej zrobić, to pozostać przy niej, jeżeli była jej potrzebna, i cierpliwie czekać. Zdawała

sobie sprawę, że chodzi o Anthony'ego, zaręczyny i ich ojca, ale dokładnie nie wiedziała. Po południu Diana zamknęła się w łazience i wzięła następną kąpiel. Dla Elspeth ów odgłos ściekającej wody miał w sobie coś złowieszczonego.

Chociaż była sobota, Rupert poszedł do pracy — jak to zwykle czynił — i nie zjawił się na obiedzie. Anthony był na jakimś rodzinnym weselu razem ze swoimi rodzicami; prawdopodobnie skorzystał z okazji, by im powiedzieć

O swojej narzeczonej. Diana była samotna. Niemniej jednak Elspeth zaskoczyła prośbą siostry, by przeszły się gdzieś razem. No cóż, Diana nie krytykowała Elspeth, ale nie przejawiała wielkiego entuzjazmu wobec motocykli

1 młodzieńców w skórzanych kurtkach.

— Możemy zostać w domu — zaproponowała Elspeth. — Jest jakaś impreza, ale nie zapowiada się ciekawie.

Ale Diana nie chciała zostać w domu.

Gdy Rupert wrócił do domu koło dziesiątej, bardzo się zaniepokoił, że jego ukochanej córki nie ma jeszcze w domu. Jak zwykle, o Elspeth nawet nie pomyślał. Musiał dłużej zostać w biurze, ślęczał nad szkicami, których nie widział, myśli miał rozbiegane, a duszę rozdartą wyrzutami sumienia. Powinien jakoś się wytłumaczyć, przeprosić, postarać się, żeby zrozumiała. Wmówił sobie, że to była Johanna, wdzierająca się w jego gabinet, nierozważnie przyznająca się do zdrady — Johanna, przy której się rozpłakał, pozostając jej wiernym w samotności — Johanna, którą uderzył, przy której szlochał, którą całował. Diana była obrazem matki. Diana w zielonej sukience, która podkreślała kolor jej oczu, z tymi samymi czer-wonozłotymi włosami i delikatną, różową karnacją — nie, oczy Diany były szare, a cera Johanny z pewnością była koloru magnolii, nie była różowa. Ale wszystko stało się tak nagle, nie ma nawet jej fotografii. Córka odziedziczyła po matce niezapomnianą urodę i wdzięk. On w to wierzył

oślepiiony jej wspaniałą młodością i jego własnym uwielbieniem. Miniona tragedia, przepracowanie, wyczerpanie— te sprawy mąciły mu zmysły, czasowo zawładnął nim chaos. Ona MUSI zrozumieć. Wszystko będzie dobrze. I oczywiście nie otrzyma pozwolenia na poślubienie tego młodego człowieka. Diana jest jeszcze dzieckiem; ma jeszcze czas na małżeństwo. A Anthony Stallibrass jawił mu się jako długowłosy hippis z dziewczęcą twarzą, który nieźle dawał w kość Josiahowi. To wszystko było nonsensem, szczenięcą miłością, mrzonką mogącą zniknąć jak błędny ogień w zimnym świetle dnia, w poczuciu zdrowego rozsądku. On sam nie pamiętał — lub nie chciał pamiętać — że Johanna nie była wiele starsza od Diany, gdy ją poślubił.

Coś rozjaśniło mu się w głowie i zdał sobie sprawę, przestraszony, że wciąż siedzi w biurze i robi się późno; jeden z jego asystentów, oparty na pulpicie, obserwował go. Nikogo więcej nie było. Ten młody człowiek — dwudziestoletni mniej więcej — był obojętny, zbyt ostrożny jak na swój wiek. Michael Kovacs. Utalentowany. Był tam już jako student, przedstawił się nazwiskiem O'Hara. Rupert nie miał pojęcia, dlaczego zmienił nazwisko.

Zapytał: — Która godzina? — żeby tylko coś powiedzieć.

— Ósma trzydzieści, sir.

Rupert przejechał dłonią po włosach, patrzył ponuro, nachmurzony. — Na dziś dość — powiedział — zamknij za mną.

Droga do domu była długa, myślał, co tam zastanie. Był ciekaw i bał się. Kiedy się okazało, że Diana gdzieś wyszła, uznał to za roztropne posunięcie. Czas pracował być może na jego korzyść.

Impreza, jak to przypuszczała Elspeth, nie udała się. Zbyt dużo ludzi w jednym małym pokoiku, duża rotacja, rozlane piwo, hazard. Podobnie jak na wszystkich innych bibkach nastolatków, muzyka zagłuszała rozmowy,

zresztą przypuszczalnie i tak nikt nic nie miał do powiedzenia. Diana upiła się; Elspeth — nie. Świat przewrócił się do góry nogami. Owszem, widziała swoją siostrę w dobrym humorze po kilku kieliszkach szampana, ale nigdy nie widziała, aby jej wesoły chichot zamieniał się w szaleńczy śmiech, to znów przechodził w nagłe milczenie; głowa opadała do tyłu, usta rozchylały się bezwiednie, wzrok miała głupkowaty. Kiedy opuściły towarzystwo, Diana przyszła do siebie. Rozglądała się wokół, była szalenie wystraszona, krzyczała, że nie wróci do domu. Jej strach udzielił się Elspeth, miała wrażenie, że to jakiś koszmar senny — bez widocznego, namacalnego niebezpieczeństwa, jedynie widmo podkreślające strach, zmieniające najzwyklejsze rzeczy w symbolikę zaświatów. Coś na nią czekało, w przyszłości, w ciemności, w oczach jej siostry, coś wielkiego, niewyraźnego słowami, coś, czego w żadnym wypadku nie mogła zrozumieć, zobaczyć, poznać. Zabrała Dianę do kuchni i wmusiła w nią kawę.

— Nie wrócę do domu — wrzeszczała Diana. — Nie chcę wracać do domu. Chcę być z Anthonym.

— Anthony wyjechał — cierpliwie powtarzała Elspeth. — Mówiłaś mi, że oni wszyscy wyjechali na jeden dzień. — Miała wrażenie, że siostra już wytrzeźwiała i tylko udaje pijaną, chcąc ukryć swoją niedolę, swoje rozdrażnienie. Ta myśl nie dawała jej spokoju. Gnębiła ją bardziej niż ten wcześniejszy wybuch hysterii Diany.

— Mam to gdzieś — rzuciła Diana. — Chcę być z Anthonym. On też tego chce. On mnie kocha.

— Nie ma go! Dom jest pusty. Nikogo tam nie ma.

— Wejdę oknem.

— Zamkną cię.

Lecz Diana nalegała, obstając przy swoim z takim uporem, którego źródłem mógł być, albo i nie, alkohol. W końcu podjechały pod Dom Stallibrassa ciężarówką czyjegoś brata. Chłopak zajmował się myciem okien, więc woził ze sobą drabinę, której miała zamiar użyć Diana.

Elspeth podążała za nią targając drabinę. Kierowca ciężarówki, jeden z tych „skórzanych kumpli”, czekał na zewnątrz. Na terenie posiadłości Stallibrassa było ciemno i bardzo spokojnie. Rąbek księżyca o żółtawym blasku prześwitywał zza drzew, rzucając złowrogie tajemne cienie. Elspeth z drabiną nie mogła nadażyć. Wszędzie było pełno trawy. Nagle pojawił się dom, ledwie dostrzegalne kontury dachu kryjącego się w gwiazdach, przestronne okna odbijające ciemność nocy. Nigdzie nie było światła ani żadnej służby. Mr Joe nie dowierzał ani służbie, ani lampom. Po lewej stronie mignął jeszcze kawałek zachodzącego księżyca odbijającego się od powierzchni czegoś, co musiało być basenem.

Elspeth syknęła: — Diaanaa — uspokoila się jednak, słysząc głos siostry. — Tutaj.

Oparły drabinę o ścianę mniej więcej w sąsiedztwie sypialni Anthony'ego. Elspeth zastanawiała się, czym to wszystko się skończy, myślała o powstrzymaniu siostry, lecz dzisiaj do Diany nic nie trafiało. Szybko wspięła się na drabinę — zbyt szybko, swobodnie, ośmielona alkoholem. Elspeth podążała za nią, ręce się jej trzęsły. Na górze wpełzła na dach, który, według Diany, schodził na wewnętrzny dziedziniec. Ostrożnie posuwała się wzdłuż niego, przylepiona do krawędzi ściany; przed sobą widziała zgrabnie poruszającą się sylwetkę siostry. W blasku księżyca odległości i niebezpieczeństwa stawały się mało realne.

Zawołała cicho, lecz bardzo wyraźnie: — Diana... Diana!... — lecz postać oddalała się szybko, zbyt szybko, jak dla niej. Tak jak we śnie, próbowała przewyciężyć swą niemoc, a zjawa była wciąż poza zasięgiem jej ręki, nie mogła jej dogonić. Widziała ją, jak się posuwa chwiejnym krokiem — doskonale utrzymuje równowagę, balansuje całym ciałem, ramionami. W sekundzie prysnął czar nocy. Wszystko stało się nagle bardzo wyraźne. Niebezpieczeństwo osiągnęło szczyt. Pełzła wzdłuż dachu, nieostrożna,

jedną rękę przesuając po krawędzi ściany, drugą próbując złapać siostrę.

— Diana!

Palcami ścisnęła nadgarstek, lecz nie utrzymały ciężaru, świat zawirował wokół. Nie była w stanie krzyczeć. Zaparło jej dech w piersi. Słyszała, jak stopa Diany szuka oparcia; jeden but zsunął się z nogi, sturlał z dachu. Gdzieś w dole uderzył o beton. Próbowwała zawołać: — Trzymaj się! — ale nie mogła wydusić z siebie słowa, była sparaliżowana strachem. Jeden moment nieuwagi — chwila — i zajrzała do wnętrza Diany poznając jej myśli. Zrozumiała, co było przyczyną szoku, strachu, szaleństwa. A potem — to nie wyjaśnione wahanie. Odczuła jakby ulgę. Rezygnację ...

— Nie! — szaleńczy krzyk Elspeth, krzyk serca, — Nie! Nie!

Uścisk Diany rozluźnił się; jej ręce wyslizgnęły się z uścisku siostry. Oczy miała pełne blasku księżyca. Potem osunęła się w dół, w ciemną przestrzeń.

Elspeth usłyszała przytłumiony odgłos, gdy jej ciało runęło na ziemię.

Potem zapanowała głucha cisza.

IV

Straszne były miesiące po śmierci Diany — Elspeth pamięta je doskonale. Wypadki tamtej nocy — rosnący strach, cień siostry, uczucie czegoś potwornie złego — stały się częścią jednego wielkiego koszmaru. Elspeth była wciąż półprzytomna, oszołomiona, pogrążona w żalu; starała się położyć kres rozmyślaniom — jednak mimo to, nawet długo potem, gdy słyszała odgłos wody spuszczonej z wanny, serce biło jej mocniej.

Dnie stały się beznadziejne i szare, tak jak przedtem czuła się samotna, ale dopiero teraz zrozumiała, że u boku siostry życie było jasne i barwne — a teraz — ponure i puste, na zawsze. Diana była jej przyjacielem, podporą duchową, jedyną osobą, która rozumiała ją bez słów, instynktownie, kochała ślepą miłością. Któż znowu pokocha ją i zrozumie, tę nie chcianą Elspeth, brzydką ciałem, brzydką duszą, samotną na zawsze?

Formalnościom stało się zadość: dochodzenie przyczyny zgonu (orzeczenie: wypadek losowy), pogrzeb, kwiaty, kondolencje. Koroner zwolnił Elspeth od jakiejkolwiek odpowiedzialności, lecz ojciec — nie, absolutnie nie. Ledwie patrzył na nią, bezmyślnie, zachowując kamienną twarz, jakby umarła wraz z Dianą, a przetrwał tylko jej duch, nawiedzający Churston Grange, cichutko, niemal niezauważalnie. Odszedł już ostatni służący, prawdopodobnie z powodu tej tragicznej atmosfery, a nikt nie kwapił się zatrudnić nowej służby. Cała trójka żyła w osobnych celach — Rupert głównie w gabinecie, zamknięty ze swym

żalem i innymi szaleńczymi emocjami, ciotka Grizzle w pokoju gościnnym, gadająca sama do siebie, popadająca w coraz większą hipochondrię; Elspeth w swojej sypialni, zapomniana. Nie spotykali się nawet na obiedzie: teraz już nie jadali normalnych obiadów. W stajni Księżycowy Cień stawał się coraz grubszy, otłuszczony — ze względu na brak ruchu, ale Rupert nie pozwolił go sprzedać. Pewnego dnia zdechł, czego powodem było przypuszczalnie przekarmienie, lecz miejscowe plotki głosiły coś o złamanym sercu. Czasami Elspeth przypominała sobie kobietę przeklinającą ich rodzinę. Myślała: Ona zabiła Dianę. Gdybym teraz spotkała tę kobietę, zabiłabym ją. Zabiłabym ją własnymi rękami. Kiedy indziej znowu — ale nieczęsto — myślała o Anthonym. Był na pogrzebie, zrozpaczony i zaszokowany jednocześnie, ubrany na ciemno — zgodnie z obowiązującym obyczajem. Uściskał Elspeth, próbując powiedzieć jej coś miłego, ale nie był w stanie jej pocieszyć. Anthony i jej nie spełnione nadzieje — wszystko to należało do przeszłości, teraz nie miał już dla niej żadnego znaczenia. Cokolwiek by się stało, nie mógłby jej pokochać, nie mógłby zrozumieć jej straty. Nie bywała na grobie, jedynie myślała o nim, o Dianie spoczywającej wśród lilii, wciąż świeżych — Rupert dbał o to, by były kupowane raz w tygodniu. Niejeden raz w marzeniach czy koszmarze sennym czuła rękę na swoim nadgarstku, kurczowo zaciskające się palce, które powoli rozluźniają swój uścisk. A przecież wiedziała, że nic nie może dla Diany zrobić, że niepotrzebnie się dręczy. Najgorętsze jak sięgnąć pamięcią lato pomału dobiegało końca, zostawiając po sobie wysuszone trawy, ziemię spragnioną deszczu. Elspeth przesiadywała w swoim pokoju, nie opychała się już czekoladą. Ledwo coś skubnęła od śmierci Diany. Na pogrzebie zauważyła, że ubranie wisi na niej. Pierwszy raz w życiu doznała tego wrażenia. Jadała mało, spódnica w pasie okazała się zbyt szeroka; zaczęła wyczuwać kości w miejscach, w których nigdy by się nie

spodziewała ich istnienia. Wmówiła sobie, że opada z sił, usycha i pewnego dnia wreszcie jej ojciec to zauważy, przytuli ją, pokocha nową odnalezioną miłością. Ale w rzeczywistości czynność niejedzenia była celem samym w sobie, czymś, co ogniskowało jej rozszczerzone myśli, stopniowo wymykało się spod kontroli. Po skończeniu szkoły miała zrobić sobie rok przerwy, zanim pójdzie do college'u, ale nie czyniła żadnych starań, by znaleźć sobie jakąś pracę czy zapisać się na od dawna planowany kurs dla sekretarek. W zamian za to mnóstwo czasu spędzała na wadze łazienkowej, obserwując strzałkę wskazującą coraz mniejsze liczby. Piła tylko czarną kawę — zapach czekolady przyprawiał ją o mdłości. Pewnego popołudnia, prawie umierając z głodu, kupiła paczkę orzeszków ziemnych — przedtem ich nie cierpiała. Połykała je pomału, delektując się ich smakiem. Przeliczyła sobie szybko, że jeżeli zje tylko dwie paczuszki orzeszków dziennie, będzie nadal spadała z wagi. Odtąd zaczęła żywić się tylko orzeszkami, jej świat zamknął się w rytualnym porządku. Kupiła mniejsze dzinsy, ale wkrótce i one były za duże. Miesiączka zanikła, piersi stały się obwisłe, a nogi pisz-czelowate. Pewnego wieczoru spojrzęła w lustro i zobaczyła w nim nieledwie sam szkielet. Twarz Greta Garbo, ze wspaniałym rysunkiem kości policzkowych, o którym tak marzyła, stała się twarzą kościotrupa. Była głodna, ale nie mogła jeść: widok i zapach jedzenia był dla niej koszmarem. Jej pożywienie nadal stanowiła kawa i orzeszki: zwiększyła ich porcję, do trzech paczek dziennie, próbując tym samym odrobinę przytyć i uwolnić się od winy.

— Schudłaś — zauważyła ciotka Grizzle mijając ją na schodach. — Wyglądasz okropnie! Przez kilka następnych wieczorów ciotka Grizzle faktycznie gotowała, co prawda niezbyt smacznie, i wołała Elspeth do stołu koło ósmej (Rupert i tak by nie przyszedł). Lecz Elspeth spoglądała najpierw na posiłek, potem na ciotkę i wracała do swoich orzeszków.

Dwa tygodnie później zemdląca na schodach. Ciotka Grizzle wezwała lekarza. Zanim przyjechał, Elspeth odzyskała już przytomność i siedziała na schodach z chusteczką przy skroni, próbując zatamować krew płynącą po przezroczystym policzku. Nastąpiło badanie, lekarz był niezwykle poważny i nieugięty w swoim postanowieniu. Ciotka Grizzle ratowała się płaczem i zaciskaniem pięści. Potem była dyskusja z Rupertem i dużo gadania na temat psychologii młodych ludzi. Uzyskano pozwolenie, spakowano bagaże i wynajętym samochodem odwieziono Elspeth do kliniki — odpowiednio drogiej i prestiżowej. Mimo wszystko trzeba było coś zrobić, coś, co wypełniłoby jej puste życie. Ciotka Grizzle pomachała jej na pożegnanie, uważając to za swój obowiązek. W biurze Rupert wypisał stosowny czek. Bez żadnego komentarza, bez żadnego sprzeciwu. Byłby w stanie zapłacić podwójnie, a nawet potrójnie, i to z wielką przyjemnością, gdyby wiedział, że już nigdy więcej jej nie zobaczy. Nie życzył jej ani źle, ani dobrze, jedynie chciał, aby była daleko od domu, od jego życia. Wmówił sobie, że to ona spowodowała śmierć Diany, bał się nawet spojrzeć na nią, aby nie zobaczyć w jej twarzy cienia siostrzanego zaufania, resztek uśmiechu Diany.

Trzeba było kilku miesięcy, zanim Elspeth zrozumiała, że jeśli nadal nie będzie jadła, może umrzeć. Osiągnęła teraz takie stadium chorobowe, w którym jedzenie stało się narkotykiem, musiała mieć je przy sobie, obojętnie, czy była głodna, czy też nie; wymykała się w nocy do kuchni i pożerała wszystko, co spotkała na drodze — suchy chleb, melasę, a nawet surowe mięso. Kuchnia była zamykana na klucz, lecz Elspeth szybko nauczyła się, jak sforsować zamek, lub po prostu wdrapywała się przez okno. Po takim bezmyślnym obżarstwie jej wygłodniały brzuch pęczniał, był jak wielka bańka; a ona, widząc to, szybko wkładała sobie dwa palce do gardła, zmuszała się do wymiotów w obawie przed wyimaginowaną nadmierną

otyłością. Potem, wyczerpana, padała na łóżko, zasypiała i budziła się z tym samym głodem, tym samym strachem, tą samą skłonnością do samoudręczenia.

Kiedyś nad ranem miała sen, który wyrwał ją z dotychczasowego odurzenia. Śniło jej się, że żyje w klasztorze, jak zakonnica, zamknięta w celi, której ściany pokryte są patyną; wewnątrz stoi twarde wąskie łóżko, przez ciemne gotyckie okno wciska się promyk słońca. Siedziała na podłodze, z nogami skrzyżowanymi, medytując lub modląc się; czuła się spokojna bezpieczna i odizolowana od zewnętrznego świata. I nagle usłyszała zbliżające się JEDZENIE. Dobijało się do drzwi, chcąc wtargnąć do środka. Oparła się plecami o drzwi, ale całe trzęsły się od uderzających w nie puszek, łomotu obłakanych warzyw i latających kawałków mięsa. Orzeszki bębniły jak ogień z karabinu maszynowego. I nagle — nie wiadomo jak, jedna brzoskwinia znalazła się w środku. Przyturlała się po podłodze, zatrzymując się pod oknem, oblana słonecznym światłem. Była niewinna i piękna, miała złotoróżową aksamitną skórę. Gdy Elspeth była jeszcze nie tak nieszczęśliwa, dawno temu, uwielbiała brzoskwinie. Nagle, pchana jakąś siłą, zrobiła krok naprzód i pochyliła się z ręką wyciągniętą przed siebie ... Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i jedzenie, nie kontrolowane, wpadło do pokoju, zasypując ją, grzebiąc...

Obudziła się nagle, cała się trzęsła. Wstała natychmiast, podeszła do okna i otworzyła je szeroko. Uderzyło ją ostre powietrze, nocne powietrze; było chłodne, przenikało do szpiku kości; w końcu nie miało dalekiej drogi — była taka chuda... W świetle nowiu księżycy przypominała wrzecionowatą figurkę, niczym postać wyjętą z kreskówek dziecięcych, kilka ruchów ołówkiem — duże oczy, nieproporcjonalnie duże, jak lcościotrup. Zimowe gwiazdy migały jak iskierki mrozu na czarnym niebie. „Gwiazdy są symbolem naszych marzeń”, mawiała babka, Elsa była jeszcze wtedy zbyt mała, by to zrozumieć. I słowa te

dotarły do niej nie wiadomo skąd. „Gwiazdy są marzeniami, które się spełniają”. I wtedy zrozumiała, że jeśli nie pomoże sobie sama, z pewnością umrze. Nie chciała umierać.

Leczenie było długie i żmudne, z wieloma nawrotami choroby.

— Ona potrzebuje motywacji — twierdzili psychiatrzy. — Musi mieć dla kogo żyć — mawiała ulubiona pielęgniarka.

Pytana, co chciałyby robić, Elspeth nie odpowiadała albo odpowiadała, że nie wie. Nie była zachwycona filologią angielską (wybór jej nauczycieli), ale nie myślała, by znaleźć co innego.

Psychoterapia, długie sesje mające na celu zgłębienie jej podświadomości definitywnie określiły, że ma kompleksy z powodu ojca i odczuwa brak siostry. Według psychiatrów te dwa czynniki były głównymi przyczynami anoreksji — a nie jej poprzednia nadwaga. Próbowali namówić Ruperta, żeby ją odwiedził, lecz odmówił, wypisując czek pozwalający kontynuować leczenie. Podczas jednej z sesji lekarze wywnioskowali, że Elspeth interesuje się sztuką, też architekturą. Biorąc pod uwagę uwarunkowania genetyczne, odrzucili teorię, że mogło być to dodatkową próbą zwrócenia na siebie uwagi i zdobycia miłości ojca. Stwierdzili, że istnieje jedyne rozwiązanie. Elspeth musi studiować architekturę, musi być architektem. Nie przyszło im do głowy, że wyczerpujące studia, trwające siedem lat, mogą okazać się dla niej za ciężkie, biorąc pod uwagę jej fizyczną i psychiczną kondycję. Ona potrzebowała motywacji. Oni dali jej tę motywację. Powinna zostać architektem.

Elspeth, z wiadomych powodów, pozwoliła sobie na komfort, uznając ich racje. Wolniutko, gram po gramie, milimetr po milimetrze, zaczęła przybierać na wadze. Ciągłe jednak miała napady szału i paniki, że może być gruba. Walila wtedy w ścianę i wrzeszczała, oskarżając

wszystkich, że są w zмовie, obwiniając ich za swoją brzydotę. Jej ulubiona pielęgniarka, kobieta miła i pomysłowa zarazem, zgromadziła wiele fotosów piękności w bikini — Monroe, Bardott, Raguel Welch — i porozlepiała je na ścianach po całym pokoju; chociaż Elspeth w napadach szału zdierała je, to jednak one pomogły jej odzyskać świadomość proporcji kobiecych kształtów. Zjadała odpowiednio dobierane posiłki, nie zmuszała się do wymiotów, gimnastykowała się, nawet zaczęła się uczyć. Myśl o siedmioletnich studiach przejmowała ją niepokojem, a przecież Elspeth nie była tchórzem. Lecz to była jedyna szansa, by uwierzyć w siebie, pokazać swą wartość. Nie mogła przepuścić takiej okazji.

Miała dwadzieścia lat, gdy w końcu zaczęła studia na uniwersytecie w Durham — psychiatrzy wybrali właśnie Durham, gdyż było daleko od domu. Być może nazwisko Van Leer pomogło jej w otrzymaniu indeksu, wiadomo, że Rupert by tego nie zrobił, nigdy nie uznawał łapówek. Pozwolono jej pozostać w Churston tylko miesiąc, zanim wyjechała na północ; lekarze uznali za "nieodpowiednie" dla jej zdrowia przebywanie w otoczeniu, które kojarzyło się jej z całym tym załamaniem. Wyjechała więc z kliniki do college'u, z jednego zamknięcia — w drugie, robiąc niewielki przystanek w realnym świecie. Ciotka Grizzle potraktowała ją z chorobliwą dokuczliwością: — Tak jakby twój ojciec nie miał innych zmartwień. — Rupert spojrzał na nią — bo musiał — z obojętnością maskującą wszelkie uczucia. Raz, zmuszony do wypowiedzenia się na jej temat, rzekł: — Ona nigdy nie skończy studiów. Nie ma rozumu ani sił życiowych.

— Pokażę mu — przyrzekła sobie Elspeth. — Pokażę mu, do czego jestem zdolna. Osiągnę coś. Będę go warta. Zdobędę jego miłość... Czuła, że to jej ofiara w Aulis, lecz rzeczą o wiele istotniejszą była chęć oczyszczenia się w oczach ojca. Nie przyszło jej do głowy, że on tego nie chce. Wiedziała jedynie to, że jeśli zawiedzie,

wszystko, co dotychczas miało jakieś znaczenie, zostanie stracone. Oblała.

Dwa lata — dwa lata usilnych starań, zanim zrozumiała intencje swych opiekunów. Nie była w stanie temu podołać. Owszem, mogła mieć artystyczną duszę, ale techniczna strona architektury była dla niej nie do pokonania. Rzuciła się w wir pracy umysłowej, aplikując sobie zbyt dużą dawkę wiedzy, uczyła się długo, ciężko pracując nad sobą, przeciążając i tak już kruchą kondycję, także fizyczną, co w rezultacie uczyniło ją bardzo podatną na choroby. Jednej tylko zimy była dwukrotnie chora, i to poważnie, trzy razy nawiedzała ją grypa, po której w lecie wywiązało się zapalenie płuc. Nigdy dostatecznie nie ogrzewała swojego pokoju, wciąż jadła zbyt mało, zapominała o Zaleceniach lekarskich lub po prostu ignorowała je, jakby chciała tym podkreślić klasztorną atmosferę, odpowiadającą średniowiecznym niewygodom. Jeden z pracujących w college'u lekarzy, który przestudiował jej przypadek z najdrobniejszymi Szczegółami, zaskoczył swoich kolegów stwierdzeniem, że ona jest silna jak koń, skoro przetrwała to, co niepotrzebnie sprowadziła na siebie. Jej osobista udręka, męczeństwo stały się obsesją; wierzyła, że jedynie przez samounicestwienie może odpokutować winę za to, że była złą córką, za śmierć siostry, za wszystko, co źle zrobiła i czego nie udało jej się zrobić dobrze. Jej wymarzony cel, jakim była miłość Ruperta, oddalał się teraz coraz bardziej, zagubiła się we własnym pogmatwanym świecie. Była wyczerpana, nie dbała o swe swe zdrowiem, sama nie wiedząc dlaczego. Gdyby miała przyjaciół, być może mogliby jej pomóc, ale niestety, nie miała. W swojej wizji przemieniła się z grubego potwora w chudego potwora; przybrała pozę nie rokującą nadziei, że kiedyś osiągnie pewność siebie. Jedyne uczestnictwo w życiu college'u nie zmieniła niczego. Był pewien student na jej roku,

który troszeczkę przypominał Anthony'ego, oczywiście bez wątpienia mniej przystojny, jaśniejsza karnacja, pełniejsza twarz, mniej ostre rysy. Nazywał się Keith Eager. Mimo to podobał się Elspeth. Studia zbliżyły ich: dowiedziała się, że ma dziewczynę, z którą widuje się rzadko. Być może doszedł do wniosku, że znudziła go już; być może Elspeth za wiele czytała w jego myślach. Kiedy poprosił ją o spotkanie, wpadła w panikę: podniecenie, poczucie winy (przecież nie może opuszczać zajęć), wzdrganie się przed niebezpieczeństwami płynącymi z fizycznej atrakcyjności — ale lubiła go. I w końcu zgodziła się.

Obejrzeni film w Arts Cinenia — Elspeth udawała, że jest zachwycona, wspólnie zapłacili za jakąś indyjską kolację, którą Elspeth ledwo, ledwo skosztowała. Potem, gdy ją pocałował, poczuła smak przypraw. Jego usta pełzały wokół jej ust, pokrywając jej twarz śliną. W pokoju skoncentrowała się na jego podobieństwie z Anthonym, starała się usilnie upewnić siebie samą, że naprawdę chce się z nim kochać. Keith uważał to za normalne, wsuwając ręce pod jej bluzkę, ssąc brodawki jej piersi ze wzmoczoną siłą, żarliwie pieszcząc ją przez spodnie. Wiedziała, że powinna być pobudzona, ale niestety, nie była: to, co odczuwała przez sztywny drelich, było raczej bolesne niż podniecające, wyobrażała sobie, jak posmak curry zalewa jej piersi, rozprzestrzeniając się na całe ciało, które staje się coraz bardziej żółte, jak w żółtaczce. Kiedy zaczął ściągać jej bluzkę, a następnie dzinsy, była szczęśliwa, że jest ciemno — w ciemności nie widać było jej sflaczałego brzucha i sterczących kości. Cała ta sytuacja stała się dla niej koszmarem; wszedł w nią ostro, osiągając długo hamowany orgazm, sprawiając jej ulgę. W zasadzie nie miałyby to znaczenia, gdyby chociaż powiedział, że ją lubi, okazał jakiś przejaw prawdziwego uczucia. Gdy spotkali się na seminarium, oczekiwała wyjaśnień. Był trochę spłoszony i zakłopotany, gdy schodzili ze schodów.

— Posłuchaj — rzekł w końcu — tej nocy to była po

prostu zabawa, lecz... no wiesz, Lois i ja jesteśmy ze sobą od trzech lat. Zamierzamy się pobrać. To była tylko zabawa, przykro mi.

Odszedł, zostawiając ją samą. Nie, to nie była zabawa, chciała powiedzieć. Zrobiłam to tylko dlatego, gdyż myślałam, że mnie lubisz. Żadna cholerna zabawa. Nie, nie płakała, czuła się bezsilna. Spotkała ją kara za zaniedbywanie studiów. Postanowiła skończyć z facetami i poświęcić się pracy.

Wszystko na nic. Na końcu drugiego roku powiedziano jej, że musi odejść. Oblała egzaminy.

Elsbeth przybyła do Londynu późnym popołudniem i udała się prosto do mieszkania ojca w Knightsbridge. Kupił jej jakiś czas temu, lecz nigdy nie dał jej kluczy i musiała zostawić swoje bagaże w przechowalni. Jeszcze w pociągu poniosły ją wodze fantazji, pragnęła cudu — cała gorycz jej życia zmieniła się, uległa transformacji, widziała, jak on bierze ją w ramiona i mówi, że nic się nie stało, że jest jego córką i kocha ją taką, jaka jest, cokolwiek by zrobiła. Wiedziała, że jest to niemożliwe, ale gdy była z dala od domu, mogła marzyć, mimo daremności minionych lat. Dopiero teraz, gdy rzeczywistość wzięła nad nią górę, mogły zawalić się jej marzenia. Wysiadła pod jego biurem, niczym zombi, tłumiała uczucia, wyobraźnię, próbowała opanować ból w sercu, zebrała wszystkie siły. I to był koniec, koniec nadziei, koniec wszystkich pragnień. Pozostała tylko rozpacz. Weszła do biura przez olbrzymie drzwi na fotokomórkę, sprowadziła windę. Wsiadła do niej, samotna, blada, cała trzęsła się pchana odwagą straceńca idącego na szubienicę.

Nie było go. Zdobyła się, aby zapytać, gdzie jest, ale w zasadzie nie miała zamiaru go szukać.

Recepcjonista dał jej adres jednego z banków.

Kiedy opuściła biuro, była już piąta trzydzieści i zaczynano otwierać puby. Wybrała jeden na chybił trafił

i zamówiła dużą whisky. Od dawna nie miała w ustach alkoholu; anoreksja wymagała abstynencji. Piła wolniutko, małutkimi łyżkami, kończąc jednym wielkim haustem, który niemal przepalił jej gardło. Zamówiła następną. W lustrze nad barem ujrzała odbicie twarzy, swojej twarzy: zmizerowanej, wychudłej twarzy z podkrążonymi oczami, z wielkim nosem, który doprowadzał ją do szału, odkąd tak bardzo schudła. Długie, krwistoczerwone włosy, źle obcięte, zaniedbane, kłębiły się jej na ramionach. Jestem brzydka, pomyślała. Nawet gdybym dbała o siebie, i tak byłabym brzydka. Czegokolwiek próbuję, zawsze przegrywam. Przełknęła drugą whisky i czekała na dobry humor; bezskutecznie.

W chwili, gdy wychodziła, bar był prawie pusty. Dwóch mężczyzn chciało nawiązać z nią rozmowę, ale jej lodowate spojrzenie zbiło ich z tropu. Odeszli bez słowa. Gdy wstała ze stołka, była mile zaskoczona, że potrafi ustać na własnych nogach. Zdawała sobie sprawę, że powinna być na bańce, ale nie czuła się pijana; wręcz przeciwnie, jej umysł był jasny, od dawna nie pamiętała go w takiej kondycji. Definitywnie zdecydowała się przy trzecim drinku i teraz, mając w głowie określony cel, nareszcie poczuła się wyzwolona od wewnętrznej walki, od błędów, od bólu nawet. Przeszła dwie ulice w poszukiwaniu taksówki. Gdy ją wreszcie znalazła, podała adres koncernu ojca.

Gdy przybyła na miejsce, już się ściemniało.

— Tutaj?! — zapytał taksówkarz z niedowierzaniem.

— Tak, tutaj — odparła Elspeth.

Zapłaciła mu i skierowała się do bramy. Wejście powinno było być zamknięte. Tu i tam porozrzucane klocki ostrzegawcze oświetlały na wpół zasypane wykopy i rowy oraz wskazywały prowizoryczne chodniki; ponad tym wznosił się dziesięcio- lub dwunastopiętrowy budynek — masywne ściany oplatało rusztowanie. Szła ostrożnie, bacząc na zapadający zmierzch, okrążając budynek,

aż znalazła wejście. Wewnątrz były tylko gołe ściany, podłogi niosące pogłos jej kroków, puste, zygzakowate schody prowadzące donikąd. Olbrzymi nie wykończony budynek, wymarłe pokoje, nieprzytulne, bez zamysłu. Wyobraziła sobie, jak pewnego dnia po pobliskiej rzece przepłynie łódź spacerowa wypełniona pasażerami, turystami po same brzegi, a przewodnik wskaże na budynek i powie: „Oto budynek zaprojektowany przez Sir Ruperta Van.Leera”. I jeśli będzie odpowiednio wyuczony, doda: „Jest to typowy przykład czystego funkcjonalizmu, który...” Nie mogłabym tego zrobić, przyznała Elspeth prawie z rezygnacją, nigdy. Jej wizje pozostawały na papierze: nie miały siły przebicia, by wyrosnąć na gruncie rzeczywistej cegły i betonu. Weszła na schody, po omacku pokonując drogę w półmroku. Czasami dobiegało jakieś światło z zewnątrz, nie pochodziło ani od tarczy księżyca, ani z ziemi; był to pomarańczowy blask, matowy niczym farba na ścianach: wieczorna luna unosząca się nad miastem. Na szczycie znalazła otwór i wyszła na rusztowanie. Nisko, bardzo nisko, ziemia była prawie niewidoczna w ciemności. W dole po ulicy pełzła para samochodowych reflektorów; w oddali migotały tysiące świateł miasta, niczym perełki na nocnym kobiercu. Wszystko było jak sen, nierzeczywiste. Przypomniała sobie jeden wiersz, chyba miał tytuł „Samobójstwo”.

Powtórzyła głośno jedną strofę, zabrzmiało to jak zaklęcie:

„Pragnę przeżyć moje życie w jednej chwili, Chcę szybować na wietrze jak łabędzica. Wtedy miriady gwiazd w oddali Zamigocą; ja odejdę na zawsze”.

Wyobrażała sobie opadanie, zapadanie w niepamięć i błysk milionów świateł zwiastujący koniec.

Nagły błysk. Nie poruszyła się. I nagle, w porywie paniki, który wy-

bił jej te wszystkie głupoty z głowy, zauważyła że nie jest sama.

Poczuła czyjś oddech na plecach.

Przez kilka sekund zdjął ją taki strach, że nie mogła oderwać stóp od podłogi, a kolana same się uginały. Potem usłyszała głos — głos tak delikatny i bliski zarazem, szalenie znajomy. Strach ulotnił się szybko, zostawiając po sobie dreszcz zgrozy.

— To nie jest tak, jak myślisz — powiedział głos — śmierć nie przychodzi na każde zawołanie.

Mogłabyś tu leżeć, z roztrzaskanym kręgosłupem, w agonii. Koniec zabawy.

— Nie — wyszeptała. Jej romantyczna wizja samobójstwa rozmyła się w zderzeniu z rzeczywistością, wyparowała jak kropla rosy w ciepłe słońca.

— Nie ma krótszej drogi, nawet do wieczności — mówił dalej. — Jest tak, jak być powinno. Życie jest zbyt cenne, by przetrwać je bez bólu.

Czcza gadanina, zarówno sposób, jak i ton budził coś w jej pamięci, coś, czego bardzo pragnęła i jednocześnie nie chciała. Była świadoma, że chociaż on — głos — nie dotyka jej, stoi bardzo blisko. Wystarczająco blisko, aby powstrzymać ją od próby ucieczki. W tej całej kotłowaniu myśli nie przyszło jej do głowy, że chyba stało się dobrze; zapomniała już, jak blisko była upadku w ogromną przepaść; zapomniała o swoich szaleńczych fantazjach. Obawiała się jedynie czyjejś obecności za plecami, ducha, którego oddech był gorący, a głos powodował drżenie jej ciała — ale nie był to strach. Była pewna — zwrot w tył i staje z nim twarzą w twarz, oko w oko, blisko pocałunku. Myśl ta prawie wstrzymała bicie jej serca.

On czekał.

Odwróciła się. Jego twarz, tak jak przypuszczała, była tuż, tuż. Twarz, półwidoczna w mroku, blada — tak, z pewnością blada — więcej nic nie mogła dostrzec. Coś jednak było w niej znajome.

Lodowate spojrzenie, przenik-

liwe jak listopadowy wiatr; matowe usta, zaciśnięte, jakby strzegły wielkiej tajemnicy. Poczwała dreszcz gdzieś wewnątrz, jakby pod wpływem pieśczoły, delikatny dotyk, niczym muśnięcie piórka, tak bliski jak skóra. Jej umysł zapomniał, lecz jej ciało pamiętało — ciało trzynastoletniej dziewczynki, zarówno opierające się, jak i rozbudzone, bojące się i podniecone.

Powiedziała: — Michael O'Hara.

Nie zaprzeczył.

— Wciąż pracujesz u ojca? — Przytaknął. — Śledziłeś mnie. Zobaczyłeś mnie w biurze, potem śledziłeś mnie... Na pewno. — Mówiła z niedowierzaniem. Nie była zła.

— Nie. Słyszałem, jak Sheila daje ci ten adres. Wiedziałem, że tu przyjedziesz.

Telepatia, zrządzenie losu, szczęśliwy traf. Ale Elspeth, pełna urazy, zamroczone alkoholem, wzięła to za zły znak. Zapytała z gniewem: — Co jeszcze wiesz?

— No cóż... Wiem, że wylali cię z college'u, jeśli to masz na myśli.

— Skąd, skąd o tym wiesz?

— Ktoś poinformował twego ojca. Jeden z wykładowców być może lub jakiś jego znajomy — tak mi się wydaje. Słyszałem, jak mówił o tym przez telefon w swoim gabinecie.

— A ty pomyślałeś — przełknęła ślinę — ty pomyślałeś, że przyjdę tu i się zabiję.

— Pomyślałem, że możesz tu przyjechać — sprostował. Czekał długo w pustym budynku, już wąpił: ale nie powiedział jej tego.

— Z pewnością nie zrobiłabym tego — rzekła Elspeth — tylko myślałam o tym. To pobudziło mnie do działania.

— Rozumiem. — Może rozumiał. Nagle chwycił ją za ramię. — Chodź, idziemy. Jeśli nie zamierzasz popełnić samobójstwa, możemy odejść. Chodź ze mną.

Elspeth nie protestowała. Było już zupełnie ciemno. On

prowadził ją w dół schodów, dobrze znał drogę. Szła za nim potulnie jak dziecko zaczarowane przez wróżkę. Wciąż trzymał ją za rękę. Jego nagła obecność, znajomość faktów, jego głos — magia mowy, opary whisky kłębiące się w głowie — wszystko to razem wzięte rzuciło na nią urok. Myślała, że odkryła jakiś spisek, bądź uważała to za zrządzenie Opatrzności, dotknięcie czarodziejskiej różdżki; cokolwiek to było, po bezsensownej szamotaninie trwającej ostatnie dwa lata przyniosło jej nieopisaną ulgę. Nareszcie poddawała się czyjejś kontroli, choćby na małą chwilkę.

Wsadził ją do samochodu i zawiózł do restauracji. Była tu raz, na przyczepkę, z Dianą i Anthonym; sama rzadko bywała z mężczyzną w restauracji. Gdy spojrzała na menu, ogarnęła ją panika, którą doskonale znała; rzekła: — Nie jadam dużo — lecz Michael nie zwrócił na to uwagi i zamówił za nią. Kiedy podano, jadła jakby zahipnotyzowana jego nie kwestionowanym autorytem. Poczwała smak dobrej kuchni, aromat wina łatwo przenikającego do krwi i stopniowo ogarniało ją ciepło, czuła się lekka — szalenie zrelaksowana. Zauważyła, że dużo mówi — jak nigdy dotąd — o swoim dzieciństwie, swojej siostrze, swoim ojcu, swoich nie spełnionych nadziejach, nie zrealizowanych planach, marzeniach.

Z Dianą nie musiała rozmawiać — bliźniaczki rozumiały się bez słów. W klinice psychiatry zanudzali ją rutynowymi formułkami i książkowymi pytaniami. Nikt nigdy tak jej nie słuchał, jak Michael O'Hara, nikt nie skłonił jej do rozmowy tak delikatnie, nie okazał takiego zainteresowania. Wciąż zadawała sobie pytanie, po co on to robi: wszystko było częścią jakiegoś wzorca, magiczną sztuczką jego czaru. Gdy mówiła, słyszała, jak ubiera w słowa swoje wrażenia, których dotąd nie czuła, lub nie wiedziała, że może odczuć. Skomplikowane arkana miłości i nienawiści, zazdrości, urazy, straconej pasji — wszystkie ukryte pragnienia wygłodzonego serca i nie kochanego

ciała. Gdzieś w głębi-coś jej mówiło, że robi fatalny błąd; zdradzała przed obcym człowiekiem samą siebie, swoje największe tajemnice — nic nie wiedząc o nim; ale nie mogła się opanować. Nastrojowość świec, zbyt mocne wino, przyjemność zrzucenia ciężaru — zbyt wielka i jakże nieznana. Elspeth mówiła, Michael słuchał; воск skapywał po świeczniku, zegar wybił północ. Godzina czarów. Elspeth była prawie pewna, że jej towarzysz zamieni się teraz w ropuchę i w podskokach przemierzy parkiet, zostawiając ją z rachunkiem. Lecz transformacja, jeśli można tak to nazwać, nie nastąpiła nagle, z wybiciem północy, lecz stopniowo podczas kolacji; pryskał czar jej wizji. On nie jest aż tak brzydki, pomyślała widząc jego kredową bladość, nabierającą barwy w blasku świecy; zimne oczy także się ogrzały (tak sobie wyobrażała) ciepłem wewnętrznych uczuć. Jego rysy nie były aż tak nieregularne, nos — raczej proporcjonalny; podbródek, może nie tak mocno zarysowany jak u Kirka Douglasa czy Paula Newmana — nie był ani niewyraźny, ani cofnięty, po prostu normalny. Usta jego — wąskie i matowe — a nie pełne i zmysłowe usta Keitha Eagera, zdolne do wilgotnych namiętnych pocałunków, topiących połowę jej twarzy w ślinie. Rzadko się uśmiechał, lecz czasami, gdy jego oczy były poważne, usta rozchylały się w czarowym uśmiechu — słabym jak cień, sugerującym rozbawienie lub tajemniczą łagodność. Kiedyś nazwałaby ten uśmiech uśmiechem szatana; teraz była zafascynowana nawet nieznacznym ruchem jego warg. Już nie odczuwała ciepła, lecz wszechogarniające gorąco — potężne jego fale rozchodziły się gdzieś z okolicy żołądka; na jej policzkach pojawiły się dziwne wypieki. Natychmiast chciała poderwać się i pobiec do domu, ale nie miała klucza, a było już zbyt późno, by mogła zadzwonić. — Chodź do mnie! — powiedział. — Pożyczę ci szczoteczkę do zębów. Obawiała się, że pakuje się w niezłą kabałę. Wyniknie

z tego tragedia — lecz wcale nie wyglądało to na tragedię, przynajmniej jeszcze nie. Coś — jakby zanurzanie się w ciepłej wodzie przed utonięciem — ucieczka, uwalnianie się, delikatna glisada w błogą otchłań. Gdy jechali samochodem, zupełnie straciła orientację. Zaparkował na tyłach jakiegoś budynku; w windzie objął ją. Poczuła jego krocze napierające na nią, nabrzmiące i twarde, pałające żądzą — i wtedy ogarnęło ją szalone pragnienie, zatapiające wszystkie myśli. Wiedziała, że to niedorzeczne: nigdy nie doznała prawdziwej przyjemności z żadnym mężczyzną, a Michael O'Hara był obcy, no, prawie obcy, niczym czarownik czekający w ciemności, by ją usidlić. Ale nie mogła pokonać swego ciała. Jakby wszystkie tłumione przez całe życie pasje nagle znalazły ujście, była zupełnie obehwładniona, nie stawiała oporu. Zaczął ją całować zaraz, gdy tylko weszli do mieszkania. Jeszcze zanim znaleźli się w sypialni, zaczął zrywać z niej ubranie, poznając rękami jej ciało. Przedtem w takich sytuacjach była zawsze zmieszana, zbyt wstydziła się swojej brzydkiej nagości, aby poczuć kompletny luz czy zadowolenie — gdy była nastolatką, była zbyt gruba; później — przerażająco chuda, nie chciała nikogo straszyć swoimi sterczącymi kośćmi. Lecz tym razem nie przejmowała się. Leżała na plecach, jemu pozwalała się pieścić rękami, dotykać ustami, muskać językiem, stawiała się jego własnością w każdym calu, każdy najmniejszy kawałeczek jej ciała należał do niego: małe piersi, zmarszczone brodawki, wklęsłość poniżej żeber, krzywizna jej brzucha. Wtedy on zaczął ją odsłaniać, muskając jej uda, pieszcząc językiem najbardziej intymne miejsca, całując, drażniąc, wpijając się w nią jak pszczoła, która próbuje wyssać z kwiatu cały miód. Poczuła, że popada w ekstazę — unosi się — tonie — bezradna — obojętna — targana żądzą. Słodki, kłujący ból był tak intensywny, że dłużej nie mogłaby go wytrzymać: jej ciałem wstrząsały spazmy zwycięskiego cierpienia, stopniowo słabnące, zostawiające ją wyczerpaną, drżącą, we wspaniałej błogości.

Wziął ją bardzo ostrożnie, po raz pierwszy badając drogę do jej wnętrza; drugim razem był mniej delikatny, wdzierając się gwałtownie, głęboko. W pewnym momencie jęknęła głośno, przerwał natychmiast, szepcząc: — Skrzywdziłem cię? Nie chciałem tego, nie chciałem sprawić ci bólu. To dlatego, że jesteś zbyt spięta. Nie chcę cię skrzywdzić... — Nic się nie stało — odparła doskonale to rozumiejąc. Byłaby w stanie pozwolić zrobić mu z sobą wszystko, gdyby tylko sprawiło mu to przyjemność. Mógłby ją chłostać, bić, krępować więzami. Byłaby zupełnie uległa. To nie była miłość; do tej pory nigdy nie zdawała sobie sprawy, że pożądanie może być tak złożone, tak nierozzerwalnie powiązane z pragnieniem czegoś innego. Leżała już w półśnie, trzymając go w ramionach — był wciąż napięty i sztywny; nie pobudzała go już szybkimi ruchami, lecz przylgnęła do niego jak dziecko do swojej ukochanej zabawki. Zsunął jej włosy ze swojej twarzy, opierając jej głowę na ramieniu. W jego oczach było coś, czego dotąd nie widziała: trochę smutku, trochę delikatności, trochę rozbawienia.

— Wszystko w porządku — szepnął.

Ale ona już spała.

Elsbeth zbudziła się rankiem z koszmarным bólem głowy i uczuciem, że wszystko się dla niej skończyło. Między atakami bólu miała jakieś przebłyski pamięci. Gdy z trudem otworzyła oczy — powieki były niczym ołów — ujrzała przy łóżku drogi zestaw stereofoniczny, wspaniałą pikowaną kołdrę otulającą jej ciało, a po lewej stronie nagie plecy. Plecy mężczyzny. Bładość skóry, kontury kości, zarys mięśni. Zdała sobie sprawę, że jej klęska nie wisiała już w powietrzu, ale po prostu stała się faktem. Pomyślała, aby wyrwać się stąd, zanim on wstanie. Lecz jak tylko się poruszyła, Michael przebudził się i odwrócił do niej. W porannym świetle dnia nie wyglądał atrakcyjnie, był zarośnięty, oczy miał jak szparki, podpuchnięte.

Oczy świni, pomyślała. Mimo woli wyobraziła sobie An-thony'ego Stallibrassa, opalonego, z ciemną cygańską czupryną, pięknego — rzeczywiście pięknego, nawet wcześniej rano. Przez moment obawiała się, że Michael zechce ją pocałować — było to w końcu logiczne po ostatniej nocy — ogarnęła ją panika. Lecz on tylko coś mruknął, przeciągnął się i przetoczył przez łóżko. Kiedy trochę ochłonęła, wstała.

Gdy wyszła z łazienki po dwóch aspirynach i mocnym prysznicu, ujrzała Michaela w kuchni, jak nie spiesząc się napełniał czajnik. Miał na sobie tylko dzinsy, a jego tors, jak zauważyła, prezentował się całkiem nieźle: jasna skóra, lekko zarysowane mięśnie, meszek na piersiach. Wolałaby, aby był kompletnie ubrany. Kilka kosmyków włosów opadało mu na czoło; jego oczy były wciąż w pół przy-
mknięte z niewyspania. Być może dlatego nie mogła uchwycić ich wyrazu.

Zapytał: — Kawa czy herbata?

— Och, dla mnie nic. Chociaż... nie, dziękuję. Czy mogłabym... słuchaj, powiedz mi, proszę, czy mogłabym gdzieś w pobliżu złapać taksówkę? Naprawdę muszę iść. Proszę.

Stał oparty o zlew. Otoczył ją ramionami. — Odwiozę cię — rzekł. — Po kawie.

— Nie, dziękuję. Muszę iść już teraz. To znaczy, powinnam iść... Mój ojciec będzie się niepokoił o mnie. Idiotyczne stwierdzenie, biorąc pod uwagę zwierzenia ostatniej nocy, ale przecież mogła o tym zapomnieć, lub przynajmniej mogła udawać, że zapomniała. Myśl o samo-objawieniu — zarówno psychicznym, jak i fizycznym — działała na nią paraliżująco. Powinna była odejść, zanim jeszcze Michael ją dotknął, usidlił, uwiódł, przechytrzył czy w ogóle się pojawił.

Powtórzyła: — Muszę już iść.

— W porządku. — Skrzywił się, jakby zmuszał mięśnie swojej twarzy, aby wreszcie się obudziły. Nawet nie próbował jej dotknąć, zatrzymać, napominać. W rezultacie zapamiętała go jako człowieka na pełnym luzie. Idź

wzdłuż ulicy i skreć w lewo. Aż ujrzysz światła na skrzyżowaniu. Tak, tam możesz złapać taksówkę. To główna droga.

— Dziękuję — odparła. — Och, i... dziękuję za kolację. Było bardzo miło.

Nie czekała, aż wybuchnie śmiechem, po prostu wybiegła.

Ciężka próba spotkania z ojcem stała się łatwiejsza, możliwa do przetrwania po doświadczeniach z Michaeliem O'Harą: jeden horror pomniejszał drugi — tak to sobie wyobrażała. Nawet nie przypuszczała, że wypadki tej wstydlivej, niemożliwej nocy mogą zmienić w jakiś sposób jej spojrzenie na świat. Jej ojciec nigdy na nią nie krzychał (a niemal tego pragnęła); jedynie patrzył na nią, z niepokojem, z pogardą, z obojętnością, winą — nie mogła tego sprecyzować, on też. Na pewno nie była to miłość. Jak to powiedział Michael: nie było w tym nic nowego, on już to słyszał.

Zorientował się, doznając ulgi, że wcale nie jest podobna do Diany. Rzekł: — Powinnaś zacząć pracować. Zrób coś ze sobą, swoim życiem — ale nic nie sugerował, nawet niewiele go to obchodziło. A ona, chociaż było to nie mniej straszne niż obawy, rozplakała się, jakby ten spokój obrabował ją z fałszywego dowodu miłości.

W tydzień później zadzwoniła do biura i poprosiła Michaela O'Hare. Nie próbował się z nią skontaktować; uspokoiła się nieco, czując jednocześnie, że skoro pracował dla Ruperta, powinna w końcu z nim porozmawiać, musi się na to zdobyć. Ciągle jednak nie przedstawiała się i była wdzięczna losowi, że nie może być rozpoznana.

— Michael O'Hara? — Głos Sheili był opanowany, lecz chłodny. — Przykro mi, tu taki nie pracuje. Musiała pani pomylić biura.

— Ja — przepraszam — może pani powtórzyć?

— Nie ma tu nikogo o nazwisku Michael O'Hara. Przykro mi.

— Ale... musi być! Powiedział mi, że...

— Przypuszczam, że pomyliła pani architekta — rze-

kła Sheila zajmując się przybyłą korespondencją. — To jest biuro Sir Ruperta Van Leera.

— Wiem — burknęła Elspeth. — Dziękuję. — Lecz Sheila zdążyła się wyłączyć.

Patrzyła na telefon zupełnie zbita z tropu, była oszołomiona. Faktycznie, jechała do mieszkania Michaela w stanie silnego upojenia, a opuszczała je w szalonej panice, łapiąc pierwszą taksówkę, jaką ujrzała. Nie zauważyła nawet nazwy ulicy. Być może by ją rozpoznała, gdyby odnalazła, ale nie była pewna, w której części Londynu się znajdowała. Michael przybył znikąd, w najważniejszym momencie jej życia — i z pewnością wrócił donikąd, nie zostawiając nawet adresu. Próbowała przestać o tym myśleć (mimo wszystko faktycznie nie chciała zobaczyć go znowu, czyżby?), ale bez skutku. Czuła się dziwnie, niepewnie, czegoś jej brakowało, jakby nic jej życia nagle się przerwała, zostawiając ją samotną, na przekętym wrzosowisku, podczas gdy ona chciała znaleźć się w lesie, ciemnym i dzikim.

Jeszcze w tym samym roku wyjechała do Nowego Jorku. Ciotka Barbara, w ramach rewizyty, zaprosiła ją do Stanów. Elspeth miała dużo czasu, a nie miała planów: w końcu zdecydowała się pojechać. Potem zaklinała się, że ten jeden krok zmienił jej życie — zmienił ją samą — na zawsze. Nowy Jork był fantastycznym miastem — rajem dla architektów — światem poczętym w wyobraźni i upojeniu, nie skażonym ani historią, ani tradycją, ani restrykcjami zarządu planowania przestrzennego. Stare i nowe, surowe i bogate, delikatne i agresywne — wszystko szło razem, obok siebie, art nouveau — spirale i zakrętasy z kamienia stawiające czoło strzelistym ścianom ze szkła i metalu, St. Patrick's niczym absurdalny, olbrzymi tort weselny, udekorowany kupkami i czapeczkami z lukru, zwieńczony strzelistymi cukrowymi wieżyczkami odbijającymi się w bez-

kresnych oknach sąsiedniego Olympic Tower. Ulice biegły niczym szczeliny w łańcuchu górskim, skąpane w słonecznym świetle, wypełnione pełzającymi samochodami, tętniące życiem. Elspeth spacerowała jak w transie, czuła się jak liliput w świecie bajecznych gigantów, wdychała apetyczne zapachy, gnieźdzące się niemal na każdym rogu ulicy, zahaczyła o Muzeum Sztuki Nowoczesnej i analizując przez godzinę dziwne zakrętasz na kilku abstrakcyjnych malowidłach, włóczyła się mijając Sachsa i Bergdorfa Goodmana, szukając czegoś w stylu Tiffany'ego. Niemal automatycznie jej stosunek do tego wszystkiego stał się wręcz przyjazny; rozgorączkowany tłum podniecał ją, olbrzymie budynki wypełniały jej serce. Oddalona od ojca, mogła sobie wyobrazić jego bliskość, jakby ta perspektywa żyjących marzeń przynosiła swego rodzaju ulgę, dając jej możliwość nowego spojrzenia, specyficznego zrozumienia tajemniczej wyobraźni, która nim władała. Gdyby ktoś ją zapytał, nie mogłaby opisać tej wyobraźni, wyjaśnić dokładnego sposobu jej wyjątkowego pojmowania. Lecz nikt jej nie zapytał. W domu była ciotka Barbara.

— Mów mi Barbara — powiedziała do Elspeth zaraz pierwszego dnia. — Ciocia — nie, to robi ze mnie staruszkę.

Elspeth pamiętała z dzieciństwa jej sporadyczne odwiedziny, którym towarzyszył ostry zapach perfum, powiew czaru, egzotyczne prezenty, drogie futra. Pamiętała tę noc, gdy obie z Dianą, jako małe dziewczynki, planowały ucieczkę. — Pojedziemy do Ameryki, do cioci Barbary. — Teraz była dorosłą kobietą, której w końcu udało się uciec, a spotkało ją wspaniałe powitanie, o jakim wcześniej nie ośmielała się nawet marzyć.

— Jakie to cudowne mieć ciebie przy sobie — powtarzała ciotka Barbara, raczej Barbara. — Gdy chłopcy mają wolne, wyjeżdżają na narty, na żagle lub robią coś równie niebezpiecznego — wiesz, jacy są chłopcy. A Richard za dużo pracuje. To wspaniale, że jesteś. — Długi

pobyty w Ameryce zmieniły jej akcent i obdarował opalenizną Florydy, która nigdy nie zniknęła. Nie miała już tych młodzieńczych piegów, ale dołeczek w brodzie pozostał. Miała już dwóch synów, i kilka poronień (ostatnie zbiegło się ze śmiercią Diany), a jej małżeństwo z Richardem Heydonem było typowym związkiem: zdarzały się chwile załamania, skoki w bok, przyszło rozczarowanie, otrzeźwienie, a wreszcie ponowna miłość, trochę radości i dużo cierpliwości. Pomoc dzieciom Jo była jedną z tych spraw,

O których myślała w środku nocy, gdy już nie miała większych zmartwień. Zrobiło się jej żal Elspeth, była zdecydowana ją pokochać. Nie były to sentymenty — jak sobie wmawiała, próbowała sobie wyobrazić, że Elspeth jest córką, której zawsze tak bardzo pragnęła. Miała frajdę chodząc z nią na spacer, kupując jej nowe ciuszki, włączając ją po fryzjerach i kosmetyczkach, odwiedzając z nią salony piękności — Elspeth niczym brzydkie kaczątko stopniowo stawała się pięknym łabędziem. — Raczej głupią gąską — Elspeth odnosiła się do tych zabiegów sceptycznie. Jednak nie odmawiała. Portret Johannya Van Leera wisiał w salonie. Jak przystało na portret Duny'ego — zajmował czołowe miejsce na ścianie. Goście stawali przed nim w zachwycie, podziwiali, niektórzy mieli ochotę go kupić. — To moja jedyna siostra — odpowiadała wówczas Barbara, bardzo chłodno i stanowczo. — Już nie żyje. Nigdy, nigdy go nie sprzedam. — Elspeth nie od razu zgadła, kto jest na portrecie. Widziała niewiele zdjęć matki. Dla Ruperta pamięć o niej była zbyt bolesna, stąd w domu były może ze dwie migawkowe fotografie w starych albumach, ale na żadnej z nich jej twarz nie była zbyt widoczna. Elspeth, patrząc na portret, doszukała się podobieństwa ze swoją siostrą, przemknęła jej przez myśl, że coś jest w nim dziwnego i znajomego zarazem.

— Myślałam, że była bardziej podobna do Diany rzekła.

— Skądże — Barbara wydawała się lekko zaskoczona. — No cóż, niewiele mogę powiedzieć na temat wyglądu Diany, Grizelda przysłała mi kilka jej zdjęć. Pomijając jej rumieńce, zawsze myślałam, że była podobna do róży. Zauważ: ta twarz nie jest twarzą Jo: owszem, ma jej oczy, jej usta, jej policzki, lecz brakuje jej wyrazu Jo. Jo miała w sobie coś królewskiego... Jakby używała własnej twarzy jako maski, a Duna próbował zderzyć z niej tę maskę, ale nigdy nie byłam pewna, czy poszedł w dobrym kierunku. — Minęła dobra chwila, chwila głębokiej zadumy, zanim wróciła do swoich wynurzeń. — To dziwne, doprawdy nie jesteś podobna do Jo, lecz wyglądasz tak jak ona na portrecie. Twoje oczy są ciemniejsze niż jej, twoje rysy nie tak doskonałe — lecz mimo to istnieje jakieś podobieństwo. Nieuchwytnie podobieństwo. Później, analizując swoje odbicie w lustrze, Elspeth prawie uwierzyła, że może je jednak dostrzec. Nieudolne naśladownictwo, tandetna imitacja, pomyślała; kolejna próba, partactwo rzeźbiarza. Mimo to z ożywieniem myślała, że duch matki ukrywa się pod jej własnym odbiciem, znalazła jakby nieoczekiwany przejaw miłości po długich samotnych latach. Jej ojciec oczywiście nie mógł tego zobaczyć. Lecz pewnego dnia, gdy już będzie w Anglii, postara się, aby to ujrzeć.

Tego wieczoru przy kolacji Barbara jej powiedziała: — Chciałabym, abyś nosiła diamenty Jo. Rupert mi je dał — przypuszczam, że nie mógł znieść ich widoku — ale nigdy ich nie nosiłam. Zawsze myślałam o tym, aby pewnego dnia oddać je tobie lub Dianie. Teraz są oczywiście w banku. — Elspeth była zakłopotana. — Tak, diamenty Jo. Diamenty z portretu. Chcę, żebyś je miała. Myślę, że to by ją uszczęśliwiło.

Elspeth rzekła: — Nigdy nie miałam niczego, co należało do mojej matki.

— Naprawdę? — Barbara była zaskoczona. — Myślałam — jestem pewna — że miała mnóstwo biżuterii. Co się z nią stało?

Diana miała parę kolczyków ml parła ł Isbeth. — Nic wiem, gdzie one teraz są. W ziemi, z pewnością w ziemi, pomyślała. W trumnie, razem z umarłą, pewnie już zardzewiały. Przysypane szczątkami ciała, ubabrane krwią. Nie było już Diany; jedynie para kolczyków i miłość ojca.

— Przypuszczam, że to Grizelda zadecydowała, iż tobie nic nie pasuje — rzekła Barbara. — Głupia kobieta, nigdy jej nie lubiłam. A ty?

Elspeth odpowiedziała: — Ja też nie.

Następnego dnia były w salonie piękności. Elspeth widziała swoje odbicie w tysiącach luster, spoglądających na nią z każdego zakamarka, w swym odbiciu zaś szukała owego ducha z portretu. Lecz duch zniknął w jaskrawym, nowoczesnym oświetleniu i skrył się pod makijażem, a twarz jej stała się zupełnie inna. Puder zatuszował zapadnięte policzki, cienie podkreśliły linię oczu. Usta były wymalowane, pełne i czerwone, kontrastujące z chudą twarzą — niczym róża na śniegu. Włosy miała obcięte, przycieniowane, podkrecone i wymodelowane. Z lustrzanej głębi spoglądały na nią pełne podziwu, zaskoczone oczy -widziały profil kobiety o łabędziej szyi i tycjanowskiej grzywie. Mimo woli dotknęła palcem nosa.

— O co chodzi? — zapytała Barbara. — Wyglądasz wspaniale.

— Mój nos — wymamrotała Elspeth.

— Co chcesz od niego?

— Jest olbrzymi i wstrętny, nie cierpię go.

— Zmienimy go — rzekła kosmetyczka. To była Ameryka.

— Zmienić go? — zdziwiła się Elspeth. Tak jakby jej nos był po prostu marynarką, która nie leży zbyt dobrze, albo sukienką, w której jest jej nie do twarzy.

— Czemu nie? — zgodziła się Barbara. Jeżeli poprawi to twoje samopoczucie... Znani właśnie lakiery o człowieka...

Kilka dni później Elspeth odwiedziła właśnie takiego człowieka. Jej pobyt w Nowym Jorku wydłużył się, nos — skrócił. Pyszne lody dodały jej kilka funtów, a aerobic Barbary wyrobił mięśnie. W Anglii

Rupert dostał długi list od szwagierki, przestał podpisywać czeki, wystawił kartę kredytową. Po drugiej stronie Atlantyku Elspeth przeszła operację plastyczną, która stała się dla niej kluczem do dojrzałości, kluczem do doświadczenia życiowego. Kiedy rany na nosie się zabiły, Barbara znowu zabrała ją do salonu. Mistrz makijażu pokazał, co potrafi. Elspeth gapiła się na swoje odbicie bez słowa. „Lustreczko, lustreczko na ścianie, kto jest najpiękniejszy na świecie?” Po przeciwnej stronie ujrzała profil

O doskonałym nosie. Jej rysy stawały się coraz wyraźniejsze pod ręką artysty; Elspeth to czy nie Elspeth; ta sama twarz — a jednak inna. Po raz pierwszy pomyślała: Wyglądam ślicznie. Jestem brzydka, wiem, że jestem brzydka, ale wyglądam ślicznie. Ślicznie wyglądam...

Po chwili Barbara zapytała: — Co o tym sądzisz? Jesteś szczęśliwa? — Elspeth chciała być obojętna, ale nie potrafiła: — Wyglądam, no, w porządku — rzekła. — Chodzi mi o usta, obojętna czerwień... — Wątpię, byśmy mieli u siebie obojętną czerwień — rzekła mistrzyni makijażu. — Czy to jakaś nowa moda?

W 1981 roku Elspeth zaczęła w Cooper Union kurs sztuki i rysunku. Ojciec zgodził się na wypłacanie jej pensji; w rok później przeprowadziła się do swojego mieszkania. Jakże jej życie różniło się od tego, jakie pamiętała z college'u. Tym razem próbowała znaleźć przyjaciół, lecz to nigdy nie przychodziło jej łatwo. Nauczyła się jadać hamburgery, pić Jack Daniel, uprawiać jogging w Central Parku; malowała nowoczesne obrazy i rzeźbiła różne dziwactwa. Chłopcy nazywali ją Elsa; początkowo brzmiało to dla niej dziwnie, lecz z czasem przyzwyczała się. Uznała to za coś symbolicznego,

w Ameryce nawet jej imię musiało ulec transformacji. Nowe imię, nowa tożsamość. Elspeth Van Leer zrodziła się na nowo jako Elsa Van Leer. Elspeth była brzydka, samotna, nie kochana; Elsa rzucała powłóczyste spojrzenia, miała mnóstwo przyjaciół, którym była potrzebna. Elspeth nic się nie udawało, zawsze przegrywała; Elsa była utalentowana i odnosiła sukcesy jako nowy obiekt zainteresowania wśród liczących się dziennikarzy z drogich magazynów. Elspeth dręczyły obsesje, była nieszczęśliwa, uwięziona w swojej skorupie; Elsa uważała się czasami za szczęśliwą, miała nadzieję, że wreszcie jest wolna. A Elspeth — Elspeth była dzieckiem nie chcianym przez ojca, ojciec nie był w stanie jej pokochać; podczas gdy Elsa może pewnego dnia stać się dla niego wszystkim. W Anglii Rupert myślał o niej niezwykle rzadko, pragnął się jej pozbyć i wierzył, że Nowy Jork naprawi to, co sknócili psychiatrzy. Uwolni go od córki na zawsze.

V

Elsa miała dwadzieścia cztery lata, gdy poważnie zaangażowała się uczuciowo — zbyt niedoświadczona, by być ostrożną, zbyt spragniona, by móc wyrzucić to, co jeszcze zostało z jej serca. Ze strony Anthony'ego Stallibrassa była to nie odwzajemniona miłość, z Michael'em O'Harą — nieprzemyślana żądza. Tym razem było to spotkanie umysłu i ciała, związek, który musiał być trwały, na zawsze. Rzuciła się w tę znajomość z młodzieńczą brawurą i pasją dorosłości. Ale przecież nie musiało skończyć się to tragedią.

Grant Barrymore miał czterdzieści osiem lat. Jego pełne imię brzmiało James Grant Barrymore, lecz jedynie starzy przyjaciele nazywali go Jim; osobiście wołał Grant. Dyrektor artystyczny jednej z najbardziej liczących się agencji reklamowych, pojawił się w colleg'u, aby wygłosić serię wykładów, dwa razy w tygodniu — cały ten kurs szybko stał się hitem roku. Chłopcy lubili jego prosty styl, odbiegający od artystycznych konwencji, jego dalekosiężne projekty ze światła i neonu. Dziewczętom podobały się jego szerokie ramiona (koszykarz), elektryzujące, niebieskie oczy, skrawek owłosionego torsu, gdy nosił trochę rozpiętą koszulę. Krótka broda podkreślała kwadratowy kontur szczęki i szczupłą szyję — z rozmysłem zapuszczona broda, wystarczająca, by podkreślić jego status intelektualny, lecz jednocześnie długa na tyle, aby przypisać mu miano dobrze trzymającego się hipisa. Jego ubrania były drogie, lecz nieciekawe, stroje człowieka, który

lubi być dobrze ubrany, lecz obojętnego co do efektu, jaki wywołuje — a może był to zamysł. Szczycił się swoim poczuciem humoru i dobrymi stosunkami ze światem studenckim. Aktualnie opowiadał im, że Michał Anioł mógłby pokryć sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej nie wizerunkami Boga, lecz scenami z Dallas (wybuch śmiechu). „Maja naga” to Joan Collins na okładce „Playboya”. Coca-cola mogłaby zastąpić wino mszalne. Sztuka szła z postępem czasu, a wyobraźnia artysty musiała ją wyprzedzać, aby stanąć na czele. Jego słuchacze wszystko to gorliwie wchłaniali. Tylko ruda dziewczyna siedząca w tyle nie śmiała się z jego dowcipów; uchwycił jej uśmiech tylko raz, podczas swego trzeciego wykładu — jak zwykle chodził tam i z powrotem, co było formą jego techniki przekazywania wiadomości i... potknął się. Wtedy jej uśmieszek zaintrygował go. Od kolegów dowiedział się, kim ona jest. Zaczął dogryzać jej w klasie, robiąc uwagi na temat jej milczenia. — Miss Van Leer z pewnością się nie zgadza. Miss Van Leer, jak zwykle, jest obojętna. — Elsie początkowo odbierało to odwagę, potem schlebiało, aż wreszcie zdobyła się na dosadną ripostę.

— Nie wydaje mi się, aby da Vinci mógł malować kartony na mydło — syknęła z taką ironią, na jaką tylko mogła się zdobyć. — Byłby bardziej zainteresowany Con-cordem.

— Grant naprawdę cię lubi — rzekła potem jakaś dziewczyna z nutką zazdrości w głosie.

Grant używał raczej imion w stosunku do swoich studentów, jego „Miss Van Leer” było czystym sarkazmem.

— Każdy to zauważył. To dlatego cały czas cię zaczepia: jest to przejaw płciowej fascynacji. Czyż nie sądzisz, że on jest wspaniały?

— Jest na tyle stary, że mógłby być moim ojcem. Następnego wieczoru Grant urządzał cocktail party, była zaproszona większość jego stałych studentów. Przyjęcie odbywało się w jego mieszkaniu na Fifth Avenue; Elsa

słyszała coś o restauracji na parterze i była zaskoczona, gdy ujrzała dwudziestosiedmiopiętrowy budynek z czerwonej cegły, dębowe kolumny w hallu i wewnętrzny przepych — który był zarówno ciężki, jak i szalenie drogi. Apartament utrzymany był w tonacji brązu, gdzieś tam przebijał lazur, to znów czern. Bar miał panele w kształcie *lignum vitae*; obrazów było mało, ale za to stylowych: Howard Hodkins i Julian Schnabel; goście zaś byli wymieszani jak drinki — wydawca, żona senatora. "Starzy znajomi", wyszeptał informator Elsy. Elsa mówiła mało, piła dużo i była w pełni świadoma, że Grant spogląda na nią od czasu do czasu, rzucając jej lazuruwonebieskie spojrzenie (harmonizujące z wnętrzem), wychwytyjące ją w tłumie jak reflektor. Czuła się trochę podniecona, a nawet lekko ją mndliło. On naprawdę mnie lubi, pomyślała z niedowierzaniem, wciąż nie mogła się z tym pogodzić, że taki facet jak Grant mógłby się nią faktycznie zainteresować. Ale czy ona go lubiła? Przedtem była nawet dumna ze swojej obojętności. Ale potrzebowała miłości, musiała się zakochać. Złapała się na tym, że szuka jego dobrych cech i atutów: wyrobione mięśnie, ciemna karnacja, wciąż stosunkowo młody (w łazience stała flaszka z jakąś miksturą utrzymującą go w dobrej formie); gęste włosy, szpakowate, artystyczny melanż cyny i srebra. Nigdy nie zgadzała się z jego poglądami, ale zawsze ją mile szokowały i podniecały; a czy właśnie zadaniem wykładowcy nie było szokowanie i podniecanie swoich słuchaczy? On jest tak stary, że mógłby być moim ojcem — powtórzyła sama do siebie. Nigdy nie miała starszego mężczyzny. Ta myśl ją nurtowała.

O wiele później, leżąc w pomiętej czarnej pościeli i słuchając, jak Grant bierze prysznic, uznała, że było to inne, nawet wyjątkowe. Okazał się doświadczonego kochankiem, delikatnie sumiennym lub sumiennie delikatnym, niewątpliwie dobrze znającym mistrzów i Johnsona. Nie było w nim nic z bezsensownej zmysłowości, jakiej doznała

z Michaeliem O'Hara; to był intelektualny seks, precyzyjny, ostrożny, przemyślany. Wiedziała gdyż Grant jej o tym powiedział — że rozszerzył parametry swojej fizycznej świadomości, jednocześnie odkrywając sekrety jej wnętrza. Oczywiście, Grant miał mniejszego ptaka od Michaela, lecz takie detale zupełnie nie miały znaczenia w kontekście zupełnej zależności i połączenia dwóch umysłów. Kiedy wyszedł spod prysznic, wyglądał nieźle — intymny uśmiech, biały ręcznik wokół bioder — skoncentrowała się na jego dojrzałej urodzie, pewna zazdrości innych studentek. Nawet Anthony Stallibrass był zaledwie tylko ślicznym chłopcem, kochanym platoniczną miłością przez nie rozwiniętą panienkę. Teraz była dorosłą, była kobietą, która potrzebuje Prawdziwego Mężczyzny. Grant Barry-more, z owłosioną piersią, ze zmarszczkami w kącikach oczu, niewątpliwie był Prawdziwym Mężczyzną. To było poważne. To była Miłość.

Następnego dnia zeszli na obiad do Odeonu. Grant wymienił Biancę Jagger i Andy Warhola. Potem kilka sławnych nazwisk, niby mimochodem, pomiędzy innymi, mniej ważnymi.

— No ale cóż — rzekł kpiąco, jakby z dezaprobatą. — Ty jesteś córką Sir Ruperta Van Leera. Z pewnością znasz połowę artystycznej śmietanki towarzyskiej Londynu.

Elsa nic nie odpowiedziała.

Zaangażowanie Elsy rosło, jak to zwykle bywa z tego typu uczuciami. Chodzili do teatru, kina, na wybrane przyjęcia, na których Grant chwalił się Elsą swoim przyjaciołom, a ona po raz pierwszy zlekła się prestiżu, jaki nosiło nazwisko Van Leer. Jadali obiady w restauracjach lub w domu; Grant był zadowolony z siebie, prawdziwy epikurejczyk — zarówno w restauracji, jak i w kuchni.

Rozmawiali o Życiu, o Sztuce, o Seksie; w rzeczywistości to Grant mówił, Elsa słuchała. Cały czas próbował coś z niej wyciągnąć — na temat jej rodziny, jej ojca — lecz ona mówiła niewiele, pozwalając jego wyobraźni

wypełniać istniejące luki; wiedziała, że mógłby to źle odebrać. Zakochał się w Elsie, doświadczonej, opanowanej, o pięknej twarzy; Elspeth — nieszczęśliwa, nie kochana, zagubiona — była częścią swej martwej przeszłości; nie wolno jej o tym pamiętać, nigdy, nawet podejrzewać, że istniała. Grant Barrymore, smakosz, koneser w każdej dziedzinie, posiadający swój styl, niezależny w świecie tradycyjnej sztuki, nie miałby nic do powiedzenia dziecku, którego nikt nigdy nie chciał. Elsa miała nową osobowość, nowe wnętrze; o Elspeth chciała za wszelką cenę zapomnieć. Co się tyczy jej ojca — Grant nie byłby w stanie tego zrozumieć. Kiedy wspominał swych rodziców, czynił to ze współczującą wyższością, z przyjemnym lekceważeniem, z lekka krytykując ich sposób życia, staromodne poglądy — jakby dziwactwa związane z jego wychowaniem dotyczyły kogoś zupełnie innego, a on sam był tylko psychiatrą badającym określony przypadek. Wydawał się być lekko zachwycony nimi, ale trochę i znudzony: bezinteresowna łagodność. Doprawdy, nie byłaby w stanie wyjaśnić mu, co czuje do swojego ojca.

Coraz częściej spotykali się ze sobą. W zimie byli na nartach; na wiosnę uprawiali jogging. Kłócili się nawet: po napadach szału Elsa czuła się dumna, że jest zaangażowana w prawdziwy związek, z prawdziwymi awanturami. Barbara została przedstawiona Grantowi — nazwała go „czarującym”; Grant określił ją jako „zachwycającą”. (Jej mężowi, Richardowi Heydonowi, wydał się zbyt pretensjonalny, ale nie powiedział tego głośno). Grant próbował nauczyć Elsę prowadzić samochód: w rezultacie rozstali się na tydzień, i znów wrócili do siebie dzięki cieplarni Raula; wysłał jej tuzin róż i zamówił kurs jazdy u prawdziwego instruktora. Gdy zdała egzamin, nie było go w mieście. Miał domek letniskowy w Hamtons, którego nigdy nie widziała; kiedyś, trochę żartobliwie, oskarżyła go, że chowa tam przed nią swoją żonę. Wybuchnął śmiechem, szczerze ubawiony: — Zmieniam wystrój wnętrz. Będzie-

my mogli pojechać tam latem. Poza tym nie cierpię plaży w zimie; działa na mnie przygnębiająco. Samochód Barbary został ubezpieczony także na nazwisko siostrzenicy i Elsa, kierowana impulsem, postanowiła odwiedzić Granta nad morzem. Pomysł ten był faktycznie pierwszą samotną, a raczej samodzielną inicjatywą ze strony Elsy w czasie tej znajomości. Za wszelką cenę postanowiła to zrobić, poza tym świadomość zdania egzaminu dała jej nową wiarę w siebie. Przywykła już do olbrzymich odległości amerykańskich, tak więc pokonanie tysiąca mil, a może i dwóch, nie znaczyło dla niej zbyt wiele. Wyruszyła Autostradą Long Island w kierunku Easthampton.

Był już późny wieczór, gdy dojechała na miejsce. Miała niewiele trudności ze znalezieniem drogi, zatrzymywała się tylko ze dwa razy. Grant wybiegł z domu, gdy usłyszał klakson. Był bez koszuli, miał na sobie tylko kaszmirowy sweter, jakby narzucony w pośpiechu, oraz plastikowy fartuszek, którego nie zauważyła.

— Zdałam egzamin, mam prawo jazdy! — rzekła — więc pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę. — Wyglądał na zaskoczonego. Weszła do sieni, mówiąc bez przerwy, gdy nagle zawahała się, widząc, że on nadal stoi na schodkach przed domem, jakby w nie wrósł.

— Grant! — zawołała zdziwiona. — Wszystko w porządku? — Nie odpowiedział.

— Gotowałeś — rzekła siląc się na normalny ton.— Co jest na kolację?

Kuchnia była po lewej stronie, drzwi otwarte. Weszła bez zastanowienia. Zapamiętała wyraźnie młodego mężczyznę po drugiej stronie pokoju, lekko odwróconego w jej stronę, w czepku kucharskim zsuniętym na jasne kędzierzawe włosy, i grymas na jego twarzy. Miał przypasany fartuszek z białej bawełny z falbankami; spod niego wyglądał goły, opalony tors. Tuż obok niej leżała deska do krojenia, od której właśnie odszedł Grant, z kawałkami

mięsa, i ostry nóż, cały we krwi. Pamięta to wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

Nie pamięta tylko, jak złapała za nóż.

Po tym wszystkim wysłano ją do Europy, aby odzyskała siły. Jej studia w college'u zakończyły się katastrofą, lecz Barbara wciąż widziała w niej artystkę i zgodnie z tym zasugerowała terapię Wielkiej Sztuki. Zabrała siostrzenicę do zamków nad Loarą, jaskiń w Dordogne, do Wenecji, Rzymu. Elsa robiła to, o co ją poproszono, potulna jak baranek, wewnętrznie silna, zewnętrznie spokojna.

— Mogłam go zabić — mówiła i nie wiadomo, czy była zmartwiona, czy też ubolewała, że jej się nie udało.

Zaraz po wypadku (każdy zamieszany w tę historię nazywał ją „wypadkiem”) Grant stracił panowanie nad sobą, szybko jednak doszedł do siebie, zatamował krew i zawołał lekarza, którego dobrze znał.

Znaleziono Elsię błądzącą po plaży, myjącą ręce w morzu. Przekupni prawnicy załatwili sprawę poza drogą sądową, bez prasy; Grant nie chciał stracić swojej pozycji, a pechowy młody człowiek nie miał wyboru. Później, dla bezpieczeństwa swojego biura w Londynie, Rupert przepłacił psychiatrów. Lecz Elsa wiedziała, do czego oni są zdolni: w klinice nie zrobili dla niej nic dobrego, była pewna, że i teraz będą bezsilni.

— Mam nadzieję, że zostawisz ją ze mną — napisała Barbara w długim liście do szwagra. — Biedne maleństwo, była szalenie zakochana w Grancie, a Elsa nie jest typem kobiety, która łatwo się zakochuje z taką pasją. Mój psychoanalityk mówi mi, że zdrada i niewierność byłyby do zniesienia, lecz odkrycie jego homoseksualnych skłonności mogło spowodować kompletną klęskę. Czuję się cholernie winna — Richard zawsze mi powtarzał, że nie znosi Granta, lecz ja nie słuchałam. Jednakże ty, właśnie ty spośród wszystkich ludzi, musisz wiedzieć, jak bardzo Elsa jest zawiedziona. Nie rozmawia o tym zbyt wiele, lecz

wiem, że była zupełnie przybita śmiercią swojej siostry, potem miała anoreksję, oblała na architekturze — i kiedy wreszcie pomалу zaczęła przychodzić do siebie, wydarzyło się TO. Nie ma w tym nic dziwnego, że czuje się niepotrzebna. Chciałabym z nią o tym porozmawiać, lecz myślę, że nie należy jej do tego zmuszać. Teraz właśnie potrzebuje ciepła i dobroci, nie pytań.

Mając „złote serce” Barbara zabrała ją do Chenon-ceaux i Cheverny, do Perigord, do Palazzo Pitti, do Koloseum. Ostatecznie wylądowały w Grecji.

— Powinnam wracać do Stanów — rzekła Barbara, gdzieś w Labiryncie Dedala. — Za dwa tygodnie są urodziny Dicky'ego (jej syna, nie męża). — Jego osiemnaste urodziny: gdy myślę o tym, czuję się staro. Lecz... zrozum, ty nie musisz wracać, jeśli nie masz ochoty. Możesz tu zostać przez następne dwa tygodnie, w jakiejś spokojnej miejscowości. Wyleżysz się na plaży, poopalasz. Potrzebujesz odprężenia, relaksu. Jeździmy tu i tam, jesteśmy cały czas w ruchu, nie mamy czasu na odpoczynek. Co o tym myślisz?

Elsa zastanowiła się nad tym; ostatnio, zanim coś zrobiła, zanim powzięła jakąś decyzję, głęboko się zastanawiała. — Tak, dobrze — odparła po dłuższej chwili. — Zostanę.

— Dasz sobie sama radę — teraz? Elsa rozważyła to: — Dam sobie radę.

Przed odjazdem Barbara znalazła odpowiednią plażę na Cykladach: piaszczysty cypel otoczony wietrzącym klifem, otulony bezkresnym morzem. Nie było tu luksusowych hoteli ani lotniska. W zamian za to był jeden jedyny prom, w opłakanym stanie zresztą, zawsze przepełniony; wioska rybacka raczej bez atrakcji turystycznych, willa z werandą oplecioną dzikim winem i łazienką z niegroźnymi jaszczurkami. Właścicielka знаła zaledwie kilka słów po angielsku, stąd Elsa uśmiechała się częściej, niż to zwykła czynić, żeby okazać, iż wszystko jest w porządku.

Łapała jaszczurki, bardzo ostrożnie, i wyrzucała je przez okno. Jadała śniadania na werandzie pod baldachimem z liści winogronowych — czarna kawa (nescafe, nie grecka) i plasterki melona — a obiad w maleńkiej restauracyjce, siedząc samotnie w kącie nad talerzem ze smażonymi kała-marnicami, grecką sałatką, książką. Nikt jej nie zanudzał.

Na plaży spotkała pewną dziewczynę. Sezon dobiegał końca, pozostało już niewiele tyrystów, a cypel Elsy był dość daleko od głównej plaży i stosunkowo trudny do zdobycia. Pierwszego dnia nic nie zakłócało jego ciszy. Dziewczyna zjawiała się w dzień później. Elsa pomyślała, że może zauważyła ją na promie, a może po prostu zwiedzała wyspy, jej opalenizna miała odcień ochry — taki, jaki zdobywa się po całym lecie spędzonym na słońcu. Jej własna zaś była sprawą dyskusyjną, Elsa była ostrożna, nie obyło się bez kremu ochronnego. Dziewczyna miała bambusową matę do leżenia oraz nosiła odważne bikini, które zrzucała w czasie opalania. Miało śliczny kolor — stonowana zieleń, przechodząca w kolor pomarańczy, na staniczku barwy te były jakby wyblakłe. Elsa pomyślała, że to fantastyczne bikini musiało być cholernie drogie. Włosy dziewczyny były bądź naturalne, bądź farbowane — pasemka blond, ze schodzącą trwałą i mistrzowskim strzyżeniem — z którego już niewiele zostało. Sprawiała wrażenie stałej bywalczyni tych okolic, w przeciwieństwie do Elsy. Trzeciego dnia pomachała do niej.

— Z pewnością jesteś tu od dawna — zauważyła Elsa.

— Tutaj?

— Na wyspach.

— Tak — odparła dziewczyna. — Bardzo długo. Wcale nie była z tego powodu zadowolona, jakby coś

ją gnębiło. Wyglądała na zmęczoną, zupełnie wyczerpaną, niczym wygnane Cyganiątko skazane na dozgonną tułaczkę, wędrujące z jednej plaży na drugą, z jednej wioski rybackiej — do drugiej, identycznej, błędzące na zatłocz-

nych promach w labiryncie szlaków morskich między wysepkami, to znów po zielono-złotyach odcinkach lądu. Elsa miała wrażenie, że dziewczyna przyjechała tu, żeby się ukryć, żeby uciec, i teraz jej kryjówka stała się więzieniem — skąpanym w bezustannym słońcu, przesyconym nadmiernym spokojem i niezmaconą ciszą. Niczym raj, raj na ziemi. Ona jednak była znużona, zmęczona długą rozpaczą, jej wspaniałe ciuszki zatraciły swój blask, pieniądze się prawie kończyły. Uciekała donikąd i już teraz, pomyślała Elsa, błędziła w kółko, nie mogąc się pozbierać. Chwilowa fanaberia oczywiście, wrażenie chwili. Ale przecież ja także uciekam, uciekam za modą. Z tą myślą, ulotną jak mrugnięcie powieką, niczym kropla zimnej wody nagle spadająca na szyję, uznała w niej pokrewną duszę.

Czwartego dnia plotkowały jak stare znajome. Dziewczyna pytała, Elsa odpowiadała. Nie było w tym nic dziwnego. Myślała o nauce płynącej z opowieści CS. Lewisa o magicznym lesie, zwanym Lasem Pomiedzy Światami. Miejsce to przypominało go właśnie, było poza zasięgiem czasu. Właśnie tu, ona i ta dziewczyna, mogły spotykać się i rozmawiać bez końca, może mogłyby się zaprzyjaźnić, odkryć przed sobą najskrytsze tajemnice, otworzyć serca; potem mogłyby się rozłączyć, podążyć własnymi drogami, żyć własnym życiem i nie spotkać się już nigdy więcej. Takim to złudzeniem oddawała się Elsa, lecz dziewczyna tego nie zauważała.

— Jesteś na wakacjach? — zapytała.

— Przypuszczam, że tak. — Elsa leżała na brzuchu, wpatrując się w bezkresne morze; nawet nie spojrzała na swoją sąsiadkę. — Moja ciotka zostawiła mnie tutaj, żebym nabrała sił po licznych przejściach życiowych. — Po chwili dodała: — Tak przynajmniej mówią ludzie w Nowym Jorku.

— Nigdy nie byłam w Nowym Jorku — zauważyła dziewczyna z nutką ciekawości w głosie. — Mieszkałam w Paryżu.

— Gdzie teraz mieszkasz?

— Tu. Tam. Wszędzie. Gdziekolwiek jestem w danym momencie.

Nastąpiła długa przerwa w rozmowie, wypełniona szumem morza, powiewem wiatru, odgłosem fal, których kropelki roztaczały delikatną mgiełkę nad rozgrzanym piachem. Wreszcie dziewczyna zapytała: — Co było przyczyną twojego załamania?

Elsa zawahała się. Nie — tym razem będzie powściągliwa.

Odparła w kilku słowach: — Zakochałam się.

— Aż tak?

— Tak — bardzo; tak myślałam. Wtedy tak myślałam. Lecz... nic nie jest tak łatwe, jak się wydaje.

— Nawet we własnej wyobraźni — rzekła dziewczyna. — To wciąż boli.

— Hm. Zapewne. To musiało boleć. Dokładnie nie przypominam sobie. Widzisz, dowiedziałam się, że żyje jeszcze z kimś innym — z mężczyzną. Pojechałam, żeby go odwiedzić — a on, ten facet — był w kuchni. Gotowali sobie kolację. Grant zachowywał ustaloną kolejność: najpierw seks, potem jedzenie. Na desce do krojenia leżał nóż. Dźgnęłam go.

— Twojego kochanka?

— Nie. Tamtego.

Nastąpiła cisza. Plusk wody morskiej. Ważka przeleciała nad plażą jak mikroskopijny patrolujący helikopter.

— Brawo — rzekła dziewczyna.

Elsa wsparła się na łokciu, wpatrując się w dziewczynę. Nikt nigdy tak jej nie powiedział.

— Naprawdę tak myślisz?

— Oczywiście. Zrobiłabym tak samo, gdybym miała tyle odwagi. Czy on umarł?

— Nie — rzekła Elsa. — Wydaje mi się, że miałam szczęście. Nie zamknęli mnie. Po czym dodała: — Psychiatrzy stwierdzili, że straciłam rozum. Nawet moja ciotka

tak myśli. „Morderstwo w stanie zakłócenia równowagi umysłowej — coś w tym rodzaju. Atak szału. Niektórzy nasi przodkowie byli trochę szurnięci.

— Nie sądzę, abyś była szalona — zaprzeczyła dziewczyna. — Uważam, że jesteś zupełnie normalna. Tym razem cisza była wyrazem zrozumienia. Ważka wróciła, dokonując ponownego rozpoznania terenu. Elsa pamiętała, że w historii o Lesie Pomiedzy Światami było miejsce, gdzie zlewała się granica między przeszłością a przyszłością, nawet twoje własne imię było zapomniane. Czuła duży dystans do samej siebie, zarówno Elsy, jak i Elspeth, nawet do dziewczyny na plaży. Jakiegokolwiek dziewczyny. Jakiegokolwiek plaży. Przypuszczała, że jej spowiedniczka czuje to samo.

— Czemu tu jesteś? — zapytała od niechcienia.

— A czemu by nie?

— Wczoraj — rzekła Elsa — zastanawiałam się, czy aby nie próbujesz uciec. Tak jak ja.

— Może. — Dziewczyna lekko się uśmiechnęła. — Mam kłopoty. Zawsze je mam. Ucieczka od kłopotów... jak u ciebie. — W miarę gdy mówiła, jej głos się zmieniał, stawał się delikatniejszy, cichł, Elsa prawie jej nie słyszała. — Tak jak ty.

— Co to za kłopoty? Masz ochotę mi o tym powiedzieć?

— Oczywiście — rzuciła obojętnie dziewczyna. — Związałam się z mężczyzną, który się zastrzelił. Szycha w rządzie francuskim, Z pewnością czytałaś o tym. — Elsa nie czytała. — Wiem, że moglibyśmy dopatrzeć się w tym mojej winy, więc uciekłam. — A teraz nie mam dokąd pójść.

Nie powiedziała tego, ale czuło się, że to stwierdzenie wisi w powietrzu.

— Czy była to twoja wina? — Zapytała Elsa.

— Częściowo. — Szczerść za szczerść, Elsa nie nalegała. — Powiedział, że mnie kocha. Chciałam, by zostawił żonę. Odparł, że to zrujnowałoby jego karierę. Zwykła kolej rzeczy. Jedynie... nigdy bym nie wpadła na

to, że może popełnić samobójstwo. Nie wiedziałam, że żona tak wiele dla niego znaczyła. A ja — tak mało.

— Gdy ktoś popełnia samobójstwo — rzekła Elsa zachowując dystans, jak tamta przedtem — to jego własny wybór. Jego przegrana. Idiotycznie oskarżać za to kogoś innego. I ty też nie możesz się za to winić, absolutnie.

— Nie robię tego — odparła dziewczyna niezwykle szybko. — No, może próbuję tego nie czynić. — Po chwili dodała: — Dziękuję.

Elsa nic nie powiedziała. W tej sytuacji słowa nie były potrzebne. Leżały obok siebie w boskim słońcu, co chwilę zmieniały pozycję ciała. Smażyły się niczym ryby na grillu. Dziewczyna posmarowała tonikiem plecy Elsy. Elsa odwzajemniła się resztką oliwki, lecz zakodowała sobie w pamięci, że musi się o nią postarać. W wiosce był sklepik. Dziewczyna wyciągnęła puszkę piwa. Było ciepłe, miało posmak piasku i chociaż Elsa nie lubiła piwa, to jednak wypła je. — Dziwny zbieg okoliczności — zauważyła — to całe nasze spotkanie. Obydwie uciekłyśmy przed czymś. Od przemocy. I od mężczyzn.

— Być może to wcale nie jest zbieg okoliczności — odparła dziewczyna. — Może to przeznaczenie. Gdy mówiła te słowa, Elsa doznała czegoś w rodzaju *deja vu* — to uczucie już kiedyś poznała. Tylko w innych okolicznościach. Uczucie bycia częścią czegoś, ułamkiem w Wielkim Bilansie, tancerzem w tańcu życia. Ale dopiero tym razem poczuła jakąś zewnętrzną siłę — boską, piekielną, może swojej podświadomości, coś, co nią kieruje, a czego nie jest w stanie pojąć. Jednym słowem, wygadała się, zdradziła tajemnicę. Nigdy w życiu nie wspomniałaby o zbiegu okoliczności — prowadził on do przeznaczenia — do fatalizmu. A fatalizm hipnotyzował umysł i podjudzał wolę.

Wciąż jednak nie był to Michael O'Hara. To była tylko dziewczyna z plaży. Jakaś dziewczyna. Jakaś plaża. Morze tuliło się do lądu jak przebudzone kocię, które poczuło

zapach mleka. Elsa była oczyszczona ciepłem i słońcem, skapana w eterze i spokoju. Po co martwić się przeznaczeniem, na plaży w Grecji.

— Mam na imię Elsa — przedstawiła się nagle. — Jestem Elsa Van Leer.

— A ja Nicky Simpson — odparła dziewczyna. Nastąpiła pauza — inna niż wszystkie dotąd.

Przeciągała

się. Stała się wręcz przerażająca.

— Myślę, że znałam twoją siostrę. Kiedyś.

Elsa, opanowawszy się nieco, uświadomiła sobie, że ma mieszane uczucia. Nicky, jaką sobie kiedyś wyobrażała — Becky Sharp z dużymi oczami, przepełnionymi łagodnością — zniknęła zupełnie.

Pozostał zaś posmak wątpliwości, przelotny błysk braku zaufania, chciała to przewyciężyć — jak jej siostra — poprzez okazywanie większej przyjaźni, niż wymagała tego sytuacja, dodatkowej kropli wspaniałomyślności lub wiary. Nicky bądź co bądź była łącznikiem z przeszłością, dowodem pamięci. Była kiedyś przyjaciółką Diany i Elsa, rozmawiając z nią, mogła przywrócić siostrę do życia. Stąd przez następne dni opowiadała o Dianie — ukochanej córce, równej bliźniaczce — bojąc się powiedzieć zbyt dużo, wstydząc się powiedzieć zbyt mało. Wylegiwały się na plaży lub siadały w prymitywnej restauracji, gdzieś w rogu, opróżniając butelkę wina, lemoniady lub mleczka kokosowego, czasami w milczeniu, czasami długo rozmawiając. Elsa nie dawała się ponieść osobistym objawieniom, zresztą Nicky nie sprawiała wrażenia zbyt zainteresowanej ani szalenie ciekawej. Słuchała automatycznie, prawie leniwie - niczym jaszczurka wylegająca się na rozgrzanej słońcem skale, z przymrużonymi oczami, jakby czyhając na żuczka, który miał się wyłonić z gęstej trawy. Oczywiście zwykle tak bywa, że gdy żuczek znajduje się wystarczająco blisko, jaszczurka połyka go na obiad; lecz Elsa mało wiedziała o prawach dżungli. Stopniowo nawet wątpliwości poszły w niepamięć, lub po prostu o nich nie pamiętała. Pewnego dnia wydało się jej, że Nicky patrzy na nią, oczami Diany, szarymi oczami zmieniającymi się w niebieskie, kontrastując z oliwkową opalenizną.

Powiedziała to Nicky i Nicky się roześmiała — śmiech urwał się nagle, jakby obawiała się, że było to w złym guście. Elsa zapamiętała ten śmiech.

— Ciekawa jestem, czy to szczęście, czy nieszczęście — rzekła Nicky — czyjeś oczy. A... czyjeś ręce? Czyjeś przeznaczenie? Czyjeś serce?

Elsa zastanawiała się. Morze było rozespiane, a Nicky zdawała się mówić do siebie, pytanie dręczące świadomość Elsy rozmyło się, było w tej chwili bez znaczenia.

Czas płynął. Ostatniego wieczoru Elsa podała Nicky swoje adresy: w Londynie i Nowym Jorku, przypuszczając, że zostaną i tak nie wykorzystane. Zwykły rytuał kończących się wakacji. — Powinnam powiedzieć, że napiszę — rzekła Nicky — ale nie powiem.

— Wiesz, gdzie będziesz? — zapytała Elsa.

Nicky roześmiała się tajemniczo; miała małe usta, lecz potrafiła wyczarować z nich tysiące różnych uśmiechów. — Och, gdziekolwiek, gdzie tylko rzuci mnie wiatr — odparła.

Elsa wiedziała, że dziewczynie prawie skończyły się pieniądze, lecz nie protestowała, gdy Nicky nalegała, by uregulować rachunek za obiad. Był to szalony gest przelotnego koleżeństwa, trochę święty. Rankiem Elsa poszła do Nicky, do willi, z której jeszcze nie zdążyła się wyprowadzić, i wsunęła jej pod drzwi kopertę. Było w niej pięćset dolarów w banknotach pięćdziesięciodolarowych. Po prostu gest. W swojej naiwności martwiła się, czy aby Nicky nie weźmie jej tego za złe, i czuła się upokorzona.

Odjechała bez słowa pożegnania.

Sześć miesięcy później, w Nowym Jorku, pieniądze jej zwrócono. Pięćset dolarów w banknotach pięćdziesięciodolarowych. Przyszły pocztą z Anglii, bez żadnego listu,

żadnej wiadomości, nawet bez zwykłej widokówki. Elsa, w roztargnieniu, przekazała je na konto i oczywiście zapomniała o nich.

Elsa wróciła do Anglii wiosną 1984 roku. Teraz uznała, że był to tylko chwilowy wyjazd, aby znowu pojawić się tutaj. I chociaż to, co zrobił z nią Grant, zraniło ją bardzo, to jednak wzięła się w garść, odzyskała siebie samą, prawie nietkniętą. Dało jej to siłę i pewnego rodzaju wiarę w siebie. „Brawo”, wyraziła się Nicky. Słowa te były jej bronią przeciwko wszystkim psychoanalitykom i litości będącej przejawem najlepszych intencji. Miała swoją wystawę obrazów i rzeźby funkcjonalnej: dzięki nazwisku Van Leer cieszyła się ona wielkim zainteresowaniem; dzięki zwiedzającym — połowa prac została sprzedana. Posiadanie tych pieniędzy — pierwszych, jakie sama zarobiła — było najwspanialszą rzeczą, jaka się jej przytafiła. Przez całe swoje życie miała pieniądze, nie w kieszeni, lecz w banku, w towarze, nieruchomościach, gruntach i prestiżu; mnóstwo pieniędzy* bezpieczne, solidne ściany dookoła siebie, zamykające jej świat, trzymające ją jak w więzieniu, strzegące jej, izolujące ją. Lecz te pieniądze były zapłatą za jej własny wysiłek, jej własne twórcze myślenie, były wartością honoru. Mając je, czuła się na siłach, by stawić czoło swemu ojcu; kobieta, z której może być dumny, już nie zależne od niego dziecko. Napisała do niego, kiedy ma jej oczekiwać. Dwa dni przed umówionym spotkaniem przyleciała do domu.

Dlaczego zmieniła datę, nie miała pojęcia. W jej marzeniach ojciec czekał na nią. Być może w obawie przed rozczarowaniem próbowała oszukać swoją fantazję i wrócić wcześniej. Złapała nocny samolot; widziała, jak wstaje słońce nad Atlantykiem, wynurza się z chmur, czerwone na czerwonym niebie. Stewardessa przyniosła jej śniadanie, którego nawet nie tknęła. Schodzili na lotnisko w Heathrow, zatapiali się w chłodnym blasku wiosennego poranka.

Anglia. Serce biło jej mocno, czy to ze strachu, czy tak, na wszelki wypadek, tego nie była pewna. Jestem inna, mówiła sobie: teraz wszystko stanie się inne. Odjechała jako Elspeth, wróciła jako Elsa. Elspeth była koszmarnym straszidłem w skórze dziewczyny, z pajęczymi rękami, rozczochranymi włosami, ubrana w szmaty, których woli nie pamiętać. Elsa miała figurę modelki, ułożoną fryzurę. Twarz prosto z salonu kosmetycznego, sweter projektu mistrza Umberto Ginocchettiego. Kurtka z imitacji zebry, z wysokim kołnierzem i metalowymi ozdobami w jakiś sposób przypominała — i była w tym lekka ironia — skórzaną kurtkę do jazdy na motorze z jej młodszych lat. Ciemne okulary przeciwsłoneczne skrywały oczy. Czowała się wspaniale, choć cała spięta — dzięki Bogu, była incognito.

Taksówka dowiozła ją do Knightsbridge; dozorca wyładował jej bagaż. — Panna Van Leer — krzyknął. — Nie poznałem pani. — A w drodze do windy: — Pani ojciec zostawił klucze. Przybyła pani trochę wcześniej, nieprawdaż? Być może będzie mogła to pani zrobić, mimo wszystko. — Co zrobić? — zdziwiła się Elsa.

Zamknęła drzwi zostawiając walizki w salonie. O telefon była oparta koperta, zaadresowana na jej nazwisko. Rozdarła ją szybko drżącymi palcami. Wewnątrz znajdowała się kartka papieru biurowego — z kilkoma linijkami odręcznego pisma. Olbrzymia, silna ręka używająca wiecznego pióra i czarnego atramentu: boleśnie znajoma. Ręka jej ojca.

„Droga Elspeth, wyjechałem na dwa tygodnie, w podróż poślubną. Ożeniłem się 15-go w St.John's, Churston; przykro mi, że nie mogłaś tam być. Pozdrawiam, Rupert”.

Cała zeszywniała. Marzenia uleciały; zaufanie, wiara, nadzieja przepadły w otchłani. Gdzieś w najdalszym zakamarku jej świadomości krył się wyrzut: nie mógł, nawet nie mógł podpisać się „Tatus”. Tylko sucha informacja, automatyczne przeprosiny: bezosobowe, jak memorandum.

Nigdy nie miała tatusia. Osłupienie przeszło w dreszcze; oparła się o biurko, nie mogła ustać na nogach, wciąż patrząc na list, czytając tam i z powrotem, w kółko, aż wreszcie słowa stały się bez znaczenia, bezwartościową bazgraniną, obcym językiem.

Minęło dużo czasu, zanim odkryła znaczenie daty. Piętnasty. Dzisiaj. Oczywiście: ojciec myślał, że przybędzie siedemnastego, po tym.

— Być może będzie pani mogła to zrobić, mimo wszystko...

Musiała coś zrobić. Rozglądała się z ożywieniem po mieszkaniu, jakby oczekiwała, że nagle, na jej życzenie, pojawi się przed nią superszybki pojazd. Myślała o opóźnionych pociągach, bezsensownych taksówkach, o wielkim fordzie mustangu, jaki prowadziła w Ameryce... Samochód. Ojciec musi mieć samochód w garażu. Rzuciła się do drzwi, zawahała i podbiegła do telefonu. W Churston Grange odpowiedział nowy gospodarz. Ślub był o drugiej. Spojrzała na zegarek — zostało trochę więcej niż półtorej godziny. Rzuciła słuchawkę, nie patrząc, czy trafiła na widełki. Wypruła jak strzała. Drzwi zatrzęsły się za nią.

Na dole dozorca dał jej kluczyki do drugiego samochodu Ruperta. Aston Martin koloru czarnej kawy; nie widziała go przedtem. — Jest ubezpieczony na panią, nieprawdaż? — zapytał wyczekująco.

— Pieprzę ubezpieczenie — palnęła Elsa. Nacisnęła sprzęgło, dodała gazu i już jej nie było.

Przyjechała do kościoła w minutę albo dwie po czasie. Znała drogę od dziecka. Prowadziła ten obcy samochód z wrodzoną brawurą, nie zważając na przepisy obowiązujące na szosie. Tylko jedno długie zadrapanie w boku karoserii, ale nikomu nic się nie stało.

— Nie, nie mam zaproszenia — powiedziała odźwiernemu. — Jestem Elsa Van Leer.

Nazwisko i dźwięk jej głosu wywołały poruszenie w najbliższych rzędach. Głowy odwróciły się w jej kierunku. Przeszła między ławkami: jej nieodpowiednia zebra i czarne spodnie przyciągały ciekawe spojrzenia, były powodem syczących komentarzy. Nie zauważyła tego. Wszystko, co widziała — to mężczyzna czekający przy ołtarzu: tył jego głowy, bez kapelusza, wyrazisty; lwia grzywa z odcieniem siwizny, staranniejszą niż zwykle wymodelowana, olbrzymie ramiona — wszyscy wokół byli karzełkami. Jej ojciec. Gdy podeszła bliżej, opuściła ją furia, zostawiając mdlącą pustkę. Czuła się jak ogłuszona, wręcz obłąkana desperacją; nie miała planu działania, nie miała pojęcia, co powiedzieć, co robić. Teraz zdała sobie sprawę, że nie ma nic do powiedzenia, nic nie może zrobić. Nie mogła podejść do ojca i ofiarować mu miłości, nie mogła poprosić o nią, życzyć mu szczęścia, nawet powiedzieć „halo”. Na widok jego pleców ogarnął ją strach, bezsensowne pragnienie, umierająca nadzieja. Zaszyła się kilka rzędów z tyłu. Ludzie, których nie знаła, robili coś, mówili coś, czego nie słyszała. Ścięło ją z nóg. W tym momencie zrozumiała, że Elsa Van Leer była tylko maską: pod doskonałym makijażem, szykownymi ciuzzkami ona sama była wciąż tą samą Elspeth. Odrzucaną, samotną, na zawsze brzydką. Ludzie gapią się na nią, może dostrzegają jej prześwitującą brzydotę, wstrętny nos, posępne usta — dziecko zamienione przez wróżkę jest wśród nich, między nimi. Skoncentrowała się na ołtarzu, wspaniale udekorowanym kwiatami. Organista zaczął grać marsza weselnego z *Lohengrina*. Każdy chciał ujrzeć pannę młodą. Elsa była tak zaabsorbowana swoim ojcem, że zapomniała o pannie młodej. Odwróciła się.

Ujrzała białą jedwabną sukienkę, zupełnie prostą: dziewczęca księżniczka przybyła, aby spotkać swego księcia. Ręce miała ukryte pod olbrzymim bukietem, gęsty welon zasłaniał jej twarz. Lecz Elsa była święcie przekonana, że dziewczyna jest młoda, raczej w jej wieku. Poprzez pół-

przezroczysty szyfon dostrzegła czerwonozłote włosy — kolor Diany, pomyślała, czy to aby nie przeznaczenie. Kiedy orszak ją minął, poczuła na swoich włosach iskrzący wzrok, a może jej się tylko wydawało.

Panna młoda podeszła do ołtarza. Organy zagrzmiały jeszcze głośniejsze, pastor w uroczystym stroju czekał na rozpoczęcie ceremonii. Wolniutko panna młoda uniosła welon i spojrzała na pana młodego. Włosy Diany wokół dziewiczej bladej twarzyczki, usta zbyt małe, ciemnoszare, zbyt szeroko rozstawione oczy.

Nicky.

CZEŚĆ DRUGA

VI

Nicky Simpson o matce wiedziała niewiele, ojca nie znała w ogóle. W metryce miała napisane: Nichola Simpson, z błędem, miejsce urodzenia: Leeds, ojciec: „nieznany”. Muriel Simpson oczywiście wiedziała, kto nim był, lecz nigdy nie wyjawiała tego sekretu, trzymając swoją małą buźkę na kłódkę; z czasem jej usta stały się coraz drobniejsze, ściągnięte licznymi zmarszczkami. Nicky odziedziczyła tę małą buźkę, lecz nawet jako mała dziewczynka czyniła z niej inny użytek, strojąc dziwaczne miny do matki lub uroczo uśmiechając się do nieznajomych. Nie była ślicznym dzieckiem, lecz miała w sobie ukryty czar, którym przyciągała uwagę dorosłych: blada twarzyczka, perkaty nasek, proste drobne włoski, okrągłe smutne oczy. Szalenie drobnutka z natury, sprawiała wrażenie kruchej i delikatnej, nawet gdy była już dorosła i wysoka (pięć i pół stopy). Szybko nauczyła się kłamać. Matka nie robiła tego tak dobrze. Mała Nicky miała dobre ucho i równie dobrą pamięć; ciągle przyłapywała matkę na tym, że przeczy samej sobie lub po prostu płacze się w nieściskościach. Odbierając córkę ze szkoły Muriel zgodziła się z inną matką, że owszem, cukiernia na West Street jest najlepsza — nigdy nie jadła tak pysznych czekoladowych ciasteczek; dwa tygodnie później zmieniła zdanie, decydując się na East Street. Czekoladowe ciasteczka wydawały jej się teraz za tłuste i nadmiernie naszpikowane bakaliami i różnymi olejkami. Owa kobieta, zajęta własnymi sprawami, niczego nie zauważyła, lecz Nicky — tak. W rzeczywistości-

tości nigdy nie jadały ciastek, no, może wyjątkowo, gdy byli goście. Nicky, krytycznie nastawiona do komedii granej przez matkę, pojęła w lot, że ciasteczka są rzeczą zasadniczą przy herbacie i należy udawać dalej. Muriel kłamała kiepsko, bezmyślnie, gadając, co jej ślina na język przyniesie; Nicky zaś była w tym perfekcjonistką, kłamała jak z nut, ucząc się na błędach matki.

— Weselny tort czekoladowy.

— Weselny tort nie jest czekoladowy — sprostowała jakaś dziewczynka, bardziej doświadczona. — To jest tort owocowy, oblany grubym białym lukrem. Próbowałam u mojego kuzyna. Okropność.

— Tym razem był to czekoladowy tort weselny — upierała się Nicky. — Przekładany czekoladową masą, obsypany wiórkami czekoladowymi.

Później do tortu weselnego odnosiła się z rezerwą, mając w pamięci, że winien być oblany twardym lukrem, mało tego, upiększyła całą historię z kuzynem, kościołem i swoją osobą w roli druhny. Lecz w duchu była rozczarowana: tort weselny powinien być najpyszniejszym tortem na świecie, a to znaczyło — czekoladowym. Próbowała wyciągnąć od matki, jaki ona miała tort w dniu swojego ślubu, lecz Muriel ją zbyła: „normalny”; miała przy tym taki wyraz twarzy, że Nicky od razu domyśliła się, że kłamie, lecz nie nalegała. Ona nie ma pojęcia, stwierdziła Nicky, nigdy nie miała weselnego tortu. Stopniowo nawarstwiały się skojarzenia, wkradając się w jej podświadomość. Miała dwanaście lat, gdy po raz pierwszy ujrzała swoją metrykę — włamała się do szuflady matki w poszukiwaniu lokówki. Jediną rzeczą, jaka ją w tym dokumencie zaskoczyła, była wzmianka o Leeds. Muriel nigdy nie rozmawiała o domu czy rodzinie. Po urodzeniu nie chcianej córki przeprowadziła się na przedmieścia południowego Londynu, zostawiając za sobą przyjaciół, krewnych, niełaszkę otoczenia i wyrządzone sobie szkody. Nazywała siebie Mrs, nosiła obrączkę, brała każdą

robotę, aby móc zapłacić czynsz i ustrzec się od ingerencji pomocy społecznej. Być może był to rodzaj dumy (była już za stara, by myśleć o tej formie pomocy finansowej, udzielanej przez rząd stanowy); a być może nie chciała zdradzać szczegółów swego osobistego życia. Utrzymywała mieszkanie w czystości, ale nie tak nienagannie, jak tego pragnęła: dużo pracowała i na porządki domowe nie starczyło jej sił. Nicky musiała jej pomagać, a przynajmniej tego od niej wymagano. Początkowo odkurzała, ale potem stała się mistrzynią w zmiataniu śmieci pod dywaniki, zaniedbywała kąty i inne szczegóły. Muriel marzyła o własnym domku na wsi, ze lśniącymi szybami w oknach, o ogrodzie pełnym dali, z widokiem na zielone pagórki, ale oczywiście to było niemożliwe. Na wsi nie było pracy i nigdy nie mogłaby sobie pozwolić na kupno własnego domu. Ale gdy nadarzyła się taka okazja, nie była szczęśliwa. Mówiła ludziom, że to scheda po babce, a Nicky, studiując jej zachowanie z dziecięcą bystrością, uznała, że tym razem była to prawda. Długie lata, podczas których rozważnie filtrowała prawdę od fałszu w opowieściach matki, wyszkoliły ją w analizowaniu każdego niuansu: mogła wskazać najmniejszą nieuczciwość niczym igłę w stogu siana. Nie chciała opuszczać Londynu, ale wiedziała, że jej zdanie nie ma żadnego znaczenia. Matka wciąż mówiła o dobrodziejstwach wiejskiego życia, świeżego powietrza i o wyzwoleniu Nicky od złego wpływu, jaki miała na nią jej ówczesna szkoła. To ja jestem ta zła, myślała uparcie Nicky, i mam zamiar rozsiewać ten zły wpływ, gdziekolwiek będę.

W Witherndean ów wymarzony domek nie okazał się niczym specjalnym — trzy pokoje na górze, dwa na dole za sklepikiem z łakociami i gazeciarnią. Wszędzie była wilgoć. Jedynie Muriel wiedziała, ile musiała włożyć weń pracy, szorowania i zdrapywania resztek starego gipsu. Wietrzyła, aby usunąć zaduch pleśni, zastarzałe zapachy

gotowanych warzyw. Stopniowo Muriel opuszczała wizja nieskazitelnej czystości, sprzątała tylko wtedy, gdy było to konieczne, a wieczorami siadywała z kłębkim wełny w oknie wychodzącym na Coronation Street i zajmowała się robótkami. Mogłaby robić bambosze dla dzieci, ale nie miała nikogo chętnego na nie, więc pozostała przy swetrach — kardiganach dla siebie i pulowerach dla Nicky. Nosila kardigany; Nicky lubila pulowery. Sklep cieszył się powodzeniem, gdyż był otwarty do późnych godzin wieczornych, ale rzadko uśmiechała się do swoich klientów, mówiąc jedynie „Halo” i ograniczając się do tematu pogody. Jej wygląd, zawsze mało zadbany, z dnia na dzień pozostawiał coraz więcej do życzenia. Szminka podkreślała tylko łamiącą się linię warg, a nieudolnie dobrany puder był niczym kurz na jej policzkach. Była wyczerpana, nie fizycznie, lecz psychicznie, zmęczona staraniami, zmęczona kłamaniami, zmęczona zabiegami o córkę, której zaakceptowania się wstydziła — wstydziła się ją pokochać. Mogłaby oddać dziecko do adopcji, ale nie wierzyła w adopcję. Mając Nicky przy sobie, była w stanie odpokutować za wszystkie grzechy, jakie dotąd popełniła lub na jakie miała ochotę; ale zarówno pokuta, jak i zamiary zamazywały się i rozmywały; coraz wyraźniej widziała w swoim dziecku nie niewinny uboczny produkt grzechu, lecz dokuczliwą pozostałość tego grzechu, grzechu samego w sobie — symbol winy, może nawet kary. Dlatego karała Nicky, a Nicky karała ją, aż do chwili gdy ostatnie okruchy miłości między nimi zostały do reszty zniweczone. Gdy Nicky była małym dzieckiem, całe jej uczucie, całe jej nadzieje i marzenia obracały się wokół ojca. Wykreowała go na podstawie wielu książeczek, bajek, baśni jako miłego przystojnego arystokratę, zmuszonego porzucić jej matkę dla drugiej kobiety, której nigdy nie kochał — aby żyć w olbrzymim pałacu w otoczeniu służby czekającej na rozkazy swego pana, pogrążonego w bezgranicznym pragnieniu ujrzenia dziecka, którego nigdy nie

widział. Pewnego dnia ta druga kobieta może zginie w wypadku samochodowym bądź ucieknie ze swoim żigolakiem, a wtedy on będzie mógł wrócić i zaopiekować się nią. Kiedy tak myślała o jego samotności w wielkim domu, w blasku kandelabrow, wśród drogocennych dywanów, prawdziwe łzy cisnęły się jej do oczu. Kiedy znów myślała, że niczym promyk słońca mogłaby rozświetlić jego życie, rozwiać mroczną barierę jego nieszczęścia, wzbudzić zachwyty całej jego świty — od głównego lokaja aż do chłopca na posyłki — jej serduszko biło coraz szybciej, doznając złudnego szczęścia. Matki w jej wizji nie było. Nicky siedziała wraz z ojcem przy okrągłym, wypolerowanym niczym lustro stole, pijąc koktajl truskawkowy ze srebrnego pucharka, a za oknem był zielony park i wieczna wiosna. Jej marzenia były jej światem, istniała w nim latami, wychowywała się w nim, doskonaliła go sobie tylko wiadomymi sposobami. Gdy Muriel zostawiała otwarty prospekt na zdjęciu ze wspaniałym dworkiem, to tylko dlatego, że to przypominało jej owo wymarzone miejsce, w którym chciałaby mieszkać. Kiedy kupowała tanią książkę z przystojnym bohaterem na obwolucie, to tylko dlatego, że on tak wyglądał. Nicky była zupełnie pewna, i wszystko to tylko utwierdzało ją w tej pewności. W szkole była bystra i chętna do nauki, chcąc w ten sposób zostać córką, z której mógłby być dumny jej ojciec. Nauczyciele zaś uważali to za przejaw ambicji i dużo od niej wymagali. I wtedy, gdy miała siedem lat, a może osiem, nadszedł taki dzień, w którym już dłużej nie mogła utrzymać swoich sekretów w tajemnicy. Całą historię ubrała w takie szczegóły, że jej powiernicy byli szczerze zaskoczeni. Inni koledzy z klasy — nie. Pod koniec tygodnia Nicky tylko płakała; wychowawczyni klasy, głęboko zaniepokojona, wezwała Muriel, wezwała do szkoły. — To prawda — szlochała Nicky. — To prawda. To prawda. — Ona zawsze plecie bzdury rzekła Muriel ni to w złości, ni to z obawy. Nie mam pojęcia, co takiego złego robię.

To prawda! - upierała się Nicky. Zawsze kłamiesz. Mówisz same kłamstwa...

W domu, wyczerpana i zawiedziona, Nicky musiała natychmiast iść spać. Później, gdy Muriel spojrzała na nią, zapytała cichutko: — Mamusiu, gdzie jest mój tatuś? — W duchu zaś pomyślała: ja mam tatusia, na pewno. Ale gdzie on jest?

— On nie żyje — powiedziała Muriel, a jej głos był nienaturalnie matowy.

Nicky więcej nie pytała. Od razu wiedziała, bez żadnych wątpliwości, że to kłamstwo, lecz coś w tym matowym głosie matki ją przestraszyło. Była zbyt młoda, by rozpoznać w nim rozpacz; mogła tylko poczuć gorycz matczynej duszy, gorycz, która wylewała się na zewnątrz i dotykała jej ciała, obracając w niwecz wszystkie marzenia. Nie było ani dużego domu, ani bezkresnego ogrodu, ani srebrnych koktajlowych pucharków. Prawda — czymkolwiek była — okazała się czymś nudnym i pustym, okrutnym światem dorosłych. Nic już nie chciała wiedzieć. Prawda zawsze zabija marzenia: prawda była zbyt ponura, była samotnością, opuszczeniem, była zanikającym snem, podwieczorkiem bez ciastka, osieroconym przez ojca dzieckiem. W przyszłości, bez względu na to, co będzie opowiadała o ojcu, już nigdy sama w to nie uwierzy. Strata była zbyt bolesna.

W klasie nauczyciele po jakimś czasie spostrzegli, że przestała uważać na lekcjach. Gadała, wierciła się, przeszkadzała kolegom. Jeżeli czegoś się nauczyła, to tylko przez przypadek. Uważano ją za zagrożoną, z czego była bardzo dumna: nie miała wielu powodów do dumy. Zrobiła się nieprzyjemna, nadąsana, nieposłuszna, a nawet opryskliwa. Gdy w rok lub dwa później Muriel zdecydowała się na przeprowadzkę do Witherndean, nauczyciele byli z tego powodu bardzo zadowoleni.

W tym czasie wyobraźnia Nicky stała się jej światem. Matka nie chciała, aby dziewczynka bawiła się na ulicy,

więc długie wieczory spędzone w domu — bez koleżanek, bez telewizora — wykształciły w niej nawyk czytania. Szybko porzuciła niewinne bajeczki dla powieści przygodowych, pożyczając je od znajomych, często na „wieczne nieoddanie”, a także czytała wszystko, co miała pod ręką w miejskiej bibliotece dla dzieci. W Witherndean odkryła sklep z używanymi przecenionymi książkami w rozpadających się oprawkach, co jej zupełnie nie przeszkadzało. Właściciel, szalenie miły człowiek, szybko poznał, w czym gustuje, i zawsze odkładał dla niej Malcoma Saville lub Enid Blyton. Najbardziej lubiła czytywać historyjki ze szkolnych lat młodych panienek, złotowłosych piękności, o kocich niebieskich oczach, które nie grzeszyły miłym charakterem i w końcu dosięgała je zasłużona kara, a także o grzecznych, spokojnych dziewczęciakach, które w pewnym momencie rozkwitały i stawały się najpopularniejsze w klasie. Wciąż zastanawiała się, czy ta ekskluzywna szkoła, tuż obok, nie jest aby z tych książkowych. Razem z innymi dziećmi z podstawówki nazywała tamte „snobkami”, przezywając młodsze, kiedy tylko nadarzyła się okazja, dokuczając im w taki czy inny sposób. Lecz w głębi serca je podziwiała, a nawet im zazdrościła. Co doroślej sze panny odwiedzały czasami sklep jej matki, a ona wpatrywała się w nie jak w obrazek, zafascynowana. Wszystkie miały śliczną cerę, jedwabiste włosy zaczesane w warkocze lub końskie ogony, delikatny, wysoki głos i nienaganną dykcję. Nicky straciła swój akcent z przedmieścia poprzez wyjazd z Londynu, lecz chociaż mogła czasami dla hecy naśladować ich mowę, to jednak nigdy tak naprawdę nie byłaby w stanie mówić jak one. Zabierały ze sobą echo podświadomych pragnień Nicky, pragnień, które nie miały się spełnić, a Nicky widząc, jak odchodzą, odczuwała niedosyt, złość, a także zazdrość i nienawiść.

Gdy dorastała, *What Katy Did* i *The Fourth Form at St. Clare's* ustąpiły miejsca *Forever Amber*, Anyi Seton *Katherine* i kolejnym tomom *Angelique*. Nicky spoglądała

na siebie jak na pewnego rodzaju bohaterkę, bohaterkę, która mogłaby przewyciężyć przeciwności losu, sięgnąć po zaszczyty i szczęście, dzięki swoim zdolnościom i zadziwiającej urodzie. Nie była nadto zachwycona tą swoją pięknnością, ale makijaż zrobiłby swoje, a jasnobrzęde włosy mogłyby stać się bardziej złote i błyszczące, gdyby tylko pozwoliła na to Muriel. Jej oczy nie były ani fiołkowe, ani szmaragdowe, za to były jedyne w swoim rodzaju: szare, twierdziła, szare jak chmury odbijające się w głębi wody, jak kropla deszczu, szare jak wszystko, co szare i romantyczne. Szarość nie była kolorem wzbudzającym zachwyt, lecz Nicky starała się, jak mogła. Widziała siebie przybywającą do Paryża — w jej marzeniach zawsze był to Paryż — ona, piękna i tajemnicza osiemnastolatka, z oczyma szarymi jak głębia wody i długimi srebrzystymi włosami. Mogłaby mieć wielu kochanków, lecz tylko jedną prawdziwą miłość — gwiazdę filmową, księcia, idealnego bohatera. Paryż, jak to sobie wyobrażała, był miastem miłości, romansów — miał coś z Wiktora Hugo i hollywoodzkiego Gay Paree. Jej szkolne prace były odbiciem niesamowitej fascynacji Francją; od matki zaś dostała prawdziwą burę za chęć zrobienia z siebie blondynki. Zamiast włosów blond — wyszła brudna żółć, kolor nie oczyszczonej siarki. Muriel uważała to za dobrą szkołę dla córki; lecz Nicky zacisnęła tylko swoje drobne usteczka, pomyślała o Marilyn Monroe i nie pisnęła słowa.

Miała trzynaście lat, gdy stała się pełnowartościową kobietą, a czternaście, gdy po raz pierwszy spała z chłopcem. Nie była to żadna miłość, wtedy każda sypiała ze swoimi przyjaciółmi — było to na porządku dziennym. Inne zachowanie było pruderią i oznaką staromodnych poglądów, a poza tym chciała zrobić to pierwsza, zanim zrobią to inne dziewczyny z klasy. Wcale nie było to zbyt podniecające. Uprawiała miłość, gdyż tego wymagał szpan, ponieważ matka jej zabraniała, ponieważ czuła się

wtedy nietypowo i swobodnie; lecz zupełnie, ale to zupełnie seks nie wyzwalał w niej miłego ciepła wokół serca ani też nie sprawiał intymnej przyjemności. Owa oziębłość trochę ją martwiła, ale miała nadzieję, że sytuacja się zmieni, gdy naprawdę się zakocha, a tymczasem wspaniale udawała, sapiąc i wzdychając w odpowiednich momentach. Ból przy niewygodnych pozycjach, napięte skurczem mięśnie, otarta pochwa były dla niej prawdziwym powodem namiętnych pojękiwań. Tylko wtedy, gdy była w swoim pokoju i leżała na swoim łóżku, wyobrażała sobie, że czuje się wspaniale, niczym bohaterki z czytanych przez siebie książek. Widziała wtedy mężczyznę, zwykle jakby wprost z filmu kostiumowego, w białej koszuli z żabotem, satynowych bryczesach opinających jego ciało, napierającego na nią z całą siłą, wsuwającego rękę pod jej stanik. Niebawem jej piersi zostaną uwolnione, znajdą schronienie w jego dłoniach, mocnych i silnych, nękanym pragnieniem. Czowała, jak coś w niej pęka, coś bardzo delikatnego, a on wślizguje się głębiej i głębiej, i wreszcie ogarnia ją fala bezsilnej przyjemności i błogości. Mogła pieścić się delikatniej, bardziej zmysłowo, niż jakikolwiek chłopiec to potrafił zrobić, drażniąc rozkosznie najczulsze miejsca, pocierając je i ugniatając leciutko, dopóki nie poczuła wilgoci w majteczkach, dopóki powolny, przejmujący dreszczem orgazm nie przeszył jej ciała. Wtedy, odprężona, zwijała się w kłębek, niczym zwierzątko w stanie hibernacji. Mogła tak leżeć ze ściśniętymi udami, marząc o ich rozwarciu, ze swym pustym ciałem, marząc, by zostało wypełnione. Potem, gdy zapadała w sen, nawiedzały ją fantastyczne wizje. Lecz kilka razy twarz jej nieznanego kochanka zmieniała się, stawała się coraz starsza, milsza, oczy już nie były pełne pożądania, lecz czułości, włosy — szpakowate. Widmo kochanka stawało się widmem ojca, którego utraciła. Z nieznanego w nieznanie. I Nicky budziła się z rozgrzanym łonem i wspaniałym samopoczuciem — które zniknęło zbyt szybko.

Po raz pierwszy ujrzała Dianę Van Leer na kucyku, gdy ta robiła rundkę wokół dziedzińca szkolnego. Nicky wdrapała się na mur, by zerknąć na uprzywilejowane posiadłości, i siadła okrakiem na górze, czując się jak intruz na obcym terytorium. W oddali widziała zieloną wypielegnowaną murawę, białe słupki bramek, jedno skrzydło budynku porośnięte dzikim winem. Zaraz w pobliżu była krótko strzyżona trawa, kilka drzew zasadzonych w dobrze wymierzonej odległości od siebie i klomby żółtych i fioletowych krokusów. Na nagich gałęziach drzew pojawiły się pękające zielonkawe pączki; promienie zachodzącego słońca spływające po pniach drzew zabarwiały ich korę i darń złotawą poświatą. Było już dobrze po podwieczorku i oprócz dziewczyny na kucyku nie było nikogo w zasięgu wzroku. Sierść konia mieniła się różnymi odcieniami srebra, ogon i grzywa unosiły się na wietrze. Miała na sobie bryczesy i zgrabny kapelusik, spod rondka wyglądała różana twarzyczka, usta dziewczyny były lekko rozchylone, jakby piła powietrzny nektar. Była wolna, wolna jak dziki ptak, i nieprzystępna jak księżniczka.

Gdy Nicky tak na nią patrzyła, odezwało się w niej stare, dobrze znane pragnienie, by być taką jak ta nieznajoma, aby być bogatą, beztroską i szczęśliwą, jeździć na własnym koniu na przejażdżki po prywatnym parku. Nagle dziewczyna skreśliła w lewo i zniknęła; pobliskie wzgórza wchłaniały ostatnie promyki słońca, przedzierające się przez gałęzie drzew. Nicky ześlizgnęła się po murze i poszła do siebie.

Upłynął cały rok, zanim ona i Diana faktycznie się spotkały. Nicky łatwo zawierała przyjaźnie, nie bywała to wprawdzie dozgonna przyjaźń, lecz takie sobie przelotne znajomości; raczej sukces jej uroczego uśmiechu niż głębokiego uczucia, jej sekretnych tajemnic, jej przekornej małostkowości. Używała tych samych wybiegów w stosunku do Diany, nie mając nic w zanadrzu, zdecydowana zrobić wszystko, by zdobyć jej przyjaźń. Szczyciła się tą znajomo-

ścią w swoich małomiasteczkowych kręgach: „Moja przyjaciółka, Diana Van Leer”. Przeczytała coś niecoś w szkole o Sir Rupercie — w książce o współczesnej architekturze. Przebywając z Dianą, liczyła się ze słowami, by nie okazać się zbyt porywczą i nie obytą, starała się pielęgnować ten związek, jak nigdy dotąd. Chłopaków mogła zmieniać jak rękawiczki, ale ta dziewczyna była na zawsze. Marzyła o zaproszeniu do domu Diany, o spotkaniu ze sławnym ojcem, który uwielbiał swoją córkę, o zrzędlivej ciotce, o siostrze bliźniacze, której Diana zawsze broniła.

— Głupia jesteś — powtarzała Muriel odgadując myśli córki. — Niewątpliwie jest wspaniałą dziewczyną, ale ty za wysoko mierzysz. Zostaw ją w spokoju.

— Ona mnie odwiedza — broniła się Nicky. — Ona mnie lubi. Zapytaj innych.

— Chwilowo może tak. To daje jej możliwość ucieczki od szkoły. Czy poznałaś jej rodziców?

Zaproponowała ci wspólne wakacje? Nie, oczywiście, że nie. Nie zrobiła tego i nie zrobi. Hierarchia społeczna — ścisłe rygory, zamknięte granice. Zadowol się sobie równym. Już najwyższy czas, abyś przestała bujać w obłokach i zeszła na ziemię, i wyoroślała.

— Zaprosi mnie — rzekła z przekonaniem Nicky. Ale nie zrobiła tego.

Nicky nigdy nie wiedziała, co takiego okropnego zrobiła. Było to w dniu, gdy Diana zabrała ją do stajni, aby zachwycać się kucykiem — i Nicky tylko dosiadła go, Diana pozwoliła jej na jedną rundkę wokół dziedzińca. Była trochę niespokojna, ale wolałaby umrzeć, niż dać to po sobie poznać. W każdym razie trzymała się w siodle prosto, pewnie dzierżyła lejce poklepując zwierzę, jakby urodziła się z tą umiejętnością. Diana lubiła konie, więc musiała jej pokazać, że i ona je lubi. Zresztą było to bardzo łatwe. Podobało się jej, gdy tak siedziała i spoglądała z góry na świat, nawet na Dianę: ze słońcem w oczach, włosami rozpuszczonymi na wietrze. Wyobra-

ziła sobie, jak przeskakuje bramę i pędzi wśród drzew — wolna jak ptak, odmieniona przez magiczny galop, równa Dianie, jej towarzystwu, jej wyższym sferom, prawdziwa przyjaciółka, a nie jedynie przygodna znajoma. Jestem tak jak ty, rozkoszowała się Nicky. Nie dbam, co inni powiedzą. Jesteśmy identyczne. Możemy być przyjaciółkami. Lecz kiedy zsiadła z konia i spojrzała na Dianę, zauważyła w jej twarzy coś, czego nie mogła zrozumieć; to, co zostało z ich przyjaźni, stopniowo się rozmyło. Nicky przeczytała o śmierci Diany w gazetach dwa lata później. Wydarzenie to opisane zostało na pierwszej stronie lokalnej gazety, było wyciskaczem łez w ilustrowanym dzienniku i poślednim tematem na łamach prasy krajowej. Obraz zagubionej, małej bogatej pani, zabranej przez śmierć po dzikiej orgietce z alkoholem i narkotykami, nie bardzo pasował do Diany, jaką pamiętała Nicky. Przy każdym artykule było jej zdjęcie, studium portretowe debiutującej w towarzystwie dziewczyny w wieczorowej sukni, w perłowych kolczykach, z szykowną fryzurą. Taki właśnie obraz pasował do Diany, tragedia — nie. Zastanawiała się, jaką właściwie osobą była Diana, tam w głębi, poza oznakami zewnętrznej wspaniałości; jak mogła zginąć w wypadku, skoro, jak wszystko na to wskazywało, zawsze była otoczona opieką i miłością. Pełen lęku chłód ścisnął serce Nicky, niczym echo zapomnianego rozczarowania, a może tylko w nagłym zetknięciu ze śmiercią — śmiercią, która była tak odległa, że prawie nierealna. W następnym tygodniu regularnie przeglądała gazety w sklepie matki, aby wyłowić najdrobniejsze szczegóły. Relacje z pogrzebu wzbogacone zostały fotografiami Sir Ruperta o posępnej, niemal zupełnie białej twarzy z podkrążonymi oczami. Jego ogromne ramiona broniły dostępu ciekawskim żurnalistom, i nie tylko jego; obok stał narzeczony, ze spuszczonej oczami i aktorskim zarysem kości policzkowych, schowanych prawie pod ciemną czupryną. On jest boski, pomyślała Nicky, zaskoczona jego urodą. W rzeczy

samej nie spodziewała się po Dianie, że usidli takiego faceta — o śniadej cerze, romantycznym wyglądzie —

O takim marzyła dla siebie. Przyglądała się obydwu mężczyznom przez dobrą chwilę.

W ogóle nie było fotografii siostry Diany.

W obecności swoich przyjaciół Nicky z wielkim żalem mówiła o tragedii, jakby rzeczywiście były sobie szalenie bliskie. A jednak, mimo wszystko, ona i Diana były sobie bliskie, choć przelotnie. Z tej znajomości zostało jej wrażenie blasku powodzenia zbratanego z nieszczęściem; sama nigdy nie przestała myśleć, ile było w tym autentycznego żalu; a może bała się wdrzeć w głąb swych uczuć, aby nie ujrzeć pustki?

Nicky miała szczerą chęć, by zakończyć swoją edukację w wieku szesnastu lat, lecz po kilku rozmowach doszła do wniosku, że we współczesnym świecie nie ma miejsca dla kurtyzan i awanturnic, więc zmuszona do pewnego kompromisu, postanowiła zdobyć kwalifikacje sekretarki. W szkole zaliczyła obydwie tury egzaminów i poszła na kurs do Szkoły Biznesu przy najbliższym technicznym college'u, przy okazji ucząc się pisania na maszynie i stenografii. Na maszynie pisała fatalnie, stenografowała jeszcze gorzej, ale znalazła pracę w Tunbridge Wells w wydziale finansów, gdzie w gruncie rzeczy nikt nie pytał o jej zdolności. Przykładała się do pracy, kiedy miała na to ochotę — ale zdarzało się to rzadko. W zasadzie jej szefa interesował tylko nienaganny stan obcisłej spódniczki mini

i wypukłości pod podkoszulkiem czy swetrem. Miał około trzydziestu pięciu lat, wygodne małżeństwo, dwa samochody, dwójkę sześciolletnich dzieci, przedwczesną łysinę i wydatny brzusek. Nazywał się Mr Parfitt. Gdy dyktował coś Nicky, często gubił się, szczególnie gdy umyślnie wierciła się na stołku, pokazując dyskretnie uda w rozcięciu spódniczki. Czasami, tak dla hecy, próbowała zwabiać go dekoltem czy niby przez nieuwagę rozpiętymi guziczkami,

prześwitującą bluzką. Dyrektor biura, Deirdre Lang, patrzyła na to z dezaprobatą i czasami rzucała uszczypliwe uwagi, lecz Nicky tylko śmiała się ignorując je. Miała przecież po swej stronie młodzieńczą świeżość i świadomość swojego uroku. Deirdre, pani pod czterdziestkę, rozwiedziona, elegancka, sprawiała wrażenie kobiety w średnim wieku — według Nicky dość nudnej. Dzięki swej intuicji Nicky wyczuwała, że Ms Lang buja się w szefie — być może łączyło ich jakieś uczucie — lecz dla Nicky zamroczenie miłością trzydziestoosmioletniej kobiety i siwiejącego pana z brzuszkiem było co najmniej śmieszne, jeśli nie absurdalne, uważała to raczej za pewnego rodzaju rozrywkę niż poważny związek. Owego pamiętnego dnia Mr Parfitt, niby niechcący, opierał się na jej ramieniu, coś tam dyktując, i bacznie studiował nabazgrane przez nią hieroglify. Jego prawa ręka, niby nieświadomie, spoczywała na jej półnagim ramieniu, wychylającym się spod bluzki. Nicky zastanawiała się, co będzie dalej, i w duchu przygotowywała się na wybuch dziewiczego zgorznięcia, gdy nagle drzwi się otworzyły i wparowała Ms Lang. Mr Parfitt poczuł się nieswojo, Nicky — nie. Twarz pani Deirdre zdradzała niemiłe zaskoczenie. Później — Nicky była przygotowana na coś wręcz przeciwnego — spotkał ją gorący przejaw przyjaźni, co ją niezmiernie zaskoczyło. Po lunchu otrzymała zaproszenie od Deirdre, która chciała jej pokazać swoje kosztowności: między innymi dwa pierścionki z brylantami — relikwii nieudanego małżeństwa, i granaty od babci. Nicky coś podejrzewała, ale nic nie dała poznać po sobie i głośno podziwiała biżuterię. To była środa. W piątek, koło czwartej po południu, Deirdre nagle podniosła krzyk, że coś się stało z jej pierścionkami. Zdjęła je w toalecie, gdy myła ręce, i z pewnością zapomniała je włożyć z powrotem, a one zniknęły. Sprzątaczką, czując, że oskarżenie padnie na nią, uniosła się honorem. Nicky, oszołomiona takim rozwojem rzeczy, nie była w stanie rzec ani słowa.

— Weszła do toalety zaraz za mną — rzekła Deirdre. — Teraz pamiętam. Tak, zachwycała się moimi pierścionkami, właśnie wtedy. Ona je zabrała.

Mr Parfitt, jako osoba bezstronna, został wytypowany do przeszukania torebki Nicky. Wyciągnął portfel, portmonetkę, puderniczkę, pomadkę do ust, grzebyk, chusteczki do nosa i nieszczęsne pierścionki.

— Myślę, że się jakoś dogadamy — rzekł Mr Parfitt, głos mu się załamywał.

Lecz sprzątaczką, chcąc udowodnić swoją niewinność, już wcześniej zawiadomiła policję. Nicky zaaresztowano.

Pokój był mały, pusty i ciemny. Przypuszczalnie było to miejsce przesłuchań, lecz dla Nicky była to cela więzienna. Siedziała tam już bardzo długo. Wzięli jej odciski palców i kazali ściągnąć buty; przyszło jej na myśl, że wszystkim więźniom zabierają buty, aby nie powiesili się na sznurowadłach, ale jej buty nie miały sznurowadeł, więc nie było to prawdą. Patrząc na bose stopy poczuła się psychicznie przybita, poniżona i wyjątkowo słaba, jakby jej sylwetka straciła siły vitalne, jej ciało — niezbędny pancerz. Być może o to właśnie chodziło — takie mieli intencje. Trzęsła się cała — częściowo w szoku, częściowo z zimna. Dwóch policjantów, którzy ją przesłuchiwali, nosiło nieskazitelne mundury, inspektor i konstabl. Inspektor był gruby, konstabl — chudy. Laurel i Hardy, pomyślała od razu, kiedy jeszcze patrzyła na całe zdarzenie z pogardą i się nie bała. Powtórzyła to sobie teraz — Laurel i Hardy — próbując odzyskać pogardliwy stosunek i pozbyć się strachu.

Im nie było do śmiechu.

— Ja tego nie zrobiłam — wrzeszczała w areszcie, z całą furią notorycznego kłamcy, który — raz jedyny -mówi prawdę.

— Nie zrobiłam tego powtarzała po raz dwudziesty, nie myśląc już, co mogłaby, a czego nie mogłaby

zrobić, trzymając się nieugięcie swoich niepewnych dowodów. Twarz miała zapuchniętą od płaczu, rozmazany tusz pod oczami. Wciąż ocierała je palcami, pogarszając jeszcze sytuację; wyglądała strasznie — patetyczne dziecko protestujące coraz silniej przeciwko okropnym, ale udokumentowanym oskarżeniom.

Konstabl wszystko zanotował.

— Jeśli ty tego nie zrobiłaś — rzekł inspektor, niezwykle wolno, cedząc wyraźnie każde słowo, jakby mówił do kretyna — Jakim — cudem — pierścionki — znalazły — się — w — twojej — torebce?"

— Ktoś je musiał tam wrzucić.

— Oczywiście. Ktoś je tam wrzucił. Sfabrykowane oskarżenie. My to już znamy. Za dużo oglądasz telewizji.

— Ja ich tam nie włożyłam, więc ktoś inny musiał to zrobić.

— Kto?

— Przypuszczam, że Deirdre zrobiła to sama.

— Rozumiem. Ukradła własne pierścionki i wrzuciła je do torebki. Fascynujące. Nienawidzi cię, prawda? Biurowe namiętności? Skądżeś to wzięła — ten filmowy chwyt?

— Jest o mnie zazdrosna.

— Jakżeż może być zazdrosna o taką małą cipkę jak ty?

Nicky zacisnęła pięści, paznokcie wbiły się jej w dłonie, aż do krwi.

— Bo jestem młoda i ładna, a ona nie. Ponieważ Mr Parfitt podkochuje się we mnie. A ona podkochuje się w nim. — Dodała jeszcze: — Myślę, że mają romans.

— O ile mi wiadomo, małżeństwo Mr Parfitta jest udane. Dzieci także. Jest ogólnie poważany. A ty mówisz, że ma romans z Ms Lang. Złapałaś ich na tym?

— Nie, ja...

— Oczywiście, że nie. Nie ma żadnego romansu, jest tylko wyobraźnia. Za dużo myślisz o sobie. „Jestem młoda i ładna, a ona nie. Mr Parfitt podkochuje się we mnie”.

Teraz wcale ładnie nie wyglądasz, czerwone oczy, zasmarkany nos. Mam ci podać lusterko? — Spojrzał jej w twarz jak bazyliżek. — Rzygać mi się chce, jak patrzę na ciebie. Nie możesz niczego normalnie dotknąć, wszystko od razu musisz ubabrać w swoim brudzie. Zachowujesz się jak twoje bohaterki z czytań — każdy albo kocha się w tobie, albo spiskuje przeciwko tobie. Bujasz w obłokach! Naprawdę jesteś tylko małym kieszonkowcem, który nie może ścierpieć, że został złapany na gorącym uczynku. Papłasz, co ci ślina na język przyniesie, byle tylko zwalić winę na kogoś innego. Ty głupia dziwko: czy rzeczywiście wierzysz, że możesz ze mnie zrobić balona? Nawet nie przyszło mu do głowy, że to właśnie Nicky mówi prawdę. Inspektor Bullard nie był zbyt zainteresowany wykryciem prawdy: oskarżona musiała ponieść karę. Żywił podejrzenia i miał dowody. Koniec był przesądzony. Skazanie, nawet w tak błahej sprawie, było następnym wykrytym przestępstwem, następnym statystycznym zwycięstwem lokalnej wykrywalności kryminalnej, następnym krokiem do awansu. Oczywiście byłoby najlepiej, gdyby oskarżona sama przyznała się do winy: byłoby to najszybsze i najprostsze rozwiązanie. To by dobrze wyglądało w sprawozdaniu. Zbrodnia — ujawnienie — przyznanie się do winy: marzenie każdego policjanta. Udawało mu się to osiągać w podobnych warunkach i był faktycznie dumny z metod, jakie stosował w przesłuchaniach — wyniósł je ze szkoły policyjnej i doskonalił przez wiele lat. „Zbrodniarz musi stracić orientację, trzeba go upokorzyć, aby wreszcie zmiękł”, to była jego idea. „Nie wierzyć w bzdurne wykręty i dowody niewinności. Pozbawić go poczucia własnej tożsamości. Zgnoić go. Strachem osiągnąć zwycięstwo”. Inspektor stosował kilka posunięć taktycznych: przysuwał swoją twarz do twarzy oskarżonego i krzyczał, zniżał głos do grożącego szeptu, nekając swoją ofiarę — nie był szczególnie wysoki, ale sprawiał wrażenie takiego przez swój olbrzymi brzuch, hodowany przez całe życie na

tlustym jedzeniu — lub znowu odwracał się tyłem, robiąc głupie uwagi, traktując oskarżonego jak szmatę. Rzadko używał przemocy — było to zbyt ryzykowne, a poza tym chełpił się, że więcej może osiągnąć dzięki psychologicznym wybiegom. Kamień spadł mu z serca, bo Nicky nie pomyślała o zażądaniu adwokata. Nie obyta, podsumował. Adwokaci mogliby zakwestionować jego metody. Kiedy znudziła go już ta cała zabawa z Nicky, jej łyzy i upór, zastosował chwyt z telefonem. — Moja mama — wyszeptała Nicky. — Proszę. — Pomyślała o Muriel i nagle poczuła się bezpiecznie, spokojnie; myśl o matce nappełniła ją tęsknotą, pragnieniem posiadania prawdziwej matki. — Chcę, żeby moja mamusia była przy mnie!

Rzeczywiście, jej matka nieczęsto ją przytulała, ale tym razem mogłaby się zdobyć na prawdziwy odruch macierzyński. Nicky cierpiała. Ktoś obcy zatelefonował i w końcu przybyła Muriel. Formalnościom stało się zadość, Nicky została warunkowo zwolniona, mogła wrócić do domu. Muriel jej nie przytuliła. Spojrzała na córkę z zaciśniętymi ustami. — Jak mogłaś? — syknęła, odzyskawszy mowę. — Jak mogłaś? — A do inspektora: — Ona zawsze oszukiwała. Kłamała od urodzenia, już jako mała dziewczynka... Próbowałam, próbowałam ją tego oduczyć, ale nie byłam w stanie. Nic na to nie poradzę, ona już taka jest.

Wychodziły w milczeniu.

Na długo przed świtem Nicky wstała i zaczęła się szybko ubierać. Wypadki ostatniego dnia, zachowanie matki — wszystko to wprawiło ją w przerażający nastrój, czuła mdłości. W nocy leżała w ciemnościach i nie mogła zasnąć, w odrętwieniu, niczym sparaliżowana. Odczuwała ból. Ten ból nie był jej obcy ani dziwny jak zastarzała rana, otwarta na nowo, krwawiąca. Była pewna: długo jeszcze będzie ropieć. Wreszcie uczucie zostało stłumione, strup złości i urazy pokrył bliznę. Powolotku wracała do

siebie. Ustalała plan gry. Gdy już w końcu wstała, podjęła ostateczną decyzję.

W szpargałach w szufladzie odnalazła paszport, na który miała jechać do Hiszpanii w czasie zeszłorocznych wakacji. Zszedłszy na dół, wykradła klucz ze schowka w kredensie i otworzyła kasę sklepową. Wypchała portfel i portmonetkę, jak tylko się dało. Przerzuciła torbę przez ramię, otworzyła drzwi i znalazła się na ulicy w ciemnościach nocy.

W połowie drogi przystanęła, odwróciła się i spojrzała raz jeszcze. Poprzysięgła sobie, że już nigdy tu nie wróci.

VII

Nicky spotkała Stephane Maglioli na plaży w Saint-Maló. Złapała prom do Calais i spędziła lato właśnie na wybrzeżu, zatrzymując się w maleńkich hotelikach lub śpiąc wprost pod gołym niebem, jedząc na czyjś rachunek — chciała tylko dobrze się zabawić. Nadszedł taki dzień, kiedy to wreszcie pomyślała, że dobrze byłoby znaleźć jakąś pracę — może w kafejce lub w barze, a przede wszystkim złapać faceta, o jakim zawsze marzyła, bogatego, który mógłby zapewnić jej bezpieczeństwo. Tymczasem doskonaliła swój francuski, zadbała o nową fryzurę robiąc trwałą, chłonęła słońce całym ciałem, starając się, by nawet najgłębsze jego zakamarki uzyskały oliwkowy kolor. Koszmary senne — o policji, o matce, zniknęły bez śladu; gdy spojrzała w lustro, zachwyciła się odbiciem własnej twarzy — normalnie bladej, teraz brązowawej, z rozczochraną wiatrem grzywą, oczami szarymi, zimnymi niczym lód, które wspaniale kontrastowały z delikatną opalenizną, podziwiała utlenione loki, rozjaśnione słońcem prawie do białości. Na plaży francuscy chłopcy rzucali sobie porozumiewawcze spojrzenia pogwizdując z podziwem, w barze gromadzili się wokół niej z propozycją postawienia drinka. Wśród nich pojawił się Stephane Maglioli. Stephane wcale nie był bogaty, robił wrażenie, że dba przede wszystkim o siebie, a reszta się nie liczy. Nicky, gdy spotkała go po raz pierwszy, uznała go za wolnego ptaka. On zaś pomyślał, że jest trochę zepsuła

aż nadto świadoma jego zainteresowania, panienska lekkiego serca. Zdecydowanie nie miała zamiaru się w nim zakochiwać, była zamknięta w sobie, uparta, nie chciała korzystać z tego, czym obdarzyła ją natura. Była zbyt młoda, by brać wszystko poważnie, a jednocześnie zbyt niedoświadczona.

Stopniowo jej wizja rozmywała się: jego wady kurczyły się, zanikały, zalety zaś urastały do rangi mitu. Wpatrywała się w jego olbrzymie brązowe oczy, dostrzegała w nich siłę, inteligencję i ambicję — wszystkie walory swego wyśnionego bohatera. Nie odczuwała potrzeby bycia żoną bogatego starszego mężczyzny ścielącego jej drogę do sukcesu ona i Steph mogliby dojść do czegoś wspólnymi siłami. Intuicyjnie wyczuwała, że pragnie tego samego, a urywane zdania przy tanim winie upewniały ją w tym przekonaniu. Ona chciała osiągnąć bogactwo; on też. Magiczny zbieg okoliczności. Była spragniona sławy i mocnych wrażeń; jego ciągnęły samochody wyścigowe, chciał zostać kierowcą wyścigowym. (Jeden z jego kuzynów we Włoszech zajmuje się tym). Ona uciekła od matki, która nie potrafiła jej zrozumieć; on zaś od rodziców, którzy pragnęli zrozumieć go na siłę. Dwie pokrewne dusze. Gdy powiedziała mu, że chce jechać do Paryża, on rzekł: — Musisz zostać ze mną. — Nicky nie miała nic przeciwko temu. Dwa miesiące później postanowili się pobrać.

Gdy Nicky przybyła do miasta, o wiele większego, brzydszego i brudniejszego, niż mogła sobie kiedykolwiek wyobrazić w swoich romantycznych wizjach, ze wszystkich stron osaczyła ją rodzina włoskich imigrantów, rzucająca na nią przeraźliwe spojrzenia, wrzeszcząca jej nad uchem w różnych językach. Nicky mówiła niewiele, zbyt była rozczarowana tym wszystkim, nic miała siły protestować ani też robić użytku ze swego dziewczęcego uroku. Powiedziałem im, że zamierzamy wziąć ślub wyjaśnił jej później Stephane. Sl.ul ta cała afera'. Moja matka cię nie lubi mówi, że jesteś lekkoduchem. Ona mawia tak

o wszystkich moich dziewczynach. Za to mój ojciec uważa, że jesteś w porządku.

— Po coś im o tym powiedział? — zapytała nieśmiało.

— Och, nie mam pojęcia. Rzygać mi się chce tym wszystkim. Traktują mnie jak dziecko. — Leżał na plecach, nieświadom swej banalności, gapiąc się w sufit. Nagle odwrócił się do niej: — Gdy już będziemy małżeństwem, możemy zamieszkać u mojego wujka, w mieszkaniu nad restauracją. Z pewnością będziesz mogła znaleźć tam pracę. Co o tym myślisz? — Niestety, nie o tym marzyła. No, ale stało się. A Stephane, stale sobie to uświadamiała, nie był człowiekiem, który potrafił wyrażać swoje uczucia: miłość, jak wszystko inne, tkwiła w nim bardzo głęboko, skrywana pod maską bez troski i zmiennych nastrojów. Przy nim będzie musiała nauczyć się dostrzegać to, co niedostrzegalne.

— Zgoda — rzekła.

Wzięli ślub w końcu października. Ślub był katolicki, więc Nicky została katoliczką. Miała tandetną białą sukienkę, upstrzoną koronkami, fatalny makijaż. Matka Stephanego nadal wyrażała swoją dezaprobatę, na szczęście po włosku. Nicky miała to gdzieś. Przyjęcie odbyło się w restauracji, nad którą młodzi mieli zamieszkać, a zamiast tortu weselnego był gateau Saint-Honore, sterta lukrowanych ciasteczek z migdałami w środku, ociekających creme patissiere. Żeby chociaż tort czekoladowy, pomyślała Nicky. Żeby chociaż...

Po tym wszystkim nie była w stanie zapamiętać pierwszego wrażenia, jakie przyniosło jej życie małżeńskie. Przebudzenie przyszło jeszcze przed ostatnim creme patissiere, lecz nie było to coś, czego się bała — a najbardziej obawiała się szarości i monotonii życia. Już jako małe dziecko widziała całą tę smutną rzeczywistość odbijającą się piętnem na twarzy matki; już wtedy bała się, że ją może spotkać to samo: przygnębienie, samotność, rozpacz. Największym przerażeniem napawało ją nie zła-

mane serce, ale jego powolna śmierć; było to gorsze od nędzy, monotonii, gorsze od samej śmierci, nieuniknione obumieranie młodości. Czasami wydawało się jej, że jest uwięziona w szarym świecie, pozbawionym koloru i światła, cała ta szarość staje się jej częścią, jej cieniem, a ona sama nieubłagane widmem człowieka stojącego oko w oko ze śmiercią. Nawet teraz, gdy była w Paryżu, mieście miłości, ten właśnie Paryż był zupełnie szary. Mieszkała w jakimś wynajętym mieszkaniu, nad podrzędną knajpką. Stephane pracował w garażu, ona jako kelnerka u jego wujka. Wieczorami Stephane wychodził z przyjaciółmi, podczas gdy ona biegała między stolikami, zmieniała obrusy, ścierała rozlaną zupę. Francuski opanowała do perfekcji, a i po włosku mogła od biedy się dogadać. Luca Maglioli napastował ją po chamsku. Gdy skarżyła się Stephanemu, śmiał się głośno: — Pozwól mu się zabawić. — Wcale to Nicky nie bawiło, wręcz przeciwnie. Wiedziała o tym dobrze, że gdzieś, tam daleko, jest inny Paryż, Paryż z jego wspaniałym nocnym życiem, eleganckimi strojami, playboyami i żigolakami, kawiozem i szampanem, muzyką Gershwina i nastrojowymi romansami unoszącymi się w powietrzu, niczym perfumy. Wieża Eiffła, Dzielnica Łacińska, Tuileries, Yves Saint-Laurent, Reginę, Folies Bergeres — były to nazwy, których czar znała tylko ze słyszenia, wciąż zaprzętały jej myśli, jednak niewiele o nich wiedziała. Jej życie ograniczało się do Tunbridge Wells, Stephane nigdy nie oprowadzał jej po mieście, a sama nie miała wielu sposobności do spacerów. Pewnej niedzieli wymknęła się do Luwru: sztuka nie pociągała jej zbytnio, ale w końcu, gdy znalazła się wewnątrz, poczuła, że to naprawdę jest Paryż. Mona Lisa rozczarowała ją, okazała się zbyt mała (Nicky wyobrażała sobie, że słynne obrazy powinny być olbrzymich rozmiarów), zachwyciła ją *Tratwa Meduzy* Gericaulta — niczym scena z horroru w dobrym smaku. Gdy wróciła

do domu, Stephane już na nią czekał, żądając wyjaśnień. — Malarstwo! — parsknął, choć chciał, aby zabrzmiało to ironicznie, z odcieniem znudzenia. Nicky nie próbowała tego już nigdy więcej. Sam Stephane był mniej interesujący, niż cały ten Paryż. Myślała, że jest w nich zakochana, a raczej chciała być w nim zakochana — być może faktycznie była w nim zakochana przez moment, przez chwilę, ułamek nocy, ułamek snu — ale przelotne złudzenie odeszło wraz z latem, pozostał tylko jego gorzki osad. Klócili się bezustannie: nie były to zwykłe sprzeczki kończące się w łóżku, lecz idiotyczne pyskówki, dąsy, złośliwości, obojętność. W typie włoskiego przystojniaka, jakim był Stephane, Nicky zaczęła dostrzegać pewne mankamenty: zbyt grubą, krótką szyję, usta — pełne i dziewczęce, a jego okrągłe oczy z opadającymi na nie kosmykami loków przypominały jej raczej Bambiego niż Sylwestra Stallone. Z dala od plaży był zbyt leniwy, by korzystać z natrysku. Jego orzechowe loki często aż błyszczały od smaru, robocze ubranie, które musiała prać, śmierdziało potem i olejem z garażu. Co się tyczyło seksu, to wciąż oczekiwała na cud. Jakoś nie miała szczęścia. Jego nagie spalone ciało miało kolor cynamonu, z wyjątkiem bladego miejsca po skąpych kąpielówkach. Uroda Stephanego kończyła się wraz z opalenizną: w obrębie jasnego trójkąta jego genitalia były niczym pomarszczone, zmurszałe owoce wypalone słońcem. Nicky czytała w wielu nowoczesnych magazynach, że jakoś zawsze jest ważniejsza od wielkości, stąd starała się być podniecona jego wątpliwą erekcją. Lecz po ślubie gra wstępna Stephanego stała się coraz bardziej powierzchowna, ot tak, dla formy, a uniesienia raczej automatyczne. Nicky zaś tylko leżała na plecach, myślała już wtedy nawet o Anglii, nigdy nic innego nie przychodziło jej do głowy. Była przekonana, że to wszystko jest częścią jej wielkiego pecha: głupiutkie zachcianki i mrzonki w zderzeniu z nagą prawdą rzeczywistości.

Prawdziwe życie okazało się nudą w Paryżu, a wspaniały mężczyzna z niewspółmierną erekcją — nieubłaganym następstwem zawiedzionych nadziei. Wszystkie przygody ze Stephanem kończyły się na jego pępku. Szlag ją trafiał, gdy słuchała o jego podbojach seksualnych, o których rozповідаł także swoim przyjaciółom, jakby co najmniej był tytanem seksu-. Gadał głupoty, mając nadzieję, że Nicky w to uwierzy, Nicky zaś uznała to za pewien przejaw samoobrony, był nieświadom swego kalectwa lub, jeśli nawet zdawał sobie z niego sprawę, próbował to jakoś zatuszować, chcąc ochronić własne ego. Gdy chwalił się przed nią, traktowała go z rezerwą lub w ogóle milczała; gdy chwalił się kumplom, była wściekła. Nicky mogła żyć w świecie fantazji, lecz czasami choć na chwilę chciała w ten świat uwierzyć.

Jedne z ich najbardziej ohydnych kłótni dotyczyły właśnie seksu. Stephanego bawiło fellatio, nie jako wstępna gra, lecz czasami jako substytut, choć gorszy. Nicky natomiast uznała to za nudne i niesmaczne. Owej nocy powiedziała, że jest zmęczona i nie ma ochoty. Stephane nazwał ją samolubną krową, pruderyjną Angielką i w końcu, zupełnie bez sensu — *espece de pute*.

— Twój ptak jest zbyt mały — wybuchnęła Nicky nie panując nad sobą — gdy go biorę do ust, zawsze się boję, że go przez nieuwagę połknę.

Wyskoczył z łóżka jak- bomba. Nie pojawił się w domu przez całą noc. Nicky leżąc zastanawiała się, czy poszedł do innej kobiety — kiedyś taką jedną spotkała, super ciemna brunetka z wąsikiem — było jej to obojętne. Ostatnio na wiele rzeczy była obojętna. Przypomniała sobie starą, dobrze znaną rymowankę Muriel:

Obojętność powstała by ją przewyciężyć Obojętność nie może istnieć Obojętność rzucona w przepaść Musi przestać istnieć.

Na niczym jej nie zależało.

Tej kłótni nigdy nie zażegnali. Były następne, nie tylko z powodu seksu, lecz i z powodu pracy Nicky, pracy Stephanego, mieszkania czy innych drobnych szczegółów ich wspólnego życia. Stephane mógł nie przepadać za swoimi krewnymi, ale nigdy nie pozwolił żonie, aby ich krytykowała; mógł sobie ponarzekać na matkę, ale tak jak ona, wprost jej słowami, krytykował wady Nicky. Małżeństwo było dla niego ucieczką lub wyrazem buntu, lecz ten gest — jak i wszystkie inne — nie wywarł żadnego wrażenia, a on sam stał się ofiarą apatii i nadmiernej matczynej troskliwości, przeciwko której się buntował. Kółko się zamknęło. Jego ambicja, by zostać rajdowcem, była jeszcze jedną ucieczką w świat złudzeń. Nicky odkryła, że jego kuzyn Gino był tylko młodocianym mechanikiem i Stephane musiałby zadowolić się najbrudniejszą robotą. Ubrany w niebieski kombinezon firmowy, z olejem w ręce, przyglądałby się, jak inni faceci odnoszą zwycięstwa na torze. Raz czy dwa naigrawała się z niego, próbując zmobilizować go do działania, ale stawał się wtedy uparty i uciekał do swej matki czy kumpli. Wujek Luca nie okazywał żadnej pomocy: podszczypywał ją, ocierając się o jej pośladki. — Mój siostrzeniec nie jest dobry, co? — powtarzał jak papuga. — Oni wszyscy są tacy sami, ci młodzi chłopcy. Bez doświadczenia. Potrzebujesz prawdziwego pieprzenia — Nicky, nie zastanawiając się długo, nadepnęła mu na stopy swymi szpiczastymi obcasami. Ale wcale go to nie powstrzymało. Straszyl ją, że ma klucze do mieszkania, ale nie przypuszczała, że może przyjść, choćby ze względu na Stephanego.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy Stephane odszedł. Nicky, wróciwszy po południu z pracy, znalazła na stole list.

Droga Nicky. Jadę do Włoch, by zamieszkać z Gino. Thierry wyjeżdża także — obydwaj mamy dość Paryża. Załatwię rozwód, gdy wrócę. Wuj Luca będzie się tobą opiekował. Steph.

W zasadzie Nicky się tego spodziewała, lub miała nadzieję, że to się w końcu musi stać; niemniej jednak musiała usiąść na chwilę, by zaczerpnąć powietrza; czuła cholerną pustkę. Jej pierwsze małżeństwo (wierzyła, że było to jedynie pierwsze), przyszło i przeszło tak szybko, że nawet nie miała czasu przyzwyczać się do niego. Wydarzenia przesywały jej życie jak pędzące ferrari, którego pragnął Stephane, mknące jak strzała po jej ścieżkach, zostawiając ją w oszołomieniu. Trochę ją zaskoczyło, że to Stephane zrobił pierwszy krok; być może miał wsparcie u Thierry'ego — kumpla z garażu. I co teraz? „Wuj Luca będzie się tobą opiekował”. Jeszcze jeden gwóźdź do trumny. Głupia złośliwość czy zwyczajna głupota? Nagle zadała sobie pytanie, czy Luce zostawił podobną wiadomość. W złości pomyślała, że to podobne do niego.

Kroki stawały się coraz wyraźniejsze. Ona wciąż jeszcze siedziała w tym samym miejscu, zastanawiając się nad podjęciem jakiejkolwiek decyzji. Pukanie do drzwi — bardzo szybkie pukanie, pukanie kogoś, kto pragnie wejść do środka za wszelką cenę. Nie odpowiedziała. Klucz zazgrzytał w zamku i jednym pchnięciem drzwi się otworzyły. Wsunęła się głowa Luki.

— Nicky, dobrze się czujesz? — Gdy wciąż nie odpowiadała, podszedł i usiadł przy niej, o wiele za blisko, stwierdziła, śmierdział potem i czosnkiem, a jego wielkie gałki oczne pływały w oliwie z oliwek. Przedtem Nicky czuła do niego odrazę. Teraz bała się go.

— Stephane odszedł, wiem. Nie przejmuj się. On się do niczego nie nadawał, ten mój bratanek — leń patentowany — zadufany w sobie — niezdatny do niczego. Dobrze, że tak się stało: sama zobaczysz. Teraz jesteś nieszczęśliwa, ale to minie. Zostań tu, zaopiekuję się tobą. Naprawdę, zaopiekuję się tobą. Ku jej wielkiemu zdziwieniu on rzeczywiście oczekiwał po niej rozpacz. Nawet nie pomyślała o uronieniu jednej

jedynej łzy, ale próbowała coś zagrać swoim głosem i wielkimi smutnymi oczami. — Dziękuję: jesteś taki miły. Boję się — nie mogę jeszcze przyjść do siebie. Chcę być przez chwilę sama: nie gniewasz się?

Luca skinął ze zrozumieniem i pogłaskał ją po głowie. Pragnął dotknąć jeszcze* innych części jej ciała, ale w tym momencie się pohamował. Później, pomyślał: trzeba zachować jakieś pozory przyzwoitości. Nicky z trudem powstrzymywała histeryczny śmiech, którym o mały włos nie wybuchnęła. Jedna wielka komedia: z pewnością zauważył, że jej dziewczęce załamane jest równie fałszywe, jak jego własna postawa dobrego wujaszka. Obydwoje udawali nadal — Nicky, z wyblakłą opalenizną, tragicznie blada, i Luca, oferujący nieszczerze pocieszenie. — Jeśli chcesz, możesz dzisiaj skończyć wcześniej — powiedział wspaniałomyślnie. — Teraz muszę już iść, ale wrócę po pracy.

Utniemy sobie przyjemną pogawędkę.

„Trop gentil” — mruknęła Nicky.

Jak tylko wyszedł, przystawiła krzesło do drzwi i zaczęła się pakować. Musiała być ostrożna. Tym razem była w kropce, nie miała dokąd pójść. Portfel był pusty, Stephane zabrał wszystkie pieniądze. Zemsta losu. Frontowe schody widoczne są z restauracji, ale można uciec przez okno w sypialni, służące za drogę przeciwpożarową. Nicky wdrapała się na nie, zrobiła trochę hałasu zeskakując na schody i uciekła.

Luty. Paryż w środku zimy jest miastem ponurych, koszmarnych budowli, skrzeczącym klaksonami z korków samochodowych, miastem szerokich ulic zduszonych spalinami i wąskich uliczek pograżonych w bezustannym mroku. Nagie, zimne miasto pozbawione drzew i zieleni, biało-czarne jak stary niemy film. Nicky snuła się od kafejki do koktajl-baru, od piwiarni do bistro. Spotykała znudzone twarze, ślepe spojrzenia i głupie gesty, które zawsze znaczyły to samo. Nie. Nie potrzebuje żadnej

pomocy extra. To zła pora roku. *Bonne chance*. Błady dzień wchłaniał przedwczesny zmierzch. Światła rozbłysły tu i ówdzie oświetlając witryny sklepowe, pomniki i pałacyki, rozjaśniając wszystko krzykliwymi kolorami. Miasto maskowało się światłami niczym podstarzała kurtyzana, chcąc ukryć swoją wątpliwą już urodę w błysku kosztownej biżuterii. Bez niej twarz się zmienia. Odeszła nuda i pustka; w zamian za to ciemność przynosi chytre, pożądliwe spojrzenia, znane uśmiešky, przebiegłość, rozpustę, wszystkie przymioty nieszkodliwego diabła.

Ulga, jaką przyniosła jej ucieczka od Luki, już dawno znikła, przerażenie osiągnęło szczyt, nigdy dotąd tego nie odczuwała — nawet gdy była aresztowana. Nie miała co jeść, nie miała gdzie spać, i nie miała żadnych pieniędzy. Wmawiała sobie, w przyływach rozpaczliwego optymizmu, że coś się wydarzy, coś musi się wydarzyć, ale nic z tego. Wciąż pamiętała Linde Radlett, ulubioną bohaterkę, która siedziała na walizkach w Gare du Nord i zauważył ją tam księżę de Sauveterre. Ale dla Nicky nie było żadnego księcia. Tylko koszarne twarze wyglądające przez szpary w ciemnych drzwiach, szydery śmiech, szponiaste łapska, odgłos jej własnych kroków, bieganina, szybki chód, to znów bieg w labiryncie latarni ulicznych i cieni. Ostatecznie weszła do baru i zamówiła talerz zupy. Na sąsiednim stole ktoś zostawił połowę omletu. Nicky miała ochotę zapytać kelnera, czy może dokończyć, lecz nie potrafiła. Powstrzymywało ją skrępowanie. Zastanawiała się, czy ktoś kiedyś umarł z głodu tylko dlatego, że nie chciał prosić o jedzenie. Dwóch chłopaków postawiło jej brandy, lecz gdy zapytała o miejsce do spania, stracili zainteresowanie.

— Gdzie ludzie się zatrzymują — zapytała niedbale — gdy nie mają pieniędzy?

Dobrze znane wzruszenie ramion. Nicky miała już tego dość. — Są takie miejsca — odpowiedzieli. — Przytuł-

ki. — Nie wiedzieli dokładnie, gdzie. — Niektórzy śpią na ulicach.

— W metrze — zaoferował jeden.

— Pod mostami — rzekł drugi.

Nicky przeszedł dreszcz. Spanie na plaży latem było rzeczą normalną. Lecz teraz była zima, zima w mieście zbudowanym z kamienia. Odwróciła głowę, żeby nie mogli dostrzec strachu w jej oczach. Facet w brązowej skórzanej kurtce postawił jej drugiego drinka, potem trzeciego. Chciał zabrać ją do domu, ale żona nie zgodziłaby się. Po północy kelner wyrzucił ją. — Nie potrzebujemy tu takich jak ty — rzekł ze złością. — Idź sprzedawać się gdzie indziej.

Nędzarze nie są mile widziani.

— Nie mam gdzie nocować — błagalnie rzekła Nicky. — Proszę mi pomóc.

Oczywiście kelner wzruszył ramionami. — To nie hotel.

W jakiś czas potem Nicky znalazła się nad brzegiem rzeki. Brandy już wyparowała; było jej bardzo zimno, bolały ją stopy. „Pod mostami”, powiedział chłopak. Był przed nią jeden most; światła latarni padały na ciemne plamy w cieniu łuku. Ludzie. Ludzie stłoczeni, na kupie, śpiący na swoich manelach. Lub na ordynarnych szorstkich derkach. Trampy, żebracy, słowem margines. Kwiat miasta. Gdy podeszła bliżej, było ich może pięcioro. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości, przyglądając się. Odebrało jej mowę. Zupełna klęska. Koniec. Tak wyglądało bycie nikim, nieposiadanie niczego. Mieć to być. Straciła wszystko, więc straciła też siebie. Tutaj, pod mostem, rzeczywistość była straszniejsza od nudy. Gapiała się w osłupieniu, milcząc, nie mogąc się poruszyć.

W samym środku przęśla opierał się o ścianę stary mężczyzna, obok niego warowały dwa psy. Były z pewnością owczarkami alzackimi, ale wyglądały jak wilki: jeden moregowaty, drugi czarny. Siedziały nieruchomo niczym

kamienne posągi, dopiero po chwili Nicky zorientowała się, że są prawdziwe. W ich szeroko otwartych oczach odbijały się światła lamp, niczym żółtawe opale. Starzec wymamrotał coś z akcentem z Bordeaux, coś, czego Nicky nie rozumiała. Jeden z psów na dany znak przesunął się i mężczyzna wskazał na miejsce pomiędzy nimi. Wahała się tylko przez chwilę. Była zbyt zmęczona i wypruta, by odejść. Zaoferował kawałek zbutwiałego koca i łyk czegoś bardzo dziwnego. Zapieкло ją w gardle jak ogień, lecz potem poczuła wewnątrz przyjemne ciepło rozchodzące się po całym ciele, zęby przestały już szczekać z zimna.

— Angielka? — zapytał, gdy wyraziła mu swoje podziękowanie.

Nicky skinęła głową.

— Powinnaś iść do domu — rzekł. — Do domu, do swoich rodziców. To nie jest miejsce dla takich jak ty, młodych dziewcząt.

— Jestem sierotą — skłamała Nicky, chcąc uniknąć wyjaśnień.

Potrząsnął głową, zmierzył ją wzrokiem: — Musisz iść do domu — powtórzył.

Nie była w stanie protestować. Wyczerpanie i alkohol działały. Po jednej stronie kruche, kościste ciało starego człowieka — niczym kupka zawiniętych w szmaty suchych drzazg, po drugiej — ciepłe futro owczarka. Pomyślała: teraz zasnę, a gdy się obudzę, wszystko zniknie, niczym okrutny sen. Zasnęła. Obudziła się. To nie był sen. Ostre powietrze uderzyło ją w twarz. Pod oczami widać było resztki rozmazanego tuszu, ciało miała zeszywniałe, ścierpnięte, ściągnięte skurczem i zimne. Gdy poruszyła się, owczarek wydał z siebie dziwny pomruk, który mógł być warknięciem.

Starzec się poruszył. W świetle słońca Nicky ujrzała, że jest wiekowy, całą twarz ma pomarszczoną — wyglądała

jak sieć krętych uliczek rysowanych ołówkiem. Na pewno śmierdział, wiedziała o tym, ale jej zmysły nie wyczuwały już tak drobnych niuansów. Na komendę pies położył się na jej stopach.

— Wrócisz dziś w nocy? — zapytał.

Nicky znowu zadygotała. — Nie — rzekła. — Znajdę pracę.

Życzył jej szczęścia.

Żadnego szczęścia nie miała. Wypiła filiżankę czekolady i umyła się w małej kafejce, zachowując wszelkie pozory przyzwoitości. Wszystko było tak, jak poprzedniego dnia. Te same ulice, te same twarze, ta sama obojętność. Tym razem szukała czegoś nie tylko w restauracjach i kawiarniach, lecz także w sklepach, biurach, wszędzie, gdzie tylko mogła istnieć jakaś szansa. „Potrafię pisać na maszynie”, mówiła. „Znam stenografię”. Dziękowali jej, okazując wyuczony” smutek. Wieczorem wróciła pod most. Najbardziej była wstrząśnięta tym, że tak szybko potrafiła się przystosować.

Niestety, stoczyła się na dno — szła pod most, a czuła niemal, że wraca do domu.

Starzec nie wydawał się zaskoczony jej widokiem. Odsunął się trochę, aby mogła zwinąć się w kłębek, pod ścianą, i zaproponował drinka. Nicky poznała, że spirytus zawierał absynt, lecz on wyjaśniał, że to „coś” nazywa się „marc” — wódka z wyłoków winogron. Zapytał, czy coś jadła, a ona odparła, że tak. Lecz gdy z torby wyciągnął plecionkę, dała się namówić, z trudem panując nad sobą, by nie zjeść jej zbyt szybko. Wielka gruda wypełniła jej pusty żołądek, a soki trawienne, odzwyczajone od solidnego posiłku, nie bardzo wiedziały, co z tym zrobić. Zapytała go, jak daje sobie radę z karmieniem psów; opowiedział o prywatnej opiece dostarczającej regularne posiłki. Zapewniają jedzenie psom, pomyślała Nicky, a nie mnie. Niewątpliwie istniał we Francji odpowiednik opieki społecznej, lecz opieka społeczna oznaczała biurokrację, a biurokracja mogła deportować ją

do Anglii, gdzie z pewnością zaaresztowano by ją i wtrącono do więzienia. Nicky nie chciała mieć nic wspólnego z urzędasami.

Wieczór był długi i zimny. Była zmęczona, ale nie mogła zasnąć. W nocy widziała płatki śniegu spadające w ciemność. Śnieg. Dwaj żandarmi przechodzili obok: obudzili dziewczynę zwiniętą wśród tobołków i zaczęli ją wypytywać — lecz gdy jeden z nich zbliżył się do starca, psy zaczęły ujadać i żandarm wycofał się spieszenie. Nicky odczuła tak olbrzymią ulgę, że aż zrobiło się jej gorąco.

Starzec to zauważył, ale pozostawił bez komentarza. Przestał ją namawiać, by wróciła do domu. — *Les flics* — rzekł — oni mnie znają. Zostawią nas w spokoju.

Opowiedział jej, jak to był żołnierzem. Walczył pod Verdun w I wojnie światowej, a w drugiej był w ruchu oporu. Gdy odsunął połowę płaszcza, ujrzała pasmo medali przypiętych do swetra zżartego przez mole. — Walczyłem za mój kraj — rzekł. — Powinienem być umrzeć. Nazywają nas bohaterami — bohaterami Francji. Teraz to już nie ma znaczenia. — Jego głos załamał się, utonął, przeszedł w szept; co czuł — urazę, gniew, skłonność do filozoficznych refleksji? Nicky zastanawiała się, co z tego może być prawdą...

Spała niespokojnie. Obudziła się następnego ranka w poczuciu jeszcze większej beznadziejności niż poprzednio.

Ranek spowity był szarością spływającą z ciężkich chmur wiszących nad miastem; drobne płatki śniegu fruwały nad ziemią, w powietrzu, topiąc się, zanim jeszcze opadły na ulicę, ginąc w błotnistej mazi. Nicky znowu odwiedziła tę samą kafejkę, zamówiła gorącą czekoladę i skorzystała z umywalni. W lusterku ujrzała swoją twarz — zmizerniałą i wychudzoną, z sinymi wargami i podkrążonymi oczami. Nałożyła trochę szminki, żeby ukryć bladość, ale efekt był koszmarne. Nie zaryzykowała

nałożenia różu światło było zbyt wątle i mogłaby nałożyć go nierówno. Wypiła czekoladę w nadziei, że jej ciepło spowoduje choć lekkie zaróżowienie policzków. Mogła przypuszczać, że następnego dnia będzie jeszcze bledsza i jeszcze brudniejsza. Wolała o tym nie myśleć.

Gdy zapłaciła za czekoladę, okazało się, że zostało jej tylko kilka centymów. To, był koniec. Nie będzie jutra. Istniał tylko pierwotny chaos dnia dzisiejszego — nic poza tym. Zapytała o pracę w kilku miejscach, znając z góry odpowiedź. Ludzie przyglądali się jej, jakby wiedzieli, że sypia pod mostem. Nietrudno to było poznać.

Zatrzymała się przy sklepie mięsnym gapiąc z utęsknieniem na witrynę wypełnioną smakołykami. Delikatne paszteciki otoczone żółtawym tłuszczem. Apetyczne paszteciki w błyszczącej żelatynie. Kawałki galantyny z truflami. Kurczak pieczony na zimno. Paróweczki i kielbaski w różnych rozmiarach i kształtach. Widok takiej sterty jedzenia przeszył ją głodowym dreszczem, silniejszym niż jakakolwiek podnieta. Pchnęła drzwi i weszła do środka. Chciała powiedzieć: Umieram z głodu. Proszę mi dać coś do zjedzenia, ale oczywiście nie zdobyła się na to. Zamiast tego wygłosiła stałą formułkę poszukującej pracy. Człowiek za ladą nie miał jeszcze pięćdziesiątki; nie był gruby, dobrze zbudowany, wręcz nabity jak niejedna z jego kielbasek. Gdy ujrzała, że tylko wzrusza ramionami, łyzy rozczarowania i bezsilności zaczęły cisnąć się jej do oczu. Ale co z tego. Na tyłach sklepu zadzwieczał telefon. Facet zawołał: „Jean-Claude”, lecz nikt nie podszedł, telefon dzwonił i dzwonił. Rzeźnik rzucił Nicky zatroskane spojrzenie, bąknął: „Przepraszam” i wyszedł. Przez moment Nicky zawahała się; potem wślizgnęła się pod ladę i sięgnęła po najbliższą kielbaskę. Nie usłyszała, jak odłożył słuchawkę. Zachwycona swoją zdobyczą poczuła ciężką rękę chwytającą jej ramię...

Już na zapleczu, widząc kielbaskę, którą już prawie miała w ręce — szarpnęła się znowu, popadając w skraj-

ną rozpacz; wygłodniała, załamana Nicky schowała twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Rzeźnik początkowo wyglądał na zakłopotanego, potem na przestraszonego. Między jednym szlochem a drugim Nicky w skrócie opowiedziała mu swoją historię, okrojona z niepotrzebnych szczegółów. Nieobecny dotąd Jean-Claude wreszcie się pojawił, lecz został odesłany, by dopilnować interesu, podczas gdy M.Cochelin to słuchał szokujących wynurzeń, to znów pocieszająco poklepywał ją po ramieniu. Nicky w gruncie rzeczy nie lubiła, gdy ktoś klepał ją po ramieniu — miała wtedy w oczach nieprzyjemny obraz wujka Luki — lecz teraz była zbyt zrozpaczona, by protestować. Podał jej coś, co miało służyć za papierowe chusteczki do nosa. A kiedy się już wyplakała, otarła łzy i resztki rozmazanego tuszu, głośno wyczyściła nos i poczuła się trochę lepiej. M.Cochelin wysłał Jeana do pobliskiej kafejki po chleb, masło i czarną kawę, a sam przygotował okazałe pate de foie i dobrane smakowo kawałki zimnego mięsa. Nicky pomyślała, że to najwspanialszy posiłek w jej życiu, królewski nieomal — nigdy już nic nie będzie jej tak smakowało. Rzeźnik przez cały czas przyglądał się, jak je, był zadowolony. — Teraz wydobrzejesz — powiedział. — Dam ci pracę. Ten Jean-Claude to dobry, miły chłopak, ale bardzo głupi. Zawsze potrzebowałem bystrej dziewczyny, takiej jak ty... Nie płacę dużo, rozumiesz — koszty administracyjne — ale zawsze to jakaś praca. Lepsze to niż ulica, nie? Kiedy będziesz gotowa, poszukamy jakiegoś mieszkania. Zaraz obok jest takie miejsce — mają pokoje dla samotnych dziewcząt. Gospodyni jest moją dobrą znajomą. Zaraz cię tam zabiorę. Nicky rzekła: — Pan jest taki miły. Wyglądał na miłego. Ale ona nie była tego pewna. Pół godziny później Nicky znalazła się w nędznym pokoiku, którego zamknięte okna i potworna duchota wreszcie ją naprawdę rozgrzały. Mała miedniczka i poje-

dynczy palnik gazowy podnosiły kategorię pokoju do tout compromis; na końcu korytarza był wspólny prysznic i prymitywna umywalnia. W umeblowaniu uderzyły ją dwie okropnie zniszczone szafy — jedna nie otwierała się, druga — nie zamykała. Okno wychodziło na inne okna, niemal identyczne, w szarej ścianie, która nosiła ślady zmiennej pogody i miejskiego brudu. Lecz podwójne łóżce miało czystą pościel, choć wysłużony materac był prawie tak twardy jak prawdziwy kamień. Nicky w ogóle nie zauważyła, jak M.Cochelin wraz z gospodynią weszli do środka, aby trochę posprzątać; wyglądali na dobrych przyjaciół. Wreszcie zostawiono ją samą. Samą w ciepłym pokoju z prawdziwym łóżkiem. W tych okolicznościach było to wszystko, czego pragnęła, szczyt jej marzeń. Rozebrała się, wsunęła do łóżka i powoli zagłębiła w bezkresną otchłań snu.

Był to jeden z najszcześniejszych momentów w jej życiu.

Nie upłynęły jeszcze dwa tygodnie, a już M. Cochelin znalazł się u niej w łóżku. W sumie Nicky była na to przygotowana; miała mnóstwo czasu, żeby przemyśleć wiele rzeczy. Spanie pod mostem ze starym człowiekiem i dwoma owczarkami było na pewno gorsze niż okazjonalne pójście do łóżka z rzeźnikiem. Miała już niezłą nauczkę, zapamiętała sobie na zawsze: nic za nic. Był dla niej miły, a teraz oczekiwał wdzięczności. Mimo wszystko był niezłym facetem, ani tak starym, ani tak nachalnym jak wuj Luca, przypuszczalnie był nawet przystojny, zanim nieco utył. Wciąż miał bujną czuprynę, wyraziste ciemne oczy i ślad uroczego uśmiechu, którym mógł oczarować każdą kobietę. Wyjaśnił jej nie ukrywając żalu, że ożenił się z pieniędzmi — z córką poprzedniego właściciela sklepu — stąd pozwalał sobie na skoki w bok szukając w nich pocieszenia. Jego żona była straszną kobietą, samo jej wspomnienie wywoływało trzęsienie ziemi; czwórka dzieci była wspaniała, godna podziwu nawet, pokazywał ich fotografie Nicky.

W sklepie odnosił się do niej wesoło, traktował ją jak normalnego współpracownika; w łóżku starał się być wspaniałym kochankiem, poświęcającym wiele uwagi wstępnyim pieszczotom, bez których Nicky chętnie by się obeszła. Zawsze chciała, by było już po wszystkim, i to szybko. Po kilku razach Nicky uznała ich związek za wstrętny i ohydny, zupełnie bezsensowny. Jęczała, wzdychała, udawała orgazm, byle nie czuł się rozczarowany, ale w duchu gardziła nim, że jeszcze w to wierzy. Stephane nie dbał o to, czy ona udawała, czy też nie; chciał jedynie zachować twarz przed kumplami.

M.Cochelin wolał być oszukiwany. Zastanawiała się, jak wiele kobiet jęczy i wzdycha, oszukując w ten sposób partnera, aby mógł tkwić w przekonaniu, że jest wspaniały? Jak wiele kobiet na całym świecie robi to samo każdej nocy, każdej koszmarnej nocy, z facetami, którzy nigdy nie wyzwolili w nich żadnej żądzy, żadnej namiętności, nigdy nie zdołali ich naprawdę wziąć w posiadanie, których nigdy faktycznie nie poznały?

Myśl ta dręczyła ją coraz bardziej, odkąd żaden mężczyzna spoza zaczarowanego kręgu jej marzeń nie dał jej nic więcej, tylko znudzenie i ból. Czasami bała się, że tak już zostanie.

Nie miała _ zamiaru zostawać tu długo, ale dni mijały i przyzwyczajenie lub raczej koszmarne wizja mostu zrobiła z niej więźnia. Bernard (prywatnie mogła go tak nazywać) płacił za mieszkanie, a przynosząc jedzenie ze sklepu mogła odłożyć sporą część swoich zarobków; ale faktycznie ciężko pracowała i była zbyt zmęczona, żeby po pracy rozglądać się za czymś innym. Porzucenie pracy nie wchodziło w grę. Dziwne jednak, że tutaj jej niezadowolenie było mniejsze niż wtedy, gdy pracowała w restauracji Luki — chyba częściowo dlatego, że ciągle myślała o odejściu — w następnym tygodniu, może za dwa miesiące, może za miesiąc. Ale zbliżała się jesień, a ona wciąż tam była. I wreszcie pewnej nocy wróciła pod most.

Nie wiedziała, co ją tam pchało: sumienie, ciekawość, może jakieś głębsze wartości, których nie potrafiła wyrazić. Przestępcy wracają na miejsce zbrodni; niedoszli samobójcy powracają na skały, z których próbowali rzucić się w przepaść; Nicky wróciła pod most. Powtarzała sobie bez przerwy, że nigdy tam nie wróci; myśl ta jednak wciąż ją nawiedzała i w końcu łatwiej było się poddać. Nicky niezmiennie ulegała różnym demonom. W sklepie zaraz po wyjściu M. Cochelina, spakowała torbę podróżną i wyruszyła pieszo, świadomie lekceważąc autobus, żeby mieć więcej czasu na zmianę decyzji. Kiedy była już na ścieżce wzdłuż brzegu rzeki, jej kroki stały się niepewne. Zwolniła, w końcu zatrzymała się. Nadchodził wieczór, tak jak przedtem. Była zupełnie trzeźwa. Bardzo wyraźnie widziała ciemne odcinki między ulicznymi latarniami i czarną wodę w korycie rzeki. Przeraziła się, że nigdy nie zauważyła, jakie to miejsce jest straszne, z tymi jego zdradliwymi cieniami i zimnymi głębiami Sekwany, tuż, tuż. Głód i niemoc były silniejsze, wykluczyły całą resztę. Leżała w schronieniu, jakie dawał most, jak każdy jeden wagabu-nda, obojętna na fantomy wyobraźni — jej nadzieja i obawy zredukowane do najbardziej podstawowych potrzeb. I to było najgorsze. Spoglądając przed siebie mogła rozpoznać bezładny krąg postaci zgromadzonych pod przesłaniem. Jej wyobraźnia kreśliła obraz starca, wciąż siedzącego tam, już nie człowieka, lecz szkieletu, z wyszczerzonymi zębami i pustymi oczodołami, rozkładającego kościste ramiona, by ją przytulić. U jego boku dwa psy — spokojne, cierpliwe, nieruchome jak Cerber strzegący wrót piekieł. Bała się iść dalej; ale już nie mogła zawrócić. Podeszła. Starca już tam nie było. Przeszło miało tylko trzech lokatorów, jeden był pijany jak bela. Inni patrzyli na nią z obawą — mieszkańcy świata cieni badający intruza. Bez słowa rzuciła torbę na kamienie. Gdy odchodziła, ktoś za nią zawołał. Nie słuchała, nie zatrzymała się. Biegła

wzdłuż brzegu, biegła na złamanie karku — po schodach, ulicą. Na górze zatrzymała się i oparła o mur, próbując złapać oddech. Stopniowo jej tętno powracało do normy, drzenie w kolanach ustało. Potrzebowała czegoś mocniejszego. Ale nie tutaj. Ani nawet w tej okolicy. Wsiadła do pierwszego lepszego autobusu, który właśnie nadjechał, nie bacząc na kierunek jazdy. Wsiadła w pobliżu Centrum Pompidou.

W bocznej uliczce znalazła bar — skąpo oświetlony, zakopcony bar zdominowany prawie wyłącznie przez mężczyzn. Wodzili za nią oczami, gdy przechodziła przez salę. W kącie wypijała pernod, czując, jak szatańska ciecz rozchodzi się ciepłem po całym ciele. Być może jej twarz zdradzała wewnętrzne napięcie; młody człowiek, który przyglądał się jej od dłuższej chwili, zaproponował papierosa. Nicky nie była nałogowym palaczem, zaczęła palić, gdy była nastolatką, uważając, że to takie dorosłe; teraz paliła, żeby zająć czymś ręce. Było to według niej lepsze niż robienie na drutach. W zasadzie nigdy nie lubiła smaku tytoniu, a francuskie papierosy, o czym się przekonała w Saint Maló, odznaczały się ulotnym aromatem krowiego łajna. Jednak miała czasami ochotę na papierosa. Zaważała się.

— Marlboro — rzekł młody człowiek odsłaniając napis na paczce.

Szybki jest, pomyślała Nicky, uśmiechając się lekko mimo zdenerwowania. — Tak, proszę. — Poczęstował ją papierosem i rzucił się na sąsiednie krzesło, by podać jej ogień. Wykonał to tak płynnie i subtelnie, a jednocześnie z taką nonszalancją, że Nicky czuła się zaszokowana — tak, był to pewnego rodzaju szok, pomyślała; coś ścisnęło ją w dołku. Żaden z jej nadmorskich wielbicieli, których spotkała na przestrzeni dwóch lat, nie odnosił się do niej tak stylowo, z taką klasą. Niczego nie insynuował, niczego nie narzucał, nie próbował słodziutko zagadywać, nie

pytał. Po prostu usiadł naprzeciwko niej, zapalił zapalniczkę. Wytrysnął jasny, smukły płomyk. Nicky zapaliła papierosa. Temu młodemu człowiekowi nawet nie przyszło do głowy, że może być odepchnięty; a swoją drogą Nicky nawet nie próbowała tego zrobić. W każdym razie nie była zbyt pewna, czy chciałaby tego.

— Masz jeszcze ochotę na drinka? — zapytał obserwując apetyt, z jakim wchłonęła pernod. Zamówił, nie czekając na odpowiedź, machając na barmana, wołając go po imieniu.

— Często tu przychodzisz? — zapytała Nicky.

— Tu — tam — wszędzie. Paryż jest moim gniazdkiem. Każdy tu zna Alexa. — Badał ją spojrzeniem, z głową lekko przechyloną na bok. — Lecz ty jesteś Angielką, mam rację?

Nicky przytaknęła. Oczekiwała dalszych pytań, ale nie nastąpiły.

Podano im drinki; jemu — coś jak whisky z nadmierną ilością wody, raczej lodu. — Widzisz — zauważył — jestem Francuzem, a piję szkocką. Ty jesteś Angielką, a pijesz pernod. To jest właśnie tak zwana wymiana kultur.

Nicky zaśmiała się. — Alex nie brzmi typowo po francusku — rzekła.

— Alex — Andre — wyjaśnił. — Jak Dumas. Alexandre Fauvelle. Po prostu Alex. A twoje imię?

— Nicky.

— Nikki. Urocze. Poznałem kiedyś jedną Nikki, w Marsylii. Miała wspaniałe nogi... Nikki i co dalej?

— Nicky Maglioli. Moim mężem był Włoch — francuski Włoch.

— Był — Alex uśmiechnął się nagle — złośliwy, ostry uśmieszek. — Nieźle. Podoba mi się. Był. No cóż, wszyscy Włosi są tacy. Co się z nim stało?

— Uciekł do Włoch, by zostać kierowcą wyścigowym.

— Cholera!

Śmiał się znowu. Alex był typem człowieka, który ze

wszystkiego się śmiał. Niezbyt przystojny — miał niezdecydowane rysy twarzy, raczej nieregularne, czarne jak smoła oczy — lecz jego atrakcyjność polegała na tym, że był cholernie spokojny. Był jednocześnie i bardzo młody, i bardzo stary: stary w swoim cynizmie, zmęczony życiem, rozpustny, ale w głębi duszy, Nicky instynktownie to wyczuwała, był jeszcze dzieckiem, człowiekiem emocjonalnie niedojrzałym. Zepsuty ministrancik, rozwiązyły łobuz, figlarny lekkoduch z twarzą pooraną bruzdami. Gdy przestawał się uśmiechać, sprawiał wrażenie pogrążonego w zadumie, wrażenie złudnej szczerości — coś podobnego dostrzegła już Nicky jako żona. Z pewnością dlatego nie była nim oczarowana, chociaż w sumie był pociągający; zachowała pewien dystans, choć intrygował ją. Nauczyła się tego będąc ze Stephanem — obojętnym, opieszałym, dbającym o własną wygodę. Stephane był pusty wewnątrz. Lecz u Alexa podświadomie rozpoznała część siebie, pokrewną duszę, równie niegodną zaufania, nieodpowiedzialną, niepewną. W słabym oświetleniu twarz Ale-xa była ziemista, ze znikającymi resztkami opalenizny pochodzącej wprost z Riwiery, a czarne oczy skrzyły się niczym dwa ogniki. Jego uśmiech był równie tajemniczy, jak uśmiech Nicky, może nie tak uroczy, ale o wiele bardziej demoniczny.

Był raczej niski i słabo zbudowany, ale wydawał się potwornie silny: zwinny jak kot, który potrafi wdrapać się na każdy mur i wykonać szybki skok. Oprócz zwykłych džinsów i czarnej skórzanej kurtki nosił dość drogie dodatki: złoty kolczyk w uchu, kilka sygnetów, na zapalniczce miał wygrawerowane inicjały (nie swoje), a portfel, niedbale rzucony na stół, był z wężowej skóry.

Gdy Nicky była w połowie swego drinka, zamówił następny, znowu nie pytając jej o zdanie. Od czasu do czasu podchodzili do niego jacyś ludzie; wyglądało na to, że spotkanie z Alexem sprawia im nie skrywaną satysfakcję. W nagłym błysku swojej świadomości Nicky zro-

zumiała, że w jego twarzy nie ma nic dobrego, widnieje na niej jedynie piętno doborowego grzesznika. Poderwał mnie, pomyślała, a ja mu na to pozwoliłam. Było to zatrważające, ale też nęcące. Znacznie później, gdy była już zupełnie pijana i właśnie sobie przypominała, że nic nie jadła, on powiedział: — Chodźmy.

— Jestem głodna — rzekła Nicky. — Mam ochotę na pate de foie.

— Mam kilka w lodówce. Poszli.

W następnym tygodniu pokłóciła się z Bernardem, teraz już ostatecznie. Być może jej podświadomość pracowała ze wzmożoną siłą aranżując wszystko w ten sposób. Przedtem wzbraniałaby się. Umysł wymykał się jej spod kontroli, kierował się swoimi decyzjami, nie zostawiając jej nic do powiedzenia. Po tym całym zajściu w sklepie, gdy w sumie otrzymała rozgrzeszenie ze swej zachłanności, zaczęła tracić panowanie nad sobą. Ostatnią kłótnię w sklepie w czasie pracy pogorszył tylko Jean-Claude, który próbował załagodzić spór, a jeszcze na dodatek ci wścibscy klienci. Jean-Claude starał się jak mógł tego nie zauważać — chłopak miał poczucie taktu, ale niestety ludzie byli ohydni. W rezultacie Nicky zagroziła, że jeśli nie dostanie podwyżki, Madame Cochelin dowie się o wszystkim. Lepiej trafić nie mogła. M.Cochelin potraktował ten szantaż bardzo poważnie. Tego właśnie popołudnia, kiedy Nicky wyszła wcześniej z pracy, Madame nawiedziła ją osobiście — potężna kobieta o muskulaturze zapaśnika, zdolna wyrzucić ją zarówno z pracy, jak i z mieszkania.

W porze lunchu Bernarda brało na zwierzenia; wygadywał wówczas na swoje wstrętne babsko. Teraz zaś chował głowę w piasek, jak struś, a jego żona odwaliała brudną robotę za niego. Z czasem Nicky wywnioskowała, że musiało to być jego regularną praktyką, gdy romans

powoli wygaszał. Gospodyni była tym ewidentnie znudzona, jakby znała to już na pamięć, inni mieszkańcy mieli niezły ubaw. Nicky, nie widząc innego wyjścia, spakowała swoje rzeczy — również te oszczędności, które umknęły przenikliwemu oku Madame — i wyszła, zachowując się wobec niej tak wyniosłe, jak tylko potrafiła. Wyniosłość nie była jej mocnym punktem, ale warunki zmuszały ją do zachowania pozorów. Kiedyś w przyszłości, postanowiła sobie, będzie musiała nauczyć się wychodzić jak elegancka dama; do tej pory tylko uciekała w pogoni za szaleństwem. W przyszłości... Poszła do Alexa.

Nie prosił jej o ponowne spotkanie; doprawdy, wątpiła, czy będzie w stanie przypomnieć sobie coś więcej poza jej imieniem. Miała na tyle pieniędzy, by wynająć pokój, zanim znajdzie następną pracę — o ile praca była tym, czego właśnie szukała. Ale podjęła decyzję prawie bez namysłu. Poszła do Alexa.

Bardzo szybko odnalazła ulicę — rue Quinquem-poix — zapamiętała nazwę, gdy wcześniej rano opuszczała mieszkanie Alexa. Miejsce to było ciemne nawet w blasku dnia, wąska alejka między zwartymi kamiennymi domami czynszowymi, od których wiało antyczną starością. Od góry z trudem wciskało się niebo, tworząc wąziutką ścieżkę błękitu. Kamień był zwietrzały, wiele okien z rozbitymi szybami, budynki wyglądały, jakby przez długi czas były nie zamieszkane. Lecz na samym dole, oprócz wielu barów, była galeria sztuki, przytulne restauracyjki, nowoczesne malowidła i lśniące witraże pomiędzy niszczącymi pilastrami. W takim otoczeniu Nicky widziała oczami wyobraźni postać Quasimodo umykającego po kocich łbach, bandytę Calembredaine czyhającego w zacienionej bramie, Mme La Voisin z jej kryształową kulą i truciznami, czekającą w swoim sanktuarium na klientki błyskające diamentową biżuterią. Właśnie tutaj D'Artagnan mógł wpaść w zasadzkę, Arsen Lupin planował swój

tysięczny skok, Maigret zapalał fajkę. Nocą Nicky wpatrywała się w ulicę nie widząc jej, tak jak dziecko słuchające bajki przechodziła granice baśniowego świata. Uciekła stamtąd w pośpiechu, bojąc się ciemności i kamiennych twarzy spoglądających na nią ze wszystkich stron, rozmywających się w mroku — półprzytomna w królestwie snów. Wróciwszy tu w dzień, od razu poczuła, że właśnie tego szukała: Paryż baśni i fantazji, jakiego nigdy dotąd nie mogła znaleźć. Postawiła torby na bruku i rozglądała się wokół, wchłaniając zachłannie całą tę otaczającą atmosferę. Przeznaczenie, w którego intencje tak często wątpiła, z pewnością musiało rzucić ją tutaj. Była wolna; wzięła rzeczy i zaczęła szukać mieszkania Alexa.

Chodziła tam i z powrotem, myśląc, że zgubiła drogę, gdy wreszcie dotarła do ciężkiej bramy z intarsją w kształcie pierścienia zniszczoną kaprysmi pogody. Tylko zerknęła, a już widziała grymaśną, szczerzącą zęby twarz maskarona wyglądającą z labiryntu błędzących Cieni. Brama nie była zamknięta — za nią był wąski pasaż i w dali galeryjka z gipsowymi, rzeźbionymi kolumnkami, a wreszcie miniaturowe podwórze, w połowie zasypane gruzem. To było to. Serce zabiło jej mocniej. -Na wypadek gdyby to wszystko miało zniknąć, otworzyła szeroko drzwi i przeszła pasaż, kurczowo ściskając bagaże. Weszła na skrzypiące schody prowadzące na pierwsze piętro, nad podwórzem. W dwóch oknach można było dostrzec oznaki życia, ktoś tam mieszkał; zza zasłoniętych kotar dobiegał się odbłask lampki elektrycznej. Na szczycie schodów były drzwi — gładkie, nowe drzwi pomalowane na czarno. Miały metalową kołatkę w kształcie dłoni i elektryczny dzwonek. Nicky wybrała dzwonek.

Gdy czekanie zdawało się już nie mieć końca, drzwi otworzyły się. Alex. Spojrzał na nią — ani przyjaźnie, ani z miną, jaką wita się intruza, prawie ślepo.

— Nicky Maglioli — rzekła. — Myślę, że zapomniałeś. Spotkaliśmy się w zeszłym tygodniu. Mogę wejść? — Przypuszczalnie nie miał wątpliwości, po co przyszła. Odsunął się i zaprosił ją do środka. Jego mieszkanie było zadbane i ciekawie urządzone. Białe ściany, szkarłatne zasłony, czarna aksamitna sofa, czarne lakierowane biurko. Mnóstwo awangardowej ceramiki, popielniczek przepełnionych popiołem, resztkami z papierosów. Stos gazet i kolorowych magazynów, filiżanka po kawie, butelka szkockiej i kubek, w połowie pusty, dywan z pseudobatalistycznymi wzorami; takie same poduszki. Dwa albo trzy klosze z krwistoczerwonego szkła. Ostatnim razem Nicky mała zapamiętała z mieszkania; ulica utkwiała jej bardziej w pamięci. Teraz więc przyglądała się z wielkim zainteresowaniem. Jej uwagę przyciągnęło malowidło wiszące nad sofą: około trzech stóp na cztery, ciemne abstrakcyjne plamy z błędnymi ognikami przechodzącymi w zielonoszkarłatne promyczki, wpadające w bezkształtną masę, czarną jak smoła. W środku było coś w rodzaju twarzy, w połowie zarysowanej, wyrastającej z całego tego chaosu, jak maskaron na drzwiach. Mała szalona twarz, pomarszczona jak pysk małpy, wpadająca w wir czarnej czeluści. Oczywiście wyobraźni Nicky rozpoznała w niej twarz Alexa.

Postawiła torby na podłodze i usiadła na sofie. Alex obrzucił wzrokiem bagaże, nie ukrywając dezaprobaty. Nie usiadł. Nie zaproponował drinka. Stał oparty o ścianę, tuż przy drzwiach.

— Czego chcesz?

Nie brzmiało to zachęcająco. Nicky jednak postanowiła wyjawić całą prawdę. Miała przecucie, że Alex, inny niż wtedy, wręcz wrogi, pomoże jej, potrafi coś temu zaradzić.

— Byłam kochanką tego faceta — walnęła prosto z mostu. — Nie było to zbyt pasjonujące, ale płacił za moje mieszkanie, a ja miałam pracę w jego sklepie. Za

bardzo nie podobało mi się to, ale przedtem — gdy mąż mnie porzucił — musiałam spać pod mostem. Więc rozumiesz... Poza tym mieszkanie było okropną norą, a praca mnie nudziła. Poprosiłam o podwyżkę, ale nic z tego nie wyszło. Powiedział o wszystkim swojej żonie, a ona mnie wywaliła. I znalazłam się tutaj. — Głos miała drżący. Alex stawał się coraz bardziej nieprzychylny, lecz Nicky nie patrzyła na niego. Szukała najodpowiedniejszych słów do wyrażenia swoich uczuć. — Nie przeszkadza mi, że jestem czyjaś kochanką — wybuchnęła — ale chcę, żeby mnie szanowano. Chcę mieć dużo pieniędzy i wspaniałe ciuchy, i drogie mieszkanie. Nie chcę ciemnej nocy z miejscem do spania i ohydnej pracy, nie chcę tłustego cielska żony wyrzucającej mnie na bruk. Chcę być kochanką szczególnego mężczyzny, kogoś bogatego i — interesującego. Chcę, żeby kupował mi drogie futra i diamenty, zabierał mnie do nocnych klubów i poił drogim szampanem! Chcę się bawić! — Zabrakło jej słów, natknęła się na tajemniczy, niemal dziki wzrok Alexa, zacisnęła pięści. — Pomyślałam sobie — zaczerpnęła powietrza — znasz tylu ludzi. Tak powiedziałeś. Pomyślałam, że może mógłbyś mi pomóc.

Alex stał oparty o ścianę wciąż w tym samym miejscu. Ale wyraz jego twarzy się zmienił. — Może — odparł. Słaby, przelotny uśmiech przemknął przez jego usta. — Wcale nie jesteś takim słodkim niewinnym maleństwem, nieprawdaż? — Teraz spojrzał na nią, jakby coś w niej rozpoznał, z pewnego rodzaju uznaniem w oczach, jakby znalazł w niej bratnią duszę.

Alex wreszcie odkleił się od ściany i poszedł do kuchni po drugi kubek. Nalał jej niezłą porcję whisky. Nicky piła z niechęcią. Nie lubiła whisky.

— Potrzebujesz tego — nalegał. Z biurka wyciągnął nieodzowne pudełko papierosów. Z marsem na czole rzucił Nicky jednego, drugiego zapalając sobie. — Chcesz, żebym znalazł ci faceta — podsumował. — Kogoś bogate-

go i interesującego. To znaczy bogatego i wpływowego. Pieniądze, żebyś mogła się zabawić. Potęga — *eh bien*, potęga to też frajda. Potęga to prestiż. Potęga to sława. Lecz potęga jest podatna na zranienie, wrażliwa. To ważne, żeby potęga była wrażliwa, dla kogoś, kto jej doświadcza. Ten ktoś, w razie potrzeby, mógłby być szantażowany. Człowiek z pozycją. Facet, który potrzebuje kochanki — uśmiechnął się znowu, podstępnie. — Zapewne będę mógł ci znaleźć takiego faceta.

Nicky spojrzała na niego z nadzieją w oczach.

— To zależy — Alex zaciągnął się głęboko — co ja z tego będę miał. — Nicky rzekła: — Wszystko, czego tylko zechcesz.

— Wszystko — odparł Alex — to nic nie znaczy. Ale na razie to wystarczy. A tymczasem przypuszczam, że chciałabyś tu zostać?

Nicky była już we Francji tak długo, że zdążyła podłapać narodowy gest. Wzruszyła ramionami.

— W porządku — powiedział Alex. — Tak będzie wygodniej. Musisz się wiele nauczyć. Możesz spać na sofie, nie lubię nadmiernego towarzystwa. Zapamiętaj: to jest moje mieszkanie, a ty jesteś tylko nieproszonym gościem. Nigdy nie sprzątaj, nie ścieraj kurzy, nie pierz moich koszul. Nauczę cię, jak parzyć kawę — angielska nie ma aromatu. Poza tym nie chcę, abyś gotowała w mojej kuchni.

— Jestem fatalną kucharką — powiedziała Nicky.

— Wspaniale. — Spojrzał na nią z błyskiem w oczach. — Mam nadzieję, że się rozumiemy, prawda? *A la bonne fortune!* — Wypił do dna.

Nicky dotrzymała mu towarzystwa, choć whisky była wstrętna. — *Bonne fortune* — powtórzyła.

W czasie następnych tygodni Nicky dowiedziała się czegoś więcej o Alexie. Czasami, gdy się kochali — w trakcie lub po — opowiadał jej szczegóły swojego życia —

szczegóły ze swojej przeszłości, świetnie dobrane, pomyślała Nicky. Ona zrobiłaby to samo. Ani nie nieprawdziwe, ani nie okrojone, ani nie przejaskrawione czy przekrecone. Jego ojciec był bogatym przemysłowcem i w czasie drugiego małżeństwa otoczył swojego jedynaka zbytkiem, niestety nie poświęcając mu przy tym wiele uwagi, i w rezultacie wyklął go przy pierwszej lepszej okazji. Pokłócili się. Teraz w ogóle nie rozmawiają. — // *me fait chier* — rzekł zrezygnowany Alex. Jego matka żyła z alimentów w willi w Midi. Zawsze go uwielbiała i dawała mu, czego tylko zapragnął — najczęściej była to gotówka. Jego macocha także okazyjnie go wspierała, ale nie bardzo wiedział, dlaczego to robi. Nie pracował, a swe głośne wystąpienia w barach i klubach uważał za *mes affaires*. Niejednokrotnie jacyś ludzie przychodzili do mieszkania, nocni goście używający kołatki, a nie dzwonka. Za każdym razem na czas takich odwiedzin Nicky musiała się ulatniać. Czarne lakierowane biurko nie było zamykane; wymiana targowa, pomyślała Nicky. Było w nim zawsze dużo pieniędzy. Nieczyste interesy — przypomniała sobie słowa Kiplinga, którego stosunek do tego typu spraw był zupełnie jasny: „Nie pytaj, a nie będziesz okłamany”, lub coś w tym rodzaju, i Nicky, postępując zgodnie z tą zasadą, nie pytała, niczego nie widziała.

O tych machlojkach mówił równie wymijająco jak o innych detalach swojego życia. Nicky odkryła, że Alex kocha się w intrygach, które sam snuje wokół swojej osoby, otacza się murem konspiracji, nawet gdy wychodzi na herbatę, daje wymijające odpowiedzi na najprostsze pytania, hołdując swojej zasadzie. Stąd wszystkie jego tajemnice uwikłane były w podstępne zagrywki. Jego spotkania były tajne, owiane tajemnicą, i w ogóle atmosfera dreszczyku przenikała całe jego życie towarzyskie. Gdy zabierał Nicky ze sobą, nigdy nie przedstawiał jej swoim przyjaciołom: patrzyli na nią z nie ukrywaną ciekawością, a i ona gapiła się na nich, lecz wszystko

zostawało w sferze domysłów. Miał całe mnóstwo przyjaciół. W najpodlejszym barze kawowym, w najbardziej zadymionym kabarecie, w najelegantszym klubie nocnym — zawsze był ktoś, kto przeciskał się w jego kierunku między stolikami z powitalnym gestem lub machał na niego z drugiego końca sali. Błazi mężczyźni o nieprzytomnych oczach, młodzi bruneci o idealnych fryzurach, starsi faceci po operacjach plastycznych, znowu jacyś inni ludzie o znajomych skądś twarzach — Nicky znała ich chyba z telewizji lub fotosów filmowych. A dziewczyny — niektóre ładne, inne wulgarne, jeszcze inne szykowne — wszystkie Alex całował bądź ignorował z identyczną nonszalancją. Nicky była zadowolona, że nie jest w nim zakochana — nie musiała przejmować się dziewczętami. Tylko czasami z jego ust padały skąpe informacje dotyczące osób: ten facet był dziennikarzem, ten filmowcem, ta dziewczyna sypiała ze sławnymi aktorami, tamta z wybitnymi politykami. Zaznaczył, że ma pewne interesy z kilkoma grupami rockowymi, ze studiem filmowym, ze znaczącą gazetą; Nicky zastanawiała się, czy aby nie sprzedaje pikantnych szczegółów i skandali-ków, wypełniających plotkarskie kolumny. Patrzyła na to przez palce, ale i nie bez pewnego podniecenia. On — niczym pająk starannie tkający swoją sieć albo jak kameleon zmieniający swoją skórę zgodnie z potrzebą chwili. Za tą maską Nicky odkryła samo jądro zdrowego rozsądku, inteligencję i wyrachowanie. Analizując wszystkie jego pokątne machlojki, Nicky była pewna, że brał kokainę, ale jedynie w wyjątkowych wypadkach, a o heroinie nawet nie myślał. Lubił używki, ale do pewnego stopnia — z wyjątkiem kawy, którą pijał tak mocną, tak słodką i tak czarną, jak melasę. Jadał mało. Miał motocykl, którym rajdował bulwarami, ale nigdy nie niepokoił policji. Dowiedziała się, że siedział w więzieniu, ale nie powiedział, za co. — Ty też miałaś kłopoty — zauważył — nieprawdaż?

— Być może — odparła wymijająco, udając, że ona też tak potrafi.

Roześmiał się. — Zbyt szybko się uczysz, zaczynasz mnie naśladować. Wiesz, mam siostrę. Jest brzydka, zacofana i głupia. Trzy okropne grzechy. Poślubiła *espece dencule*, który nie chciał mnie w domu, gdyż twierdził, że będę doił od niej forszę. Oczywiście, robiłbym to, ale co go to obchodzi. Ma na to... A to jej sprawia przyjemność — biedna, głupia, brzydka kobieta. Byłabyś lepszą siostrą od niej. Potrafilibyśmy się dobrze zabawić. *N'importe*. Chodź do łóżka, mała! siostrzyczko — urocza siostrzyczko. Popelnimy kazirodztwo.

To było partnerstwo, nie przyjaźń. Nicky — nieproszony gość — nigdy nie odkurzała, nigdy nie sprzątała, nigdy nie gotowała w jego kuchni. Była awantura, gdy nieopatrznie włożyła camembert do lodówki („ex-kochanka rzeźnika powinna się na tym znać”), ale poza tym ich koegzystencja układała się zupełnie nieźle. Komentarze Alexa były zawsze uszczypliwe, czasami nawet okrutne, ale Nicky nie czuła się nimi dotknięta. Jego małe złośliwości, jak zauważyła, były spowodowane jego niestałością, raczej częścią jego image niż faktyczną próbą zranienia kogoś. Jego zachowanie było niczym dzida skierowana w stronę świata, ale Nicky nie wiedziała, czy dzida ta jest w pozycji obronnej, czy w ataku. Wreszcie zrozumiał, że ona nie zamierza wkraczać w jego życie — próbował się odprężyć — ale tylko czasami. Mogła zasypiać na[^] sofie, ale gdy się budziła, była w jego łóżku. — Jesteś ohydną kochanką — powiedział, gdy zjawiała się tamtego wieczora. — Myślałem o tym w zeszłym tygodniu. Pieprzysz się jak prawdziwa dziwka. Widziałas kiedyś film *Klutel* Jane Fonda w łóżku z jakimś facetem, spoglądającym jej na zegarek. Pomyśl sobie, że jesteś superpłatną panienką, i rób tego w ten sposób. Nie udawaj orgazmu — wyobraź sobie, że przeżywasz orgazm. Pieprz się jak Garbo. — A później: — Takie numerki są dobre: to

znaczy, że nie jesteś zaangażowana. Orgazm sprawia, że kobiety stają się sentymentalne.

— A jak z tobą? — szepnęła Nicky.

Alex chrząknął. — Ze mną to co innego. Ja ustalam zasady i ja mogę je złamać. Myślę o tym jak o masturbacji. Jestem twoją pokrewną duszą, twoim *âme damnée*. Nie kochaj mnie, daj mi siebie. Rób to ze mną, a nauczysz się, jak to robić z innymi facetami. I z kimkolwiek będziesz spała, ja też tam będę, w łóżku, tuż przy tobie, pomiędzy, nie dwoje kochanków, lecz troje — ciało i duch spowity w ciemność, i to właśnie mój cień będzie cię całą miał, będzie się tobą zachwycał, i rozplynie się w blasku dnia, podczas gdy ten drugi mężczyzna zostanie tylko obserwatorem. Zawsze mała Nikki: rozumiesz? Teraz oddaj się mnie, a ja będę cię miał zawsze, zawsze...

Nicky oddała się bez miłości, bez fascynacji jego pewnością siebie i oszukańczą żądzą. Jego ręce nadawały jej kształty, jego usta pożerały ją, jego język rozdzierał jej wnętrze; a ona zapadała się, zapadała, zapadała, targana powolnym dreszczem ukojenia i strachu. To była ciemna strona namiętności, bezwolne poddanie się czarownym mocom, zaprzedenie duszy diabłu poprzez akt seksualnej degradacji. Kiedyś marzyła, by znaleźć przyjemność w prawdziwym romansie, lecz romanse zawiodły, dopiero w kleszczach wypaczonej namiętności odkryła w końcu ekstazę, której tak długo szukała.

VIII

Nicky natknęła się na Theophile Montadora przed Galeries Lafayette na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia. Było to dokładnie zaaranżowane spotkanie: czekała na niego pół godziny. Upuściła butelkę wody po goleniu, która rozbiła się; zaczął ją przeproszać; zachowywała się tak, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem. Dobrze wiedziała, z doświadczenia z Bernardem, jakie to przynosi efekty. Montador zaprosił ją na kawę, by ją uspokoić, a ona puściła wodze swojej fantazji wyjaśniając mu, że woda po goleniu była dla jej chłopaka, który już jej nie kocha — a ona chce go porzucić, lecz nie ma dokąd pójść, i wszystko to takie straszne, a ona taka nieszczęśliwa, nie ma co ze sobą zrobić, a święta tuż, tuż. Była oczywiście sierotą, spotkała swego chłopaka na wakacjach i porzuciła pracę, aby pojechać z nim do Paryża. A teraz nie ma dokąd pójść, i tak dalej. Montador zabrał ją do galerii, kupił następną butelkę wody po goleniu i perfumy — dla niej — i dał jej swoją wizytówkę. Wyjeżdżał na same święta, lecz zaraz po nich wracał: miała do niego zadzwonić. Może będzie mógł jej w czymś pomóc. Na ustach Nicky pojawił się dzielny uśmiech, rzuciła mu urocze spojrzenie, życzyła drżącym głosem Wesółych Świąt i z gracją wyszła.

— To będzie wymagało pracy upewnił ją Alex w Boże Narodzenie. — Zobaczysz. Cholernie potrzebuje kobiety. Ma piękną żonę, która straciła zainteresowanie seksem; mają osobne sypialnie, a pocałunki wymieniają

tylko przy śniadaniu. Jest wyrafinowany, nie gustuje w zwykłych prostytutkach, a poza tym ma nieskazitelną reputację. *Pauwe homme*, to musi być cholernie męczące — nieskazitelna reputacja. — Jeśli on jest aż tak w porządku — rzekła Nicky — z pewnością nie zechce kochanki. — On sam nie wie, czego chce — odparł chłodno Alex. — Musimy go nauczyć. Najpierw damy mu możliwość, by okazał swoją rycerskość. Ty masz kłopoty; potrzebujesz pomocy. Dla takiego faceta słuzenie pomocą innym jest częścią jego zasad. Potem stajesz się wdzięczna, przytulasz się do niego, patrzysz na niego cielecymi oczami. Zanim się zorientuje, będziesz w jego łóżku. To pójdzie łatwo. — Wdzięczna... — powtórzyła Nicky zastanawiając się, co to słowo znaczy. Przez chwilę zamyśliła się — była ciekawa, czy kiedykolwiek w jej życiu pojawił się mężczyzna, któremu nie musiała być wdzięczna. Stephane oczekiwał od niej wdzięczności za to, że się z nią ożenił; wuj Luca — za ofiarowanie swojej opieki nad nią; Bernard za przyjęcie jej do pracy i danie dachu nad głową. A teraz Theophile Montador, ten o nieskazitelnej reputacji i rycerskich instynktach, miał wymagać od niej wdzięczności. Rozewrzyj nogi, Nikki, rozewrzyj nogi i bądź wdzięczna: Zamknij oczy; zamknij umysł; nie patrz; nie oddychaj; rób to jak Greta Garbo. *Et voilà*. Wdzięczność. Nawet Alex... nie, w przypadku Alexa „wdzięczność” — to nie było to słowo. Już teraz czuła, że jest przywiązana do niego więzami silniejszymi niż seks, głębszymi niż chwilowe uczucie. Mogłaby je przerwać tak szybko, jak przerywa się nić pajęczyny machając szczotką, lecz nagle przestraszyła się, że jeśli zacznie walczyć, te więzy wciąż będą ją krępować, pozostanie w jego fantazji jak motyl w sieci pajaka. Teraz oddaj się mnie, a ja będę cię miał zawsze... zawsze... Gdy się jest młodym, „zawsze”

jest terminem używanym często i szybko zapominanym; oznaczeniem godziny, miesiąca, gry. Lecz nawet ulotna obietnica może przetrwać. Zdenerwowana sięgnęła po wino, odpędzając od siebie mgliste obawy ruchem, który okazał się tylko wzruszeniem ramion. Alex, wyciągnięty na czarnej aksamitnej sofie, zajęty był swoimi sprawami, niczego nie zauważył.

O swoich źródłach mówił powściągliwie, lecz Nicky pojęła, że głównym informatorem Alexa w sprawie Montadora był jego syn, Eugene. Alex nazywał go *copain*, powołując się na przyjaźń, w którą Nicky zupełnie nie wierzyła; była pewna, że Eugene jest jednym ze stałych klientów. Zjawiał się w mieszkaniu późno w nocy, pukając delikatnie, a potem czmychając niepostrzeżenie zanurzał się w cienie ulicy Quinquempoix. A informacje Alexa, bez względu na to, jak zdobyte, były zawsze dokładne. Montador - mówił — jest ideałem: zasłużone osiągnięcie wciąż wyższych szczebli w karierze politycznej, reputacja człowieka dbającego o dom, nie kwestionowana uczciwość, wrodzone bogactwo. Jego żona Isabelle była damą z wyższych sfer, zimną, elegancką pięknnością, której zainteresowania skupiały się wokół kwestii charytatywnych i strojów Saint-Laurenta. Montador dobiegał sześćdziesiątki, Madame była nieco młodsza: stosowny wiek, skwitował Alex, aby kobieta straciła entuzjazm, a mężczyzna nabrał zapału. Fizycznie, uznała Nicky, przypominał antycznego księcia — wysoki, szczupły, szpakowaty, o cudownych niebieskich oczach, arystokratycznym profilu, skórze koloru kości słoniowej. Wyjątkowo subtelny uśmiech maskował bruzdy między nosem a lekko zapadniętymi policzkami; jego głos był szalenie delikatny; emanował od niego spokój i opanowanie. Kiedy Nicki zjawiała się u niego w Nowy Rok z siniakiem na skroni — sprawką jej domniemanego chłopaka — spokojny głos stał się szorstki, niebieskie oczy wiały lodowatym chłodem. Siniak był genialny, zmajstrował go

Alex, ściągnawszy wszystkie sygnety, by nie uszkodzić skóry, ä Nicky śmiała się do rozpuku, chociaż ją zabolalo. Montador poszedł z nią po rzeczy do specjalnie na ten cel wynajętego małego mieszkania, a raczej pokoiku, i umieścił ją w hotelu na swój własny koszt. Chciał zawiadomić policję, ale sama myśl o kontakcie z władzami wprawiała Nicky w przerażenie, jego zresztą też.

— Jesteś taki dobry — powiedziała mu usiłując wybuchnąć płaczem — Taki dobry ... W całym moim życiu nikt nigdy — nikt nigdy — tu zawiesiła głos, skrywając twarz w chusteczce do nosa. Szlochała. Było to takie proste — zatopienie się we własnej, wyimaginowanej komedii, oddanie kłamstwom zrodzonym z niewygodnej prawdy. Starając się podkreślić, że jednak ma poczucie własnej godności, zaczęła mówić dalej: — Nie mam pojęcia, co teraz zrobię. Przypuszczalnie powinnam postarać się o jakąś pracę...

Montador bez zastanowienia przerwał jej w połowie zdania: — O to nie musisz się martwić — zapewnił ją. A potem: — Zaopiekuję się tobą.

Znane słowa — choć po raz pierwszy wyzwalające w niej dziwne ciepło. Nie będzie jej ponaglał, nie będzie jej zmuszał, nie będzie stosował żadnych wybiegów. Był „człowiekiem dotrzymującym słowa”, będzie się nią opiekował. Uwierzyła mu.

Nie mogła się przytulić do niego: dzielił ich stół wypełniony chińskimi zakąskami, nie dojedzonymi *tar-telette aux /raises*, dzbanek perfumowanej herbaty, przyrządzony rękami prawdziwej gejszy. Ale patrzyła na niego cielecym wzrokiem, oczy miała lekko zaczerwienione od płaczu, tusz nieco rozmazany, dzięki temu oczy wydawały się o wiele większe.

— Nigdy nie spotkałam człowieka takiego jak ty — powiedziała całkiem naturalnie.

To była prawda.

Patrząc na ostatnie dwa lata, Nicky doszła do wniosku, że powinna być zadowolona. Miała apartament na avenue

d'Eylau, stylowo umeblowany, z centralnym ogrzewaniem, szafę pełną ciuchów, toaletkę zastawioną drogimi perfumami i kosmetykami. Montador dawał jej pieniądze — niemałe zresztą, jak na jej potrzeby, z których i Alex czerpał korzyści, a także na specjalne okazje obdarowywał ją wspaniałą biżuterią, wprawnym okiem wycenianą przez Alexa. Był kochankiem dbającym o konwenanse, zawsze zapowiadał swoje wizyty i był mniej lub bardziej punktualny, stąd też miała wiele wolnego czasu, który mogła spędzać jak tylko chciała, bez obaw, że ktoś ją śledzi, że jest pod ostrzałem. Owszem, bywały momenty, gdy nieco szafowała zaufaniem — w momencie gdy wychodził Alex, zjawiał się Theo. Kupił jej łóżko z baldachimem, o jakim marzyła w dzieciństwie, a Alex kochał się z nią w haftowanej pościeli, widząc swoje odbicie w lustrze w stylu Ludwika XV. Wieczory spędzali w nocnych klubach Paryża, gdzie wydawała mnóstwo pieniędzy na super drogiego szampana i tańczyła z innymi mężczyznami.

Montador zabierał ją ze sobą bardzo rzadko, mając na uwadze swoją pozycję, ale ona od początku nie miała mu tego za złe. Gdy uprawiali miłość, był delikatny i rozważny, dostarczając jej niespodziewanej przyjemności — nie to, czego zaznawała z Alexem, jedynie umiarkowane uniesienie, ciepło, słodycz i satysfakcja. Działo się tak dzięki Alexowi, który nastroił jej zmysły niczym doskonały muzyk, strojąc zepsuty instrument, i od tej pory każdy mężczyzna, który się wystarczająco starał, mógł uderzyć w prawidłowy ton. Montador rozpieszczał ją, spełniał jej każdą zachciankę, sporadycznie zwierzał się jej, a Nicky za to grała małą dziewczynkę, pełną uwielbienia dla niego — grała tę rolę tak perfekcyjnie, że nie zdążyła zauważyć, kiedy to stało się rzeczywistością. Z Alexem zawsze była bystrym dziewczęciem, skrywającym kłamstewka, kurtyzaną w łóżku; i nagle poczuła, że coraz bardziej staje się tą Nicky — *petite Nikki* Alexa — króla grała, grała rolę napawając ją coraz większym

niesmakiem. Pragnęła stać się kobietą, za jaką uważał ją Theo, maskotką naznaczoną przepychem, karmioną ptasim mlekiem, bardziej kochaną niż kochającą, nie zaprzatającą sobie głowy obawami o przyszłość ani mroczną przeszłością. Przychodziły takie chwile, gdy myślała, że mogłaby porzucić nocne życie i przyjemności łóżkowe z Alexem i znaleźć spokój w ramionach Theo. Ale wydawało się to nierealne. Nie myślała poważnie, by zerwać z Alexem; w obecnej sytuacji było to niemożliwe. Ale rozmyślała o Isabelle. Kupowała niemałe ilości czasopism — fotografie Isabelle zapełniały rubryki dotyczące życia towarzyskiego, fotografie dystygowanej kobiety w szalenie prostych sukienkach, kobiety o twarzy z mocno zarysowanym konturem kości policzkowych, kobiety o raczej ciemnych włosach zaczesanych do tyłu. Przeważnie była portretowana w czasie spełniania dobroczynnych funkcji — Isabelle przecinająca wstęgę, prowadząca kampanię na rzecz tego czy tamtego, przemawiająca w imieniu niepełnych rodzin, poszkodowanych przez narkotyki, starców, bezdomnych — co tylko w danym momencie było najważniejsze. Nawet Nicky bawiła ironia takiego zachowania, podczas gdy synuś upajał się kokainą, a małżonek zaznawał rozkoszy w ramionach ulicznej dziwki. Skrzętnie wycinała fotografie i chowała w szufladzie z bielizną — było to najbezpieczniejsze miejsce ze względu na Alexa. Dużo czasu spędzała w samotności, oddając się wtedy głębokim rozmyśleniom. Theo ją kochał — tego była pewna — więc dlaczego nie opuści swojej żony i nie ożeni się z nią? Już widziała siebie jako główny temat rubryk towarzyskich, nosząc szalenie eleganckie stroje, wygłaszając swoje poglądy na temat ważkich problemów. Pomysł ten rozśmieszył ją, ale i zainteresował. Jego małżeństwo było wielkim nieporozumieniem — nie powiedział tego wyraźnie, lecz fakty świadczyły same za siebie — a w obecnych czasach zarówno katolicy, jak i politycy często się rozwodzili.

Ale Montador nie chciał rozwodu.

— Kocham moją żonę — wyjaśnił ponuro. — Jestem mężczyzną, jestem słaby, oszukuję ją, wciąż jednak bardzo ją kocham. Jesteś uroczym dzieckiem, Nicky, ale musisz dorosnąć. Życie nie jest tak proste, jak by się mogło wydawać. Musisz wreszcie zrozumieć, że można kochać jedną kobietę, a pragnąć drugiej.

— Kochasz mnie — wyszeptała Nicky. Jej oczy załśniły chłodem.

— Tak — w pewien sposób. Jesteś mi bardzo droga. Lecz pewnego dnia powiemy sobie do widzenia, a ty znajdziesz sobie młodszego mężczyznę, który cię uszczęśliwi. Tak właśnie być powinno. Isabelle

— Isabelle jest częścią mojego życia.

— Nie chcę młodego faceta! — zaprotestowała Nicky. — Chcę ciebie! Kocham cię!

— Nicky, nie okłamuj mnie. Nie tym razem. *Ma pauvre*: czy myślisz, że ja nic nie wiem? Och nie, nikt cię nie śledzi — spotkałem go pewnego wieczora, jak wychodził z windy. Gospodarz powiedział mi, że on tu często bywa. To mnie zabolalo, ale tylko troszeczkę. Poczulem, że to zupełnie naturalne — pragniesz kogoś bardziej atrakcyjnego — kogoś w twoim wieku. A ty wciąż sprawiałaś wrażenie, że jesteś zupełnie zadowolona ze mnie, no, prawie zupełnie. Doceniam twoje towarzystwo, twoją wyrozumiałość, lecz nie udawajmy, że między nami jest coś więcej.

Gapiała się na niego, była zbyt wstrząśnięta, żeby się rozplakać.

— Ty nic nie rozumiesz...

— Doskonale wszystko rozumiem. Opowiadałaś mi tysiące zabawnych historyjek, nie sprawdzałem ich, nie wypytywałem ciebie o nic, ale nie jestem głupcem. Nie musiałem się wiele zastanawiać... A teraz już żadnych innych historii, proszę. Nie miałem zamiaru poruszać tego tematu, uwierz mi — szalenie miło być z tobą, a ja nie chcę

tego zepsuć. Choć może dobrze, że się tak stało. Jesteś słodziutka, Nicky, ze wszystkimi swoimi kapryсами i słabostkami — Bóg nam dopomóż, obydwójce jesteście słabi — ale myślę, że musimy porozmawiać o rozstaniu. Powinienem był to zrobić wcześniej, *au coeur*. Jedynie dlatego, że cię uwielbiam, wciąż to odkładałem. Ale dłużej już nie można zwlekać.

Nicky poczuła lodowate łapsko ściskające jej serce. Powtórzyła głośno "Kocham Cię" i w tym momencie w to uwierzyła.

Uśmiechnął się — spokojny, melancholijny uśmiech, rysujący się znajomym konturem na jego twarzy. Nicky pragnęła zmyć tę melancholię pocałunkiem, ale było już za późno, wiedziała o tym. — To uroczo z twojej strony — powiedział. — Zresztą zawsze byłaś szalenie urocza. Więc teraz nie zaprzepać tego.

Alexowi nic nie powie. Nie teraz. Kiedy wyszedł Montador, ciężko opadła na łożo z baldachimem. Satynowa pikowana kołderka ześlizgnęła się na podłogę, biały nylonowy kotek wciąż gnieździł się między poduszkami — a ona cała się trzęsła, niczym opuszczone dziecko zostawione na zimnie. Jej schronienie odeszło: na zewnątrz swego komfortowego królestwa widziała stare okropności, tylko czyhające na nią: śmierdzący, ponury pokój, ohydny pracę, a w ostateczności, na końcu — most. Nie zaoszczędziła żadnych pieniędzy, nie miała żadnych pomysłów. Theo powiedział, że zaopiekuje się nią, i ona uwierzyła. Siedziała tak bez ruchu dobrą chwilę. W końcu wstała i podeszła do toaletki. W szufladzie, po lewej stronie, było mnóstwo aksamitnych kasetek z nazwiskami sławnych jubilerów. Wyjęła je i wytrzepała ich zawartość na metalową tackę: klipsy z perłami i opalami, rubinowy wi-siorek, węzowa bransoleta ze szmaragdowymi oczkami, dwie lub trzy broszki. Żadnego pierścionka: nigdy nie

dał jej pierścionka. Ale w końcu było to pewnego rodzaju zabezpieczenie.

Kiedy Alex zjawił się u niej następnego dnia, nie miała ochoty na miłość. Popatrzył na nią spode łba i poszedł sobie.

Trzy tygodnie później Montador powiedział jej o swoim awansie. Został *chef de cabinet* w Ministerstwie Finansów; wywnioskowała, że w ostatnim miesiącu musiał już coś o tym wiedzieć.

— Przykro mi, Nicky — rzekł z właściwą sobie delikatnością. — Nie mogę sobie pozwolić, abyś tu była. Bę- '. dziesz musiała coś postanowić. To nie ze względu na moją nową pozycję: po prostu kłopoty rodzinne. Mój syn Eugene... Powiniennem był to zauważyć już dawno temu, ale zbyt byłem zajęty sobą, a ślepy na sprawy innych... Nie, to nie twoja wina, ja źle czyniłem. On wymaga kuracji — to będzie bardzo kosztowne. Dam ci trochę pieniędzy, zrobię wszystko, żeby ci pomóc, ale musisz odejść. Jak najszybciej.

Nicky rzekła wolno: — Rozumiem — i to było wszystko.

Tej samej nocy zadzwoniła do Alexa.

— To się czasami zdarza, nieprawdaż ? — Zauważył, gdy tylko przyszedł. — Wyczytałem to z twojej twarzy. Stałaś się sentymentalna.

— Teraz wcale nie jestem sentymentalna — odparła Nicky, nieświadomie skubiąc nylonowe futerko białego kotka.

— Dobra... No cóż, nie przejmuj się. Wciąż masz mnie. Jesteśmy kumplami: pamiętasz ? Wybrałem Montadora z prawdziwą ostrożnością. A ten awans — minister finansów. Słyszałem o tym, dowiedziałem się z plotek dziennikarskich — lepiej być nie mogło. — Gdy spojrzała na niego, jego twarz aż pałała perwersyjną satysfakcją.

— Mamy go. Dał się złapać we własne sidła. Lepiej być nie mogło.

— Wysyłają Eugene na kurację — wtrąciła nie komentując.

Alex puścił to mimo uszu.

— Pozwólmy im tracić pieniądze, jeśli mają na to ochotę. W kółko to samo: kuracja, nowe postanowienia — a po miesiącu, dwóch wraca znowu, bardziej załamany niż kiedykolwiek. Jeśli nie, zawsze znajdą się inni. Poza tym to nie jest ważne. Na razie zajmijmy się Montadorem, nie jego synem. Posłuchaj: powiesz mu, że jesteś tutaj szczęśliwa i nie masz zamiaru się ruszać. Nie odgrażaj się: po prostu powiedz mu to — przez łzy — że jeśli wyrzuci cię na bruk, twoja rozpacz może zaprowadzić cię wprost do jego żony. Jeśli nie będziesz przesadnie płakać, jeśli okażesz rozpacz, będzie to mniej teatralne. A jeśli wciąż będzie się upierał, że nie może sobie na to pozwolić, powiedz mu, że istnieje jeszcze skarb państwa — pieniądze, które zostaną mu przekazane w Ministerstwie Finansów.

— On tego nie zrobi — Nicky struchlała na myśl o tej okropności.

— Nie ma wyboru — Alex zapalił się cały. — Musisz mu tylko rąbnąć prosto w oczy, że rozgłosisz, iż używał państwowych pieniędzy, by przez ten cały czas płacić za ciebie, a wtedy on będzie skończony. Nawet jeśli wyjdzie z tego czysty, skandal zrujnuje mu karierę — i przypuszczalnie małżeństwo także.

— Dodał w zamyśleniu: — Myślę — jestem prawie pewien — że kocha żonę. To był jedyny powód, dla którego go wybrałem.

— Czy aby na pewno? — zapytała ponuro Nicky.

Gdy już Alex sobie poszedł, ćwiczyła całą tę zaaranżowaną scenę z Theo przed lustrem w stylu Ludwika XV. Lecz kiedy nadszedł decydujący moment, nie potrafiła się rozplakać, nie mogła udawać.

— To szantaż — powiedział spokojnie, gdy już skończyła.

— Może. — Była opanowana, miała poważną minę i gorzki uśmiech. — Powiedziałeś, że będziesz się mną

opiekował. Pragnęłam tylko tego. Też mogłam cię pokochać, ale odrzuciłeś mnie. — Tak samo jak inni. Ale tego już nie powiedziała. Gdy zdała sobie sprawę, co zrobiła, ogarnęło ją przerażenie, jej system nerwowy wysiadł zupełnie. Miała dość, żadne dramaty, ani udawane, ani prawdziwe.

A on powiedział tym samym spokojnym tonem: — Sprawiasz wrażenie takiej, która najlepiej o siebie potrafi zadbać sama.

Nie odpowiedziała mu.

Przeszedł pokój — jego twarz była spokojna, ton głosu zmienił się — ni to prośba, ni to pewność: — Nicky, nie możesz tego zrobić. Nie wierzę, abyś mogła pomyśleć o tym — nie ty sama. Ten twój młody mężczyzna, czy on ci to podsunął? Czy nalegał — czy używał siły wobec ciebie? Czymkolwiek by ci zagrażał — nie bój się, powiedz mi o tym. Nie opuszczę cię.

.Nicky zacisnęła pięści: — Już to wcześniej mówiłeś.

— Och, Nicky... Nicky...

Stali po przeciwległych stronach pokoju: on oparty o kominek, dłonią przysłaniał twarz. Ona patrzyła na niego oczami, które ledwo mogły coś zobaczyć, całe jej ciało zeszywniało ze strachu.

— Jeśli ty nie możesz sobie na mnie pozwolić — wyrzuciła z siebie — to rząd może. Władza wydaje biliony. Nie zauważą straty kilku franków tygodniowo.

Żachnął się. — Nigdy nie dopuszczę do tego. Zrobiłbym wtedy zły użytek z zaufania, które mają do mnie — ograbić budżet szkół, domów opieki społecznej — wszystko, by sfinansować moje własne przyjemności. Musisz zrozumieć...

— Z wydatków na zbrojenia — rzekła Nicky, powtarzając za Alexem jeden z jego najbardziej trafnych argumentów. — Nic by się wtedy nie stało.

— Nie żartuj sobie: to zbyt poważne sprawy. Nie zrobię — nie mogę tego zrobić, tego, czego żądasz. Bóg wie, że jestem daleki od doskonałości, ale...

— Jeśli nie możesz — rzekła ze złością — to ja powiem, że okradałeś rząd do tej pory. Powiem. Zgubię cię.

— *Une connerie*. Takie zarzuty mogę z łatwością obalić.

— Będzie za późno. — Stała jak kamień, jedynie jej głos funkcjonował normalnie. Jednostajny obcy głos, który nie brzmiał jak jej własny. — Licho nie śpi: wiesz o tym. Twoja reputacja będzie zniszczona, twoje małżeństwo skończone. Mam kontakty. Jeśli mi nie pomożesz, przysięgam, że twoja historia znajdzie się w „Canard Enchaîné” w następnym piątek. Przysięgam.

Spojrzeni sobie prosto w oczy, trwało to nieskończenie długo. Nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Na jego twarzy, jakby gdzieś daleko, malowało się oburzenie, znużenie, wina, samooskarżenie. Nic jej to nie obchodziło. Nagle odwrócił się i wyszedł: słyszała, jak zamknęły się za nim cicho drzwi. Nawet w takim momencie nie potrafił trzasnąć drzwiami, nie potrafił złamać swoich zasad. Opadła na podłogę w miejscu, w którym stała, na wpół żywa. Płacz przyniósłby jej ulgę, ale łzy jakby zamarzły jej w-środku.

Gdy pojawił się Alex, rzekł: — Dobra robota.

— Nie zrobiłam tego dobrze — powiedziała. — Byłam zbyt przerażona.

Alex chrząknął: — Potrzebujesz praktyki.

Następnego wieczoru zabrał ją na obiad. Średniej klasy stek i beaujolais villages. Przy brandy rzekła:

— Co będzie, jeśli się nie podda? — I dodała: — Nie potrafię iść z tym do gazety. Nie mogłabym.

— Nie będziesz musiała — tajemniczo odparł Alex. — Wypij. Weź się w garść. Wziąłem cię tutaj, żebyś odżyła, a tymczasem robisz wrażenie jakby ci było niedobrze.

— Bo czuję się tak.

Pożegnała Alexa na ulicy i sama poszła na górę. Widocznie zapomniała przekręcić klucz dwa razy; drzwi frontowe otworzyły się przy pierwszym zgrzycie klucza. To

nic nie znaczyło: często o tym zapominała. Wtem ujrzała światło w saloniku. Pamiętała, że na pewno nie zostawiła zapalanej lampy. Zawołała: — Theo — pragnąc, aby to był on, wiedziała, że w jej obecnym stanie alkoholowej depresji mogłaby wypłakać się na jego piersi, poddać się, przysiąc, że nigdy niczego nie zrobi, nawet nigdy poważnie nie myślała o tym — że kocha go i będzie próbowała żyć oszczędniej, byle tylko jej nie odprawiał...

Nikt nie odpowiedział. Drzwi były uchylone; światło — chyba lampka nocna — przeciskało się przez szczelinę. Efekt był złowieszczy. Chwila wahania, Nicky dotknęła klamki — otworzyła szeroko drzwi i wkroczyła do pokoju.

Siedział w fotelu z twarzą zwróconą w jej kierunku, lampka na wysokości jego łokcia — przechyliła się w dół i światło spływało na dywan między jego kolanami, zostawiając górną część jego ciała w cieniu. Najnormalniej w świecie zasnął, pomyślała. Był potwornie stary, taki bezbronny, szczęki mu opadły, głowa przekrzywiona. Chyba nawet ślina kapiała mu z ust. Powtórzyła: — Theo! — i pochyliła się, aby poprawić lampkę. Światło rozlało się po jego twarzy.

On nie spał. Oczy miał ślepo wpatrzone w dal, a ślina skapująca mu z ust była czerwona i twarda — zakrzepła krew. Z tyłu, w miejscu gdzie głowa opadała na poduszkę, była wielka plama krwi, ciemniejsza. Nagle spojrzała w bok — w cieniu fotela leżał rewolwer, który wypadł mu z ręki.

Nie krzyknęła. Nigdy dotąd nie widziała śmierci, śmierci w samotności — do tej pory taka śmierć była dla niej tylko tanią sensacją. Nawet stojąc przed tymi strasznymi oczami, zboczonymi ustami, jej przerażenie nie osiągnęło szczytu; opuściła Theo-po prostu drzemiącego w fotelu. Ale oczy wciąż były szkliste, a usta jakby chciały coś powiedzieć. Gdy opanowała się trochę, odwróciła wzrok.

Doczołgała się do kuchni, ledwo stojąc na nogach. Nad zlewem zwymiotowała. Przeżywała katusze.

Strach przeszedł w ogromną panikę. Musiała uciekać. Natychmiast.

Mniej więcej w godzinę później była w kamienicy Alexa. Z trudem pokonała schody, potykając się co krok. Nacisnęła na dzwonek z całych sił, przywierając do niego, i krzyczała. Alex w końcu otworzył. Nie . spał — cierpiał na chroniczną bezsenność — głośna muzyka, pet w popielniczce — z pewnością nie chciał, aby mu przeszkadzano. Nicky wpadła do mieszkania jak bomba.

— Nicky.

Upuściła pośpiesznie spakowaną walizkę i rzuciła się na sofę. Cała się trzęsła, nic do niej nie docierało. Alex tylko spojrzał na nią, zaraz zaaplikował jej dużą whisky i zaczął ostro: — Co się stało? Co ty robisz? Tu — z tym? — Kopnął walizkę. — Opanuj się. Posuwasz się za daleko.

— On nie żyje! — załkała. Alex zaniemówił. — Dlaczego wciąż dajesz mi tę cholerną whisky? Wiesz, że jej nie cierpię. Oczywiście związałam, co innego mogłam zrobić? On nie żyje, mój Boże. On nie żyje...

Dobry Boże, spraw, żeby to nie była prawda. O Boże, proszę...

Alex wybełkotał: — Co ty przez to rozumiesz — nie żyje?

— Naprawdę nie żyje. Nie oddycha. Kaput. Trup. Na miłość boską, daj mi dzinu.

— Nicky, bądź rozsądna. W jaki sposób umarł — atak serca?

Potrząsnęła głową: — Zastrzelił się.

— Co?

— Zastrzelił się. W mieszkaniu — moim mieszkaniu. Wróciłam, a on tam siedział, w salonie — nie zauważyłam, zanim nie przesunęłam lampki. Miał krew na ustach, a jego oczy...

Alex stał nad nią, nieruchomo. Widziała każdy szczegół jego twarzy, każdy mięsień — zastygły, nagle sparali-

zowany, resztką opalenizny z nart stała się bladożółta. Wyglądał staro, twarz miał ściągniętą, brzydką. Kiedy w końcu przemówił, jego głos był cholernie flegmatyczny: — *Quel vieux connard. Quel connard de merde.* Wziął whisky od Nicky i sam wyłopał ją do dna. Potem poszedł do kuchni i przyniósł jej dzin, nie rozcieńczony. Gdy uspokoiła się nieco, powiedział: — Nie możesz tu zostać.

— Co takiego?

— Zrozum, i tak gospodarz w końcu zawiadomi policję. Policja będzie chciała porozmawiać z tobą. Gdybyś była bezczelniej sza, pewnie dałabyś sobie radę; a tak, na razie lepiej, żebyś znikła. Mogą szybko trafić na ślad. Nie chcę, żebyś ich tu sprowadziła.

— Nie zrobię tego.

— Nie mogę ryzykować. Szanowny polityk popełnia samobójstwo — będą dokładnie węszyć, rozleżą się jak szarańcza. Czy zostawił jakąś kartkę?

— Nie u mnie.

— Hm. Coś w tym jest. Zastanawiam się, dlaczego twoje mieszkanie. Rewanż? Pokuta? *N'importe.* — Snując przypuszczenia przełknął whisky. — Dozorca. Udawał, że mnie nie widzi, ale wydaje mi się, że mnie zapamiętał, może podać mój rysopis. *Merde.* Muszę być czysty jak łąza.

— Mogę iść z tobą?

— Po co?

— No wiesz, ja...

— W żadnym wypadku. Odpowiadasz za siebie. Nawarzyłaś piwa, wypij je sama, ja tego nie zrobię. Może któregoś dnia znowu będziemy razem, ale nie na długo. Dzisiaj możesz tu zanocować. Myślę, że tak będzie w porządku. Rano — zmykaj.

Nicky wyszeptała: — Dokąd mam pójść?

— Gdzie tylko ci się podoba. Nie obchodzi mnie to. Masz pieniądze; dasz sobie radę.

— Będę musiała sprzedać biżuterię. — Wygrzebała z torby aksamitne szkatułki. — Czy nie mógłbyś...

Alex zawahał się. — Nie powiniennem się w to mieszać — powiedział po chwili. — To sztuczne.

— Sztuczne? Ależ Theo...

— Nie Theo — ja. Czy naprawdę myślałaś, że zadowolilibym się twoim kieszonkowym? Nie pomagałem ci tylko dla przyjemności, mała idiotko. Kazałem kopiować, a oryginały sprzedawałem. No... z wyjątkiem rubinu: to duży kamień, pomyślałem, że Montador mógłby się zorientować. Dam ci za niego forszę, jeśli chcesz.

Nicky syknęła: — Ty skurwielu.

Alex wzruszył ramionami. — Wiele cię nauczyłem, Nicky. Następnym razem będziesz wiedziała, że należy być bardziej ostrożną.

— Skurwiel skurwiel.

Rankiem dała mu wisiołek. Zapłacił jej znacznie mniej, niż był wart, pocałował ją na pożegnanie.

— To adres mojego kumpla w Marsylii. Zabierze cię gdzieś łodzią, jeśli będziesz tego chciała. Może do Włoch.

Nicky powiedziała z ironią w głosie: — Jak to miło z twojej strony.

Posłał jej rozbijający uśmiech: — *C'esV la guerre.*

Nicky wzięła adres i po raz ostatni zbiegła schodami na rue Quinguempoix. Paryż opowieści i marzeń. Zamki na lodzie. Znowu, znowu gdzieś uciekała.

Włochy były zbyt drogie. Greckie wysepki były tanie i aż roiły się — jak to sobie wyobrażała Nicky — od milionerów w swoich luksusowych jachtach, poszukujących pięknych dziewczyn. W rezultacie znalazła się w otoczeniu pijanych angielskich turystów i tubylców, myślących tylko o seksie. Z gazet wyczytała wszystkie detale dotyczące samobójstwa Montadora, ale dla niej było to zdarzenie z innego świata. Tutaj, na plaży w Grecji, była dziewczyną bez przeszłości. Na początku czuła ulgę; potem zaczęła się martwić. Wędrowała z wyspy na wyspę, czując rosnącą pustkę. Wciąż miała nadzieję na coś nowego,

kogoś innego, jak Kopciuszek — lub po prostu szczęśliwy traf. Lecz wciąż było to samo. Pieniądze powoli się kończyły. Nocą ogarniała ją panika, przysiębiająca panika, którą tak dobrze знаła. Gdzie popełniła błąd? Przysięgła sobie — żadnych odejść szargających jej godność — tymczasem jej ostatnie odejście nie dość, że nic z godności nie miało, to jeszcze było desperacką ucieczką wymuszoną widmem śmierci Montadora i piętnem ostatniej kłótni z Alexem. Była to najgorsza rzecz, jaka spotkała ją na ziemi. Zemsta bogów. Wyciągnięta na bambusowej macie na plaży, miała przed sobą długie dni na refleksję — powoli umierała — wpatrzona w swoje obawy kłębiące się jak chmury na lazurowym niebie. Przed jej oczami zmieniały się obrazki z jej życia — jak w kalejdoskopie, jak w świadomości tonącego człowieka. Wydawało się jej, że była tylko koszmarną zabawką, niezmienną ofiarą swojej własnej niemocy, naiwności, błędnej drogi, źle ulokowanego zaufania. Nie była sobą, była formą poszukującą baśniowego zakończenia — panną młodą Stephanego, kochanką Bernarda, małą dziewczynką Theo, *intriguante* Alexa — zachowując się w ten sposób, straciła swój własny kształt, a jej prawdziwa osobowość rozmyła się, wyparowała. Następnym razem, postanowiła, będzie popełniała własne błędy, to będzie ona sama. Jeśli w ogóle będzie ten następny raz.

I wówczas, na przegniłym promie, błędząc między wysepkami, od jednej drogi bez wyjścia do drugiej — zobaczyła Elbę Van Leer.

Nicky rozpoznała ją prawie natychmiast. Widziała jej fotografię we francuskim piśmie, artykuł mówił o dzieciach działających na własną rękę. Ze względu na Dianę przeczytała go z uwagą. Elsa, jak pamiętała, właśnie w Nowym Jorku działała na własną rękę, niewątpliwie zgodnie z modą. Była tam wzmianka o przeprawach z architekturą, a zaraz obok zdjęcie dziwnych metalowych tub, podobno bardzo przydatnych, tylko Nicky nie wie-

działa, do czego. Oprócz tych oznak indywidualności Elsa na zdjęciu miała zdradzającą pewność siebie minę, jakby robiła to od lat, co, zdaniem Nicky, było prawdopodobne. Pomijając aktualne oceny, Diana zawsze twierdziła, że jej bliźniacza siostra jest nieciekawa, ale dziewczyna z fotografii była tak piękna, jak tylko pozwalały na to pieniądze i staranne zabiegi kosmetyczne. Twarz — jak u modelki, z mocno zarysowaną linią podbródka, policzki lekko wycieniowane, wąskie kocie oczy i wymodelowane brwi. Matowa jasna cera, włosy koloru ciemnego wina, opadające karbowanymi lokami na ramiona obciążone szykownym swetrem. To nie była Diana z jej zdrową, zwykłą dziewczęcą urodą — a jeśli tak, to była to Diana oczyszczona ze swego wnętrza, wmieszana w grę światła i cieni, dająca dramatyczny efekt. Ale kamera potrafi kłamać, pomyślała Nicky, z góry przekreślając rzeczywistość. Na łodzi upewniła się, że kamera nie kłamała. Elsa stała samotnie przy poręczy. Prom był przepelniony, lecz wokół niej, jakimś cudem, było wolne miejsce, miejsce wypełnione zapachem perfum Chanel, tajemniczością, podziwem pasażerów stojących obok. Podczas gdy inni nosili dżinsy czy szorty, ona miała kremowy kombinezon zaprojektowany wprost na plażę Saint-Tropez, włoskie buciki bez skazy, niczym młody członek dworu, próbujący wślizgnąć się wśród zwykłych ludzi incognito, a doskonale dobrane okulary przeciwsłoneczne skrywały jej władcze spojrzenie. Nicky zastanawiała się, czy faktycznie nie zauważa wokół siebie tego całego motłochu, czy tylko udaje. Jakby to cudownie było, gdyby znalazła się na jej miejscu, tęsknie, wręcz pożądliwie pomyślała Nicky. Wiedząc, że jesteś tak cholernie wyjątkowa, nie musisz poniżać innych. Krowa, dodał jej wewnętrzny diabeł, i uśmiechnęła się do siebie. Zachodziła w głowę, jak by tu zagadnąć Else może powołując się na dawną znajomość „znałam twoją siostrę”, coś w tym rodzaju?, lecz pewien dystans i brak zainteresowania ze strony tamtej onieś-

miały ją. Ale tylko do momentu, gdy schodziły na ląd. Usłyszała wtedy Elbę wydającą polecenie taksówkarzowi — i zobaczyła swoją szansę. Nie miała planów i małe nadzieje. Była coraz bardziej załamana. Nawet najgorsza sposobność wydawała się lepsza niż żadna, poszła więc szukać autobusu jadącego w tym samym kierunku, co Elsa.

Na plaży ich znajomość zaczęła się zupełnie normalnie. Nicky, bez Alexa kierującego jej każdym krokiem, patrzyła na nią jak na kogoś, przy kim można dobrze zjeść, kogo wspaniałomyślność pozwoli jej zaoszczędzić własny topniejący kapitał. Wylegiwała się na słońcu, przebywała w jej towarzystwie, zadawała trochę pytań. Korzystając z okazji, zaproponowała partnerską przyjaźń — obydwie miały kłopoty z facetami. Kłopoty te zwykle bywały wspólnym mianownikiem. Jednak w pewien sposób wystrzegła się Elsy. To nie Diana, Diana była pogodna i prostolinijna; Elsa, pod wspaniałą maską, była jedną wielką tajemnicą, której Nicky bała się tknąć, którą Nicky bała się zgłębić. Z tej samej przyczyny Nicky podziwiała ją, nie za jej czar i obojętny, arystokratyczny wręcz stosunek do otaczającego świata, lecz za siłę i brawurę, z jakimi stawiała czoło nieszczęściom, nie bacząc, jakie z tego mogą wynikać konsekwencje. Nicky dostrzegała w niej zarówno pasję, jak i odwagę, Elsa była niezłym materiałem na bohaterkę. Nicky w duchu pragnęła ją naśladować. Kiedy powiedziała Elsie: „Brawo”, naprawdę tak myślała. Wszystko by dała, aby choć trochę stać się do niej podobna, mieć choć namiastkę jej brawury i odporności na strach i namiętności. W porządku, nie miała majątniej rodziny, która by zabiegała o nią, ani świty prawników i psychiatrów wokół siebie, którzy tłumaczyli jej zachowanie; posiadała jedynie wątpliwy walor, jakim była wolność i talent do ucieczek. Zaprowadziło ją to donikąd. Elsa, bez względu na cenę, uparcie brnęła do celu. Pod jej zewnętrznym uporem Nicky wyczuła bardziej prymitywne

stworzonko, dzikie, nie oswojone — być może dziedzictwo przodków, którzy zawojowali obcy kontynent — biali barbarzyńcy wśród czarnych, siłą wprowadzający własne prawa i zabijający, aby przeżyć, aby rządzić, ale też i dla samej przyjemności zabijania. Nicky nie знаła swoich przodków, myślała z przygnębieniem, z pewnością nie byli nikim innym, tylko kieszonkowcami, potrafiącymi w razie czego w ciemnej uliczce wbić nóż w plecy I nagle pragnienie bycia taką, jak Elsa, taką silną i niebezpieczną, ogarnęło ją z przemożną siłą. Przeciągnęła się na macie jak kocur. Było późne popołudnie: Elsa opowiadała, nudnawo, o Dianie i o ojcu. Nicky słuchała.

Myśl ta stopniowo nabierała kształtów w podświadomości, nawiedzając ją w nocy, przyćmiewając dzień. Poprzez wspomnienie Elsy o Dianie postać Ruperta jawiła się jej niczym potworny gigant, budzący większy niepokój niż całe jej życie, ale namacalny, owiany własną legendą. Bogaty, sławny — i samotny. To oczywiste, że podziwiał córkę, którą stracił. On i Elsa nie zgadzali się ze sobą z niewiadomych bliżej powodów — w tym momencie Nicky nie wiedziała, o co poszło, zresztą nie obchodziło jej to. Gdy znalazła się w pokoju, stanęła przed lustrem i zastanawiała się, jak by wyglądała z rudymi włosami. Byłaby jakaś zmiana, powiedziała do siebie, bojąc się zarazem realizacji tego pomysłu. „Masz oczy Diany”, zauważyła Elsa, rzucając spojrzenie, od którego Nicky zadrżała, istniało coś, o czym można było marzyć, snuć plany. Upłynęło już sporo czasu, jak nie była w Anglii. Gdyby tylko mogła zdobyć pieniądze, aby tam pojechać — uniknąć władz — zawsze było jakieś „gdyby”. A poza tym jej pomysł był szalony, zbyt niemożliwy, aby się spełnił.

W czasie ostatniego wieczoru z Elszą nie zdradzała ochoty, by zapłacić za obiad. Zostało jej raptem tylko sto franków i nie było czasu na nonszalancję. Miała nadzieję, że Elsa odmówi, jak to czyniła przedtem, ale Nicky miała pecha. I wtedy, następnego ranka, znalazła tę

kopertę. Pięćset dolarów. Odczuła wielką ulgę — i zadowolenie. Pięćset dolarów to niewiele, ale wystarczy. Mogła pojechać do Anglii — pociąg był tani — znaleźć jakiś pokój i chwilową pracę w Londynie. A przede wszystkim wybadać sytuację. Plan mógł być nierealny, ale jak do tej pory wszystko szło dobrze. Zawsze mogła zawrócić.

Nicky pojawiła się w biurze Ruperta pewnego wrześnieowego poranka.

— Przyszłam w sprawie pracy — powiedziała. Chodziło jej o bliższe przyjrzenie się wszystkiemu. Nie przypuszczała, że spotka Ruperta. W ogóle nie była pewna, czy czuje się gotowa na takie spotkanie. Wyszedł z innego pokoju w chwili, gdy sekretarka taktownie dała Nicky do zrozumienia, że nie ma tu czego szukać. Szedł na lunch, to było jasne: wydał sekretarce kilka poleceń, odmówił przyjmowania telefonów i, jedynie przelotnie, spojrzał na Nicky. Tak jak Elsa, pomyślała, zupełnie ignorował zwykłych śmiertelników. Był nawet potężniejszy, niż sobie to wyobrażała, jego obecność wypełniała w całości pokój. Zrobiła krok w tył, w kierunku okna, czując się malutką i nic nie znaczącą istotką — jak śmiała w ogóle przyjść. Wtem odwrócił się i ją zobaczył.

Promienie słońca wpadały przez okno tworząc wokół jej włosów złotą poświatę — wokół jej rudych włosów. Pozostałości opalenizny, podkreślone fluidem, nadawały jej skórze brzoskwiniowy odcień; rudawe brwi (sprawa kosmetyczki) wyginały się łukiem ponad szarymi oczami, większymi niż zwykle ze strachu. Być może właśnie jej obawa, której nie mogła ukryć, dopełniała tej złudnej wizji. Rupert zobaczył nie Dianę, lecz dziewczynę o identycznych włosach, drobniejszą, nie tak wysoką, o smuklejszej szyi i talii. Tak jak do tej pory widział ducha Johanny w jej córce, w tych kilku sekundach ujrzał ducha swej córki w tej nieznanym dziewczynie. I ona patrzyła na niego, jakby jego sylwetka nie była jej obca — Diana

mogłaby tak patrzeć, gdyby ożyła i odnalazła go. Albo tylko chciał w to uwierzyć.

Zapytał: — Kim jesteś? — To Miss — Miss Simpson — odparła pośpiesznie sekretarka. — Przyszła w sprawie pracy. Jedna z agencji chyba się pomyliła...

— Ja o to prosiłem.

Górował nad Nicky. Jego siła fizyczna i osobowość były druzgocące: prymitywne stworzenie, które u Elsy zostało okiełznane i wypolerowane przez cywilizację, tutaj jawiło się ostro: człowiek tytan, szalenie inteligentny, cholernie bezlitosny, z wyraźnym, przesywającym spojrzeniem spod krzaczastych brwi, z zarysem szczęki jakby wykutej w skale. Jego reakcja przstraszyła Nicky; jakby jej zmyślny spisek runął pod tym druzgocącym wzrokiem. Ale było za późno; fantazja owładnęła nią i porwała w swoje sidła.

— Nazywam się Nicky Simpson.— Oblizwała spierzchnięte wargi. — Myślałam — powiedziano mi — że tu jest praca. Sekretarki. Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

— Znasz mnie?

— Nie... w zasadzie... nie. — Chciała uciec. Lecz jego oczy powstrzymywały ją, rozkazywały, hipnotyzowały. — Słyszałam o panu. Oczywiście. I... znałam pańską córkę.

— Diana. — Stwierdzenie, nie pytanie. — To mogła być tylko Diana. Jakie to... dziwne. Jesteś do niej bardzo podobna.

— To te włosy — rzekła Nicky odsłaniając własną duszę.

— I przyszłaś tutaj w sprawie pracy?

— To... to zbieg okoliczności — stwierdziła Nicky. — Ośmieliłam się jedynie ze względu na Dianę. Wziął ją za ramię, bez pytania, i warknął coś do sekretarki, że wychodzi.

— Chodźmy na lunch. — Nie czekał na odpowiedź. Nicky poszła za nim, nagle ożywienie przyćmiło jej strach, nie była pewna, czy zrobiła się mądrzejsza, głupsza, czy po prostu dała się porwać biegowi zdarzeń.

Wśród wielu pracowników nie zauważyła pewnego człowieka opierającego się o drzwi; faceta w eleganckiej koszuli i krawacie z bujną blond czupryną spadającą mu na oczy. Odprowadził ich wzrokiem i skomentował rozmyślnie: — Jakie to interesujące. To musi być sprawa włosów, na pewno.

— Te włosy — powiedziała sekretarka z typowo kobiecym wyczuciem — są farbowane.

— Naprawdę? — zapytał Michael Kovacs.

W restauracji Nicky pomału zaczęła przychodzić do siebie. Pomógł jej w tym dżin z tonikiem, wino w lodowym bukicie i kolorowy, zielono-różowy lunch: zielony majonez i różowe krewetki. Wzrost Ruperta nie był tak przytłaczający, kiedy siedział, a zachowywał się tak delikatnie, że była równie wzruszona, jak i podekscytowana. Obchodził się jak tygrys ze swoją ofiarą. Nie był takim zastarzałym arystokratą, jak Montador. Z twarzy Ruperta emanowała siła i władza, która lekceważyła upływ lat, jak również bezlitosna wartość prawdziwego geniuszu. Nicky dowiedziała się z książek, że wielki talent zawsze pokazuje się z najlepszej strony, z niepojętą zwykłemu człowiekowi płomienną żarliwością, rozpustą godną boskiego mieszkańca Olimpu. Oczy Ruperta były głęboko osadzone, usta miał drętwe, jakby zeszywniałe — jakieś bardzo dziwne. Pił wino z taką obojętnością, jakby to była woda, jadł dla czynności samego jedzenia. Nicky czuła się przy nim jak pod ostrzałem — w obliczu tego żaru i sławy.

— Znałaś moją córkę? — naciskał. — Gdzie? W szkole?

— O, nie. — Wzdrygnęła się, zaczerwieniła i utkwiała wzrok w kieliszku. — My — my byliśmy raczej biedni: moja matka nie mogła sobie pozwolić na Brayfield. Mieszkałyśmy w pobliżu. Diana i ja — zaprzyjaźniłyśmy się... Nie mogła wspomnieć o sklepie: Rupert chyba był zupełnie nieświadomy, że tak prymitywne miejsca w ogóle istnieją. Bieda może być romantyczna, ale tylko u Dickensa. Jej pochodzenie było nędzne i przygnębiające.

Ale Ruperta nie interesowała ani bieda, ani romantyczność, ani nic w tym rodzaju. — Dobrze ją znałaś?

— Dość dobrze. Przychodziła do mnie po lekcjach; opowiadała mi dużo o swojej rodzinie — o panu...

— Potem dodała: — Nigdy nie miałam ojca. Zazdrościłam jej.

— Co się stało z twoim ojcem?

— Umarł — rzekła Nicky. — Zanim się urodziłam. Faktycznie nic o nim nie wiem: matka mi nie mówiła. Mam wrażenie, że było to dla niej zbyt bolesne.

Tak — odparł Rupert ze zrozumieniem. — Z pewnością mogło być... zbyt bolesne. A teraz, gdzie jest twoja matka?

— Już także nie żyje — strzeliła Nicky.

— A więc jesteś sama — szepnął Rupert.

Nie okazał żalu ani też nie zaoferował pomocy. Reakcja Nicky była natychmiastowa — nie małej dziewczynki, lecz doświadczonej życiem kobiety. — Trudno, tak musiało być — rzekła.

Jeśli nawet był dotknięty lub pod wrażeniem, to tego nie okazał.

— To niesamowite — bez związku powrócił do tematu, który rzeczywiście go absorbował. — Mam na myśli twoje włosy. Dokładnie takie same. Twoje oczy także.

— Czasami — powiedziała Nicky — ludzie nas mylili. Kręcił głową, bardzo wolno, jakby zastanawiał się nad

czymś niezwykle istotnym. Nastąpiło długie milczenie.

— A więc — wydusił z siebie wreszcie — potrzebujesz pracy. Co robiłaś przedtem?

— Byłam głównie sekretarką — odparła. — Ostatnio mieszkałam w Paryżu, ucząc się francuskiego. W tej chwili jestem barmanką, nocami — dzięki temu mogę przez dzień chodzić za pracą.

Zobaczę, co się da zrobić. - Jego intencje były takie, jakby ich w ogóle nie było, ale drzemała w tym jakaś nutka emocji, która ją niepokoiła. Miała wrażenie, że jest

nieobliczalny, zbyt niebezpieczny, zbyt potężny, zarówno duchem, jak i ciałem, zbyt wielki na jej małe knowania. Wpadła we własne sidła: nie mogła uciec. Nie tym razem.

— Gdzie mieszkasz?

— Balham. Niezbyt miło, ale...

— Jest telefon? — z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl notes i pióro.

— Nie ma. Ja... mogę zadzwonić.

— Zrób to — odparł. — Jutro. Na pewno.

Nie zadzwoniła. Poszła do pubu, gdzie pracowała, stała przy telefonie ściskając szklanekę z koktajlem. Na dzin było jeszcze za wcześnie i drink wcale nie dodawał jej otuchy, poczuła jedynie mdłości. Gdy podniosła słuchawkę, coś ją ścisnęło w gardle, serce zaczęło nieprzyjemnie walić. Fatalnie: nie mogła tego zrobić. Po zajściu z Montadorem mogła uniknąć tragedii; od Ruperta nie będzie ucieczki.

Zabrnęła za daleko. Tragedia wisiała na włosku. — Nie mogę — powiedziała do siebie. — Nie chcę. — Odłożyła słuchawkę, wyszła i ukryła się w swoim pokoju, aby przypadkiem nie wpaść w szpony Ruperta, być może czyhającego na nią w mrocznej ulicy.

Przyszedł do niej dwa tygodnie później. Stała za barem, zmywała. I oto pojawia się on, patrzy na nią. Ręce jakby jej zamarły, chociaż woda była ciepła; jej wielkie oczy odwzajemniły jego spojrzenie. Rzekł: Odnalazłem cię. — W jego głosie nie było gniewu. Jedynie spokojna łagodność i szalona satysfakcja. Absolutnie nie było w nim nic z dobrego wujaszka.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś?

— Bałam się... Pomyślałam sobie... — Wszystkie kłamstwa z niej uleciały, maskarada się skończyła.

Nie była w stanie wymyślić godnego wytłumaczenia ani sprytnej wymówki.

— Nic nie szkodzi.

Czemu przypisał jej obawy, nie dowiedziała się nigdy.

— Znalazłem cię nareszcie... Zajęło to dużo czasu — żadna z agencji nie ma cię w spisie, a w Balham i okolicy jest mnóstwo pubów. Zawdzięczam to tylko twoim włosom: każdy musi je zauważyć.

— Przykro mi, przepraszam — rzekła w przyływie szczerości. — Nie powinnam była nigdy odwiedzać pańskiego biura. Nie chcę innej pracy. Naprawdę, nie potrzebuję żadnej pomocy...

— Przyjechałaś po to, by mnie odnaleźć, czyż nie tak? W jego twarzy spostrzegła odbicie swoich marzeń —

ujrzała pewność, zrozumienie, przeznaczenie. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Nagle zaczęła bać się jego ciała olbrzymich ramion, twardych mięśni, przytłaczającej męskości, mrożącej krew w żyłach charyzmy. Coś ścisnęło ją wewnątrz — coś w rodzaju nerwowego podniecenia.

Powiedział: — Tutaj już skończyłaś. Chodź ze mną. Posłuchała go. Była jak w transie.

Spędziła jedną noc u niego na S.W.1, a potem przeniosła się do siebie, nie opodal. Nie próbował zalecać się do niej, a jego pocałunki, pomimo całej jego siły, były bardzo ulotne, jakby ciągle się wahał, coś go powstrzymywało. W jego ramionach czuła uniesienie graniczące z paniką: pragnęła być z nim w łóżku, a jednocześnie bardzo się tego bała — bała się porzucenia, rozczarowania, kompletnego rozbicia przez jego namiętność. Być może to właśnie strach ją podniecał: gdy uprawiała seks, był czymś nowym, przejmującym dreszczem rozkoszy. Ale wciąż czekała na szczyt doskonałości, zwieńczenie celu. W dzień robiła zakupy posługując się jego kartą kredytową; wieczory zwykle spędzali na mieście. Rupert bez końca mówił o sztuce i architekturze, a Nicky potulnie słuchała, uważając za przywilej, że może być świadkiem tak intelektualnych wynurzeń. Dając dowód porywczosci swej natury i poczucia honoru, zgromadziła te pięćset dolarów otrzy-

mane od Elsy i odesłała jej do Ameryki. Nie skrywała tego przed Rupertem, po prostu oddała stary dług. Spłacenie córki pieniędzmi, które otrzymała od jej ojca, rozśmieszyło nieco Nicky. Wolała nawet nie myśleć o tym, co będzie, gdy Elsa wróci.

Na Gwiazdkę Rupert podarował jej pierścionek ze szmaragdem, tak wielkim jak paznokieć jej kciuka i tak zielonym jak głębiny Styksu.

— Jaki wspaniały! — krzyknęła oszołomiona, pewna, że za moment usłyszy upragnioną propozycję. Ale nie poprosił, by została jego kochanką. Poprosił ją o rękę.

CZEŚĆ TRZECIA

IX

Przyjęcie weselne odbywało się w Churston Grandę, na pierwszym piętrze, w oryginalnej sali balowej. Na „wejście” Elsa stała wraz z innymi w długiej kolejce do pana i panny młodej. Nicky, pomyślała sobie, była typem człowieka, którego kolor włosów zmieniał nie do poznania: ich ostry odcień podkreślał jej bladą karnację, starannie upięte loki przetykane drobnymi białymi kwiatuśkami opadały na jej kruche ramiona, swoim ciężarem przytłaczając jej drobną figurkę. Jakiż rzucający się w oczy kontrast z tą opaloną blondynką, którą Elsa poznała w Grecji. Ich dłonie ugrzęzły w automatycznym uścisku: stanowcze, silne dłonie Elsy i Nicky, delikatne i drżące, jak ręce dziecka. Odruchowo uścisk Elsy stał się wyraźniejszy; pochyliła się i pocałowała ją chłodno w zimny policzek, zostawiając na nim ślad swojej szminki niczym plamę krwi. Pocałunek Judasza: ale zdrajczynią była sama Nicky. Na moment ich oczy się spotkały wtedy spojrzenie Nicky ześlizgnęło się po niej i Elsa odeszła. Do ojca.

Potem uświadomiła sobie, że jego zachowanie bez wyrazu było po prostu efektem tego, że jej nie rozpoznał. Chciała znowu poczuć gniew i wściekłość, ale zamiast tego pojawiła się ogromna pustka wokół jej serca. Brak wyrazu ustąpił na jej twarzy miejsca tak dobrze znanemu Elsie lodowatemu spojrzeniu. Nic nie powiedział na temat jej nowego image, piwpusze/alnie nawet tego nie zauważył. Pod jego wzrokiem resztki jej śmiałości zupełnie się roz-

wiały: znów czuła się brzydka i niezgrabna, jej strój był fatalny, twarz — jaskrawo pomalowaną maską kłowna. Ich kontakt pozbawiony był jakichkolwiek uczuć. Wymiana grzecznościowych zwrotów, nic więcej. Elsa powiedziała: — Moje gratulacje.

— Dziękuję. Nie spodziewałem się tego po tobie. Nie prosisz mnie o to, pomyślała Elsa ukrywając wściekłość. Nigdy mnie nie chciałeś...

Rzekła: Przyleciałam do domu wcześniej. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zatrzymam się w twoim mieszkaniu?

Zawahał się: — Dopóki będziemy poza domem. Oni ci pomogą.

Jakież to miłe. Co za wspaniałomyślność. Wszystko jest naj-naj... Elsa wrzała wewnątrz.

— Miłego miodowego miesiąca.

Ledwie skinął głową. — Elspeth, działasz na ludzi deprymująco...

Jej blada twarz stała się jeszcze bledsza; odeszła, słyszała dociekliwe szepty, zgryźliwe ploteczki, wszędzie było ich pełno — przed nią, za nią, otaczały ją zewsząd. Czuła się jak na pustyni. Nie, gorzej, to nie była pustynia, to było bagno. Kelner przyniósł szampana, podał jej; wypła duszkiem, wzięła następny kieliszek. Tu i tam widziała ludzi, których znała: „Elspeth, rany boskie, ledwo cię poznałem...” Nikt jej tak naprawdę nie rozpoznał, ale też nikogo do tego nie zachęcała. Zapaliła papierosa, ale zaraz go odłożyła. Był wstrętny. I wtedy poprzez tłum dostrzegła ciotkę Grizzle.

Siedziała w kącie przy małym stoliku i dłubała w talerzu. Nie patrzyła ani na jedzenie, ani na talerz, ani na gości: jej oczy były nieobecne. Obok niej siedziała młoda kobieta, ubrana raczej schludnie niż elegancko. Sprawiała wrażenie miłej i rzeczowej. Elsa wpatrywała się w nie z przerażeniem.

Oczywiście, ciotka Grizzle już dość znacznie się zestarzała, włosy jej posiwiały, na twarzy pojawiły

się liczne zmarszczki, usta wykrzywiły w bezustannym grymasie niezadowolenia i zrzędnoci; ale biorąc pod uwagę te wszystkie lata — lata dzieciństwa i wieku młodzieńczego Elsy — to ciotka prawie w ogóle się nie zmieniła, było to aż niesamowite. Nosiła wciąż tę samą, niemodną fryzurę w stylu lat czterdziestych, jej szminka miała wciąż ten sam odcień niezdecydowanego różu, na specjalne okazje wkładała wciąż ten sam staromodny kapelusz, w którym wyglądała jak Królowa Matka. Ale teraz kapelusz już nie leżał tak, jak powinien, szminka nie zostawiła po sobie śladu, twarz ciotki pozbawiona była wyrazu. Nie było mnie tu trzy i pół roku, pomyślała Elsa. To wszystko. Trzy i pół roku. Nie mieściło się jej w głowie, że mogła teraz żałować wścibskiej, drobiazgowej ciotki, która dawniej tak często dawała jej w kość — a jednak było jej przykro. Nie z powodu samej ciotki Grizzle, ale tego, czego była symbolem — upływu czasu, nieuniknionej, smutnej przemiany. Dla Elsy był to długo wyczekiwany powrót do domu, a zamiast domu znalazła gniazdo potworów: wszyscy ludzie, o których myślała, że ich zna, że nic się nie zmienili, przeistoczyli się w pełzające węże. I nagle zapragnęła, by znalazła się przy niej Diana — życzenie było tak silne, że przez moment jakby usłyszała jej głos, poczuła rękę na ramieniu; wystarczyło się odwrócić, by ujrzeć Dianę. Łzy napłynęły Elsie do oczu. Podeszła do ciotki Grizzle i siadła obok.

— Ciociu, to ja, Elspeth. Poznajesz mnie, ciociu?

Pusta, bez wyrazu twarz próbowała zmusić się do jakiegokolwiek ekspresji. Niestety, bezskutecznie. Wynaturzona groteska.

Elspeth... Ona była tłusta, zawsze jadła. Łakoma, wiesz. Łakomstwo jest grzechem. Ona była wstrętną dziewczyną. Okrutna dla mnie — okrutna dla wszystkich — miała zły wpływ na Dianę. Tak, ona była niedobra...

Opiekunka rzekła: — Obawiam się, że to już skleroza. Ona nie wie, co mówi.

Elsa skinęła. Gasnące oczy wpatrywały się w jej twarz, próbowały nabrać ostrości. Chuda ręka podniosła się, by dotknąć jej włosów, zostawiając na nich ślady podwieczorku.

Elsa strzepnęła je ostrożnie.

— Diana? — wyszeptała ciotka Grizzle. — Diana...? — Tak — rzekła Elsa. — Jestem Diana.

— Śliczna — wymamrotała ciotka Grizzle. — Taka śliczna dziewczyna, Taka piękna kobieta, śliczna Diana... Posłuchaj. — Położyła wychudły palec na ustach, pomarszczonych, jakby zdradzała śmiertelną tajemnicę. — Nie chodź z nią. Ona jest szalona, twoja siostra. Brzydka i szalona. Jest o ciebie zazdrosna. Nie chodź z nią.

Elsa z trudem mogła się opanować. Ale kiedy zaczęła mówić, jej głos był delikatny i łagodny.

— Będę ostrożna — powiedziała. — Obiecuję.

Objęła jej stopy. Opiekunka sięgnęła po czystą serwetkę i zaczęła wycierać dłonie ciotki Grizzle. Elsa ruszyła w poszukiwaniu następnego kieliszka szampana.

Nie potrafiła wydusić już z siebie ani słowa. Jak zwykle. Podeszła do okna i gapiła się przez nie — widok wciąż był taki sam — zielone i brązowe przestrzenie pól, kępy drzew z budzącymi się do życia pączkami, wzgórze wtapiające się w niebo. Typowa angielska pogoda — niezmienna od wieków — słońce z trudem przebijające się przez chmury, zawsze unoszące się nad horyzontem. Słońce zaglądało jej w oczy, gdy usłyszała za sobą głos. Tuż za nią. Jak zawsze.

— Halo, Elspeth.

Odwróciła się gwałtownie, rozlewając kilka kropel szampana.

— Ty?

— Jesteś zaskoczona? Wciąż pracuję u twojego ojca, wiesz o tym, — Bacznie jej się przyglądał. — Zobaczyłem cię w kościele.

Elsa cofnęła się. — Ależ nie pracujesz u mojego ojca — zaprzeczyła, a jej zmieszanie przerodziło się w gniew. —

Telefonowałam do ciebie — pytałam o ciebie. Złapała oddech, próbując zapanować nad sobą. — Nie dlatego, żeby się z tobą spotkać — pomyślałam, że powinniśmy porozmawiać. Powiedziano mi, że w biurze nie pracuje nikt o nazwisku Michael O'Hara. — I dodała ostro, z oskarżeniem w głosie: — Kim ty właściwie jesteś?

Michael nie odpowiedział od razu; była wściekła — chyba nieźle się bawił. Wiedziała, że jest w nim coś z szorstkiego upokorzenia. Zobaczyła całą przeszłość, wszystkie najmniejsze szczegóły stanęły jej przed oczami. Poczowała ściskanie w dołku, na białych policzkach wystąpił delikatny rumieniec.

Michael to zauważył i przez dobrą chwilę wpatrywał się jej prosto w oczy. Ku swej wściekłości poczuła, że twarz jej płonie; ból w dołku stał się nie do wytrzymania, niczym rana rozdarta strzałą. — Michael — zaczęła znienacka, zdając sobie sprawę z tego, że nie pamięta, o czym faktycznie rozmawiali.

— Jestem adoptowanym dzieckiem. — Wyjaśnienie tego przyszło mu z wyraźnym trudem. — O'Hara to nazwisko moich przybranych rodziców. Kiedy skończyłem studia i stałem się niezależny, powróciłem do mojego prawdziwego nazwiska. Nazywam się Michael Kovacs. Nie myślałem nawet, żeby ci o tym powiedzieć. — A po przerwie: — A więc chciałaś mnie zobaczyć?

— To było wieki temu — rzekła Elsa. — Zanim pojechałam do Nowego Jorku. Teraz to nie ma znaczenia.

— Spodobała ci się Ameryka, to widać — zauważył Michael. — Przypuszczałem, że pewnego dnia zamienisz się w piękność. I oczywiście miałem rację.

Nastąpiła dłuższa pauza. Elsa szukała słów, żeby coś powiedzieć, coś delikatnego, zupełnie neutralnego, wolnego od wszelkich podtekstów. Nic nie przychodziło jej do głowy.

— Kiedy wróciłaś? — zapytał Michael.

— Dzisiaj.

— Właśnie dzisiaj?

Elsa skinęła głową. — Właśnie dzisiaj. — Próbowwała wyglądać przez okno, byle tylko uniknąć jego wzroku. Chmury okryły wzgórza; słońce zniknęło. Wyjrzało tylko na chwilę, zanim zaczął mówić. — A teraz chodźmy już — powiedział łagodnie — dajmy spokój wyjaśnieniom. — Dokąd mamy iść... — Nie było to pytanie. — Do mnie.

Tym razem Elsa spojrzała mu prosto w twarz. — Nie pójdę do ciebie — rzekła. — Nie zamierzam nigdzie iść z tobą. Nie lubię cię. Tamtej nocy poszłam z tobą do łóżka tylko dlatego, że byłam pijana i nieszczęśliwa, a ty to wykorzystales. Już nigdy się to nie powtórzy: rozumiesz? Nigdy.

Nie dała mu nawet cienia szansy, by się wytłumaczył. Odwróciła się na pięcie i wtopiła w tłum, niemal biegiem, prawie wpadając na kelnera z tacą szampana. Automatycznie wzięła jeden kieliszek.

Szampan już zaczynał działać. Elsa nie przejmowała się tym.

Rozmowy — kurtuazyjna wymiana zdań, przemówienia wygłaszane na gorąco; polega Ruperta występował w roli ojca panny młodej, wspaniały człowiek — stary klient, nie znany nikomu, a Rupert — Rupert nie miał okazji, by wyrazić swoje uczucia. Toasty wypito zgodnie z rytuałem; Nicky zniknęła na górze i pojawiła się znowu jak księżna Diana, gotowa do wyjazdu; państwo młodzi swoim rolls-royce'cem udali się w podróż poślubną do Szkocji. Zgromadzeni goście skupiali się w grupkach, opróżniali kieliszki szampana, półmiski kanapek, snuli domysły na temat nowego małżeństwa. Elsa sporadycznie czuła na sobie wzrok Michaela, ale ostentacyjnie go unikała. Ciotka Grizzle została sama, opiekunka gdzieś zniknęła. Elsa miała już nieźle w czubie i jakiś młody człowiek sprowadził ją po schodach. Zatrzymali się w hallu przed jakimś Picassem.

— Wspaniały — rzekł młody człowiek, który miał

niewątpliwie jakieś powiązania ze sztuką. — Och, oczywiście w starczym wieku niczego nowego nie wymyślił. Zobacz, od tego obrazu bucha erotyzm...

Obraz przedstawiał rozmazaną plataninę kończyn, piersi i oczu, zniekształconych w kubistycznej wizji kubistycznego seksu. Elsie wydawało się, że wszędzie dominuje seks: niewyraźny seks między nią a Michaeliem, nieprawdopodobny seks między jej ojcem a Nicky. W balustradzie każda tralka była symbolem fallicznym. Nawet ten młody człowiek, pomijając jego artystyczne więzy, miał w swych oczach jakiś heteroseksualny błysk. Pragnęła uciec do Londynu, lecz wiedziała, że jest zbyt pijana, by sięść za kierownicę.

Michael znalazł ją w pokoju, z głową na poduszce. — Nigdy więcej — powiedziała mu w jego samochodzie. — Nie lubię cię. Nie jesteś dla mnie atrakcyjny. Nie chcę iść z tobą do łóżka. Odwieź mnie do mieszkania ojca. Słyszysz?

— Słyszę — odparł Michael. W chwilę potem usnęła.

Kiedy się obudziła, samochód stał w miejscu. Wokół panowały ciemności; gdzieś trzasnęły drzwi. Garaż. Michael podszedł do samochodu, otworzył drzwi i pochylił się nad nią. Gdy przysła do siebie, zapytała: — To nie jest Knightsbridge, prawda?

— Nie.

Jego twarz była niebezpiecznie blisko jej twarzy, bardzo blisko. Jedną ręką podtrzymywał ją, a może obejmował; jego palce utonęły w jej włosach. Usta miał lekko rozchylone; poczuła, że oddycha szybko. Wyglądali, jakby pchała ich ku sobie jakaś nieokiełznana siła, której nie mogli się sprzeciwić. Utonęli w głębokim pocałunku.

— Zabiorę cię do domu — powiedział wreszcie — jeżeli tego rzeczywiście pragniesz.

Elsa pomyślała o swojej starej ciotce, która nazwała ją

Diana, o ojcu, który właściwie jej nie rozpoznał, o przyjaciółce, która ją oszukała. Rzekła: — Nie mam domu.

W windzie, gdy już pozwolił jej coś powiedzieć, kazała nazywać się Elsa.

— Jak chcesz... — Jego głos był szalenie delikatny, kojący szept, niespokojny pomruk. — Elsa. Elsa.

— To nie to samo miejsce — powiedziała zupełnie przytomnie. — Ostatnim razem nie było garażu.

— Przeprowadziłem się.

To mieszkanie było większe, o wiele droższe. Michael na chwilę zapalił światło, gdy przechodzili przez living-room: Elsa spostrzegła drewnianą boazerię, półki z książkami, japoński sprzęt stereo. Sypialnia była nieco podobna, lecz z mniejszą liczbą książek. Opadła na kanapę zrzucając pantofle. Michael drżącymi palcami zdierał z siebie ubranie i wręcz rzucił się na nią. Nie panował nad sobą. Marynarka, zrzucona w pośpiechu, zsunęła się na podłogę: zadźwięczały klucze i rozsypujący się bilon. Nie zauważyli tego: Michael całował ją z pasją graniczącą ze złością, jego język wdzierał się w jej usta, penetrował ich wnętrze, jego szalone dłonie na jej piersiach, plecach, wpijające się w jej ciało, ale zamiast bólu przynoszące rozkosz. Silny i pragnący — rozognione ciało i napięte mięśnie. Szukał do niej wejścia, wślizgując się w wilgotną przestrzeń między udami. Jego ramiona zaciskały się na niej, niczym kleszcze łamiące jej żebra; jego pot zasysał jej brzuch wydając przy tym dziwaczne odgłosy. Wiła się pod nim, broniąc się i ulegając, gryząc go i drapiąc w niepohamowanej żądzy. Wreszcie znalazł się w niej. Wdzierał się w nią coraz głębiej, zagarniając ją, posiadając, wypełniając. Fala jego orgazmu zalała każdą komórkę jej istnienia: drgawki jego ciała wchłonęły jej ciało, połączyły je na trwającą wiecznie chwilę, bez końca, drgawki stopniowo słabnące, aż do momentu pełnego wyczerpania i załamania — ich ciała utonęły w niebiańskiej rozkoszy.

Gdy minęły chwile uniesienia, Elsa stwierdziła, że jest prawie trzeźwa i zupełnie przebudzona. Jakieś mgliste wewnętrzne głosy ostrzegały ją, że właśnie wplątała się w niezłą kabałę, zdradzając samą siebie, lecz jej ciało było zbyt wymęczone, umysł zbyt otępiały, by faktycznie o czymś myśleć. Szukała słów, które mogłyby jakoś zbagatelizować tę całą sytuację, lecz bezskutecznie. W końcu powiedziała z nienaturalnym sarkazmem: — Kochanie, czy ty też miałeś takie wrażenie, że ziemia cię pochłania?

Po twarzy Michaela przemknął demoniczny uśmieszek, który tak doskonale pamiętała.

— Nie ziemia, lecz piekło — powiedział.

Poczuła się kompletnie zbita z tropu, gdy w tym samym momencie pocałował ją, bardzo wolno, bardzo prawdziwie.

— Zrób mi drinka — powiedziała Elsa po chwili. Michael wstał, machinalnie wciągnął spodnie. — W lodówce jest wino i piwo — zakomunikował. — Także wódka, szkocka.

— Wino.

Przyniósł dla niej wino, dla siebie — piwo i usiadł na brzegu łóżka, pijąc prosto z puszki. Po tylu gwałtownych przejściach nie miała odwagi uznać go za człowieka stwarzającego pozory, chłodnego gracza.

— Czy zawsze kochasz się w ten sposób? — zapytała obcesowo.

— W jaki sposób?

— Tak... tak... — zdenerwowała się czując, że oblewa ją rumieniec — tak gwałtownie.

— Nie, przy niektórych kobietach muszę panować nad sobą. One potrzebują opóźnionego działania — szczególnej delikatności. To kwestia temperamentu. Z tobą, za pierwszym razem, byłem bardziej ostrożny. Teraz już wiem, że mogę robić to, co czuję.

— Skąd wiesz? — wyszeptała.

— Instynkt.

Pauza. — Miałeś wiele kobiet?

— To zależy. Masz coś przeciwko temu?

— Nie, oczywiście, że nie.

Światło padające na jego twarz od dołu odkryło jego następny uśmiech, uśmiech szatana, pomyślała. Zawsze wiedziała, że był szatański. Widziała napięte ścięgna jego szyi, ostry kontur jabłka Adama, zarys obojczyka i klatki piersiowej. On jest brzydki, powiedziała w duchu z dziwną zawziętością. Piękny był ciemny brunet — student w wytartych dżinsach, intelektualista z towarzystwa, wspaniale opalony, o błyszczących niebieskich oczach... Lecz Anthony należał do Diany, a Grant, nawet gdy była w nim dziko zakochana, Grant nie był w stanie rozbudzić jej tak, jak to potrafił Michael. On jest brzydki, powtarzała bez końca, jakby właśnie to uczucie wstępu było najważniejszym elementem jej nastawienia do niego. Wstępu, który przenikał jej ciało, wdierał się w system nerwowy, przesączał się przez wszystkie pory skóry...

Michael postawił piwo na podłodze i wyjął szklanekę po winie z jej dłoni nie stawiającej oporu. Wziął ją za rękę i włożył między swoje uda. Jego członek drgnął, pobudzony jej dotykiem; był sztywny.

Zaczęła całować jego klatkę piersiową, sztywne brodawki, meszek sięgający aż do brzucha.

Natychmiast ściągnął spodnie i wskoczył do łóżka. Tym razem robił to bez pośpiechu, wręcz delikatnie; delikatne pieszczoty językiem. Znalazł się w niej prawie natychmiast, osiągając z miejsca szczyt, tak że cały ten upojny ból zalał ją ponownie, jak olbrzymia fala bezkresnego oceanu.

— Nie lubię cię — powiedziała później. — Nie potrzebuję cię. Nigdy nie chciałam iść z tobą do łóżka.

— Za późno.

— Wiem.

Upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim zmorzył ich sen. Budząc się następnego ranka, Czują się gorzej niż po-

przednio. Uderzyła ją ostra rzeczywistość. Sypialnia, chociaż inna niż w tamtym mieszkaniu, nosiła oznaki znanego jej gustu Michaela: skomplikowane stereo, ostrożny, pełen rezerwy luksus, swoboda i luz, bez niepotrzebnych ozdóbek. Nawet przy łóżku były książki z dziedziny architektury: biografia Le Corbusiera, podręczniki, kilka pozycji o postmodernizmie. Michael leżał z twarzą na wznak wtulony w poduszkę, jedną ręką obejmował Elbę. Łypnął na nią zaczerwienionym okiem spod tłustawych kędzierców. Jej ból głowy był tak dotkliwy, że bała się wykonać najmniejszy ruch w obawie, że pęknie jej czaszka.

— Masz zamiar uciec w panice — zapytał sardonicznie — czy najpierw wypijesz kawę?

— Kawę — wymamrotała Elsa. — Dwie aspiryny, szklanek wody. Proszę.

Michael parsknął śmiechem, który wybuchnął jej w głowie niczym kula armatnia. — Szampan i odlot — wydedukował. — Zastanawiam się, dlaczego musisz być dobrze pijana, aby iść ze mną do łóżka? Następnym razem powinnaś spróbować na trzeźwo.

— Żadnego — następnego — razu.

— Przepraszam. Zapomniałem.

Filizanka kawy postawiła ją na nogi. Dosłownie. Poszła do łazienki. To, co zobaczyła w lustrze, nie zaskoczyło jej zbytnio: twarz ubabrana resztkami makijażu, zmierzwione loki — jak u straszdyła. Czarownica po sabacie. Zastanawiała się, dlaczego Michael zawsze ją taką zostawia. Grant potrafił kochać się z nią nie rozmazując jej makijażu. W obecnym chaosie myślowym uznała, że było to jego zaletą.

— Wydaje mi się, że byłoby najlepiej, gdybyśmy się już więcej nie spotkali — powiedziała Michaelowi na odchodnym.

— Dlaczego? Boisz się mnie? Nie, boję się siebie.

Ale nie miała odwagi, by to powiedzieć głośno.

Następne dni Elsa spędziła na przeprowadzce do nowego mieszkania, w Fulham. Langley i Mayhew zdobyli je dla niej, umeblowane, wynajęte na jeden rok.

— Ojciec myślał, że z pewnością wrócisz do Ameryki — wyjaśnił pan Mayhew, kaszlem wyrażając dezaprobatę. — Oczywiście umowę wynajmu można przedłużyć.

Wynajęła na własne potrzeby studio na King's Road, wykonała ze sto telefonów, by zapewnić sobie odpowiednie kontakty. Numery miała od przyjaciół z Nowego Jorku. W niedzielę złapała pociąg w kierunku Churston, by odzyskać samochód Ruperta. Przez cały ten czas starała się usilnie nie myśleć o Michaelu. Nie była pewna, co ją w nim tak poważnie gnębiło. Być może panowanie nad sobą, stoicki spokój, a może niezłomność własnych zasad, niebezpieczne wyzwanie, jakie jej rzucił, jego niewyraźne powiązania z jej ojcem, tajemnicze motywy i nieobliczalne emocje. Prawda była jedna: nie był on typem człowieka, o jakim marzyła: przystojnym, bogatym, prawie księciem z bajki, niepowtarzalnie czarującym, przyjemnym i wesołym. Michael wdarł się w jej życie jak choroba, zagnieździł pod jej skórą jak pasożyt, a ona jedynie pragnęła uwolnić się od niego.

Dziesięć dni po weselu zadzwoniła do biura ojca.

— Z Michaeliem Kovacsem — poprosiła.

— Kto mówi? — zapytała automatycznie sekretarka.

Elsa zawahała się. — To prywatna sprawa — odparła. — Znajoma. — Nie chciała podawać swojego nazwiska.

Coś trzasnęło w słuchawce; serce waliło mocniej i mocniej. Po chwili usłyszała głos Michaela:

— Halo.

— Halo... mówi Elsa.

— Tak, wiem.

Skąd mógł wiedzieć? Jak śmie być tak bezczelny? Nerwy ją zawiodły. — Musimy porozmawiać.

— Z pewnością. Co sądzisz o jutrzejszym dniu — może obiad?

— Nie, nie... Oczywiście. Jutro odpowiada mi, ale nie obiad. Jedynie drink.

Umówili się w winiarni i Elsa odłożyła słuchawkę. Miała wrażenie, że jej głos nie brzmiał tak chłodno, jak to sobie postanowiła.

Następnego wieczoru starała się zapamiętać, by nie wypić dużo. Michael uświetnił okazję krawatem zawiązanym dużo poniżej szyi, na koszuli z rozpiętym kołnierzykiem. Elsa przypomniała sobie, że na weselu jego garnitur składał hołd formalnościom; do tej pory Elsa widywała go tylko w dżinsach.

Pomyślała o Grancie, którego stroje nosiły znamiona mistrzowskiej doskonałości, każdy szczegół był dokładnie dopracowany.

Michael ubierał się raczej wygodnie niż stylowo — choć jego krawat był jedwabny, a koszula czysto bawełniana, daleko mu było do efektowności, jaką starannie kreował Grant. W każdym razie wiedziała już, na czym stoi.

— Chciałam ci tylko powiedzieć — zaczęła — że w porządku, tamto się skończyło, ale...

— Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi — zaryzykował.

— Absolutnie! Nie możemy zostać przyjaciółmi, ledwo się znamy.

— Czy chcesz, byśmy się lepiej poznali?

— Nie. Chcę... chcę, abyśmy mogli spotkać się bez żadnego skrepowania. To wszystko. Chcę, byśmy zachowywali się jak rozsądni ludzie, a nie...

— ... zawsze kończyli w łóżku. To wystarczy. W porządku. — Rozłupał krewetkę. — Opowiedz mi o Ameryce.

Trzy i pół roku przysłonięte mgłą. — Dobrze się bawiłam — powiedziała Elsa.

— Tak, słyszałem.

Spojrzała na niego, nagle ostrożna. Michael kończył krewetkę.

— Twoja nieszczęśliwa miłość — wyjaśnił. — Jakżeż się nazywał? — Barrymore. James Grant Barrymore.

— Kto ci o tym powiedział?

— Twój ojciec. — Po chwili przerwał ciszę: — Byłem przy nim ponad dziesięć lat, pamiętaj. Student, asystent, młodszy partner. Przyzwyczał się do mnie. Były takie chwile, że nawet on potrzebował kogoś, z Jdm mógłby porozmawiać. Któż to wie... może mi ufa?

Przez kilka minut Elsa nie odezwała się ani słowem. Wszystkie jej dotychczasowe emocje zogniskowały się w jednym punkcie — chochliki nadstawiające uszu, gdy padało imię ojca — zazdrość, uraza, uczucie zawodu. Pomyślała: nie plotkował o nikim, tylko o mnie. I wtedy zamajaczył przed nią okrutny obraz Ruperta omawiającego miłosne perypetie swej córki z przypadkowym kochankiem, obraz tchnący zdradą i perfidią. „Być może on mi ufa...” Ja mu nie ufam, powiedziała Elsa do siebie, jakby to było jakieś rozwiązanie. Ani mojemu ojcu.

Zapytała ostro: — Czego chcesz ode mnie?

Michael uśmiechnął się. — Myślałem, że wiesz.

Wymijająco zaprzeczyła ręką. — Nie tego — chodzi mi o to, czego naprawdę chcesz ode mnie. Nie teraz, lecz w przyszłym tygodniu, w przyszłym roku. O czym marzysz. Co planujesz. Zawsze, gdy spoglądam na ciebie, wydaje mi się, że widzę tylko cienie. Ciemności w ciemnościach. Twoje zamglone myśli. Nic o tobie nie wiem — nic. — Nagle przypomniała sobie wcześniejsze sformułowanie: — Powiedziałeś młodszy partner? Młodszy partner mego ojca?

— Czemu nie?

Był to posmak przegranej, szachowa zagrywka. Rzuciła: — On też o tobie nic nie wiedział, prawda?

— Chyba nie. — Michael wziął w palce krewetkę, zanurzył w majonezie i chrupał, powoli, w całości.

— Czasem — wyrzekł między kęsami — jesteś do niego bardzo podobna. Zajęta sobą. Jednostronna. Obsesyjnie

uparta. On ma obsesję na punkcie architektury: wtapia swe prawdziwe oblicze w światowe pomysły.

A ty — co jest twoją obsesją?

— Nie zmieniaj tematu. — Elsa wrzuciła grzanki do zupy, pomieszała i odstawiła talerz. Dawniej Michael jawił się jej jako demon wdzierający się w jej życie, pchający ją w tarapaty; nigdy nie wyobrażała go sobie jako zwykłego człowieka, mającego swoje własne życie, swoje własne zgryzoty. Powściągliwość w słowach była znaczną częścią jego osobowości, którą po prostu zaakceptowała, nie widząc w tym nic dziwnego. Teraz próbowała zobaczyć go jako dziecko lub chłopca w wieku szkolnym, samotnego, pozbawionego pewności siebie, bojaźliwego, nękanego drwinami, rosnącym cierpieniem. Młodzieńczą miłością. Ale tajemniczość jego natury broniła dostępu do swoich wrót. Powiedziała: — Mówiłeś mi, że byłeś adoptowany: czy znasz swoich prawdziwych rodziców? Wzruszył ramionami — rodzaj kapitulacji. — Znałem moją matkę. Krótko. Zmarła, gdy miałem cztery lata. To było w obozie uchodźców koło Lubeki — w 1950 lub 51. Myślę, że była w porządku, lecz niezbyt ładna, jak ja. — Cień uśmiechu. — Opuściła Polskę, by uciec przed Rosjanami, i osiadła po wojnie w Niemczech. Takich jak ona były tysiące. Tak mi mówiono. Niewiele pamiętam z tych dni: tylko fragmenty, urywki, to tu, to tam. Zawsze powtarzała, że mój ojciec był brytyjskim oficerem — w każdym razie taka historia krążyła w obozie. Mówiłem lepiej po angielsku niż po niemiecku. — Nie miałam pojęcia — powiedziała głucho Elsa, nie mogąc wyobrazić sobie takiego dzieciństwa. Patrzyła na niego jak na przybysza z innego świata, nie wiedziała, co w tym momencie powinna mu okazać — żal, współczucie czy cokolwiek innego, co mogłaby dać z siebie. Być może po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, że ma uprzywilejowaną pozycję, jest bogata, zepsuta i samolubna.

Szukała słów, by wyrazić swoją litość, ale nawet w jej odczuciu zabrzmiałyby sztucznie, wręcz niemoralnie.

Wreszcie wyszeptała: A twoja matka... jak umarła? — Jak umierają uchodźcy. Brak pożywienia, brak ubrania, brak lekarstw. Epidemie — jakie tylko istnieją. Ciężka zima, grypa. Warunki, jak mówią, były prymitywne. Słabi umierali, silni przeżyli. Ja przeżyłem. — Niespodziewanie ciągnął dalej: — Kaszlała, bardzo kaszlała — wszystkie te tanie papierosy zwędzone Amerykanom. Pamiętam jej kaszel. Także paliłem, gdy miałem pięć czy może sześć lat. Za bardzo ich nie lubiłem, ale papierosy były zakazanym owocem — doroślejsze niż czekolada. Poza tym gdy ktoś dorosły przyłapał cię na jednym, zawsze zabierał, mówił, że to ci szkodzi, a potem sam palił. Nic tak nie smakuje jak zakazany owoc.

Elsa rzekła: — Teraz nie palisz.

— Niewiele.

— Jak to się stało, że cię zaadoptowali?

— To musiał być rok 1953. Międzynarodowy Rok Uchodźcy — lub coś w tym rodzaju. Planowano opróżnienie obozów. Dzieci mogły znaleźć prawdziwy dom, zdobyć właściwe wykształcenie. Puste słowa. Nic z tego nie miałem. Mieszkałem na ulicach Lubeki, załatwiałem sprawy dla typków zajmujących się czarnym rynkiem, handelkiem. Gdy dorosłem, mogłem być następnym Harry Lime'em. Byłem zbyt elegancki, by zwrócić uwagę pań z dobroczynności. — Jeszcze raz cień uśmiechu. — Mój żywiciel — Matthew O'Hara miał związki z Czerwonym Krzyżem. Uczestniczył w wielu kampaniach, dużo widział. Dawał się sztachać i opowiadał ciekawe historie. Irlandzkie pochlebstwa. Nigdy nie myślałem o nim jak o dobroczyńcy. Przypuszczam, że właśnie tym mnie przechytrzył; od kogoś innego od razu uciekłbym. Miał młodą żonę w Anglii: powiedziano im, że nie mogą mieć dzieci. Więc wtedy wzięli mnie.

Odnosił się do tego wręcz z dystansem, bez żadnego zaangażowania, jakby mówił o kimś innym.

Elsa zapytała: — Kochałeś ich?

— Myślę, że tak. — Niewiele jak na odpowiedź. — Było już zbyt późno, bym się zmienił. Podobno — tak się mówi — charakter formuje się w pierwszych pięciu latach życia, a ja miałem siedem. Ja już żyłem. Wszystko wiedziałem. Twardziel, co tu mówić. Och, potem, potem miałem wszystko. Szkoła podstawowa, matura — co tylko było mi potrzebne. Rodzina mojego przybranego ojca wywodziła się ze sfer katolickiego ziemiaństwa, mojej matki — z angielskich wyższych warstw klasy średniej. Było mnóstwo pieniędzy, mnóstwo możliwości, mnóstwo rodzicielskiego wsparcia. Mogę powiedzieć, że miałem wiele szczęścia.

— Jesteś cyniczny.

— Doprawdy? Jestem wdzięczny. I — tak, kochałem ich.

— Czas przeszedł. Czy umarli?

— Nie. Ale nie widuję ich często.

— Dlaczego?

— Nie wiem. To nie jest konieczne. Gdy byłem już u nich trzy lata, moja przybrana matka odkryła w końcu, że jest w ciąży. Rezultat: mój brat William. Wykapany ojciec: ten sam urok, zuchwałość i pyszałkowatość. To nie to, że przestali mnie kochać, lecz... Przypuszczam, że on łatwiej dał się pokochać, dawał więcej w zamian. Jak William dorósł, zrozumiałem, że już nie potrzebują mnie tak bardzo. A więc — ja ich też nie potrzebowałem.

— To dlatego zmieniłeś nazwisko?

— Nie całkiem. Powiedziałem moim przybranym rodzicom, że to ze względu na moją prawdziwą matkę, lecz — spoglądając wstecz — nie wydaje mi się to prawdą. Moja matka nie żyje: cóż to dla niej za różnica, czy nazywam się Charlie Chaplin, czy Lew Tołstoj? Faktyczny powód — pragnąłem być sam, odseparowany, pragnąłem zerwać wszelkie związki z rodziną i ze swoim sztucznym pochodzeniem. Chciałem być sobą, bez żadnych zbędnych etykietek, które do mnie nie należą, w moim odczuciu

uwolniło mnie to od moich przybranych rodziców, pozbawiło uczucia, że jestem ich własnością. — A po przerwie: — Dlaczego ty zmieniłaś swoje imię?

Patrzyła nieprzytomnie.

— Z Elspeth na Elsa — dlaczego?

— Spodobało mi się. — Oblizła spierzchnięte wargi. — Myślę, że chciałam być kimś innym. Nie Elspeth. Nie sobą.

Michael powiedział delikatnie: — Elsa jest także tobą.

— Doprawdy?

Zapanowała cisza. Elsa przyglądała się refleksom świetlnym odbijającym się w kieliszku z winem, zastanawiając się nad własną osobą i nad osobą Michaela; nad związkiem, jaki powinna ustalić między nimi.

— A co z architekturą? — zapytała po chwili przywracając dawny tok rozmowy. — Co cię do niej skłoniło? — Spodobała mi się — naśladował ją. — Zadajesz zbyt wiele pytań. — Obiad już wystygł i kelner zaproponował deser. — Co powiesz na brandy i zmianę tematu? Jeszcze nie opowiedziałaś mi o Ameryce. Tym razem opowiedziała mu — o college'u, o Barbarze, o rzeźbach, lecz nie o Grancie. Później, już w samochodzie, stwierdziła: — Wiesz, wszystko robimy na opak. Najpierw powinniśmy porozmawiać, potem iść do łóżka.

— Niekoniecznie. Robimy to, co nam w danej chwili odpowiada. A propos, tamtej nocy omal nie zagadałaś się na śmierć.

Elsa spochmurniała, pewnie przypomniało się jej coś, czego nie chciała.

— Zapomniałam.

Zgodnie z wcześniejszym poleceniem Michael odwiózł ją do jej mieszkania, parkując w bocznej ulicy. — Masz ochotę na kawę? — zaproponowała, trochę zawstydzona.

— Może. Czy mogę parkować tu całą noc?

— Jeśli zechcesz... — powiedziała Elsa.

W łóżku, z Elsą śpiącą u jego boku, Michael odnalazł dawne wspomnienia, które tkwiły w nim głęboko, a teraz, pobudzone słowami Elsy, wydostały się na powierzchnię i nękały jego świadomość. Obrazy z wczesnego dzieciństwa nie nawiedzały go; przypuszczalnie dlatego, że nigdy o nim nie myślał. Znał wszystkie szczegóły, gdyż przybrany ojciec opowiedział mu o tym, odpowiadał na każde jego pytanie, nigdy sztucznie nie próbował odgradzać go od jego faktycznej przeszłości. Być może nie nawiedzały go dlatego, że czuł się zakłopotany: owe wspomnienia, unoszące się na powierzchni, były irytująco fragmentaryczne, ulotne, jak słowa, które ma się na końcu języka i nie można ich sobie przypomnieć. Setki twarzy — jego matki, kolegów szkolnych, żołnierzy, przystojnych chłopców — których podziwiał — rozmyły się, zostawiając gdzieś pojedynczy przebłysk w świecie ciemności. Uczestnictwo w jakiejś manifestacji rządowej — smak pierwszej w życiu pomarańczy — zapach zakazanego papierosa. Bombardowanie Lubeki przez samoloty RAF-u w 1944 roku. A wśród gruzów sterczące ściany, potrzaskane szyby, powybijane okna, ciemne jaskinie — szczątki innego świata. Nie widział nic innego, tylko gruz. I właśnie z tego gruzu wyrosło jego pragnienie budowania, marzenia o wspaniałym mieście ze wspaniałymi budynkami, mieście przyszłości, metalowych szkieletach i szklanych skrzydłach wdzierających się w niebo. Było to marzenie chłopca i w sumie nie wiadomo, czego ono dotyczyło — aż do momentu, gdy osiągnął wiek dwunastu lat i dyrektor szkoły w Winchester zapytał go, kim chciałby zostać. — Architektem — odpowiedział bez chwili namysłu. Wiedział, że było to prawdą. Tu, w nowym życiu, pod wpływem innego spojrzenia i akademickich osiągnięć, odległe wizje z przeszłości nabrały znaczenia. Będzie architektem, stworzy coś użytecznego i coś pięknego właśnie z gruzu. Teraz, gdy próbował patrzeć w przeszłość, ruiny były wszystkim, co pamiętał. Połamane belki, rozbabrane ka-

mieniarskie roboty, snujące się wdowy, pył i kurz szalejące na wietrze. Zaczął marzeniami i zgliszczami wojennymi, a stworzył — co? Przed oczami miał widok: betonowy bastion, szklane konstrukcje, kanciaste dziwolągi z metalu i plastiku rozdzierające chmury. — A co z architekturą? — zapytała Elsa. Pytanie, od którego chciał się wykręcić. Jego dzieło to fabryki kielkujące na żyznych polach, bezwzględna symetria nakładana na starożytny chaos — ale od długiego czasu jego marzenia zastąpiła gorycz. Analizował swoje dążenia i wydało mu się, że stworzona przez niego brzydota — dzieło człowieka — jest niewiele lepsza od zniszczenia, którego dokonał człowiek, a ono go zainspirowało. W każdym pociągnięciu tkwiło rozczarowanie. Gdzieś tam coś nie wyszło dobrze. Gdzieś...

Rupert Van Leer był jego idolem. Michael nie miał ich wielu: cynizm tkwił w nim od dziecka — gdy widział, że ulice zniszczonej wojną Europy nie mają swych bohaterów — jedynie „przetrwańców”, cudem pozostałych przy życiu. Wśród nich byli ludzie, których lubił lub podziwiał, szanował, ale uważał się za równego im, o ile nie bardziej doskonałego i lepiej przygotowanego do życia; w końcu był już wystarczająco dorosły, by znaleźć swoje miejsce w tym dorosłym świecie. Już w momencie, gdy tylko rzucił okiem na Dom Stallibrassa (fotografia w książce o sztuce współczesnej), z tego, co mógł przeczytać, dowiedzieć się, przeanalizować, poczuł, że Rupert jest wzorcem godnym naśladowania, geniuszem wśród wybitnych talentów, wielkim wśród maluczkich, nie częścią przewrotu w sztuce, lecz jego liderem, głównym natchnieniem. Michael poprzysiągł sobie, że pewnego dnia będzie dla niego pracował, będzie z nim pracował — i kiedy nadarzyła się taka okazja, wykorzystał ją do cna. Służalczo wykonywał każde zadanie, bez narzekań, poświęcał swój czas, był cierpliwy, nieprzejednany, chłonąc talent Ruperta i jego zapatrywania używał własnych wybiegów i zdolności, by wkraść się w łaski mistrza. I tak stopniowo, będąc w bezpośredniej

bliskości człowieka, którego czcił, zaczął dostrzegać, że w nieugiętym bestialstwie jego pracy odbija się cząstka jego duszy, element chłodu i zaślepienia — co w oczach Michaela umniejszało wielkość Ruperta — nawet nie był na poziomie zwykłego śmiertelnika. I odkąd zaczął zauważać brzydotę w artyście, zaczął także zauważać brzydotę w jego sztuce. Każda struktura była krzykliwym akcentem, fałszywym akordem w swoim otoczeniu, grymasem niezadowolenia na twarzy poprzedniej cywilizacji. Zamiast prostoty widział surowość, zamiast funkcjonalizmu — jałowość, zamiast skromności — bezwzględność. Wciąż jednak podziwiał demoniczną energię Ruperta, jego jednotorową pasję; ale już nie chciał go naśladować. W jego duszy powoli wzrastał opór — i, tak jak wszystkie rośliny, które wolno rosną — zapuszczał głęboko korzenie. Dawno temu planował poślubić córkę Ruperta — nie tę ładną; brzydkie dziewczyny były łatwiejsze do zdobycia — to zapewniłoby mu odpowiednią pozycję jako następcy Ruperta. Spotkał się z nią, rzucił jej taksujące spojrzenie i ocenił chłodno, że jest wystarczająco dobrym materiałem: płomienna, nieszczęśliwa, nie kochana przez ojca — ale jakie to miało znaczenie, skoro pochodziła z rodziny Van Leer? Ale to było dawno temu. Lata przemieły, brzydkie kaczątko zmieniło się w piękność, idol przestał być idolem, a jego ambicje pod każdym względem się zmieniły. Teraz pragnął roztrzaskać wszystkie budowle, jakie stworzył Rupert, zetrzeć ślad jego żelaznej ręki z otaczającego krajobrazu na zawsze. Przewrócił się na bok i studiował twarz śpiącej Elsy — zastanawiał się, po co on tu jeszcze jest, skoro jej już nie potrzebuje. Przedtem była dla niego kluczem do dziedzictwa Ruperta. Teraz czuł, że była tylko ubocznym produktem jego koślawej natury, ofiarą, zwykłą zapisobiorczynią, słabym ogniwnem w jego zbrojnym pancerzu.

Zadowolili się refleksją, że nie należy tłumić swoich słabostek.

Sir Rupert i Lady Van Leer spędzili noc poślubną w podmiejskim hoteliku na granicy Szkocji. Sypialnia szczyła się wielkim łóżem i wspaniałym, rozległym widokiem. W restauracji serwowano pstrągi z własnej hodowli, domowe warzywa i dobrze przyrządzoną, skruszałą dziczyznę. Nicky, dziobiąc kolację, pomyślała: poślubiłam tego człowieka, ale nigdy nie byłam z nim w łóżku. Dzisiaj będzie ten pierwszy raz. Pierwszy raz. Fakt ten zupełnie pozbawił ją apetytu, poczuła dreszcz podniecenia na całym ciele. Rupert był tak dominujący, tak wielki, tak szalenie męski, że wszyscy inni byli przy nim nie mężczyznami, lecz tylko nie liczącymi się substytutami mężczyzn, których próbne penetracje pozostawiły ją w gruncie rzeczy nietkniętą. Na myśl o zupełnym oddaniu się jemu spłonęła rumieńcem, jak dziewica.

Na górze ubrała się w satynowy szlafroczek, zwiewny strój negliżowy, żeby Rupert z łatwością mógł się z nim uporać. Była niemal czerwona ze wstydu, gdy odkrywał jej nagość, pieszcząc jej małe piersi swymi wielkimi dłońmi, dotykając jej ust delikatnymi pocałunkami, jej oczu, jej włosów, unosząc ją we własnych ramionach, jakby była dla niego piórkiem. W łóżku starała się wykorzystać wszystkie swoje zdolności i sztuczki, by sprawić mu przyjemność — nie zapominając o sobie. Nawet nie przyszło jej do głowy, że mógłby uznać ją za zbyt dobrą kochankę, zbyt doświadczoną — czy zbyt pałającą żądzą.

Był moment, kiedy się cofnął, jego usta zacisnęły się, stwardniały, oczy zrobiły się wąskie, prawdziwe szparki. Wtedy rzucił się na nią, już teraz nie tak delikatnie, bez hamulców. Jego uścisk kruszył jej kości, jego pocałunki zostawiały ślady na jej skórze. Nie była w stanie nadażyć ani się opierać, zmaltretowana żądzą i niepohamowaną furją, bez nadziei, zatrwożona.

— Kurwa — rzekł uderzając ją w twarz tak mocno, że ujrzała gwiazdy przed oczami. — Kurwa. —
Próbowała

protestować, ale nie słuchał; jego oczy wpatrzone w nią, przesywające ją na wskroś, jakby widział nie Nicky, swoją żonę, lecz jakiś wytwór swej fantazji, fantom własnej wyobraźni, wizję, którą kochał i której nienawidził, chciał władzy nad nią i pragnął ją zniszczyć. Myślała, że oszalał; podniecenie zastąpił strach; nie była zdolna walczyć, nawet bronić się, gdy gwałtownie wszedł w nią, rozdzierając suche ciało niczym żelazem, torując sobie drogę do jej wnętrza. Jego orgazm rzucał ją całą — jakby czuła trzęsienie ziemi: spokój, który nastąpił, był spokojem spustoszenia, ruiną jej nadziei, końcem jej marzeń. Oddychał szybko zachłystując się powietrzem, jego ciało doznawało prawdziwych wstrząsów sejsmicznych. — Diana — wyszeptał, nieświadom, że w ogóle coś mówi: — Diana... Następnego ranka zeszli na śniadanie. Rupert był usłużny i sztywny; jeśli nawet miał wyrzuty sumienia, nie dał poznać tego po sobie. Nie padło żadne słowo na temat ubiegłej nocy, żadne przeprosiny. Nicky w ślad za nim nie mówiła nic, zmuszając się, by przełknąć kęs tostą i łyżeczk kawy — jak każda młoda żona po wspólnej nocy, po pierwszej wspólnej nocy. Jej umysł nie funkcjonował, emocje zamieniły się w kamień: zaprogramowana jak komputer — przez konieczność zaprogramowana jak maszyna.

Po przeciwnej stronie stołu Rupert jadł kielbaski, bekon, pomidory, grzybki, jajka. Wyglądało na to, że jest w swoim żywiole. Nicky czuła w sercu chłód.

Oczami Elsy widziała, że stosunek Ruperta do Diany opierał się głównie na jej podobieństwie do matki — pogodna natura, bezpośredniość, urok i sympatia do otoczenia. Naturalna miłość ojca do córki łatwo mogła zostać wynaturzona i przeniesiona na młodą żonę. Nicky nie zdawała sobie sprawy z tego, że swoimi gierkami kusi diabła. Nawet teraz trzęsła się na myśl, czego doznała, co się wydarzyło. Próbowwała wmówić sobie, że się przesłyszała, że w tym

momencie puściła wodze swojej fantazji słysząc szeptane imię; następnym razem wszystko będzie w porządku, musi być. Ale faktycznie sama w to nie wierzyła.

Po powrocie do Londynu Nicky wydała przyjęcie. Musiała zachowywać się jak żona człowieka sukcesu, mając wciąż w pamięci Isabelle Montador, noszącą stroje Saint-Laurenta. Zatrudniła ludzi do obsługi przyjęcia — kucharzy, kelnerów, pomywaczki. Jedynym jej zadaniem było dobranie odpowiedniego menu i zakup nowej, szykownej sukni. Rupert początkowo był trochę zaskoczony jej posunięciami, ale potem dał się zarazić pomysłem i ustalił listę gości, których powinna zaprosić.

— Możesz także zaprosić Michaela — dodał na końcu.

— Michaela? — Nicky była zbita z tropu.

— Z biura.

Nicky znalazła wymówkę — samotny Michael musiał mieć partnerkę, więc zaprosiła Elbę.

.Nie знаła najskrytszych uczuć Elsy, nie mogła więc zrozumieć wagi swojej perfidii. Wspomnienie chłodnego całusa ostudziło ją trochę, ale wciąż myślała, że najgorszy gniew ma już za sobą, a ona i Elsa mogą nadal pozostać przyjaciółkami — tak sobie myślała. W końcu co ona takiego zrobiła?

Ufarbowała włosy i poślubiła ojca Elsy — tak samo mogła zrobić każda inna kobieta w czasie tych dwudziestu sześciu lat. A ona wyszła za niego za mąż nie dlatego, że był bogaty i sławny, lecz dlatego, że posiadał silną osobowość, geniusz, charyzmę. Nicky po prostu zakochała się w nim. Elsa nie miała prawa winić jej za to. Z trudem, walcząc sama z sobą, by nie zignorować pułapek czyhających na nią w tym małżeństwie, Nicky nie mogła lub nie chciała widzieć przepaści, która pogłębiała się między nią a tą dziewczyną. W Grecji przeszłość i przyszłość nie miały znaczenia: było tylko złudzenie w miarę przyjacielskich stosunków. W Anglii przeszłość i przyszłość były wszystkim: Nicky pogwałciła zasady, których

nie mogła zrozumieć — nigdy nie będzie jej to wybaczone. Zdecydowana podążać już drogą prowadzącą do tragedii, odrzuciła, uważając wręcz za trywialne, napięcie między ojcem a córką, sama owijała się w mgiełkę tajemniczości, stając się marzeniem na jawie, miniaturową panią domu, żoną Ruperta, przyjaciółką Elsy.

Podniosła słuchawkę. Automat zanotował zaproszenie.

Elsa, słuchając słów Nicky, czuła w głowie jakby głuchy łoskot. Mogła jedynie przypuszczać, że Nicky w ten sposób chce zmanifestować swój tryumf, skradzione zwycięstwo, upokorzyć i zgnoić Elsę do dna. A może to był pomysł — nie wiadomo z jakich powodów — podsunięty przez ojca?

Lukrecja Borgia, pomyślała Elsa, zaprasza mnie na kolację.

Mimo wszystko zdecydowała, że pójdzie.

Nie spodziewała się, że spotka Michaela. On już był, gdy pojawiła się ona — według niej nie wyglądał ani przystojnie, ani zaskakująco, lecz okazale, bez żadnej żenady ubrany w smoking, jakby właśnie smoking był strojem, którego używał na co dzień. Kobieta, dyrektor Technico, z którą rozmawiał — wspaniała pięćdziesięcioletnia dama z ostrym kolorem włosów, w wieczorowej sukni Jean Muir — nie miała ochoty zrezygnować z jego towarzystwa. A on najwyraźniej zdążył się już do tego przyzwyczaić. Przesłał Elsie ukłon najszybciej, jak tylko mógł, lecz i to jej wewnątrz nie rozgrzało. Po raz pierwszy przyłapała się na stwierdzeniu: on jest atrakcyjny. Brzydki, ale atrakcyjny. Pociąga inne kobiety. Mężczyzna, który pociąga inne kobiety, zawsze staje się atrakcyjny — przeczyło to logice i Elsa wiedziała o tym, ale fakt, że znalazła go tutaj, ostatecznie uspokoił ją.

Elsa potrzebowała właśnie moralnego wsparcia. Nicky podeszła, by ją powitać — szalenie uprzejma, udająca doskonałą panią domu. Była ubrana na białą — być może miało to przypominać stan nowożeństwa; do tego ciemny

makijaż, podkreślający jej wielkie oczy — gdzieś na powiekach połyskiwał błyszczący, niczym zamarżające gwiazdki śniegu; samą twarz miała natomiast bardzo bladą. Jedynie jej włosy stanowiły płomienny kontrast. Else wciąż gnębiła myśl o tak kategorycznej transformacji długonogiej, opalonej dziewczyny z plaży w niewiniątko z rudymi loczkami, transformacji, która nie polegała po prostu na ufarbowaniu włosów i zmianie ciuchów — to było w niej, w jej głębi, w płynności jej charakteru. Elsie wydawało się, że Nicky ma w sobie nadludzkie siły, które mogą ją ukształtować, zmaterializować w ciele każdego człowieka, o którym sobie pomyśli, jakiego sama wybierze. Elsa przypuszczała, że Rupert widział w niej ślady Diany, ślady jej matki; Diana była stworzeniem ziemskim, a Johanna Van Leer, ta z portretu, sprawiała wrażenie marmurowego posągu. Nicky natomiast była lekka jak piórko, zwiewna jak wiatr, bezkształtna jak woda. Choć może właśnie ona zmieniła senne marzenie, delikatnie, używając do tego swego osobistego czaru; a może sam Rupert pozwolił swej pamięci rozpuścić się z czasem — przystosować się na nowo. Lecz twarz Nicky nie zdradzała ani wyrachowania, ani tryumfu; jej wyraz był delikatny i niewinny, a sumienie zdawało się tak nieskazitelne i czyste jak jej sukienka. Elsa miała czarną.

Była szorstka dla Nicky, złożyła ojcu wyrazy szacunku — które zabrzmiały jak wyzwanie. Skinął obojętnie głową, kierując swoją uwagę w przeciwną stronę nagle zatrzymał się, odwrócił, spojrział. Inni gapili się także. Na gładkiej czerni, bez wzorków i koronek, Elsa miała diamenty. Prawdziwe diamenty. Całe mnóstwo diamentów. Ich kiście zwisały jej z uszu, lśniące sznury oplatały szyję i nadgarstki, dwa pierścionki na prawej ręce, jeden na lewej, z kamieniem wielkości orzecha laskowego. Odbijały się od mahoniowych włosów jak gwiazdy na ciemnym niebie, spływały po ramionach jak marznące krople deszczu. Dla wielu gości był to tylko przejaw wulgarności,

bezsensowna, niepotrzebna manifestacja wywołująca zazdrość, kolosalne ryzyko. Ale Rupert je rozpoznał — mimo że nie widział ich tak długo. Diamenty Van Leerów — diamenty Johanny.

Zapytał ściszym głosem: — Skąd je wzięłaś?

Elsa podniosła głowę: — Ciotka Barbara dała mi je. Powiedziała, że skoro należały do mojej matki, to teraz ja powinnam je mieć.

— One są warte majątek — zauważyła pani dyrektor, znacząco odwracając się w stronę Ruperta.

Jak się tu dostałaś — w jaki sposób tu przyjechałaś — z obstawą?

— Taksówką.

— Natychmiast jedź do domu, tak będzie najlepiej. — Rupert nie mógł się opanować. — Zdejmij je, zamknij na klucz na dzisiejszą noc, a jutro umieść w banku. Czy twoje szaleństwa nigdy się nie skończą?

— Byłam zaproszona na obiad — głos Elsy, nie tak jak jego, brzmiał nieledwie donośnie — mam zamiar zostać.

To nie był przyjemny posiłek. Nicky, zbита z tropu, nie wiedziała, o co chodzi, gubiła się w słowach, a złowrogie diamenty Elsy rzucały ogniki w blasku kandelabrow, jakby umyślnie prowokując. Połowa stołu dzieliła je od Ruperta, ale to nie powstrzymywało go od straszliwych spojrzeń, jakimi obrzucał Elsę w czasie chwilowych przerw w rozmowie. Było sporo milczenia. Subtelne złościwości następowały jedna po drugiej, lecz nikt ich nie zauważył. Michael, tuż obok Elsy, nie zadawał żadnych pytań, ale zaoferował z naturalną nonszanlancją: — Spotkajmy się w domu, później. — Elsa odruchowo się zgodziła.

Wyglądam jak moja matka, pomyślała. Ciotka Barbara tak powiedziała. Wreszcie jestem taka jak ona na portrecie. Co znaczy, że muszę być do niej bardziej podobna niż Diana — a z pewnością bardziej niż Nicky. Ale on nie chce tego widzieć, nie chce na to przystać. Nie może ścierpieć, że noszę jej biżuterię — nienawidzi mnie, że wyglądam tak jak ona.

Po deserze Nicky uznała za stosowne zamienić kilka słów z Elsą, powiedzieć coś miłego; wiedziała jednak, że to bez sensu. Nawet gniew Ruperta wywołany zaproszeniem Elsy nie zmobilizował jej, nie przygotował do tego. Była przekonana, że to ona jest iskierką, która rozpałała w Elsie gniew, że to ona ponosi całą winę; diamenty nie miały dla niej żadnego znaczenia, nie rozumiała, o co chodzi. W zamian odczuwała jeszcze większą urazę: Elsa miała wszystko, ona nie miała nic, pasierbica żałowała jej i zazdrościła nawet najmniejszego źdźbła luksusu. Cóż może wiedzieć Elsa o głodzie i o wyniszczeniu, o nudzie i panice? Życie otaczało ją szczęściem i obwieszało kosztownościami, ale nie mogła znieść kogoś obcego przy sobie, kogoś, z kim mogłaby się podzielić. Przy kawie siedziały obok siebie — Odette i Odile, biała łabędzica i czarna. Tyle że tutaj to biała łabędzica była intruzem, czarna zaś — prawdziwą księżniczką.

Ale Nicky nie wiedziała nic o Odile. Wciąż wierzyła, że jest Kopciuszką.

Na samym końcu, gdy prawie wszyscy już sobie poszli, Rupert rzekł parę słów do córki:

— Twoje zachowanie dzisiaj było karygodne. Wkładając diamenty...

— Należały do mojej matki — rzekła Elsa. — Mam prawo.

— Ty — nie — masz — żadnych — praw. Od jutra przestaję cię finansować. Twoja babka zostawiła ci spadek — możesz żyć z niego. Od dzisiaj nie wolno ci tu przychodzić, rozumiesz? Oby moje oczy nie ujrzały cię już nigdy więcej. Nigdy. Teraz wynoś się. I, widząc Michaela: — Zabierz ją stąd.

Michael nie komentował zajścia. W samochodzie Elsa siedziała w milczeniu i drżała. Objął ją ramieniem. — Wszystko w porządku — wyszeptał. — Jestem tu.

— Zabierz mnie do domu — wymamrotała Elsa. — Nie, ja nie mam domu. Zabierz mnie — gdzieś tam...

Zawiózł ją do swojego mieszkania.

X

Wczynie następnycn miesięcy Elsa zaczęła budować sobie nowe życie w Londynie. Nie było to życie, jakie wiodła w Nowym Jorku — wyrafinowane przyjęcia w gronie ludzi z „towarzystwa”, przeintelektualizowane rozmowy — po prostu żyła. W Ameryce musiała wejść na rynek artystyczny, ugruntować swoją artystyczną reputację (nie było to zbyt trudne dla córki Sir Ruperta Van Leera), a tutaj, w Anglii, galerie stały przed nią otworem, prześcigając się w zaproszeniach. Pieniądze nadal nie stanowiły żadnego problemu: mieszkanie było zapłacone z góry, a spadek po babce wciąż procentował.

— Wpływy zaczęły przechodzić na twoją własność od momentu, gdy skończyłaś dwadzieścia pięć lat — wyjaśnił Mr Mayhew. — Tyle że podejmował je twój ojciec — nie życzył sobie — to znaczy sądzę, że sam wolał wypłacać ci pensję. — Wyrzuty sumienia, pomyślała Elsa w przyływie goryczy. Anoreksja mogła mnie zabić, mogli wywalić mnie z college'u, doznając zawodu miłosnego mogłam dźgnąć kogoś nożem — ale to nie miało żadnego znaczenia. Lecz gdy założyłam diamenty mojej matki, popełniłam śmiertelny grzech. Teraz jego sumienie jest czyste: może mnie wykląć nie szukając winy. Prawdopodobnie miała rację. Rupert zawsze podpisywał czeki, gdyż czuł się za nią formalnie odpowiedzialny, ale faktycznie traktował ją z dystansem. Próbowala o nim nie myśleć, wyzwolić się z jego kleszczy — niestety: u siebie w studio na King's Road cały ten ból, z którym walczyła, który chciała

zignorować, przelewał się na jej prace, zamazując ich doskonałą czystość. Złapała się na tym, że produkuje bezsensowne, bezużyteczne formy, plastikowe spirale i metalowe zawijasy zbite razem w bezkształtną nicość zrodzoną z gniewu. Robiła ozdóbki, umieszczane na środku stołu biesiadnego, z kawałków sztucznej chińskiej porcelany — ich brzegi sterczały niczym postrzępione liście karczochów, skropione jej własną krwią — zraniła się przy pracy. Kupiła rudozłotą perukę, poodcinała pojedyncze loczki i przymocowała je wokół olbrzymiego, pozbawionego wyrazu odlewu gipsowego, który nazwała: „Kobieta z farbowanymi włosami”.

— Wiesz — powiedział Michael, zjawiając się u niej bez zapowiedzi — ostatnio twoje prace są bardziej interesujące. Brutalne, lecz interesujące. Kopiujesz swojego ojca.

Elsa zbladła. — Co masz na myśli, gdy mówisz, że kopiuję ojca? Skończyłam z architekturą. Nie byłam w tym dobra.

— Twój ojciec jest funkcjonalistą. Ty też sterujesz w tym kierunku. Mniejsza skala tych samych rzeczy. Brak uczuć, brak emocji, brak ornamentyki — wszystko ma czemuś służyć. Kompletnie stłumiłaś swój naturalny romantyzm. A teraz próbuje się przez to wszystko przebić jakieś uczucie.

Elsa powiedziała: — Nienawidzę cię.

Michael uśmiechnął się: — Pokaż to w swojej pracy.

Uczyniła tak — modelując olbrzymi, plastikowy fallus, który owinęła w gazetę i dostarczyła pod jego drzwi. Przesłał jej odpowiedź: „Czyż nie wspaniałe podobieństwo?” Elsa wybuchnęła śmiechem i choć na chwilę zapomniała o swoim bólu.

Jej związek z Michaelem trwał nadal, ale jakże był on inny od tego z Grantem. Czasami było to czyste partnerstwo, częściej — dziwnie zadziorna przyjaźń, która niespodziewanie, bez żadnego ostrzeżenia, wpadała w wiry seksualnej pasji.

Nie było wspólnego joggingu, nart, spotkań w restauracjach. Jeżeli wchodzili razem, to nikomu nie rzucali się w oczy, zaszywali się w ciemnych kątach. Prawie zawsze opróżniali butelkę wina, rozmawiali, kochali się. Uprawianie miłości było dla Elsy zarówno ulgą, jak i problemem: potrzeba dręczyła ją, gwałtowność szokowała, poddawanie się napępiało strachem. Bez końca, w kółko sobie powtarzała: „Koniec. To już ostatni raz” — ale nigdy tak nie było. Jej ciało nauczyło się odczuwać totalne zaspokojenie namiętności i teraz już nie mogła się bez tego obejść. Dość często Michael właśnie jej zostawiał nawiązanie kontaktu, doskonale wiedząc o tym, że i tak w końcu zadzwoni, może trochę obrażona — ale miał świadomość, że to jej wybór: nie nakłaniał jej ani nie zmuszał. Wolność była dla niej bardzo ważna i Michael nie próbował jej ograniczyć. Nie wymagał, by była wierna, i sam nie przysięgał wierności; nie oczekiwał spotkań z jej przyjaciółmi, i sam nie przedstawiał jej swoim. Nie snuli żadnych planów, dalekich ani bliskich — żadnych. Imię Ruperta rzadko padało w ich rozmowach, choć ona nigdy nie zapominała, że Michael jest jego młodszym partnerem. Być może była to faktyczna przyczyna, dla której tak lgnęła do niego, wbrew swemu rozsądkowi, wbrew swojej woli: to właśnie Michael zapewniał jej choć namiastkę kontaktu z ojcem i poprzez cały okres wymuszonej, trwałej separacji — ze swą powściągliwością w mowie — był częścią lub raczej pozostałością jego refleksu sławy. Nie pytała o Ruperta, nie mogła. Ale czasami Michael napomknął o tym, co mówił lub co robił — taksował ją wtedy chłodnym spojrzeniem, a ona słuchała grzecznie, nic nie mówiąc. Grzęzła w cierpieniu, w sekretnej słodyczy o gorzkim smaku. W sumie ani Michael, ani ona nie mogli się zdecydować co do uczucia, jakie ich łączyło. On po prostu był. Był zawsze, gdy go potrzebowała. Zawsze. Tak było dobrze. Nie wdawała się w głębsze spekulacje.

Pewnego razu zapytał o Nicky: — Znasz ją, prawda? — powiedział.

— Tak.

— Powiedziała mu, że była przyjaciółką Diany, ale myślę, że ona zna także i ciebie. Znała wszystkie jego słabostki. Jej prywatne informacje były całkiem aktualne.

— Jeśli wiedziałeś, co się święci, dlaczego mnie nie ostrzegłeś? — zapytała.

— Jakżebym mógł? — Michael zirytował się. — Poza tym cóż mogłabyś zrobić? — Coś. — Nic. — Elsa milczała.

— Nie trać czasu na nienawiść do niej — zalecił Michael. — Ona go nie zrani: to on zrani ją.

Wcześniej czy później zrobi z niej miazgę. Ona nie jest złośliwa: po prostu słaba i zachłanna, i nieobyta. Nienawiść jest zbyt cenna, by szafować nią na wszystkie strony, by darzyć nią kogoś takiego jak ona. Nienawiść jest jak miłość: jeżeli za bardzo ją trwonisz, obniżasz jej wartość. Powinnaś zachować nienawiść dla istotnych rzeczy.

— Na przykład? — Na chwilę ciekawość okazała się silniejsza od zmartwień.

— niesprawiedliwość. Bestialstwo. Okrucieństwo. Zdobywanie władzy i pozycji po trupach. Głupota ludzi, która jest ich siłą napędową. Ego, które powtarza: jestem wspaniały, jestem niepowtarzalny, jestem ponad wszystkimi. Moje życie jest cenniejsze od życia innych. Coś w tym rodzaju.

— A kogo ty nienawidzisz? — wyszeptła Elsa i przez moment, jeden okrutny moment, była pewna, że wie.

— Nikogo. — Odpowiedź Michaela była jednoznaczna. — Przybyłem znikąd, a świat okazał się dla mnie dobry. Nie mam powodu, by nienawidzić. — A potem dodał, już całkiem serio: — Ani ty.

Czyż nie mam?, pomyślała Elsa. A co z perfidią — kłamstwem — nadużywaniem prawdy? Czy to nie są wystarczające przyczyny?

Później, w swoim studio, wzięła do rąk pustą maskę z rudymi włosami. Okrutna, nazwał Michael. Przemawiająca do uczuć. Być może miał rację. Wyraz nienawiści — riie sztuka: bardziej wulgarny niż prymitywny. Długo patrzyła na maskę. Zaczęła zdzierać jej rude loki, nad którymi tak się namęczyła. Pozbawiona swoich włosów — była tylko kawałem gipsu, powłoką, skorupą bez tożsamości. Uniosła ją do góry i rzuciła w drugi koniec pokoju.

Nicky nie dawała się tak łatwo zmiażdżyć. Doświadczenie wiele ją nauczyło: potrafiła się naginać, ale nie pozwoliła się złamać. Po tej pierwszej nieprzyjemnej niespodziance zachowanie Ruperta w łóżku stało się nienormalnie subtelne, jakby w ryzach trzymał swą gwałtowność i zaborczość, które składały się na jego seksualną naturę. Jego delikatność trwożyła Nicky jeszcze bardziej niż jego brutalność: cisza przed burzą — ostatni promień słońca i światło, zbyt ciepłe i zbyt przyjazne, barwiące chmury wiszące nad horyzontem na kolor indygo, otaczające świat demonicznym błyskiem koloru ochry. Jego gesty były zartute, każdy dotyk był niewyczuwalny. Raz czy dwa stracił panowanie nad sobą — na przykład po tym cholernym przyjęciu — i Nicky była cała w sińcach, ciemnych jak śliwki — wszędzie: na piersiach, na udach — długo nie mogła się ich pozbyć. Ale szybko przysła do siebie. Czasami wzdychała do prawdziwej miłości; innym razem zaś koncentrowała się na korzyściach płynących ze swej pozycji, na dobrobycie, statusie, olbrzymim styksowym szmaragdzie na lewej ręce i na karcie kredytowej — w prawej. Początkowo stosunek Ruperta kon-fudował ją; ale z czasem przyzwyczaiła się. Oczekiwała po ich małżeństwie, zawartym w trybie przyspieszonym, że będzie próbował zrozumieć ją jako indywidualność, tak jak pragnęła, by w końcu ją rozumiano. Zakochując się w jej włosach i w jej twarzy, z pewnością chciał zgłębić tajniki jej osobowości, więc ich dziwny związek miał

stać się bezustannym odkrywaniem, wędrówką, tak jak to bywało w wielu książkach, które przeczytała: dwie obce, nie znane sobie osoby pobierają się i potem uczą siebie wzajemnie. Ale Rupert sprawiał wrażenie zadowolonego — niczego nie wiedząc, niczego nie znając. Zachęcał ją do wydania kilku następnych uroczystych obiadów (z listą gości tym razem ostrożnie dobraną); ignorował ją przy śniadaniu, rozmawiał z nią przy kolacji — lub vice versa — niczego nie żądał, niczego nie wymagał; spoglądał na nią od czasu do czasu, jakby była kimś innym, i głaskał jej rudozłote włosy, nie jak ulubioną maskotkę czy ulubiony obiekt, lecz jakby pieścił antyczny wazon niespotykanej piękności i prawdopodobnej autentyczności. Starannie dbała, by nie mieć odrostów. Nie myślała, że podejrzewa, iż były farbowane, lecz czasami zastanawiała się, czy podejrzewa ją samą; czy bez specjalnego wysiłku, bez zbędnego zagłębiania się w sedno coś dostrzeże z boku, jakiś fragmentaryczny związek, którego nie mogła odnaleźć. Zdała sobie sprawę, że jest znudzona — tak, ten stan знаła już, podświadomie, od dawna. Pod jaskrawą powłóczką swoich osiągnięć, swojego sukcesu życiowego, krył się utajony strach — strach przed roztaczającą się w perspektywie szarą, małżeńską rzeczywistością — od której nie ma ucieczki.

Nuda i strach nawiedzały ją w łóżku. Wszystkie jej przyjęcia — z całą etykietą i całym tym jedzeniem, którego osobiście nie musiała przygotowywać — były wciąż tak samo nieciekawe. Rozmowy ograniczały się do sztuki i architektury, najnowszych przedstawień teatralnych — oni nie czytali książek. Czowała się jak część zastawy lub jak srebrny widelczyk, dekoracyjny, funkcjonalny, bezwładny. Na przyjęciach, na które byli zapraszani (ku udręce Rupe-rta), było to samo. Jej lustro mówiło, że wygląda dobrze, ale zapraszana płeć piękna była od niej o wiele starsza, zde gustowana — kobiety bez smaku: albo ascetycznie

chude, albo nad wyraz tęgie, szalenie światowe i strasznie uprzejme. Raz wypła zbyt dużo, tylko po to, by zobaczyć, co z tego wyniknie. Zsunęła sukienkę z jednego ramienia i jawnie flirtowała z szefem kompanii — zbliżał się chyba do pięćdziesiątki, stały klient Van Leera, który wydawał się być zarówno podniecony, jak i zaszokowany jej osobą. Napełniła pantofle szampanem i próbowała wznieść toast, ale szampan wyciekł przez nosek zalewając jego garnitur, a Nicky skręcała się ze śmiechu. Rupert od razu zapakował ją do taksówki i zawiózł do domu. W sypialni czekała, by ją uderzył, zwyzywał, zdarł z niej sukienkę — trochę ze strachem, trochę prowokująco, czuła, że w tym stanie wreszcie go zdobędzie, przedrze- się w ten dziwaczny sposób przez jego fasadowość, dotknie jego duszy. Lecz on rzucił jej tylko zdegustowane spojrzenie — gniew i chłód.

— Idź do łóżka — powiedział. — A na przyszłość bądź trzeźwa.

Tej nocy spała sama, nikt jej nie nagabywał. Wcale nie lepiej było w Churston. Cały dzień upływał jej na czytaniu i wydawaniu poleceń służbie, a nocami ten stary dom był pełen pełzających przeciągów, które snuły się za nią, obejmowały jej kark lodowatymi palcami; pełen cichych trzasków wspaniałej boazerii, skrzypienia schodów. Jej wyobraźnia działała: ona jako książkowa bohaterka — w stylu sióstr Brónte — którą mąż zamyka w gotyckim zamczysku i izoluje od prawdziwego świata — aż do samej śmierci. Nie było to ani przyjemne, ani ciekawe.

Rupert, odziany w ciemności domowe, stawał się monstrualnie wielki, jego humorzasta ponurość jeszcze bardziej ponura. Jednak gdy była sama, nienawidziła tego miejsca jeszcze bardziej. Pani Skerrit — Nicky nazywała ciotkę Grizzle panią Skerrit — nie mogła służyć za towarzystwo: zamykano ją w pokoju na górze, by w ten sposób ustrzec od niepożądanych wędrowek — czasami słyhać było, jak

wali do drzwi i wrzeszczy. Lekarz twierdził, że nie jest niebezpieczna dla otoczenia, lecz tylko trochę zachwiana w swej równowadze psychicznej i niekomunikatywna. Nicky nie dawała temu wiary. Raz zniesiono ją na dół na herbatę i od razu niemal wpędziła Nicky do grobu, gdy wyrwała jej kilka włosów, mówiąc przy tym: „Farbowane”. Na szczęście nie było przy tym Ruperta. Po tym zajściu Nicky poprosiła pielęgniarkę, aby pani Skerrit jadła wszystkie posiłki w swoim pokoju.

Pewnego popołudnia poszła obejrzeć Dom Stallibrassa. Jej zainteresowanie pracą Ruperta było ograniczone: bardziej koncentrowała się na tym, co otaczało jego geniusz, niż na samym geniuszu — ale słyszała, że mówiono o tej budowli jak o pierwszym znaczącym jego dziele; a poza tym cóż miała innego do roboty? — Jakże można nazywać to domem — huczała gosposia. — Jak można żyć w szkle? Jak pomidor w cieplarni!

— Któż tam mieszka? — zapytała Nicky.

— Nikt — przynajmniej teraz. Mieszkał tam pan Joe — dla którego ten dom był zbudowany — ale on zmarł, dwa lata temu. Jego syn. — on powinien tam mieszkać, on powinien tego doglądać, ale pokłócił się ze starszym panem. Wdowa po panu jest wciąż właścicielką, ale ona rzadko tu bywa. Mieszka z jedną ze swoich córek, gdzieś na północy. Kłótnia ojca z synem — zapatrywania polityczne (podobno został komunistą) — wszyscy młodzi mężczyźni w jego wieku sięgają do polityki, ale pan Joe nie zajmował się polityką. Mimo to bez przerwy się kłócili. Pan Joe zmarł. To była jego własna wina, jeśli mam być szczerą. Stary zrzęda. — Po kilku minutach zaczęła od nowa: — Syn — Andrzej, Antoni, tak jakoś — był chłopcem jednej z dziewcząt. Diany — tej ładnej. Miała pani włosy. — Wyobraźnia Nicky działała; była przewrażliwiona na punkcie swoich włosów. — Mówią, że się zaręczyli.

— Co się stało? — spytała zaintrygowana Nicky.

— Ona umarła. Wspinała się po ścianie domu do jego okna — po jakiejś prywatce — śmiem twierdzić, że miała nieco w czubie. Romeo i Julia, tylko inny koniec. Oto skutki równouprawnienia. Wtedy go tam nie było — podobno. Wszystkie gazety o tym trąbiły.

— Tak — powiedziała Nicky. — Teraz sobie przypominam. — Nigdy o tym nie zapomniała. — A więc zaręczyli się, a potem ona umarła. Tak to było?

— Tak właśnie słyszałam.

Myślała o tej rozmowie, gdy podeszły pod bramę Domu Stallibrasa. Była zamknięta. Niewiele można było przez nią dojrzeć — droga podjazdowa ginęła w krzewach i oślepiającym blasku tafli szklanych. Nicky sobie przypominała, że gosposia napomknęła coś na temat wspaniałego widoku roztaczającego się ze wzgórza. Nicky, podobnie jak Elsa, gdy była jeszcze dzieckiem, podreptała wąską ścieżyną, która doprowadziła ją do punktu, z którego swobodnie mogła obserwować dom. Nie zniszczył go ani upływ czasu, ani pogoda; natura trzymała się od niego z daleka. Stał samotnie, na uboczu, kawałek rzeźby — ze wszystkich stron okna, fragment kosmicznego miasta, które się rozpadło, odłamek jego trafił na ziemię, jak meteor pośród łagodnych południowych wzgórz, co wbił się, ugrzązł, pozostał nie zmieniony. Basen był suchy; nawet z tej odległości Nicky widziała, jak płożące się zielska i chwasty zaczynają obejmować tarasy. Ale dom — sam dom — wyglądał tak samo jak w dniu jego oddania — sztywny i jałowy. Pomyślała, że mógłby być, w pewnym sensie, obrazem jego duszy, lustrzanym odbiciem jego wnętrza — przeniesionego na szkło i kamień; ostre tam, gdzie powinno być płaskie — płaskie tam, gdzie powinno być ostre. Na próżno sięgała do jego wnętrza przez jego nieprzenikalną charyzmę, plątała się jak dziecko, które nie może sobie poradzić z układanką; przedzierała się przez sztywne, twarde powierzchnie i ostre brzegi, które ją raniły niweczając nadzieje.

Wpatrując się w dom pomyślała, że prawie go rozumie — nie jego uczucia, -lecz jego substancję, istotę jego natury. To jej nie pomogło. Plotki gospodyni zamąciły jej w głowie. On wybudował ten dom, pomyślała Nicky, a dom zabił jego córkę. Czy to fatum? Czyż Rupert chciał zabić swoją córkę — córkę, którą uwielbiał — gdyż pragnęła wyjść za męża i opuścić go? A może zabił ją ten chłopak, z powodów, jakich nikt nie zna — po prostu okrutny przejaw żądy — chłopak, który twierdził, że wtedy go tam nie było? Przez mgłę ujrzała piękną twarz z gazet. A Elsa? Co z Elszą? Jedna z relacji mówiła, że owego dnia była z siostrą. Czy Elsa zabiła swoją bliźniaczą siostrę? Gospodyni mówiła, że Elsa, jako małe dziecko, była gruba i brzydka. Brzydka siostra i śliczna — historia stara jak świat. A gdy umiera ta śliczna, wstrętna poczwara przeistacza się w cudnego motyla — tropikalną ćmę, z egzotycznym błyskiem w oku, wyrazistym i niedostrzegalnym zarazem, ulotnym. Tak naprawdę to Nicky. nigdy nie lubiła motyli i ciem.

To wszystko mrzonki, rzekła w duchu, pragnąc w to uwierzyć. Pod płaszczem monotonnej codzienności wyczuwała ' nieustanny dramat — lecz nie ten klasyczny dramat, o którym śniła, którego zawsze pragnęła, pełen sukcesów i romansów, zawsze z happy-endem. To było coś ciemnego i wstrętnego, gmatwanina wątków, których nie mogła rozwikłać, tu intryga, tam oszustwo — jakaś zasłona, której nie chciała zerwać, cień, w który nawet nie próbowała wejść. Przez chwilę zapragnęła, by Rupert ją kochał, Elsa polubiła, żeby wreszcie stała się taką, jaką udawała, że jest. Ale to nie miało sensu: scenariusz był już napisany. Elsa nienawidziła jej, ona nienawidziła Elsy. Po tym fatalnym obiedzie zrozumiała, że wpadła we własne sidła. Pomiedzy nią a Rupertem był gruby mur z betonu i szkła, szkła, które odbijało jej kłamstwa prosto w jej twarz, czyniąc ślepą na wszystko inne. — To tylko mrzonki — powiedziała na głos, gwałtow-

nie i z nieuzasadnionym gniewem. — Po prostu dom i nic więcej. .

Ale tego wieczoru, siedząc naprzeciw Ruperta przy obiedzie, widziała echo jego rzeźb i form w zarysie jego czaszki. Na jego twarzy nie było krzywizn i załamania, nie było delikatności; nawet jego usta rysowały się twardą linią, a oczy były twarde jak skała. Tak jakby był osobową manifestacją własnej sztuki; beton i metal wrastały w niego, stawały się jego częścią. Co było pierwsze, zastanawiała się głęboko, artysta czy jego sztuka? Czy Rupert stworzył Dom Stallibrassa, czy to Dom Stallibrassa wykreował jego? I to jest właśnie człowiek, którego poślubiłam, pomyślała. Na moment stanęła twarzą w twarz ze szczerą, ostrą prawdą. Straciła apetyt; odsunęła talerz na bok.

Rupert, jak zwykle, nie zauważył, — Widziałam dzisiaj Dom Stallibrassa — rzekła. Nagle zapragnęła, by zwrócił na nią uwagę.

— Co o nim sądzisz?

— Wydaje mi się... — Lękała się, że oczekuje jakiegoś fachowego, mądrego komentarza, ale ona nie miała w zana' drzu żadnych mądrych uwag, a to, co naprawdę myślała, nie nadawało się do powiedzenia. — To pierwsza rzecz, jaką zrobiłeś, czy tak? Ciekawi mnie, czym ona dla ciebie jest.

— Od tego czasu buduję lepiej. Gmach Technico jest bardziej ambitny; kościół św. Marii Magdaleny o wiele nowocześniejszy. Dom Stallibrassa był tylko wstępnym szkicem, próbą niepełnych możliwości w cegle i murarce. Pierwszy gorący pomysł, rozwijany później. Kiedy rysuję, zawsze wyrzucam pierwszy szkic.

— A jednak — zaryzykowała Nicky — jest prawdziwy. Budynek, nie szkic. To jednak musi być istotne dla ciebie.

Szczególny uśmiech pojawił się na twarzy Ruperta, uśmiech, który zamiast wykrzywić jego twarz, jego usta — wymodelował je.

— W pewnym sensie — odpowiedział. Następnej zimy Rupert zachorował na gripę. Jak większość ludzi, którzy rzadko chorują, był nieznośnym pacjentem — poszedł do pracy, gdy powinien był zostać w łóżku, i w rezultacie Michael Kovacs zawiózł go do mieszkania na Knightsbridge Road w gorączce, w krytycznym stanie. Nicky była przerażona, nie wiedziała, co począć — nie mogło jej się pomieścić w głowie, że Rupert może być tak słaby, tak bezbronny, tak bezwładny niczym kłoda drewna. Na szczęście Michael miał dość siły, by zanieść go do łóżka, i był na tyle przytomny, by wezwać lekarza. — Zaczekam z tobą — powiedział odkładając słuchawkę i kwitując jej roztrzepanie (*jak myślała*) obojętnym spojrzeniem.

— Dam sobie radę — zapewniała. Czuła się niepewnie w obecności Michaela.

— Zaczekam.

Przyszedł doktor, wyjął termometr i stetoskop — osłuchiwał Ruperta: płuca i serce. — Obawiam się, że jest poważnie chory — powiedział po wszystkim. — W tym roku grypa jest paskudna. Wciąż to samo: wilgotna zima, zbyt słaby mróz, by zabił zarazki, szwankowanie systemu immunologicznego. Proszę podawać mu dużo płynów, niech ma ciepło, nic więcej nie może pani zrobić. Grypa właśnie osiągnęła najcięższe stadium. On ma silny organizm: wyjdzie z tego. Jest tylko pewien problem: jego serce, ma nieregularną akcję serca. Nie wiem, czy ktoś go już badał. Powinien brać coś na to. Nie wiem, czy — spojrzał niepewnie na Nicky — nie było jakiejś choroby w przeszłości...

— Nigdy wcześniej nie widziałem go chorego — powiedział Michael — ale wiem, że po wojnie przeszedł ostre zapalenie gośćca stawowego. Był zwolniony z wojska.

— To właśnie może być tego powodem. Wezmę go na obserwację, gdy skończy się ta grypa proszę się nim

starannie opieknować. Tymczasem, młoda damo — odwrócił się plecami do Nicky wypisując receptę — dobrze będzie, jeśli pani mu to będzie podawać.

— On myśli, że jesteś córką Ruperta — powiedział Michael, złośliwie, z premedytacją.

Nicky uznała, że najlepiej odpowiedzieć milczeniem.

Michael poszedł po lekarstwo, a ona usiadła na krawędzi łóżka Ruperta jak prawdziwa, troskliwa żona.

Przyglądając mu się uważnie, po raz pierwszy zdała sobie sprawę z jego starości — był stary, widocznie stary, jego zdrowa dotąd skóra okryła się bladością; popękane naczynka krwionośne tworzyły pajęczynkę na wychudłych, mizernych policzkach; jego włosy, dotąd szpakowate — zszarzały. We śnie szczęka opadła, tak jak kiedyś szczęka Theo Montadora; szyja była siedliskiem zmarszczek, jego usta nie były już władcze, sztywne i sprężyste — były jedynie otworem, przez które wciągał z wielkim trudem powietrze.

Krótki lutowy dzień kończył się i nastawał wieczór — szary i ponury cień objął Ruperta; przez chwilę, sam na sam z chorym człowiekiem i własnymi burzliwymi myślami, Nicky miała wrażenie, że jego twarz nosi znamię śmierci. Nigdy nie myślała o śmierci Ruperta.

Podczas następnej wizyty zapytała lekarza: — Czy to niebezpieczne, ta nieregularna akcja serca? — Niekoniecznie. On jest w świetnej kondycji; nie ma powodu się martwić. Przepracował się, to jasne; wszystkie dynamiczne osobowości tak robią. I to nie jest dla nich tak groźne, jak pani myśli. Nic tak jak praca, której poświęcają tak wiele uwagi. No, czasami jest ktoś zupełnie wyczerpany — nagle opada z sił i umiera. On z pewnością dożyje setki i będzie nadal nie do zdarcia. Zobaczysz pani.

— Tak, ale — Nicky starała się zachować spokój — pan powiedział: niekoniecznie. To znaczy, jest pewien margines, jakaś możliwość — proszę powiedzieć mi prawdę. Co może się zdarzyć?

Lekarz rzekł prosto z mostu: — Zawał. Ale „może”, nie „musi” — zawały, ataki serca mogą przytrafić się każdemu. Życie jest hazardem. Kiedy osiągasz koniec swego życia — umierasz. W temczy inny sposób. Ale na razie zostajemy przy dotychczasowej terapii. — Powtórzył wyraźnie: — Proszę się nie martwić. To nic nie da, nic mu nie pomoże. Będzie zdrow jak ryba.

— Nie będę się martwić — rzekła Nicky.

Ta zima była ohydna, brejowata deszczowa zima, z grząskim gliniastym błotem na wsi i szarym błotem w mieście, ociekającymi mazią drzewami, ulicami trzeszczącymi piaskiem, po których hulał przenikliwy wiatr.

W Churston Grange wilgoć i chłód wpełzały z każdego kąta. Nicky opatulą się drogimi futrami, ale jej nie grzały. W Londynie pozamykała i utkała wszystkie okna, uciekła od rzeczywistości zatapiając się w tandetnych romansidłach, opychając się czekoladą, oglądając ulubione filmy, w kółko te same, na nowym video. Znowu marzyła o ucieczce lub o przygodzie miłosnej, lecz wiedziała, że dokądkolwiek ucieknie, to i tak Rupert ją znajdzie, z kimkolwiek się prześpi, to i tak Rupert się dowie. Jej farbowane włosy naznaczyły ją piętnem Kaina, a poprzez doświadczenie z Montadorem nauczyła się wystrzegać kobiecego rozumu. Gdy Rupert wracał do domu — mówił, ona — przytakiwała; w łóżku starał się używać jej ciała. On jest stary, powtarzała sobie w czasie bezsennych nocy słuchając jego charczącego oddechu, to nie było chrapanie — to było ciężkie sapanie olbrzymiego zwierza, które śpiąc wprawia w drzenie całą dżunglę. On jest stary. Pewnego dnia umrze. Być może niebawem; i oczywiście jej wyobraźnia wybiegała w przyszłość — (on musi mi coś zostawić. Być może zostawi mi wszystko) — widziała siebie bogatą i wolną, wciąż młodą, wciąż piękną, nareszcie mogącą być sobą. Będzie sobą. On jest stary. Pobożne życzenia. Umrze. Może mieć zawał. Ludzie miewają zawały. (Może żyć długie lata.) Na końcu swego życia umierasz. Bez

opieki. Nie chciała, by umarł, ale marzyła o jego śmierci, i to marzenie podniecało ją, rozgrzewało od wewnątrz, aż do wiosny, a potem nadeszło mokre, zielone lato. Lato '85. Rok międzynarodowych katastrof, tonących statków, wypadków samolotowych, rok osobistych i publicznych tragedii, rok powodzi, sztormów i trzęsień ziemi. Rok, z którego ktoś zażartował ponuro: „Szczęśliwy, kto przeżył”. Wtem pewnego dusznego czerwcowego dnia, w Londynie, zadzwieczał telefon i Nicky podniosła słuchawkę: znajomy głos.

— Spotkaj się ze mną w barze na rogu. U Angela. Za pięć minut.

Alex Fauvelle.

Powinna była być na niego zła, wiedziała o tym, ale gniew już dawno przeminął. Był jej kochankiem, ale nie jej miłością: między nimi nie było żadnych fałszywych obietnic, żadnych uprzejmości, żadnych długów wdzięczności. On był jej partnerem i on ją oszukał, to leżało w jego naturze — oszukiwanie. Realnie patrząc, zawsze to czuła. Powiedział: „Następnym razem zapamiętasz sobie, aby być ostrożniejsza”. I tak, to był ten następny raz. Będzie ostrożniejsza. Umalowała usta, skropiła się perfumami, wzięła torebkę i wyszła. Nie spieszyła się.

Spostrzegła go, jak tylko weszła do środka — siedział w najdalszym kącie baru, pijąc tanie czerwone wino. Wyglądał ponuro: z resztkami opalenizny sprzed trzech sezonów i głębokimi, małpimi zmarszczkami, włosy jeszcze bardziej niż zwykle opadały mu na szyję i prawie zasłaniały oczy. Na stole paczka papierosów, pudełko zapalek. Nie było zapalniczki. Wyglądał na typowego Francuza, odstawał od otoczenia — nawet w tak kosmopolitycznym Londynie — był jak papuga. Papuga, która straciła swoje jaskrawe upierzenie na skutek wyczerpującego, długiego lotu lub okrutnej niewoli w klatce. Otaczał go chłód — jego własny chłód, który od razu wyczuła.

Myślała: *Tai reussi*. Pod tym względem udało się jej. Poślubiła pieniądze i stanowisko, zamieniając tułaczkę na wspaniałe życie. Ciemności jej egzystencji rozwiały się: to już nie ta sama dziewczyna — i czuła podniecenie, przyjemne ciepło i dziką satysfakcję. Nawet cieszyła się, że go zobaczy.

Motywy ponownego spotkania była niewątpliwie jego samolubność, a może jakiś omen, ale w tym momencie było jej to zupełnie obojętne. Wspomnienia z Paryża wpłynęły na zmianę jej nastroju: dzisiaj widziała tamten czas jako jedno wielkie nieprzerwane party — kluby nocne, szampan, romanse i intrygi na ulicy Quinguem-poix. Czas złagodził jej obawy, tragedie stały się po prostu przeszkodami, które była w stanie (przeważnie) przezwyciężyć. I była bogata. Nostalgia wzięła górę. Usiadła naprzeciwko niego mówiąc: — Witaj.

Jego uśmiech był zwierciadłem jej uśmiechu. Ten znajomy, żywy uśmiech, trochę podniszczony zmarszczkami. To niesamowite, jak dobrze czuła się przy nim. Alex, przy którym nigdy nie musiała udawać.

— Słyszałem, że nieźle ci się powiodło.

— Tak. — Z dala od Ruperta pozwoliła sobie na odruch samozadowolenia. Podsunęła mu pierścionek na lewej ręce.

— Bardzo piękny — powiedział Alex z zachwytem. — Czy chcesz, bym go wycenił?

Roześmiał się, więc ona także. Jak łatwo śmiać się będąc przy nim. Jego zdrada skurczyła się nagle do przewinienia, stała się frywolnym grzeszkiem, nic nie znaczącym. Łatwo popełniony, łatwo wybaczony. Żart.

Zapytała: — A co u ciebie? — Wzruszył ramionami: — Ani dobrze, ani źle. — Wiedziała, że i tak nic więcej teraz nie powie. Może rzuci jakąś niejasną uwagę, ale później; jakieś imię, jakieś miejsce.

Zwykły posmak tajemniczości. Nagle zaciekawiło ją, czy siedział w więzieniu.

Upiła trochę wina — było ciepłe i cierpkie — i rozmawiali o paryskich przyjaciółkach, znajomościach, o starych czasach.

— Isabelle jest śliczną wdową — powiedział Alex. — Każdy mówi, że jest bardzo dzielna. Niełatwo powstrzymać się od zachwytu. Ślicznie jej w czerni.

— No cóż — wzruszyła ramionami Nicky. — A co z Eugene? Czy wciąż .go widzisz?

Lecz Alex odsunął na bok sprawę Eugene'a. Zmienił temat. — Podobają mi się te włosy — rzekł pociągając ją za rudozłoty loczek. — Przyjemne w dotyku. I ładnie ci w nich.

— Dziękuję.

— Przebiegła Nikki. — Uśmiech — niczym zdmuchnięty płomień świecy. — Włosy jego pierwszej żony miały taki sam kolor, prawda?

— Uhm.

— To był dobry pomysł. Dużo cię nauczyłem, nieprawda?

Nicky przyznała: — Wszystkiego. — Nie była pewna, czy to prawda. Zresztą mało ważne. Tęskniła za Paryżem, za wolnością, za starymi dobrymi czasami. Bez względu na to, jakie były...

Alex uszczyptał ją w policzek. Jego palce były jak węże, oplatające jej twarz. Wymamrotał: — Czy on jest także atrakcyjnym mężczyzną — Sir Rupert?"

— Charyzmatyczny — powiedziała dziwnym tonem.

— Dobry w łóżku?

Nicky wzruszyła ramionami naśladując jego gest.

— Jeśli nie masz ochoty, to nie mów lub...

— Wolę ci nie mówić. — Czekwała na dalsze pytania — lecz on nie pytał. Patrzył jej prosto w oczy, a ona zauważyła, że jego są zupełnie czarne — tęczówka i źrenice miały prawie identyczny kolor. W ogóle nie wyglądały jak prawdziwe oczy. Jakiś słaby błysk tonął w tej czerni.

Oczekiwała, że znowu, po przyjacielsku, wpakuje ją w jakąś kabałę: byliśmy współnikami — wzięłeś złoto, wymieniłeś na fałszywe, wiem o tobie aż za wiele, tylko on na razie nie wie. Lecz Alex nawet nie próbował pożyczyc

pieniędzy. W końcu, widząc jego wstyd, zaproponowała sama. Poczula się wyśmienicie wyjmując z portfela dziesięciofuntowy banknot, jakby znaczył dla niej tyle co świstek papieru. — Weź to — rzekła. — Jestem pewna, że ci się przyda. Dla mnie to tyle, co nic.

Zrobił dziwną minę, wziął pieniądze — jakby jakaś wyższa siła zmuszała go do tego. Nicky przypomniała sobie, że wszystkie kobiety w jego życiu zawsze dawały mu pieniądze. A może znowu coś namieszał? Rzekła: — Zadzwoń do ciebie, jeśli dasz mi swój numer...

Powiedział, że zatrzymał się u przyjaciela. A więc jego machlojki sięgały nawet do Londynu.

— Nie mam telefonu. — Pożegnalny uśmiezek rzucony przez ramię na odchodnym: — Zadzwoń do ciebie.

Zostawił jej nie zapłacony rachunek — to było do przewidzenia.

Tego wieczoru, po obiedzie, Rupertowi wydawało się, że Nicky jest ożywiona. Coś podejrzewał, jak to zwykł był czynić za każdym razem, gdy w zachowaniu Nicky odkrywał coś, czego nie dało się sprecyzować. Podczas swej nocy poślubnej zdał sobie sprawę z tego, że kobieta, którą poślubił, była mirażem; ale miał nadzieję, że jeśli zachowa dystans, nie będzie zadawał żadnych pytań, jeśli przymknie oczy — to ta wizja może przetrwać — jakiś czas. Podejrzewał, że pod tą szaleńczą istotą, która go opętała, tkwi prawdziwe ludzkie życie, ale jednocześnie każde takie podejrzenie kierowało jego uwagę na boczny tor. Czuł się jak człowiek z zawiązanymi oczami — błądził po omacku, czuł się oszukiwany. Kiedy był z nią, koncentrował się na jej twarzy. Mimo wszystko była to piękna twarz, raczej wyrafinowana, o mlecznobiałej karnacji i z olbrzymimi oczami, szarymi jak zimowy wieczór. I te włosy — no tak, zawsze podziwiał tycjanowskie włosy. Czasami wydawało mu się, że twarz Diany była daleka od wyrafinowania, a w jej szarych oczach — czy na pewno szarych — był

odcień orzechowy. Ale te myśli — jak wszystkie nie chciane myśli — odsuwał od siebie jak najdalej: to nie było trudne. Praca, jak zwykle, dominowała w jego życiu; małżeństwo i rodzina były na dalszym planie. Być może właśnie dlatego oceniał wszystko fałszywie, dlatego, że nie poświęcał nawet chwili uwagi tym, których najbardziej kochał — nigdy nie widział ich dokładnie, nigdy nie poznał ich uczuć — ani też nie zrozumiał swoich. Jego sfera emocjonalna zamykała się w wirze pogańskich instynktów, zwierzęcej pasji i wybiegów podświadomości, które rzadko widziały światło dzienne, nie były poddawane żadnej inteligentnej analizie i ludzkiej, cywilizowanej kontroli. Jego sztuka, pozbawiona emocji, ogniskowała się na czystej logice formy i funkcji, nie było w niej nic z jego ducha. Dawno, gdy był jeszcze młodym mężczyzną, w czasie tej koszarnej wojny, każdy moment wolny od strachu, każda potyczka ze śmiercią napełniały uczuciem jego serce. Lecz od tego czasu zamknął się w sobie, we własnej skorupie, a iluzja małżeństwa była następnym ogniwem, którego nie chciał przerwać. Mógł zauważyć niezwykle ożywienie Nicky, wolał jednak nie szukać jego przyczyn.

Gdy wyzdrowiał, rzucił się w wir pracy ze zdwojoną siłą, jakby coś przeczuwał. (Nicky też). Ale on był Van Leer: jak każdy wielki winien poczekać, aż nadejdzie jego czas, winien poczekać na swoją okazję — jeden jedyny raz. Na dodatek miał nowy projekt na desce: przestrzenny, porywający projekt dla koncernu przenoszącego się do Docklands. Już wyobrażał sobie olbrzymią konstrukcję z oknami błyszczącymi jaśniej niż gwiazdy na niebie, ostro zwieńczoną — wysoką jak Post Office Tower. Tą budowlą wryje się w chmury nad Londynem na zawsze. Nie miał czasu — nawet gdy miał ku temu pewne podstawy — martwić się o swoje małżeństwo. Albo o córkę.

Myślał o Elsie, czasami, gdy nie mógł się od tych myśli

opędzić. Późno w noc pojawiała się jej widmo, nachalne, natrętne, wypełzające z najciemniejszych zakątków jego umysłu, raniące go. Już dawno zapomniał (o ile w ogóle kiedyś wiedział), dlaczego jej nie lubił i co ona takiego złego zrobiła. To nie miało znaczenia. Jej twarz, w jego wyobraźni, była związana, nie wiadomo dlaczego, z jakimś nowo powstałym uczuciem — brzydka twarz, nienaturalnie zmieniona w piękną, której sztywny makijaż niczego nie tuszował, niczego nie dodawał. Twarz Nemesis. Pewnej nocy śnił, że wspina się na nie kończące się schody i nagle widzi krew spływającą mu pod nogi, pomiędzy stopniami. Widzi tę samą twarz. Twarz Elsy. Twarz jej matki. Wiele śnił o Dianie, galopującej na swoim kucyku, uciekającej od niego, a gdy ją wołał, odwracała głowę i to była jej siostra. W wielu snach czuł do Elsy to, co czuł kiedyś do Diany: sięgał, by ją pojąć, zamknąć w ramionach, wchłonąć swoim ciałem — i wtedy budził się, zawsze w gorączce unicestwionej żądz, która stopniowo wygasła przechodząc w rozpacz i wstręt do samego siebie. Alex zadzwonił do Nicky prawie tydzień później. Umówili się na lunch — ekstrawagancki lunch w restauracji w Soho, której ściany wyłożone były migdałami w cukrze, sufit z kryształu, a jedzenie podawano w miniaturowych porcyjkach. Kęs p \hat{a} te de foie, przezroczysty plasterek steku Diane. Kropla musu czekoladowego pod piramidką bitej śmietanki. Szampan pienił się w wąziutkich wysokich kieliszkach i — w głowie Nicky. Pomyślała sobie w duchu: jeśli nawet ktoś mnie zobaczy, to czyż nie mogę zjeść lunchu ze starym przyjacielem? Taki lunch to nie zbrodnia. — Wysoki Sądzie — wycedziła w czasie jedzenia — oskarżona o jedzenie lunchu w towarzystwie. Jak brzmi orzeczenie? — Winna — rzekł Alex.

— Winna — powtórzyła Nicky łykając bollingera.

— A więc — stwierdził Alex — boisz się go.

Nastało milczenie. Nicky słyszała musowanie szampana. Wewnątrz jej głowy bąbelki pękały. — Czasami — przyznała się w końcu. — On — on nie jest jak Theo. Theo wiedział o nas, ale był tylko... rozczarowany. Rupert... — zastanowiła się.

— Czy on cię kocha?

— Nie wiem. Lubi na mnie patrzeć. Kochał... osobę, którą mu przypominam.

— Jego pierwszą żonę.

Nicky skinęła. Pragnęła, by było to prawdą.

— Kłopoty małżeńskie — Ale po chwili podjął przerwany wątek — twój słaby punkt. Gdybyś była jego kochanką, moglibyśmy razem coś pokombinować. No wiesz... On jest dość stary, nie? Chyba nawet umrze. Może umrzeć — może mieć słabe serce albo, dajmy na to, chorą wątrobę. We Francji każdy ma chorą wątrobę. — Podniósł kieliszek szampana — przez szkło widziała uśmiezek rozplywający się w bąbelkach. — Możemy mu pomóc umrzeć. Co o tym myślisz?

— Nawet mnie nie zapytałeś — rzekła chłodno — czy go kocham.

— Jasne, że go nie kochasz. No — być może oszukiwałaś samą siebie. Ale teraz już nie. — Jego głos złagodniał, utonął w niebezpiecznej poufałości. — Kiedy leżysz z nim, Nikki, czy myślisz o mnie? Czyż nie jestem przy tobie — pomiędzy? Nie dwóch kochanków, lecz trzech... Pamiętasz, Nikki? Pamiętasz mnie w ciemności?

Już dawno zapomniała o tych kuszących słowach, ale nie przyznała się do tego. Łyżeczką wyskrobywała resztki musu czekoladowego. W sumie nie miała nic do powiedzenia. Jakże mogła mu powiedzieć o tym, że gdy ręce Ruperta zaciskają się na jej ciele, pragnie tylko tego, by nie stracił panowania nad sobą. Czy pewnego dnia nie wyjdzie z jego objęć połamana, bez tchu? Nie była to żadna

przyjemność, na jawie i we śnie. Ani krzty zmysłowej fantazji. Czy pamiętasz mnie w ciemności? Czy pamiętasz mnie przerażoną, w napięciu, wątpiącą? Czy pamiętasz o mnie w cierpieniu?

Istne piekło.

Powiedziała ugodowo: — Może.

Patrzył na nią bez cienia uśniechu, z dziwnym wyrazem twarzy — prawie namacalna ciekawość czy też pewnego rodzaju żal. Co on ci zrobił, Nikki? Jeśli nie zapomniałaś, dlaczego się nie śmiejesz?

Śmieję się ze mnie, *petite putain*. Tu as *reussi*. Dlaczego się nie śmiejesz? — Nie mam ochoty na śmiech — wyszeptała Nikki. Łzy napełniły jej oczy, niespodziewanie ściekając po policzkach.

Alex powiedział: — Myślę, że powinniśmy już pójść.

— Pójść — powtórzyła głucho. — Dokąd? — Do łóżka.

Już w domu, w łóżku, które dzieliła z Rupertem, Nicky przywarła do Alexa w spragnionej żądzy, topiąc go w pocałunkach gorących jak jego dotyk. Wślizgnął się w jej wilgotną miękkość, w wilgotną miękkość jej wnętrza i wili się razem w spazmach rozkoszy — jak węgorze w okresie tarła, przewalając się w pomiętej pościeli, nurzając we własnym pocie. Zasłonięte okno wprowadzało nastrój dusznego półmroku wypełnianego westchnieniami, pomrukami rozkoszy i szeptami — po francusku i po angielsku — szybkie oddechy, pojękiwania, zgrzyt i trzeszczenie sprężyn. Już po wszystkim, Alex zapalił papierosa.

— Ile czasu minęło? — zapytał z papierosem w ręce.

— Och, całe wieki.

Nie słyszeli odgłosu zamykanych drzwi frontowych. Rupert był w terenie i zapomniał swojego dyktafonu — wrócił po niego do domu. O niczym nie wiedzieli, zanim nie pojawił się w sypialni.

Nicky ujrzała jego twarz pochylającą się nad Alexem i zaczęła krzyczeć, ale było już za późno. Porwał krzesło — widziała, jak się zamachnął

— widziała, jak spadało na nich — usłyszała jęk Alexa niczym skowyt psa. Rupert rąbnął go od tyłu. Alex stoczył się z łóżka, ciągnąc za sobą prześcieradło — forma asekuracji, bezskuteczna zresztą — a Rupert walił go tym roztrzaskanym krzesłem. Alex skulił się na dywanie próbując odeprzeć atak. Wtedy Rupert podszedł do Nicky. W tym samym momencie przestała wrzeszczeć. Wyszepiała: — Nie... proszę, proszę — ale on nie słuchał. Skurczyła się jak embrion zasłaniając głowę rękami. Podniósł krzesło. Cios ranił jej rękę i zahaczył o oczodół: jakby coś trzasnęło w kręgosłupie. Następny cios rozerwał jej udo — z zadrapania lała się krew. Czekwała na trzeci, ale nigdy nie nastąpił. W chwili gdy Rupert zamachnął się krzesłem, całe jego ciało nagle zeszywniało — jego twarz wykrzywiała teraz nie tylko furia — runął jak kłoda, w zwolnionym tempie, wprost na łóżko. Nicky przysiadła obok gryząc palce. Alex zwłókł się wreszcie z podłogi. Łzy bólu toczyły mu się po policzkach. Wymamrotał: — Co jest? Co się dzieje? — Myślę, że nie żyje. — *Bördel de mer de!* Dlaczego wszyscy wokół "ciebie zawsze umierają? Sprawdź mu tętno. Może jest dobrze. On jest szalony — naprawdę szalony. Psychopata. Połamał mi chyba wszystkie żebra. Mógł nas zabić. Gdzie moje ubranie? — Nie mogę wyczuć tętna, Alex! — Nie płacz. Nie czas na to. Później będziesz płakać: będzie ładnie wyglądało. Muszę się stąd wynosić! — Wezwać pogotowie? — Nie! Aż wyjdę. Doprowadź się do porządku — sukienka — ukryj te zadrapania. Wywal to pieprzone krzesło. Wtedy zadzwoń. Na Boga, nie pozwól, by zobaczyli cię w takim stanie... Znacznie później, już w szpitalu, Nicky czekała, blada, jak płótno. Była w szoku. Siedziała, długo siedziała i cze-

kała. Ramię bolało ją, zadrapania na udzie piekły. Pielęgniarka podała jej herbatę i zdała relację. Miał atak serca, tak jej powiedzieli. To poważna sprawa. Ma sparaliżowaną prawą stronę. Gdy lekarz wyznał, że może z tego nie wyjść, jej ulga była tak wielka, że Nicky omal nie zemdląca. Pielęgniarka myślała, że to z wyczerpania, i podała jej jeszcze jedną herbatę, mocną i słodką.

— Taka pani miła — wymamrotała Nicky. — Czy on coś mówił?

— Obawiam się, że ośrodek mowy jest uszkodzony. Mogę sprawdzić — lecz niech pani nie liczy na wiele.

Nicky zaczerpnęła tchu. — Rozumiem. Dziękuję, że mi pani to powiedziała.

— Może go pani teraz zobaczyć — powiedział lekarz.

To był Michael — on przyniósł wiadomość Elsie.

Przez dobrą minutę stała zaskoczona, ślepo wpatrzona przed siebie, sztywna i milcząca. Potem rzekła z przekonaniem: — Ona to zrobiła. Ona to zrobiła...

— Miał kłopoty z sercem. Nieregularna akcja — delikatnie poinformował Michael. — O ile wiem, to właśnie zwiększa prawdopodobieństwo ataku, szczególnie na skutek stresu — zawsze pracował zbyt dużo. — Zdawał teraz relację jej, tak jak przedtem Nicky, po ataku grypy.

— To ona — upierała się Elsa. — Ona musiała to zrobić. Był zawsze taki silny. Wyzdrowieje.

Wyzdrowieje i wtedy... Wtedy ją porzuci. Będę się nim opiekowała...

— Bzdury — wybuchnął Michael, delikatność nie miała w tym wypadku sensu. — On jest w szpitalu: oni się nim opiekują. To ich obowiązek, ich praca. Skup się na sobie.

— A ty — szepnęła Elsa z oskarżeniem w głosie — kim ty się opiekujesz? Co to dla ciebie znaczy?

— Zajmę się jego pracą — odparł krótko Michael. — Co jeszcze?

— Chciałeś tego. — Rzuciła mu miazdzące spojrze-

nie. — Cieszysz się, że jest w szpitalu — chory — nieprzydatny. Przypuszczam, że chciałeś opanować sytuację. Co to było, co mi kiedyś powiedziałeś — o nienawiści wobec ludzi? Czy zawsze go nienawidziłeś? Czy zawsze nienawidziłeś mnie?

— Przestań. Przestań natychmiast. Nie będę kozłem ofiarnym twego ojca. Nigdy cię nie potępiał...

— Kłamiesz. Cały ten czas kłamałeś... Okłamywałeś jego, okłamywałeś mnie. Podlizywałeś się, knułeś, używałeś mnie przeciwko niemu. Czekałeś na okazję. Ty gnojku, parszywy, zdechły gnojku...

— okładała go pięściami. Złapał ją za ramiona, potrząsając jak kukielką. Bez skutku.

— Wynoś się! — krzyczała. — Ty szmato! Nie chcę cię już więcej widzieć! Wynoś się! Wynoś się! Wyszedł bez słowa.

W szpitalu usiadła przy łóżku, spoglądając na wrak swego ojca. Jego prawa ręka — ręka, która rysowała — leżała bezwładnie na kołdrze. Mogłaby tak leżeć zawsze. Jego rysy twarzy rozmyły się — nie były już ostre i wyraźne, lecz jakby rozsypywały się w nieładzie. Gęste włosy były zarówno twarde, jak i kruche; jego skóra jednocześnie blada i czerwona. Leżał w płataninie rur i kroplówek. Płyny fizjologiczne wsączały w niego, uryna skapywała. Czasami patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek, bez urazy, bez żadnego uczucia. On był jej ojcem i w jej marzeniach ją kochał. Lecz teraz już nie będzie marzeń, nie będzie nadziei — ani miłości, ani przebaczenia, ani dopełnienia, ani odkupienia. To już koniec.

„I jego dusza uleciała Jego ciało — zostało.”

To była prywatna separotka: pielęgniarki pozwoliły jej zostać. Aż do czasu, gdy go umyły. W korytarzu ujrzała Nicky. Przez kilka chwil nic nie mówiły: Elsa, gdyż zbyt

dużo czuła, Nicky — gdyż w ogóle nic nie czuła. Jedyne ostry, kłujący strach.

— To ty — rzekła Elsa. — Ty to zrobiłaś. Ty. Nicky potrząsnęła głową, ale w jej oczach była wina.

— Zabiorę ci go — ostrzegła Elsa. — Przysięgam. Jeśli przeżyje, będę się nim opiekować, jeśli umrze — wskreszę go. Na pewno jakoś go tobie zabiorę. Myślisz, że wygrałaś, ale mylisz się. Nie pozwolę ci go zniszczyć.

Drzwi otworzyły się; oddziałowa wysunęła głowę: — Panno Van Leer — pani Van Leer...

Elsa odwróciła się do wyjścia. — Przysięgam — powiedziała. Jej twarz była blada jak ściana, głos głuchy, grzęzący w gardle. Nicky widziała, że z trudem panuje nad sobą.

Gdy już odeszła, Nicky wsunęła się do pokoju i zatoneła w fotelu. Oparła głowę na rękach i gapiała się w podłogę, to znów w okno, to na kwiaty we flakonach, to na owoce. Wszędzie, byle nie na Ruperta. Wszędzie...

XI

— Ona nie może tego zrobić — powiedziała Elsa. — Ona nie może mi tego zrobić.

Pan Mayhew miał nieszczęśliwą minę. — Obawiam się, że może. Hm — przepaść między tobą a ojcem była — no wiesz, nie była jawna, ale wiedziano o niej, rozumiesz? — Elsa milczała.

— Ona twierdzi, że twoja obecność niepokoi go. To bardzo prawdopodobne.

— Prawdopodobne. Wspaniale. Chce mnie po prostu wygryźć. — Elsa machinalnie wzięła do ręki leżące na biurku pióro, zdjęła zakrętkę, po czym nasadziła ją z powrotem. — Nigdy go nie kochała. Tylko manipulowała nim.

Teraz to pan Mayhew zamilkł.

— Co z jej prawnikami? — Schnurrer, Greenbaum i McTawish. Tak. No cóż. Firma o znikomej reputacji — prywatnie oczywiście. Ale oni znają prawo. Ona jest jego żoną: ma swoje prawa. Zawsze możemy rościć pretensje, ale byłoby za wiele bałaganu. Mnóstwo wulgarnych domysłów. Prasa... — Zbladł na samą myśl.

Elsa rzekła: — Prasa mnie nie obchodzi.

— Oni odgrzebują brudy, wiesz...

Był wyjątkowo taktowny, wolał tego nie wyjaśniać.

— Prawnicy także. Każdy najdrobniejszy szczegół rozgrzebują. To będzie jeszcze gorsze.

— Nie dbam o to.

— A gdyby tak. zostawić to na jakiś czas, dać wszyst-

kim chwilę do namysłu? Może pani Van Leer zmieni decyzję. Na dłuższą metę — nie będzie to ładnie wyglądało, ten dystans między wami. Tak jakby coś ukrywała. Tylko w ten sposób najlepiej unikniesz publicznej konfrontacji. Później zobaczymy, może da się jej wyperswadować — przemówimy do jej lepszej strony — coś w tym rodzaju. Dyskretnie. Sama wiesz.

Elsa twardo obstawała przy swoim: — Ona nie ma lepszej strony.

Pan Mayhew nie komentował. Przypuszczalnie zgadzał się.

— Tam mu będzie dobrze — próbował tłumaczyć. — Churston to właśnie miejsce dla niego. Stała opieka, lekarz na każde zawołanie — jego przyjaciel z Harley Street, który zawsze gotów mu pomóc. Nie ma lepszego wyjścia.

— Czy pielęgniarka zamieszka w domu? — Jestem pewien, że nie. Pani Van Leer nie lubi służby mieszkającej w domu. Pielęgniarz — myślę, że to mężczyzna — zostanie oczywiście zawsze, jeśli będzie to potrzebne. No cóż, ludzie tego pokroju nie chcą instalować się na stałe. Czują się tym związani, skrepowani. To nie jest tak...

— ... jak być powinno — obcesowo dokończyła Elsa. Pan Mayhew był w stanie wybaczyć jej ten ostry ton.

Mimo wszystko była bardzo nieszczęśliwa. A poza tym znał ją od dziecka.

Wtedy Elsa zapytała: — A co z biurem? — Na razie — odparł Mayhew — partner junior[^]zajmie się wszystkim. Michael... Michael Kovacs.

— Znam Michaela Kovacsa — powiedziała Elsa.

W Churston Grange Rupert siedział już w wózku z poduszką pod głową. Prawa ręka wspierała się na oparciu — jakby sam ją tam umieścił; palce bezwładnie zwisały w dół, jak serdelki. Próbował coś pisać lewą ręką, lecz Nicky zabrała mu kartkę. — Czuje się sfrustrowany,

kiedy czegoś nie może zrobić — wyjaśniła — a to doprowadza go do rozpacz. Myślę, że najlepiej będzie, jak w ogóle nie zacznie próbować. — Pielęgniarski, młody Pakistańczyk, o sarnich oczach, był wprost zafascynowany czarem Nicky i jej bohaterskim poświęceniem, skrupulatnie wypełniał jej polecenia. Rupert, z szaleńczym wysiłkiem, próbował wydusić z siebie bezkształtne dźwięki, które w żaden sposób nie układały się w słowa.

— Rozumiem, co on mówi — twierdziła Nicky — prawie zawsze wiem, o co mu chodzi. — Pielęgniarski jej wierzył. Po kilku tygodniach pozbyła się już obaw, że Rupert może odzyskać zdolność mowy. Ale niepokoiła się instynktownie, że jeśli Elsa otrzyma pozwolenie na odwiedziny, to ona może go zrozumieć — pomimo ich wszystkich konfliktów może istnieć między nimi jakaś rodzinna telepatia, mowa bez słów, bez głosu — porozumienie krwi. Wiedziała, że to niebezpieczne — wiedziała, że to wywołuje podejrzenia, lecz wolała trzymać Elbę z daleka. Bała się swojej pasierbicy od tamtego dnia w szpitalu: nie tego, czego może się dowiedzieć, ale samej Elsy, córki Ruperta, obciążonej dziedzicznie niekontrolowanymi wybuchami pasji swego ojca. Czuła się przytłumiona, przeciążona tysiącem drobnych lęków, natłokiem nieznanego. Jedynie podczas nieobecności Elsy mogła się odprężyć.

— Zapewnię mu wszystko — obiecywała sobie. — Dam z siebie wszystko. Wiadomo przecież, że nigdy nie kochał swojej pięknej córki. Alex zasugerował Nicky adwokatów; prawnicy powiedzieli jej, co ma robić. I teraz była bezpieczna. Choć na troszkę.

Churston Grange stał się siedliskiem chorób. Na górze pani Skerrit waliła w ściany swego azylu lub wpatrywała się w pustkę resztkami swojej świadomości. Na dole Rupert siedział uwięziony przez własne ciało, jego wózek turlał się skrzypiąc po pokoju, popychany przez pielęgniarskiego. Dobrze opłacani służący wypełniali swoje obowiąz-

ki, zaspokajali potrzeby swoich państwa: Ruperta —pielegniarz, pani Skerrit — opiekunka, gosposia, ogrodnik, sprzątaczkę. Pośród tego wszystkiego była Nicky, królewna w królestwie inwalidów. Po raz pierwszy w życiu była panią — szefem. Służba odpowiadała na jej pytania; ona — nie odpowiadała nikomu. Wydawała rozkazy i prowadziła konsultacje, siadała przy Rupercie — obrazek wyreżyserowanej troskliwości — gładziła jego brwi, trzymając go za bezwładną rękę (nie dotykała tej sprawnej w obawie, że może ją od siebie odepchnąć), kupiła kolorowe piżamy dla Ruperta, puszczała ciekawe filmy na video, kazała pielęgniarzowi czytać mu najnowsze książki. Czasami spoglądała na swe odbicie w lustrze — było jej całkiem obce. Czerwony odcień jej włosów (nigdy się do niego nie przyzwyczaiła), kredowa bladość twarzy, inna figura, nowo nabyta pewność siebie. Teraz była jak prawdziwa gospodyni, chatelaine, nie Isabelle Montador, lecz wszechmocny władca we własnym dominium, ze wspaniałym zdrowiem wśród chorób, nieskończoną młodością wśród starców, sukcesem nowoczesności wśród gotyckiego rozkładu. Pakistański młodzieniec ją podziwiał, reszta służby szanowała ją przez grzeczność, Rupert i pani Skerrit byli zdani na jej łaskę. Stopniowo jej śmiałość rosła i zaczęło ją to bawić. Gdy tylko miała ochotę, mogła skoczyć do Londynu; po raz pierwszy zaznała bycia aniołem stróżem. Było to nowe doświadczenie. Pracowała pilnie na swój nowy image — siedząc u boku Ruperta, pełna poświęcenia, a i jej cierpliwość w stosunku do pani Skerrit była coraz większa. Gospodyni mówiła: „Cudowne maleństwo, cóż to dla niej za życie pośród zniedołęż-niałych ludzi. Jest taka delikatna, a jednak rzadko kiedy uskarża się, że jest zmęczona albo ma wszystkiego dość”. Nicky, podsłuchawszy to niby przypadkowo, znalazła rozwiązanie, by zawsze wyglądać na delikatną i nie uskarżać się na zmęczenie i cały ten krzyż pański. Kupiła całą furę czarnych ciuchów, by podkreślić tym swoją powagę

i bladość, próbowała unikać — w końcu była na wsi — głębokich dekoltów i obcisłych spódniczek. Miała swoich przeciwników, i owszem, ale w większości ludzie byli jej życzliwi. Jeden z kobiecych magazynów zamieścił z nią wywiad — była niczym bohaterka Florence Nightingale. A w nocy — w nocy, gdy zostawała sama z kalekim mężczyzną i ułomną kobietą — całe królestwo należało do niej. Pielęgniarski Rupert, Geoffrey Patel, zwykle wychodził ostatni, koło dziewiątej. Nicky miała tylko podać pani Skerrit pigułkę, zamknąć jej drzwi na klucz, przygotować lekarstwa Ruperta — proste czynności, które pozwalały jej czuć się prawdziwą opiekunką. Potem mogła iść do swego pokoju (od ataku Ruperta przeniosła się do dawnej sypialni Diany), zrzucić te ponure ciuchy i wskoczyć w wygodny podkoszulek i dżinsy lub wślizgnąć się w jedwabne koronki. Na dole robiła sobie drinka i jadła kolację, którą przygotowała dla niej gospoia. Chwilami rozklejała się i nocne odgłosy domu ją straszły, lecz głos telewizora skutecznie przepędzał wszystkie strachy. Alex mógł przychodzić koło jedenastej. Warkot silnika jego motocykla rozchodził się głośnym echem — Nicky, tylko Nicky, rozpoznawała go zawsze. Mnóstwo chłopaków z okolicy miało swoje motory. Alex z upojeniem częstował się whisky Ruperta, opierał stopy na jego stole, otaczał ramieniem jego żonę.

— Mogę ci tu znaleźć pracę — zaproponowała Nicky. — Może szofer. Nie mam szofera.

— *Quelle merde* — zaśmiał się mrużąc oczy. — Nie chcę pracy. To zbyt ryzykowne. Wolę pozostać niedostrzegalny.

— Ale musisz być zmęczony jeżdżąc tutaj z Londynu.

— Nie zawsze jadę prosto z Londynu. — Jak zwykle, nic więcej nie powiedział. A ona nie pytała. Później uprawiali miłość — na sofie, oglądając video-porno, w łóżku Diany, w łóżku Elsy.

— Chcę cię przelecieć — wyszeptał pewnego razu — w każdym pokoju w tym domu. — Zaniósł ją do pokoju Ruperta, popatrzył na kamienną figurę. — On nie śpi? Widzi nas?

— Myślę, że tak.

Spod powiek Ruperta wymknęła się biała smużka; jego usta otworzyły się; zacharczało mu w gardle. Alex wsunął ręce pod bluzkę Nicky dotykając jej piersi. Obserwował Ruperta.

— Alex — nie... Przestań. Proszę, przestań.

Wyrwała się, opierając się trochę, jej podniecone brodawki sterczały przez obcisłą bawełnę. Zerwał z niej bluzkę, zaczął całować jej odsłonięte piersi. — Chcę, żeby widział... Chcę, żeby widział, co z tobą robię. — Ignorował jej stłumiony protest, jej niepewne próby, by go odepchnąć — szarpnął zamek, zdarł z niej dzinsy i bieliznę, pieścił ją językiem. Cały ten czas prawie nie odwracał wzroku od Ruperta. Jej dłonie szarpały jego włosy — ni to w obawie, ni to w pieszczocie. Czują, jak jego język ją kąsa, pożera: delikatnie wysysa z niej resztki oporu. Orgazm przychodził stopniowo, zatapiał ją w rozkoszy. Ciągnęła go za włosy, wpijała się w nie, jakby chcąc wyrwać je zupełnie — aż zaczął krzyczeć. Potem już nie patrzyła na łóżko.

— Tutaj — upierał się Alex. — Ty to lubisz, ja to lubię — myślę, że on także. Przynajmniej może sobie popatrzeć, skoro sam nie może tego zrobić. Teraz wrzucę cię do łóżka — do tego łóżka — gdzie będzie mógł ujrzeć...

— Nie! — Wciągnęła dzinsy uwalniając się od niego.

— Nikki! — Ale jej już nie było w pokoju. Znalazł ją na dole; nalewała sobie kielicha. — Nikki, no chodź. Fajnie się bawimy. Za późno na pruderię. Wracajmy...

— Nie — przełknęła alkohol. — Nie — nie. — Uspokuj się. Lubisz to, prawda? Tylko chciałem...

— Nie!

Nigdy nie mówiła „nie” w taki sposób. Przyjrzał się jej

uważnie i wzruszył ramionami. — Jak nie, to nie. Czasami zastanawiam się, po co ja tu przychodzę.

— Ja także — prychnęła Nicky.

Zmienił taktykę: — To nagłe przeżycie dla starego człowieka... Ten szok mógł go zabić, myślałaś o tym? Gdy znalazł nas w łóżku, dostał ataku; gdyby podzielił je z nami, to mogłoby go wykończyć. A więc — tu uczynił patetyczny gest — wtedy wszystko byłoby twoje.

Nicky rzekła stanowczo: — Nie chcę, żeby umarł.

Jakiś czas potem zapytał od niechcienia o lekarstwa Ruperta.

— Digoxin, digoxin. Coś na serce. — rzekła wymijająco Nicky. — Takie sobie prochy.

— Wciąż to samo — zachnął się Alex. — Słyszałem

O nich. Muszę sprawdzić...

Każdego ranka ulatniał się przed przybyciem służby — tylnymi drzwiami. Raz zasnął — pielęgniarz, opiekunka i gospodyni byli już w domu, przeczekał sprzątaczkę. Potem zszedł po dzikim winie pod oknem Nicky skręcając się ze śmiechu, podczas gdy ona umierała ze strachu. Wyciągnął motocykl z kryjówki w krzakach i puścił się pędem na swym rumaku — nie mogła zrozumieć jego nierozważnego zachowania.

Zostawał u niej na noc dwa lub trzy razy w tygodniu

i chociaż cierpiała z powodu jego nieobecności, zdecydowała — po zejściu w pokoju Ruperta — że szczęśliwie się stało, iż odmówił przyjęcia pracy u niej. Gdyby się zgodził, nie miałyby wyjścia. A tak wciąż się oszukiwała, że może kazać mu odejść, jeśli tego naprawdę zechce. Martwiło ją nieco, że tak szybko odzyskał panowanie nad nią, wdzierając się w jej życie na siłę, biorąc nad nią górę. Uczucia, którymi go darzyła — to była mieszanka zaufania i podejrzliwości, kumpelstwa i wrogości. Budził w niej zarówno odrazę, jak i pożądanie, nie wiedziała, co mu strzeli do głowy, ale była spokojna, że on z nią jest. Zawsze był po

jej strome, nawet gdy się nie wiodło. Bratnie dusze. Mimo wszystko, upewniała siebie samą, tym razem on może tylko doradzać, a nie zmuszać. Tym razem o n a była górą. Albo tak jej się wydawało. We wrześniu 1986 Elsa miała pierwszą samodzielną wystawę w Londynie. Od powrotu ze Stanów brała udział w trzech wspólnych pokazach, ale tym razem to było już na inną skalę, wyczyn pełen ambicji. Krytycy byli zainteresowani, choć niezbyt zachwyceni. Najłagodniej określono wystawę: „Miss Van Leer właśnie odkryła siebie”, podczas gdy inni zarzucali „brak koncepcji”.. Wyjątkowo złośliwy krytyk widział w niej osobę „przymierzającą różne style artystyczne, jak kobieta ciuchy w sklepie z konfekcją”. Elsa prawie wcale nie zwracała na to uwagi. Świat sztuki albo podziwiał, albo był złośliwy; kolekcjonerzy nazwisk i zwolennicy nowej fali narzucający modę kupowali najlepsze prace (ale też i te najgorsze); przyjaciele zaś mówili jej, że przeciera szlaki. Był to pewnego rodzaju sukces. Jakieś dwa tygodnie po otwarciu zjawiała się na miejscu, oceniała prace wprawnym okiem, zastanawiając się, czy naprawdę jest dobra. Było wczesne popołudnie w galerii prawie pusto. Tylko jedna osoba stała, odwrócona plecami — studiowała główny eksponat. Młody człowiek. Rzeźbę tworzyły bliżej nieokreślone plastikowe twory, układające się w coś w rodzaju nagiej kobiety z metalowymi trzpieniami dźgającymi jej wstydlive miejsca. Tytuł: „Drugie Nadejście”. Młody mężczyzna miał około sześciu stóp wysokości, był szczupły, czarna, kędzierzawa czupryna zaczesana niedbale, panterka pozostałość mody z lat siedemdziesiątych, wytarte drelichy. Nawet z tyłu było widać, że porusza się z gracją, jak tancerz. Jej sztuka pochłonięła go zupełnie. I po chwili obszedł eksponat dookoła, oglądając go z każdej strony. Ujrzała jego profil: prosty nos, mocno zarysowana żuch-

wa, wyraźne kości policzkowe. Coś sobie przypominała, stopniowo, niczym dawny film. Stał sztywno, jakby wrósł w ziemię.

Elsa podeszła, zatrzymując się naprzeciw. Jej obcasy zastukały po posadzce. Spojrzał w jej kierunku. Powiedziała: — Witaj!

Upłynęło kilka dobrych sekund, zanim zorientował się, kim ona jest.

— Elspeth...?

— Anthony!

Początkowo myślała, że jest piękny; potem doszła do wniosku, że nie jest już tak piękny, jak przedtem, ale za to o wiele atrakcyjniejszy. Załamania wokół jego ust nie pochodziły od śmiechu — lecz z dumy, determinacji i ciągłego wydymania warg. Jego łagodne oczy były teraz zdecydowanie twardsze, dzikość cygańskiego chłopca zamieniła się w powściągliwość pustelnika i lekką arogancję — świadomy wybór. Jego strój nie miał żadnego znaczenia — nie dbał o niego; to było wprost nie do pomyślenia — Anthony w garniturze z najlepszej kolekcji, z jedwabnym krawatem na szyi — w ogóle z krawatem. Nawet nie zauważał, czy koszula, którą właśnie ma na sobie, jest z delikatnej bawełny, czy ze zgrzebnego płótna. Mając kilkanaście lat posiadał swój image — image swego pokolenia — ale widocznie zapomniał go uaktualnić, przenieść w obecne realia, a ten przez lata wytarł się, jak jego spodnie, zostawiając w nim jedynie prawdziwego mężczyznę. Albo tylko tak się Elsie wydawało. Prawda jednak była taka, że na jego widok serce zabiło jej mocniej.

Jeśli chodzi o Anthony'ego, to pamiętał ją tylko z niewyraźnej fotografii zamieszczonej w magazynie z dziedziny sztuki. Jedynie jej usta były podobne — te, które pamiętał, wyrzeźbione w ponurej twarzy, prawie wiecznie bladej. Teraz ponurość przeistoczyła się w pewien rodzaj nadąsanej zmarzliny — odcinającej się kolorem ostrej miedzi od pastelowego makijażu, podobnie jak cienie na śniegu.

Ujrzał jej posturę — doskonałość kształtów, delikatność nimfy, włosy koloru czerwonego wina.

Powiedział: — Ślicznie wyglądasz.

Ty także, pomyślała Elsa. Wzięła się w garść. — Czy wiedziałeś, że to moja wystawa?

— Gdzieś o niej czytałem. — Pauza. — Teraz mówisz na siebie Elsa? — Nigdy nie znosiłam Elspeth.

Imię starej panny...

Anthony rzekł: — Mnie się podobało.

Równie dobrze mógł powiedzieć: — Podobałaś mi się. Gruba, bezkształtna Elspeth, nie chciane dziecko. Przypomniała sobie teraz, z bólem serca, jaki on zawsze był miły.

Powiedziała: — Być może...

Powiedział: — Być może...

Obydwoje zawahali się, obydwójce wybuchnęli śmiechem. Śmiech udobruchał go, pozbawiając jego twarz tej nowej sztywności i ostrości. Rzekł: — Musimy koniecznie pogadać.

Elsa mogła jedynie przytaknąć.

Przez następne tygodnie spotykali się coraz częściej. Fundował spaghetti w tanich restauracjach; chociaż był splukany, nie lubił, jak płaciła; albo przegadali pół nocy w jakiejś spelunie. Dyskutowali — zanieczyszczenie środowiska, rozbrojenie nuklearne, rasizm, seks, marksizm — tematy, których Elsa nigdy nie tykała, powtarzała jedynie zasłyszane slogany. Anthony zaś dobrze się na tym znał, miał swoje sądy i opinie, swoje zamiłowania. Twierdził, że slogan osiągnięcia dobrobytu pracą jest dobry jedynie dla zachłannych i chciwych samolubów, że ludzie powinni pracować dla siebie, dla dobra wszystkich. W doskonałym społeczeństwie nie będzie ani biednych, ani bogatych: każdy będzie miał wystarczająco dużo. Ale to była utopia — coś, w co można było wierzyć, czego można było pragnąć, ale nie można tego było wydrzeć — ze względu na opornych i ignorantów — siłą.

Przerastał surowość doktryn komunizmu: uważał, że rewolucja oparta na przemocy prowadzi tylko do przemo-

cy, zniszczenie może jedynie niszczyć. Ważną rzeczą są starania każdej jednostki, dążenie do celu najlepiej, jak się tylko potrafi, bez względu na jego wymiar. W końcu, jeśli każdy będzie się starał, bez względu na to, czy mu się uda, czy też się załamie — wtedy coś się zmieni. Gdy mówił, widziała w jego twarzy cień rozczarowania, niedowierzanie, ale też upór, nieustępliwość, odwagę. Jego ideały były teraz bliższe praktyki, codziennej rzeczywistości. Był to wewnętrzny ogień, który spalił dużo z jego subtelności — lecz ów płomień rozniecał go na nowo, czyniąc jeszcze bardziej przystojnym. Jeśli posiadał czar, to był on jedyny, niepowtarzalny. Opętany swoją prawością, błądził w innym świecie w świecie upadających własności, w świecie, w którym tragedie kurczyły się do drobnych niepowodzeń. Tak jak kiedyś z Michaeliem, poczuła się ograniczona swoimi przywilejami. Lecz historia Michaela kończyła się standardowym happy-endem. Z dna na szczyty. Anthony odrzucał przywileje, zdecydowanie optował za niedostatkiem. W głębi serca wiedziała, że sama nie mogłaby tego zrobić. Ale mogła posłuchać, podziwiać — zakochać się.

Ojciec wydziedziczył go, gdy związał się z komunistami, a potem, mimo usilnych próśb matki i sióstr, nie próbował tego naprawić.

— Przypuszczam — rzekła powoli Elsa — że mógłbyś spokojnie powiedzieć, iż to mój ojciec wydziedziczył mnie. Miałam wypłacane pieniądze, a on to wstrzymał. I szczerze wątpię, czy to się zmieni.

— Co go do tego skłoniło?

— Założyłam diamenty mojej matki. — Jak to absurdalnie brzmiało. Teraz były w banku, zamknięte; nigdy już nie będzie mogła ich włożyć.

Powiedziała: — On mnie nie lubił. Wiesz o tym.

— Tak. — Porzuciwszy na chwilę swoje zasady, Anthony był zamyślony, jakby się martwił. — To zawsze smuciło Dianę. Była jego ulubienicą. Głupiec: jesteś od niej o wiele inteligentniejsza. I o wiele piękniejsza.

— Wciąż ci jej brakuje?

— Nie tak często. — Był prawie skruszony. — Nie mam na to czasu. Myślę o niej chwilami: o jej śmiechu, jej żywiołowości — jakie to było łatwe. Wszystko minęło. Przygnębiają mnie te wspomnienia. Ale to było ponad dziesięć lat temu. Trochę wyblakły.

Elsa powiedziała: — Brakuje mi jej.

W nocy, gdy byli w łóżku, w wyobraźni widziała Dianę — przyglądającą się im, nawet zadowoloną. Bliźniacy dzielą się wszystkim. Zachowanie Anthony'ego było rozmyślnie, był delikatny raczej niż gwałtowny, jakże inny od grabieżczego Michaela. Niewątpliwie, rezerwował pasję dla swej polityki; uprawiając seks, robił to z uczuciem, powoli osiągał przyjemność — wciąż wrażliwy i opanowany. Gdy było po wszystkim, zapadł w słodki sen — jak niemowlę; jego ramiona oplecione wokół niej, jego głowa na jej piersiach. Jej marzenie stało się jawą. Błoga drzemka, boskie ukojenie, bała się stracić najmniejszy moment swego szczęścia.

Pewnego dnia zabrał ją do centrum rehabilitacji narkomanów — pracował tam. Dwóch szczeniaków malowało świetlicę według własnej inwencji; spod papierów wзираły mocno zniszczone meble. Nie dokończona ściana miała kolor musztardowy, tu i ówdzie wilgotne plamy farby, wszędzie stęchły zapach, nawet rozpuszczalnik go nie zabił. Dziewczyna — Metyska o świetlistych oczach i ciemnej twarzy zaparzyła kawę. Anthony przedstawił ją jako współpracowniczkę — Cathleen Mirza. Nastrój był przyjemny, nawet serdeczny, ale Elsie to wszystko wydawało się niesamowite — niesamowicie obskurne. Najgorsze przypadki, wyjaśnił jej Anthony, były na górze, pod kontrolą lekarzy. Mieli czternaście łóżek, zbyt mało całodobowej obsługi, i oczywiście cierpieli na chroniczny brak pieniędzy. Elsa pamiętała klinikę, w której leżała jako nastolatka — zapytała nieśmiało, skąd biorą fundusze.

— Wszystko to prywatne datki. Dobroczynność. Mamy dotacje rządowe — kropla w morzu — lecz i tak mogę twierdzić, że nas wspierają. Ledwo wystarcza na opłatę za prąd. Większość klinik jest płatna, lecz nasi pacjenci nie wywodzą się bynajmniej z bogatych sfer. Nie stać ich na zapłatę. Dodał: — Leczenie jest wciąż luksusem bogaczy.

Byłam urzywilejowaną pacjentką chorą na anoreksję, pomyślała Elsa. Powiedziała: — Wystawię ci czek.

Pogoda zniknęła z twarzy Anthony'ego; powiedział uprzejmie: — Nie przyprowadziłem cię tu po to, by wyłudzić pieniądze.

Nieważne. I tak wypiszę.

— Nie. Mówiłaś mi, że ojciec wstrzymał ci pensję. A poza tym, nie wmówisz mi, że twoje rzeźby są aż tak dochodowe.

— Mam pieniądze od babki. Proszę. Anthony — ja muszę coś zrobić.

— W porządku. Lecz nie teraz. Później.

Przy herbacie, gdy wypisywała czek, zapytał niespodziewanie: — Widujesz ojca? — Nie.

Pokłóciliśmy się, dlatego nie wypłaca mi pensji. A od jego ataku nie wolno mi...

— Atak? Nigdy mi nie mówiłaś, że miał atak.

Nie chciała opowiadać mu o Rupercie. Przede wszystkim nie chciała mówić o Nicky. Lecz wyglądał na zainteresowanego, zaniepokojonego, zaangażowanego. Pewnie kiedyś wszystko mu wyjaśni.

Nicky siedziała w salonie, gdy gosposia zaanonsowała: — Pan Stallibrass do pani. — Zerwała się na równe nogi wciskając Jackie Collins pod poduszkę. W historycznych powieściach, pomyślała zirytowana, lokaj zawsze mógł powiedzieć, że cię nie ma w domu, lub szybko mogłaś przygotować się do wizyty. Stallibrass... ten znany milioner. Zmarły dwa lata temu. Kto u diabła?

To była chwilka, zanim zdała sobie sprawę, kto to rzeczywiście jest. Narzeczony Diany, Andrew czy Antho-

ny — oryginał zdjęcia prasowego, którego nigdy nie zapomniała. Romeo, nieobecny w czasie, gdy jego Julia próbuje wdrapać się do niego po dzikim winie. Zarys kości policzkowych — wprost z dramatycznej sceny — wręcz idealny. Odruchowo chciała spojrzeć w lustro — poprawić makijaż, przeczesać włosy. Odrzuciła swe bujne loki siląc się na uśmiech.

— Wybacz, nie spodziewałam się ciebie. Właśnie...

— Czy ci przeszkodziłem? — Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie jego spojrzenie. — Spałaś?

Nicky pamiętała, że nigdy nie może być ani zmęczona, ani niezadowolona.

— Och, nie... Po prostu zadumałam się. Proszę, proszę usiąść, Jesteś synem Joe Stallibrassa, prawda? Obawiam się, że...

Teraz to Anthony czuł się zbity z tropu. Ale doświadczenie życiowe nauczyło go pewności siebie. — To trudna sprawa — zaczął wpadając jej w słowo. Zapadła cisza. Uśmiechnął się do Nicky, a ona uśmiechnęła się do niego. Nagle wypalił ni w pięć, ni w dziewięć: — Wyglądasz zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałem.

Elsa opisała ją bardzo pobieżnie. Młoda, piękna, wymalowana. Wspomniała coś o farbowanych włosach, ale nie powiedziała, że są rude. Nietrudno więc było wyobrazić ją sobie jako laleczkę w krótkiej spódniczce z nadmierną ilością tuszu na powiekach. Ale dziewczyna naprzeciwno była schludnie ubrana, miała delikatny głos, olbrzymie oczy, naturalną twarz, a włosy — kolorem identyczne jak brwi. Być może Elsa mówiła tak z czystej zazdrości, gdyż nie znosiła nikogo, kto mógłby być porównywany z jej ukochaną siostrą.

Nicky zapytała, trochę nieśmiało: — Czego oczekujesz? — Dokładnie nie wiem... — Zauważyła, że patrzy na nią z pewnym zainteresowaniem — być może po prostu tak, jak patrzy na kogoś druga osoba, ale mogło to być coś więcej.

Zaproponowała: — Może herbatę?

— Nie, dziękuję. Muszę wyjaśnić, dlaczego tu przyszedłem. Nie znam Ruperta zbyt dobrze, ale byłem zaręczony z Dianą. Byłaś jej przyjaciółką, zanim ją poznałem?

— Tak. — To była prawda, ale nagle poczuła się winna, jakby kłamała.

— Jej siostra jest także moją bliską przyjaciółką. Powiedziała mi, że nie możecie się zgodzić — przypuszczam, że to normalne, iż dziewczęta nienawidzą swoich macoch. A Elsa zawsze była szalenie wrażliwa: jej reakcje były nad wyraz impulsywne. Tak więc, skoro już tędy przejeżdżałem, pomyślałem, że warto cię odwiedzić. Nie mogę uwierzyć, że ktoś mógłby być tak świadomie okrutny, by zabronić jej odwiedzać własnego ojca.

Nicky zeszywniała, lecz Anthony tego nie zauważył.

— Ona chce go zobaczyć. Chyba ma prawo, nie myślisz? Cokolwiek między nimi było. Ona go bardzo kocha — przypuszczalnie za bardzo. A poza tym... on już długo nie pożyje.

Chwila milczenia. Czowała jego wzrok utkwiony w swych oczach.

Rzekła: — Nie chciałam być nieżyczliwa.

— A więc okaż to. Pozwól jej go odwiedzić.

— Lekarz powiedział... że on jest nieszczęśliwy. — Nie mogła sobie przypomnieć, czy lekarz rzeczywiście tak powiedział, lecz ona używała tej właśnie wymówki wystarczająco często, by móc w nią uwierzyć.

— Jego rozum jest sprawny, prawda? — Anthony faktycznie gotów był na wszystko. — Miał wiele czasu, by wszystko przemyśleć. Może zmienił zdanie. Ojcowie zmieniają...

Nicky ujrzała, jak mięśnie jego twarzy napinają się w bezsensownej dumie. Rzekła bezczelnie: — A twój zmienił? Spojrzał bez zmrużenia oka. — Słuchasz plotek.

— Co jeszcze mam zrobić? — I znowu: — Czy twój ojciec zmienił zdanie?

Tak mówi moja matka. Dała /nać, ale nie chciałem jechać. Umarł tak nagle. Nie mieliśmy okazji, by sobie wybaczyć. Mięśnie wokół jego ust były napięte do granic wytrzymałości. A może jedno i drugie.

— Jedna z moich sióstr stwierdziła, że tak jak ja go traktowałem, to nawet nie traktuje się psa.

Nicky pomyślała o własnej matce, której już nie widziała od wieków. Wyszeptała: — To straszne słowa. — I miała rację. — Dzieci są karane grzechami ojców — ale powinniśmy próbować im wybaczyć. Daj Elsie szansę. Daj też Rupertowi.

Nicky skinęła głową kapitulując. Wobec prostego uzasadnienia, delikatnej perswazji, patrząc Anthony'emu w oczy, nie mogła powiedzieć — nie. Zabrakło jej odwagi.

— Będę musiała porozmawiać z adwokatem...

— Co do tego ma adwokat. Powiem Elsie; zadzwonimy, by się umówić. Pani Van Leer...

— Nicky.

— Nicky, dziękuję. — Ujął jej rękę, miała nadzieję, że pocałuje ją w policzek; niestety, nie zrobił tego.

— Jesteś pewien, że nie masz ochoty na herbatę? Albo na drinka?

— Nie. Muszę wracać do Domu Stallibrassa. Moja matka ostatecznie wystawiła go na sprzedaż — chce, aby pieniądze były moje, ale nie pozwolę na to. Stary człowiek wydziedziczył mnie, i to wszystko. Przyjechała, aby coś posprawdzać. Rzadko ją widuję, tak więc muszę jej pomóc. W sumie jestem zadowolony z tego; w przeciwnym wypadku nie mógłbym tu być.

— Ja także się cieszę — powiedziała Nicky. Zdobyła się na przekorny ton: — Czyba już nie uważasz mnie za okrutną macochę, prawda?

Anthony uśmiechnął się: — Skądże znowu.

Odprowadziła go do drzwi: — A propos zapylała, gdy wychodził — masz na imię Andrew czy Anthony? Miejscowi plotkarze nie pamiętają.

— Anthony.

Anthony... Podoba mi się to, stwierdziła w duchu Nicky, opierając się o drzwi. Lepsze niż Andrew. Była raz z Andrewem, wyjątkowo nudny facet.

Anthony wsiadł do samochodu — zdezelowany mini z krztuszącym się silnikiem — pomachał jej i odjechał. Patrzyła za nim do momentu, aż kurz osiadł na szosie.

Pomyślała: Powiedział, że Elsa jest jego bliską przyjaciółką. Ciekawe, jak bliską...

Już w Londynie, Elsa wysłuchiwała nowiny w milczeniu. Nie była mu w stanie wytłumaczyć, ile goryczy kosztuje ją proszenie Nicky — jak bardzo jej nienawidzi. To, co myślał Michael, nie miało znaczenia, ale Anthony — to sprawa istotna.

Powiedziała: — Tak po prostu poprosiłeś ją, a ona się zgodziła?

— Wydaje mi się, że jesteś wobec niej niesprawiedliwa — zauważył. — Równie dobrze mogła poślubić go z miłości. To nic nadzwyczajnego: młoda dziewczyna i dużo starszy od niej mężczyzna. To coś w rodzaju układu bóstwo-czciciel.

Elsa poniechała komentarza. O korzeniach tej sprawy powiedziała mu tak mało, jak to tylko było możliwe: Nicky była znajomą Diany — spotkałam ją za granicą — nic więcej. Nic, co mogłoby ją zdradzić.

— Według mojej matki — dodał Anthony — dobrze o niej mówią. Powiadają, że wspaniale się nim opiekuje. Wiem, że ci ciężko — tak to zwykle bywa — lecz Nicky wcale nie jest taką łajdaczką, jak ci się wydaje. Ona...

— Nicky?

— Przedstawiła mi się — rzekł Anthony, trochę zaskoczony.

— A ty to wzięłaś za dobrą monetę — wymamrotała Elsa.

Nicky, Nicky zmieniająca skórę jak kameleon, przecie-

kująca przez palce jak woda, nieuchwytna, oplatająca się jak wąż — jadowity, bestialski wąż. Nicky — bezbronna, oszustka, śniada, opalona blondyneczka. Laleczka z rudymi włosami. Być może Anthony, tak jak Rupert, widział w niej coś z odbicia Diany. I teraz historia się powtarza — koło się zamyka. Elsa wpadła w kleszcze śmiertelnego, nieuchronnego losu. Zazdrość walczyła z zazdrością — Diana była jej siostrą, którą kochała, a teraz była to Nicky — obca nieznajoma, która wcieliła się w jej osobowość, by zniszczyć Elsy bliźnią siostrę. Umarli nie mogą oszukiwać, jednak ona czuła się oszukana. Przeszłość i przyszłość zlewały się razem; walczyła ze swymi obawami udając szczęśliwą, ale bezpieczeństwo przestało istnieć. Jeśli w ogóle istniało.

Pojechała do Churston w tygodniu przed Bożym Narodzeniem. Anthony nie przyszedł, więc prowadziła sama. Wpuściła ją gospodyni; Nicky czekała wewnątrz, na schodach. Światło padało na połowę jej twarzy, zostawiając oczy w cieniu. Elsa domyśliła się, że błyszczą przerażająco. Miała na sobie ciemną sukienkę za kolana — wyglądała w niej jak mała kruszynka, bardzo młodo, jak Dickensowska sierotka. Nie była ani szykowna, ani nawet specjalnie ładna. Elsa raz jeszcze upewniła się co do jej zdolności wcielania się w rozmaite role, które aktualnie uważała za najwygodniejsze.

To Nicky pierwsza powiedziała: — Witaj - robiąc zapraszający gest.

Elsa stała milcząca i sztywna. Jakże nienawidziła sytuacji, w której się znalazła, robiąc to, czego nie czuła — nienawidziła Nicky jeszcze bardziej. Kiedy cisza stała się już nie do wytrzymania, Elsa powiedziała: — Chciałabym od razu zobaczyć ojca.

— Oczywiście. — Nicky była wytracona z równowagi. — Jest na górze. Zaprowadzę cię.

Weszła na schody, lecz Elsa wyprzedziła ją: - Dziękuję, znam drogę. — Głos miała tak matowy, że zniknął cały sarkazm. Nicky odchyliła się do tyłu, a nawet odsunęła

nieco, gdy Elsa jak burza wpadła na schody i szybko znalazła się na piętrze.

Pielegniarz wprowadził ją do pokoju Ruperta i zostawił sam na sam z ojcem. Szlafrok Ruperta był zwinięty na krześle, więc siadła na brzegu łóżka, ostrożnie, w obawie, że ją odepchnie. Ale on już nie mógł jej odepchnąć. Wyglądał nieco lepiej — już nie tak tragicznie jak w szpitalu; a mimo to w domowym otoczeniu, ograniczonym do pokoju, łóżka i wózka, wyglądał bardziej nieszczęśliwie, był bardziej załamany. Wyobrażała sobie, że żyje w swoim nędznym ciele, nękanym kto wie jaką tłumioną pasją, oszalałą wściekłością, frustracją, wyrzutami sumienia, uwięziony przez swoją przebiegłą żonę, karmiony jak dzikie zwierzątko przez swojego opiekuna, nawet może oszukiwany i maltretowany, gdy nikt nie widzi. Oczy, patrzące na nią ze ściągniętej twarzy, zaszły krwią, były przenikliwe. Patrzył na swoje ręce: prawa — dłonią na wierzch, palce podkurczone; lewa zaciśnięta. Sięgnęła, by jej dotknąć — tej lewej, która była jego jedynym środkiem porozumiewania, jedynym narzędziem, którym mógł wyrazić swoje uczucia czy potrzeby. Ale nawet teraz tego nie chciała. Zbyt wiele było zniweczonych nadziei, zbyt wiele rozwianych mrzonek.

Wyszeptała: — Chcę ci pomóc — lecz jego głos był bólem nie kończącego się rozczarowania. Usta poruszyły się: wydał charczący, nic nie znaczący dźwięk. Już nic więcej nie mówiła; nie było po co. Zacisnęła usta; oczy napełniły się łzami. Usiadła na łóżku zastanawiając się nad bezsensownością otaczającego świata. Jak tu przetrwać, jak -odejść, jak teraz żyć, skoro wszystko straciła.

Wtedy jego ręka poruszyła się. Podpełzła do niej, zacisnęła się na jej dłoni. Cała siła, jaką posiadał, skoncentrowała się w jego palcach: uścisk był tak mocny, że czuła, iż lada moment pękną jej kości. Ale to nie było ważne. Łzy płynęły jej ciurkiem po policzkach. Spuściła głowę łkając: Tatusiu... tatusiu... — Ona, która przez całe swoje życie nie powiedziała o nim „ta-

tuś". Przywarł do jej ręki, jakby tylko to pozostało mu w życiu.

Pielęgniarz przeszkodził im w pół godziny później.

— Muszę go wyprowadzić. Zwykle jeździmy po ogrodzie. On to lubi.

Doprawdy? pomyślała Elsa. — Skąd wiesz? Rzekła: — Czy jest coś — coś — co jeszcze możesz dla niego zrobić? Fizykoterapia, elektrowstrząsy lub...

— Ma fitioterapię. Robimy wszystko, co się da.

— Co to jest? — Podniosła buteleczkę pastylek, leżącą na stoliku.

— Digoxin. Na serce.

— Czy to dobre? To znaczy, czy mu to podajesz?

— Dawka jest ostrożnie regulowana. Pani Van Leer lubi robić to sama.

Elsa rzekła: — Rozumiem — a jej głos nagle stał się' oziębły.

Zeszła powoli na dół. Nigdzie nie było śladu Nicky, ale sprzątaczką właśnie odkurzała w hallu. Elsa zatrzymała się przed lustrem wycierając rozmazane oczy. Zapytała: — Gdzie jest pani Van Leer? — Nie miała ochoty mówić jej „Do widzenia” ani „Dziękuję”, ale wiedziała, że choć powinna spróbować.

— W ogrodzie. — Sprzątaczką przestała odkurzać i pytająco na nią patrzyła. — Czy nie chce pani teraz zobaczyć starszej pani?

— Nie —- nie tym razem.

— Płakała pani, prawda? — Elsa nie odpowiedziała. — Tego brakuje w tym domu. Są jedynie krokodyle łzy.

Elsa zareagowała ostro: — Myślałam, że pani Van Leer jest oddana?

— Gra słodziutkie niewiniątko, gdy jej to pasuje — już ją przejrzałam. Lecz nie wiemy, z kim się spotyka, gdy jej tu nie ma, no nie? I ten młody człowiek...

— Młody człowiek? — Elsa poczuła strach, szaleńczy

strach, nie wiadomo dlaczego. Czyżby fatum tarasujące jej drogę?

Kobieta żywo pokiwała głową, zadowolona, że znalazła taką słuchaczkę: — Widziałam go, jak wychodził rankiem, dwa lub trzy razy. Zdaje się, że pochodzi z Londynu.

— Jak wygląda? — Ciemny. Może zagranicznik. Brązowa skóra i czarne włosy. Trochę jak nasz Pakistańczyk.

— Może to jest Pakistańczyk.

— Nie sędzę. Po prostu śniady. Bardzo. Wie pani.

— Wiem — rzekła Elsa. Było jej niedobrze. Powiedziała sobie: w końcu Londyn roi się od śniadych facetów. A Anthony nigdy nie oszukałby jej: to nie w jego stylu. Anthony...

— Czy z panią wszystko w porządku, kochaneczko? — Sprzątaczką wpatrywała się w nią. — Jaka pani blada...

— Zawsze jestem blada — odparła Elsa. Wyszła bez pożegnania.

W Londynie pognęła prosto do biura Langleya i Mayhewa. Pan Mayhew był zajęty; Jonathan Sterling, najnowszy nabytek firmy, poczęstował ją kawą wysłuchując jej gwałtownej relacji. — Musimy mu pomóc. Chce się jej pozbyć — wiem o tym doskonale. Musimy coś zrobić.

Jonathan taktownie wyjaśnił, że pan Mayhew będzie wolny za chwilę. Był oczarowany Elszą, ale uznał, że w tym stanie nie można jej przegadać.

Wybuchnęła: — Czy wyobrażasz sobie, że to ona dawkuje mu lekarstwa? Digoxin — czytałam gdzieś o tym. W jakimś kryminale. Jest produkowany z naparstnicy. W małych dawkach jest stymulatorem, lecz w dużych — śmiertelny. A ona mu go dawkuje...

— Jestem pewien, że pani Van Leer nigdy... Nadejście pana Mayhewa zostało przyjęte przez Jonathana z ogromną ulgą, przez Elsę — z furją.

— Zdaje pan sobie sprawę — wrzeszczała. — Mój ojciec może zostać zamordowany! — Ale Mayhew tak

nie myślał. W otaczającej rzeczywistości — o czym ją upewnił — ludzie rzadko padają ofiarą morderstwa. A zwłaszcza wśród jego klientów.

Elsa udała się do domu targana gniewem i zdenerwowaniem; szukając uspokojenia chodziła po mieszkaniu tam i z powrotem, wreszcie wybuchnęła płaczem i roztrzaskała filiżankę. Postanowiła, że zadzwoni do Anthony'ego — lecz choć podniosła słuchawkę, jednak nie wykręciła numeru. W zamian za to spędziła dużo czasu kołysząc swoją rękę, posiniaczoną przez Ruperta.

Boże Narodzenie. W Churston Nicky siadła do obiadu z Rupertem, panią Skerrit i ich pielęgniarzami. Za namową Geoffreya Patela, który był muzułmaninem, były ognie bengalskie i papierowe kapelusiki. Faktycznie jednak podkreślało to jedynie beznadziejność i przygnębienie. Geoffrey pokroił indyka na cieniutkie kawałeczki i Rupert jadł sam, niezgrabnie — lewą ręką. Pani Skerrit ośliniła się cała. Nicky zjadła mało, wstała wcześniej od stołu, pamiętając o swoim image. Alex pojechał na dwa tygodnie do Francji; nie było nic do roboty — jedynie oglądanie telewizji i czytanie książek: wszystko to samo, co robiła od półtora roku. Miała już dość swoich obowiązków, swojego poświęcenia, nawet tych skradzionych z Alexem nocy — chciała znowu być wolna. Chciała mieć nowe plany. Ktoś taki jak Anthony Stallibrass... Polubił mnie, pomyślała, pamiętając jego szczere zainteresowanie, ciepło jego uśmiechu. On naprawdę mnie polubił. Roztaczała przed sobą wizję: Rupert umiera — wtedy ona momentalnie uwalnia się od małżeństwa, od całej przeszłości, od zagrożenia ze strony Elsy i dominacji Alexa. Cudowny filmowy obrazek — niczym świąteczna kartka — Anthony ubrany w anorak z kapturem podszytym futrem — była pewna, że nosi anorak — jego przymrużone od iskrzącego blasku oczy..". Próbowwała nawet przywołać w pamięci dokładną długość jego rzęs, jednocześnie zastanawiała się, czy tęczo-

wki mają kolor czekolady deserowej, czy są jasne jak cappucino. Sama byłaby ubrana na czarno — nie w skromną, wymagającą szacunku czerń, lecz w czerń subtelną i egzotyczną zarazem, kreującą tajemniczą wdowę. Zwiewna woalka, aksamitny płaszcz, karakułowy toczek... Jeśli umrze Rupert. Alex mówił jej o tabletkach już dawno temu: — To cholernie niebezpieczne, ten digoxin. Najmniejsze przedawkowanie może go zabić. Oczywiście, nikt się nie dowie. Następny atak, fatalny w skutkach atak — będzie zupełnie normalny. Nikt z lekarzy nie będzie specjalnie zaskoczony.

Absolutnie! — krzyknęła wtedy. — Nigdy o tym nie wspominaj, nawet nie myśl o tym.

Ale ona myślała o tym. Marzenie, wyobraźnia, fragment czarnego romansu. Ona o tym myślała.

Z drugą wizytą Elsa była 1 stycznia. Jeszcze i tym razem sama. Unikała Anthony'ego przez święta, wykręcała się, myślała tylko o ojcu. Pojawiła się po południu, gdy minął noworoczny kac. Gdy przyjechała, było już prawie ciemno.

Tym razem usiadła na dziesięć minut przy ciotce Grizzle, spokojnie znosząc jej nieskładną gadaninę, dając się nazywać Dianą. Potem poszła zobaczyć się z ojcem. Był znowu w łóżku podparty poduszkami — jego szara twarz zszarzała jeszcze bardziej w ponurym półmroku. Miała wrażenie, że jest zadowolony z jej odwiedzin. Wzięła go za rękę; trochę popłakała sobie nic nie mówiąc. Zmierzch stopniowo stawał się coraz ciemniejszy, przechodził w czarną noc; wiatr świstał w kominach. Ze wszystkich kątów ciągnęło, przeciągi poruszały kotarami, skrzypiały wypaczone drzwi. To taki wieczór, pomyślała Elsa, kiedy wszystkie nadzieje padają, wszystkich ogarnia depresja i wszystko kończy się źle.

Później, gdy zeszła na dół, zauważyła rozpalony kominek w salonie, przebłyskujący promyk światła. Ktoś siedział przy kominku, pół leżąc w olbrzymim fotelu. Nie Nicky.

— Michael.

Jego obecność poraziła ją niczym piorun. Rzekła: — Co ty tu robisz?

— Przejeżdżałem tędy i wpadłem zobaczyć, co się dzieje. Przecież byłem jego protegowanym. Tego się po mnie oczekuje.

— Bardzo się spóźniłeś.

— Ty także.

— Miałam kaca...

— Niesamowite.

Jego wzrok przetoczył się po niej, dostrzegając zbyt wiele. Iskierki ognia odbijały się w jego oczach.

Zapytała: — Gdzie Nicky?

— Unika cię. Albo mnie. Miałem ochotę cię odwiedzić, ale zauważyłem twój samochód.

— Dziękuję za dobre chęci — rzekła Elsa. Zapuşciła się w ciemność zastanawiając się, czy jedzie za nią, niestety "nie jechał...

*

* *

Wyszli pojedynczo, zostawiając dom w ciemnościach i przeciągach. Elsa, Michael, dwóch pielęgniarzy. Nicky usiadła przy kominku z drinkiem, podkurczyła nogi. Zapaliła lampkę — na ścianie pojawił się cień: tygrysie cętki. Jej twarz okryła złotawa poświata. Warkot motoru rozmył się wraz z wiatrem; żwir zazgrzytał i opadł; cień wślizgnął się do domu jak powracający fantom. Leżeli przy kominku rozkoszując się ciemnościami, wsłuchani we własną przyjemność. Języki płomieni pożerały węgiel, oplatały się wokół niczym rozżarzone węże, na dworze falowały i szumiały drzewa. W pokoju na górze Rupert umierał samotny, w ciemnościach.

CZEŚĆ CZWARTA

XII

Kochali go, nienawidzili, wykorzystywali i byli wykorzystywani przez niego. Teraz on nie żyje. Nawet w krainie śmierci wydawał się bardziej obecny, bardziej prawdziwy, niż będąc zwykłym kaleką z dzikimi oczami — takim widzieli go ostatniej nocy, lub dynamicznym gigantem, któremu podporządkowali swoje życie. Jego magnetyzm skupił ich przy grobie; widmo jego charyzmy, utajone zagrożenie, śmiertelna fascynacja zawiodły ich prawie na samą krawędź. Wirujące płatki śniegu wpadały do grobu, były połykane przez grób. On był tam na dole, w ciemności zabitej trumny, więzień forsujący barierę swego ołowianego martwego ciała i mosiężnej twierdzy, próbując uciec od wiecznej pułapki, w którą tak gwałtownie go zagnano. A przecież było tak, jakby chciał wziąć rewanż — za swoje życie, za swoją śmierć, za długą chorobę, stracone nadzieje, kłamaną wiarę, straconą miłość. Jego gniew emanował z grobu jak jakaś niewidzialna siła. Powiew wiatru dmuchnął im śniegiem w twarz: głosy budziły się w każdym najmniejszym zakamarku kościoła. Ze stożkowatej dzwonnicy dobiegło słabe bicie dzwonu, echo echa, jakby olbrzymich rozmiarów dzwon został poruszony jakąś niewidzialną ręką.

To znak, pomyślała Nicky, trzęsła się cała, mimo że była otulona futrem.

To znak, powiedziała Elsa, zbyt cicho, by ją usłyszeć. Napięcie między nimi jakby zmieniło swój wymiar, stając się jednym z wielu, częścią całości, lecz nie ognis-

kiem. Pamięć Ruperta, śmierć Ruperta, obecność Ruperta wypełniała ich myśli. Nicky była blada, lecz Elsa była biała, biała jak śnieg, jej nie pomalowane usta sine z zimna, nie upudrowany nos prawie czerwony. Oczy jak małe agaty, suche i twarde. W ogóle nie patrzyła w stronę Nicky ani na grób; jej wzrok błędził gdzieś w górze. Ginał w gęstniejącym śniegu, na horyzoncie, gdzie ziemia stykała się z niebem. Wiatr hulał po cmentarzu, wydając jękliwe pomruki. Ostatni z dziennikarzy już zniknął. Reszta żałobników czekała, zamknięta w swoich samochodach — wszyscy z wyjątkiem marszanda w futrze z rysia, który hołdując nowoczesnym zasadom, wyłamał się i poszedł do domu. Wikary, należy oddać mu sprawiedliwość, wyglądał na pogrążonego w cierpieniu. Elsa stała w milczeniu, które nie było modlitwą. Z zaciśniętymi zębami, by nie szczękały z zimna, gołe ręce wtuliła w fałdy płaszcza. Czekala. Obserwowała ją. Michael wiedział, dlaczego. Będzie ostatnią, która odjedzie, więc czekała, aż jej ostatnia kropla krwi nie zamieni się w lód. Jedyne gest — nic nie znaczący gest. Lecz w tym momencie znaczył dla niej wiele, że mogłaby za to umrzeć. Pomyślał: Niech jej będzie. — Chodź — położył rękę na ramieniu Nicky. Zawahała się chwilę, musząc uznać zwycięstwo Elsy, choć nie miało ono żadnego znaczenia. Lecz ręka Michaela była stanowcza, wiatr dokuczliwy, a ona dalej chciała żyć. Przeszli dziedzińcem do swoich wspaniałych samochodów: szofer otworzył Nicky wynajętego daimle-ra, Michael wśliznął się do swego mercedesa, sięgając po pas.'

Dziesięć minut później Elsa z zeszywniałymi z zimna nogami ruszyła za nimi.

W mieszkaniu na Knightsbridge było sherry, herbata i kanapki. Księżniczka wypila trzy kieliszki Bristol Cream i zażenowała wszystkich swoim zachowaniem, szczypiąc

Nicky na pożegnanie w policzek i współczując jej z powodu śmierci ojca. Gdy goście już wyszli, pan Mayhew odczytał testament. Rupert miał kuzynów w Afryce Południowej i Barbarę Heydon w Stanach, lecz w Anglii było niewielu bliskich: jedynie wdowa i córka — i Michael. Usiedli przy jadalnym stole, sherry na środku, dwie kobiety wyraźnie ignorujące się wzajemnie. Nicky zaczęła palić i nagle zgasła papierosa nerwowym ruchem. Na dalszym planie pan Greenbaum rozcierał ręce. Pan Mayhew miał grypę i tylko na usilną prośbę Elsy Jonathan Sterling przywiózł go na pogrzeb, zaczął więc czytać z prawdziwą determinacją, popijając herbatę i wycierając nos chusteczką nasączoną olejkiem eukaliptusowym. Przerywał — kaszlał, czyścił nos, majstrował coś przy okularach. Nicky wręcz się przestraszyła, że umrze, zanim odczyta ostatnią wolę, i w rezultacie cały dokument zostanie tajemniczo unieważniony.

Testament został spisany w czasie trwania drugiego małżeństwa Ruperta. Michael otrzymał nominację na szefa biura; Elsa też miała mieć w tym swój udział. Pan Mayhew nieledwie ze łzami w oczach wybłagał, by jej coś zapisał, i może na ironiczną pamiątkę jej oblanego dyplomu Rupert właśnie to wybrał — symbol jego sukcesu, który wciąż miał Elsie przypominać o jej osobistym niepowodzeniu. Ale taka decyzja mogła być także dziełem przypadku, mogła być powzięta ad hoc. W sprawach dotyczących architektury Rupert wyznawał zasadę: „*Après moi, deluge*”, tak jak Król Słońce nie dbał o to. Cała reszta należała do Nicky.

Elsa przyjęła to z zimną krwią, w ciszy była na to przygotowana. Głos ojca dobywający się z przeszłości nie mógł jej zranić, wciąż czuła ten bolesny uścisk jego dłoni, jego cierpiące oczy przeszywające ją na wskroś. Tylko Nicky była odpowiedzialna za ostateczną zniewagę, Nicky, która udawała, oszukiwała, Nicky, która zabrała mu zdrowie i siłę, męskość i poczucie ojcostwa, miłość i samo

życie, a teraz ograbiła go ze wszystkiego. Dla Elsy znaczyło to, że nie ona sama została ograbiona, lecz Rupert. Macocha jawiła jej się w postaci sępa żerującego na martwym ciele, dopadającego zwłok króla i porywającego mu sygnet i koronę. Siedziała tam, prawie metr dalej, ta poszukiwaczka złota, cmentarna hiena. Nawet pomadka na jej ustach pochodziła z kradzieży.

Stopniowo dla Elsy cisza stawała się coraz bardziej niepokojąca; zdała sobie sprawę, że reszta oczekuje jej reakcji. Wstała. Tym razem, nie tak jak nad grobem, chciała, by wszyscy ją usłyszeli. — Złodziejko! — wycedziła przez zęby. — Ty nędzna, paskudna, kłamliwa, wścibska, mała złodziejko.

Nicky spojrzała na nią zaciskając nerwowo pięści. Pamiętała tę dziewczynę, która przybyła na przyjęcie cała w diamentach, dziewczynę, która miała wszystko, której niczego nie zazdrościła. Zapamiętała odrzuconą gałązkę oliwną, pięćset dolarów, które teraz jawiły jej się nie jako gest wspaniałomyślności, lecz łaski, akt dumnej jałmużny, rzuconej przez arystokratę biedakowi.

Rzekła: — Pozwij mnie do sądu.

— Z pewnością to zrobię — lodowato odpowiedziała Elsa. — Ale nie za to.

Pojechała do domu, trzęsąc się z zimna i z nerwów po wszystkich strasznych przeżyciach tego dnia. Anthony zostawił wiadomość automatycznej sekretarce, ale nie miała ochoty się z nim spotkać, przynajmniej nie teraz. Poszła spać wcześniej i miała niesamowite sny. Znajdowała się znowu na dziedzińcu kościoła Św. Marii Nierządnicy, tyle że była już wiosna. Śnieg tajał w oczach, pogrzebowe kwiaty zapuszczały korzenie obsypując kwieciami cały grób, oplatając postument. Z dzwonnicy rozchodziło się bicie dzwonu i rozmywało na wietrze. Na grobie Ruperta zielona pierzynka z mchu poruszyła się i wyrzuciła, zapadając się w ziemię. Szczapy drewna wyleciały w powietrze. I nagle pojawił się Rupert, wyrastający jak kwiat, strze-

pując kawałki gliny z włosów. Włosy — już nie siwe, lecz brązowe — silne barczyste ramiona — opalona twarz. Jedyne oczy miały tę samą szaleńczą poświatę, jak wtedy, gdy leżał na łożu śmierci — oczy utkwione w Else, takie jak wtedy, odpychające, złe spojrzenie. Rzuciła się przez groby z wyciągniętymi ramionami. Bała się. Jego ręce oploty ją w uścisku jak boa; była zmiażdżona jego pierśią, nie mogła oddychać. Wyrywała się, ale bezskutecznie. Pomyślała: on mnie udusi... Obudziła się. Twarz miała na wpół wtuloną w poduszkę, była otulona kołdrą tak, że nie mogła się poruszyć. Kiedy się wreszcie wyplątała, była już zbyt rozbudzona, by ponownie zasnąć. Potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, kto nie miałby jej za złe, że budzi go w środku nocy. No cóż, zawsze mogła zadzwonić do Anthony'ego, ale nie chciała, choć Anthony by wysłuchał i pocieszył, nawet przyjechał, gdyby poprosiła. Mógłby to zrobić dla każdego pijaka, który potrzebuje towarzystwa, dla niedoszęłego samobójcy czy kogokolwiek, samotnego i zdesperowanego, kto znałby jego numer. Poza tym było tak wiele spraw, o których nigdy nie mówiła Anthony'emu. Czy w ogóle był ktoś, do kogo mogłaby się zwrócić, z kim mogłaby porozmawiać? Podniosła słuchawkę i wykręciła numer Michaela. Chociaż dawno go nie używała, wciąż miała go w pamięci.

— Halo.

Zauważyła z dziką satysfakcją, że jest zaspany i wykończony. — Michael?

— Kto tam?

— To ja, Elsa.

— Znam twój głos. Czego chcesz?

— Miałam zły sen.

— To mnie nie dziwi. Ja też, zanim mnie nie obudziłaś.

Elsa powiedziała:— Przepraszam. — Ale ton głosu me był przepraszający.

— Czemu nie zadzwoniłaś do tego, jak mu tam?
— Anthony. — Nie chciała wyjaśniać. — Nie wiem. Dlatego, że zadzwoniłam do ciebie.
— No więc, już nie śpię. Opowiedz mi ten sen.
— To zabrmi bardzo głupio — niechętnie odezwała się Elsa.
— Opowiedz mi.
— Byłam znowu na cmentarzu, grób się otworzył, wyszedł z niego mój ojciec i przytulił mnie. Byłam wystraszona. To wszystko.
— Symboliczne — zauważył krytycznie Michael.
— A gdy się obudziłam, byłam omotana kołdrą, a twarz miałam wciśniętą w poduszkę, tak że nie mogłam oddychać.
— To wszystko wyjaśnia — rzekł Michael. Właśnie to chciała od niego usłyszeć. Ale głos był zdecydowanie oschły i wcale jej nie uspokoił.
— Przepraszam, że cię zanudzam — rzuciła pośpiesznie. — Dobranoc.
— Elsa...
— Tak?
— Nie panikuj. Chcesz pogadać, no nie? Więc słucham.
— Nie cierpię telefonów.
— Co sądzisz o lunchu? W każdym razie możemy przedyskutować twój udział w agencji. Przyjedź do mnie do biura — jutro o pierwszej. W porządku?
— W porządku — odparła, dodając po chwili: — Dziękuję.
Poszli do tej samej restauracji, do której Rupert zabrał Nicky na swoje pierwsze spotkanie. Michael poprosił o kadzielniczkę, by uchronić się od zimna, oraz wino burgundzkie.
Zauważył, że wiele z jej dawnych sprzeczności wewnętrznych zniknęło, rozmyło się, być może w chaosie innych obsesji. Myślał sobie, że byłoby zabawnie przywrócić jej dawny stan. Jedynie musnęli temat.

— To da ci niezły dochód — powiedział Michael —
jeśli na to liczysz.

— Hm? Och, no tak. Nie wiem. Moja babka zostawiła mi mnóstwo pieniędzy! Pieniądze, zastanawiał się Michael z kwaśnym uśmiechem. Tajemnica szczęścia. Mogłaby rozrzucić je na lewo i prawo, gdyż nigdy faktycznie nie wiedziała, jak to jest, gdy się ich nie ma. On wiedział. Było to dawno temu, ale pamiętał. Indagował ją dalej: — Co z resztą fortuny ojca? Wczoraj byłaś zdolna zaciekle o nią walczyć. — Nie chcę jej dla siebie. — Była wstrząśnięta, nie umiał pytać. - Po prostu nie chcę, żeby ona ją miała. . .

— Domyślam się. Nazwałaś ją złodziejką — i jeszcze jakoś.

Zapanowało milczenie. — Słyszałeś?

— Tak. słyszałem.

Tym razem milczenie trwało nie sekundy, lecz dłużące się minuty. Kelner ponownie napełnił ich kieliszki. Elsa wzięła kąsek jagnięcia do ust, żuła go, połknęła. Michael czekał. — Może się mylę — wydusiła w końcu, zupełnie bez wyrazu. — Może faktycznie to nie ona go zabiła. Ale spowodowała jego śmierć. Doprowadziła go do ataku, tak czy owak. Opiekowała się nim i rozpieszczała go, oszukiwała i torturowała...

— Skąd wiesz? — zapytał dyplomatycznie. — Masz jakieś dowody?

— Czy mam dowody? — Oczy płonęły jej złością. — Że go torturowała? — Nie potrzebuję dowodów! Nie wystarczy ci fakt, że był uwięziony w swym bezużytecznym ciele, niezdolny kontrolować własnych fizjologicznych funkcji? Czyż to nie tortura', być pozbawionym jakiegokolwiek możliwości porozumienia się z bliskimi, zakratowanym ze wszystkich stron jej słodziutkim uśmiechem i świętoszkowatym zachowaniem? Rupertowi nie wolno przeszkadzać Ruperta nie wolno martwić, Rupert musi zostać skutecznie zmuszony, oszukany, pozbawiony nadziei — na

łascie. Łaska. Czy w ogóle wiedziała, co to znaczy? Miała faceta, wiedziałeś o tym?

— Nie! — odparł. — Kogo?

Elsa potrząsnęła głową: chyba powiedziała za dużo. — W każdym razie — ciągnęła — ona mogła go zabić. — Uzyskałaby wszystko — wolność, jego pieniądze. A to byłoby bardzo proste. Jedynie natychmiastowa sekcja wykazałaby truciznę; digoxin szybko się rozkłada. Pytałam zaprzyjaźnionego lekarza.

— Czy dużo pastylek brakowało, gdy go znaleziono? — zapytał Michael.

— Myślałam o tym. Pielęgniarski powiedział, że fiołka była prawie pełna, ale Nicky mogła wsypać tam aspirynę lub coś innego. A później to ona ją wyrzuciła.

— To jeszcze o niczym nie świadczy — stwierdził Michael, nieco znudzony.

— W porządku, tego nie mogę udowodnić. Niczego nie mogę udowodnić. Chociaż...

— Próbowalaś?

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. — Co masz na myśli?

— No cóż — powiedział z namysłem, ostrożnie dobierając nie tylko słowa, ale też myśli. — Właśnie przyszło mi do głowy, że skoro coś faktycznie podejrzewasz — cokolwiek by to było — powinnaś skorzystać z pomocy profesjonalisty. Równie dobrze może okazać się to stratą czasu, lecz lepsze to niż spekulowanie.

— Profesjonalista?

— Prywatny detektyw.

Usta Elsy wykrzywiły się w grymasie. — Myślałam, że prywatni detektywi są tylko od brudnych spraw — rozwody i tak dalej. Nie od...

— Nie od morderstw i afer w wyższych sferach? W jego uśmiechu było coś z kpiny. — Czy to nie zwykła awanturnica spekulująca na bogaczach? Nie podłe cudzołóstwo? Mogę sobie także wyobrazić mnóstwo innych

obrzydliwych detali z przeszłości Nicky. Ona nie jest nowicjuską. Dziwię się tylko, że nikt nie pomyślał, żeby ją wcześniej sprawdzić. Na przykład twój adwokat.

— Mayhew? Och, nie. Nie, to nie wchodzi w rachubę. On jest staromodny i ma przestarzałe poglądy. Byłby wstrząśnięty nawet najmniejszym skandalikiem. Ojciec i Nicky byli małżeństwem i myślę, że uznał to za *fait accompli*. Poza tym on od razu wyobraża sobie prywatnych detektywów jako nędznych oszukańczych typków. Cóż on mógłby mieć wspólnego z takimi ludźmi?

— A co ty? — wymamrotał Michael.

Elsa zignorowała przytyk. Dotarli już do momentu, w którym pije się kawę, i Elsa mieszała płyn w swojej filiżance, pogrążona w zadumie, chociaż nie było tam ani mleka, ani cukru. Wreszcie rzekła: — A gdybym chciała wynająć prywatnego detektywa, to jak mam się do tego zabrać?

— Yellow Pages — podsunął Michael.

— Mogłabym dostać kogoś nieodpowiedzialnego — odparła Elsa. — Jakiegoś typa, oszusta. Jak to wyrazić?

— Sądzę, że mógłbym to załatwić — zaproponował Michael. Zawsze w końcu robił jakąś propozycję.

— Ktoś uczciwy i — no, porządny. Nie martw się. Załatwię to.

— Polegam na tobie — rzekła Elsa, po czym dodała bez uśmiechu: — Nie ufam ci, ale polegam na tobie.

— A co z Anthonym? — Wiedział, że to niemądre, a nawet niekulturalne pytanie, ale nie mógł się oprzeć.

— Kocham go.

— Rozumiem. — Jak zwykle, pomyślała Elsa, rozumiał zbyt wiele. — Kocham go, lecz także mu nie ufam — ani nie polegam na nim.

To był koniec ich rozmowy. — Muszę wracać do biura — rzekł Michael machając rachunkiem. Miał spotkanie z geometrą robiącym raport o Domu Stallibrassa, ale o tym nie wspomniał. Miał coś więcej niż tylko sprawę ze Stallibrassem.

— Co do detektywa bąkała chłodno i niepewnie Elsa — zadzwonisz do mnie?

— Zadzwonię.

W taksówce Elsa myślała o Anthonym. Umówiła się z nim na wieczór, częściowo dlatego, że już dawno go nie widziała, a częściowo uznała to za formę zabezpieczenia przeciwko niepożądanemu zafascynowaniu seksualną emanacją Michaela. Uroda Anthony'ego potrafiła zdystansować podobne uczucia. Była zbyt zajęta innymi sprawami, by oddawać się teraz świadomie pożądaniu. Teraz, gdy już sobie poszedł, zastanawiała się, dlaczego chciała ujrzeć właśnie Michaela i po jaką cholere była ta cała ich dyskusja. — Liczę na ciebie — powiedziała. Potrzebuję cię. _ Anthony był ideałem, do którego dążyła, księciem z bajki, kolcem w jej sercu, miłością wyostrzoną bólem, owianą wątpliwościami. Tęskniła za nim — ale nigdy go nie potrzebowała, bo nigdy faktycznie do niej nie należał, nigdy jej nie uszczęśliwił. Anthony był nie spełnionym pragnieniem, następną bezowocną miłością. Próbowiła odgonić od siebie tę myśl, lecz ta była od niej silniejsza. Anthony Stallibrass traktował swą wyjątkową urodę, jakby jej w ogóle nie było. No, może będąc nastolatkiem, miał chwile uniesienia, lecz teraz jego rozsądek odnosił się do tego sceptycznie. Anthony nie chciał próznej adoracji, zarozumiałej pychy, kultu ego. Nie chciał małpiej miłości — chciał być kochany za to, co sobą reprezentował, a nie za swe boskie proporcje. Skoro żadna kobieta nigdy nie mówiła mu prawdy, potrafił się łudzić, przynajmniej powierzchownie. Gdy dorósł, fałszywy obraz zakłopotanego młodzieńca stał się częścią jego credo: jak średniowieczny biczownik odziany w łachmany, tak i Anthony kultywował znoszone ciuchy i umartwienia. Golił się tępą żyletką, nie dbał o włosy, kupował rzeczy na wyprzedży, cerował i naszywał łaty na swoich dzinsach. Ale to wszystko nie przeszkadzało, jedynie dodawało szczególnego czaru jego perfekcyjnej męskiej atrakcyjności. „On jest taki

uroczy", szeptały kobiety. „Och, nie ma o tym pojęcia...” Musiał nad" tym pracować, każdego dnia, każdej godziny. Kochanki przewijały się w jego życiu z taką oczywistością, że uznał to za całkiem normalne. Zaczynał każdą miłość od sympatii, zaangażowania, czułości, a kończył z żalem i cierpieniem. W łóżku był zawsze subtelny i rozważny, mógłby być taki nawet śpiąc z kurwą. Wspominał Dianę, czasami z mglistym poczuciem żalu, nie winiąc się za jej śmierć, lecz za niedoskonałość własnego uczucia. To właśnie z jej powodu unikał prawdziwego zaangażowania, oferując każdej kobiecie jedynie maleńką cząstkę swego serca. Lecz wewnątrz tkwiło w nim nie ujawnione przeświadczenie, że gdyby tylko chciał, miłość mogłaby zaistnieć — zawsze chciał zachować tę pewność — tajemniczość tego uczucia.

Elsa nie zadzwoniła do niego przez całe święta, nawet odrzuciła jego męską pierś, by się na niej wypłakać po śmierci ojca. Inne dziewczyny korzystały z okazji, nawet gdy zdychały im chomiki czy inne zwierzątka, gdy coś się zepsuło czy przypaliło się mięso. Elsa stawiała czoło potwornej tragedii. Odwróciła się od niego. Było to coś nowego w jego życiu. Zrodziło się nieznane uczucie. Zastanawiał się, czy to może być miłość; nikłe oszołomienie, owa frustracja, pragnienie posiadania, całowania i komfortu bliskości, były udaremnione — po raz pierwszy — przez ów sprzeciw. Jego podniecenie, gdy w końcu zadzwoniła i umówili się, zaskoczyło go. Zawsze uważał Elbę za coś nadzwyczajnego — lecz wtedy uważał, że każda dziewczyna jest w innym sensie nadzwyczajna; miał wstręt do przypadkowych związków, zastępowania jednej kobiety drugą, jak nadziany biznesmen zmieniający swoje samochody. Na szczęście unikalność Elsy nie wymagała wiele wysiłku z jego strony; była siostrą Diany, znał ją dość długo, widział jej przeszłość przysłoniętą tragedią, jej piękność — zaczarowaną transformację. (Nie bał się podziwiać urody pięknych dziew-

czął). A w głębi jej duszy wyczuł ukryty smutek. To go pociągało.

Przyjechała około piątej. Anthony zamieszkiwał dom wspólnie z trojgiem przyjaciół (też z Cathleen Mirza). Jego pokój mieścił się w suterenie; łóżko — materac na podłodze. Mały piecyk elektryczny dostarczał skąpych ilości ciepła, jego rozżarzone do czerwoności druciki jarzyły się zwodniczo. Elsa usiadła tuż obok, nie zdejmując płaszcza. Białe ściany były oblepione plakatami, porozrzucane poduszki spełniały rolę krzeseł, płachta grubej kotary odgradzała pokój od zapadającego zmroku i najbardziej zjadliwych przeciągów.- Była tam jeszcze biblioteczka załamująca się od nadmiaru książek i rzucająca się w oczy, okazała dziura, którą dawniej wypełniało muzyczne cacko — jedyny luksus Anthony'ego. Sprzedał je, by pomóc samotnej matce. Urządziła dzięki temu mieszkanie, a jemu pozostał jedynie stos bezużytecznych płyt i taśm z kolędami, które podarowała mu matka na święta, a których nigdy nie mógł posłuchać. Starał się o tym nie wspominać, gdyż wiedział, że Elsa będzie nalegała, aby natychmiast sprawił sobie nowy sprzęt. Pomyślał wtedy z goryczą: bogatemu człowiekowi trudno pogodzić się z prawdziwą biedą, dotknąć jej, osiągnąć stan poświęcenia, samoofiary. Wystarczyłby moment, jedna chwilka załamania, a ta wolna przestrzeń znowu wypełniłaby się głośnymi dźwiękami kolęd zmieniając nastrój smutnego pokoju. Zastanawiał się, czy Elsa zauważy brak wieży. Rzuciła tylko okiem na stos płyt i chyba nie dostrzegła, że coś tu nie gra. Jak zawsze, Elsa pomyślała sobie, jaki to on jest odważny i dzielny, aby tu zamieszkać, jakież podjął obowiązek, jakie to wszystko godne podziwu. I jakie niewygodne. Nie przetrzymałaby tego, a na pewno nie w zimie, przy marnym piecyku, grzejąc się żarem wyświechtanych sloganów, które nie miały już motywacji. Słowa piosenki kłamały, zauważyła. Miłość cię nie ogrzeje.

Anthony zabrał się do parzenia kawy, otworzył butelkę wina.

— Brakowało mi ciebie — powiedział. Zabrzmiało to całkiem wiarygodnie. — Serce mi zamarzło.

— Doprawdy? — Próbowwała zachować spokój. Jej podejrzania były prawie absurdalne. Prawie.

— Czemu nie odpowiadałaś na moje telefony?

— Nie wiem. Po tym wszystkim chciałam po prostu być sama.

Powiedział tonem zakłopotanego człowieka: — To musiało być dla ciebie straszne. — Chciał jej współczuć, zmniejszyć jej cierpienie, ale jakoś nie potrafił, była taka zimna i nieprzystępna.

— Straszne — powtórzyła. Pragnęła, by ją objął, przytulił, zmył pocałunkami wszystkie jej wątpliwości, niepokoje i smutki. Ale nie mogła go poprosić, nie śmiała mu zaufać. Jej uczucia piętrzyły się i rozbiegały w przeciwnych kierunkach, jak fale różnych oceanów walczące o jedno nabrzeże. Kołysała się na grzbietach fal, to znów schodziła na dno, rzucała to tu, to tam impulsem emocji. Nie chciała tego zmienić, gdyż bała się zdradzonej prawdy.

Anthony podał jej kawę, na tyle gorącą, by sparzyła sobie język. Przywarła do ciepłego kubka. Nagle pojęła, że była to jedyna ciepła rzecz w tym pokoju.

— Zanim umarł twój ojciec — rzekł — coś było nie tak, coś, czego nie mogłaś mi powiedzieć. Czy teraz już możesz? — A gdy nie odpowiadała: — Czy to spotkanie z nim? To cię martwiło?

— Lepiej nie mówmy o tym — odparła.

— Powinniśmy o tym porozmawiać. — Nalegał, lecz był delikatny zarazem. — Wyrzucić to z siebie. Jeśli tłumisz w sobie wszystko, działa to jak trucizna przyłożona do rany. Tak, wiem, gadam głupoty, ale taka jest prawda. Doprawdy, dobrze by ci zrobiło, gdybyś... rozładowała się.

On już to mówił, pomyślała. Tysiące razy, tysiącom nieszczęśliwych ludzi. Jestem następna w kolejce.

Powiedziałaby to Nicky, gdyby była na moim miejscu... Ucięła: — Nie chcę tego rozwlekać. Dobrze mi z moimi ciężarami. Są moje.

— Elso... — Niespodziewanie poczuł się urażony. Nie wiedziała, że jest zdolna go zranić. — Elso, proszę...

Odsunęła kubek z kawą. — Jestem głodna.

— Możemy iść do chińskiej restauracji. Albo na spaghetti.

— Chodźmy do mnie — rzekła Elsa. — Moja kuchnia, ty będziesz kucharzem.

— W porządku. — Zaskoczyło go to — zwykle ona kierowała się jego sugestiami — ale było mu to obojętne. — Wezmę wino.

U Elsy Anthony usmażył omlet, Elsa wypila wino. Zostawili naczynia w kuchni w zlewie i usiedli naprzeciw kominka: nieskazitelny ogień sztucznych drewniaków pożerany przez prawdziwe płomienie. Bez popiołu, bez dymu, bez swądu. Zewsząd dochodziło ciepło centralnego ogrzewania. Na zewnątrz brudno — szary śnieg zamarzał na chodnikach. Anthony'emu było zbyt ciepło i zbyt wygodnie, lecz tym razem nie przeszkadzało mu to. Miał wiele spraw do przemyślenia.

— Martwiłem się o ciebie — powiedział prosto z mostu.

— Przepraszam. Nie przypuszczałam, że możesz się martwić. Nikt nigdy się mną nie przejmował.

Jedynie Barbara...

— Naprawdę się martwiłem. Zawsze będę się martwił. Chcę, żebyś opowiedziała mi o swoich kłopotach tylko dla swego dobra — chcę cię poznać, wiedzieć o tobie wszystko. Chcę zrozumieć. Nie jestem jakimś tam przelotnym kochankiem na jedną noc, którego interesuje tylko twoje ciało: troszczę się o ciebie. Wydaje mi się, że nawet bardzo. Elso, czy ty... czy mogłabyś mnie poślubić?

Jego ciemne oczy błagały ją, zmuszały, rzucały na nią

czar. Widziała w nich pragnienie, żarliwość, cień wątpliwości. Wątpliwość była jednak najsilniejszą.

— Mógłbyś tu zamieszkać? — zapytała po długiej przerwie.

— Tutaj? — Rozejrzał się wokoło — imitacja kominka, drogie meble, szykowne kotary i szczelne okna. Nie powiedział nic więcej; to nie było potrzebne. Ich wzajemne oczekiwania rozwiały się, zostało tylko centralne ogrzewanie.

Dokończyli wino.

— To jest moja nieśmiertelna dusza — wreszcie wydusił, trochę nonszalancki, trochę przygnębiony. Jeśli to była miłość, to właśnie ją tracił, ten ściskający ból wewnątrz, nie mógł po prostu obojętnie przejść obok. To było coś więcej niż czułość. A jeśli to miłość? — Nie możesz żyć moim życiem, i ja nie mogę żyć twoim. Kompromis jest niemożliwy; każesz mi porzucić wszystko, w co wierzę. To zbyt wiele. Proszę, zrozum.

Pokiwała głową. Nie potrzebowała go, ale go pragnęła — pragnęła go wściekłym głodem — głód ten wypełnił jej cały świat.

— Przykro mi — odparł.. I nagle rzucił gwałtownie: — Tak mi cholernie przykro.

Nie rozumiała. W jednym ostrym słowie posłyszała nienawiść do samego siebie, beznadziejność — echo jej własnych słów — wieczna walka. By uciec od tego, od czego uciec nie można, by osiągnąć cel nie do osiągnięcia. Zostać kimś innym.

Powiedziała: — Nic nie szkodzi — aby tylko coś powiedzieć. Chwilowe uniesienie zniknęło, zostawiając po sobie gorzki posmak jej własnych klęsk.

— Zawsze będę twoim przyjacielem — zapewnił ją. Z pewnością, pomyślała. On jedyny wśród innych

mężczyzn. Biedny Anthony.

Odchodząc, pocałował ją przelotnie zapewniając, że zadzwoni. Zamknęła drzwi i powróciła do saloniku. Usia-

dła przy kominku na dywanie, tłamsząc poduszkę, kołysząc się. Zaczęła płakać, choć nie wiedziała, czy z powodu Anthony'ego, czy siebie samej, czy nad własną niedolą, czy ulgą, którą poczuła. . Michael załatwił detektywa w następnym tygodniu. Elsa była wściekła, gdy uparcie stał przy niej w czasie, gdy rozmawiała z tym facetem, ale starała się jak mogła, by nie pokazać tego po sobie. W przeciwnym razie Michael byłby z tego niezadowolony. Miała nadzieję, że nie zapyta o Anthony'ego. Jednak zapytał.

— Jak tam Tony?

— Tony? Och, Anthony...

— Wszystko w porządku?

— Tak, ma się świetnie. Ja też. Zresztą to nie twoja sprawa. .

Obecność detektywa położyła kres dalszej wymianie zdań. Był on niskim, krępy męczyzną około pięćdziesiątki, w ciasnym garniturze, z cieniutkim wąsikiem ledwo zarysowanym nad górną wargą. Gdy patrzył wprost na nią, mrugał okiem. Wyglądał jak przyczajony straganiarz, poszkodowany sklepikarz, emerytowany inkasent Nie sprawiał wrażenia ani uczciwego, ani nieuczciwego, ani gbura, ani eleganta. Nazywał się Herbert Mowie.

Elsa przedstawiła całą sprawę z najdrobniejszymi szczegółami i próbowała wyjaśnić, o co jej chodzi, czego żąda.

— Wszystko? — zapytał Mr Mowie, jakby to było coś dziwnego. — Chce pani wiedzieć o wszystkim?

— Dokładne dochodzenie — uzupełnił Michael, nieco znudzony. — Przeszłość i teraźniejszość.

— To będzie kosztować — odparł detektyw.

— Biuro zapłaci — wtrącił Michael.

— Dlaczego? — zachnęła się Elsa.

— Dlatego, że ja tak powiedziałem.

— To moje śledztwo — opanowała się i zwróciła do Mr Mowle'a. — Mnie pan będzie zdawał sprawę — rozkazała władczo, ale zabrzmiało to raczej jak przekora. — Dam panu adresy Knightsbridge i Churston Grange. Sądzę, że ona zostanie w Londynie, lecz pan musi jechać na wieś i dowiedzieć się przyczyn śmierci ojca. Moja stara ciotka wciąż tam mieszka. Pani Skerrit. Ona jest staruszką. Ma opiekunkę. Tam będzie też reszta służby.

— Więcej plotek ze wsi — odpowiedział Mr Mowie.

— Tak — odparła Elsa. — Mówią, że ona, moja macocha, ma przyjaciela. — Twarz miała bez wyrazu. — Chcę, aby była obserwowana cały czas. Cały czas.

— Drogo — wymamrotał Mr Mowie. — Co się tyczy jej przeszłości — ma pani jakieś pomysły? Jaka jest oficjalna wersja?

— Nie wiem — zawahała się Elsa — To znaczy, nie wiem, co powiedziała ojcu. Mnie mówiła, że była w Paryżu. Coś o facecie, który się zastrzelił — polityk francuski, tak mówiła. Ale mogła to zmyślić. To kłamczucha.

— Czemu do cholery nie sprawdziłaś tego wcześniej? — zapytał Michael, wyraźnie zirytowany. Elsa broniła się. — Nie myślałam o tym. Gdy wyszła za mojego ojca, nic więcej nie miało znaczenia. Cokolwiek zrobiła w przeszłości, nie było ważne. Poza tym miałam wrażenie, że ona kłamie. To osoba, która nie może żyć bez kłamstwa.

— Zapewne — odparł Michael, po czym spojrzał na detektywa. — To może być prawda. Nawet kłamcy czasami mówią prawdę — wtedy, gdy nie mówią nieprawdy. Proszę to sprawdzić.

Elsa i Michael obdarzyli się jak zwykle wzajemną nieżyczliwością. Michael czuł się zirytowany i niespokojny — wszystkiego po trochu; rzadko udawało się Elsie wyprowadzić go z równowagi i swój niepokój złożył na barki jej niemocy. Używał jej obsesji, by osaczyć jej umysł, oślepić ją jej własną krótkowzrocznością — ale podczas

spotkania z detektywem miał ochotę potrząsnąć nią parę razy i sprowadzić na ziemię, otworzyć oczy. Wydawało mu się to zbyt niebezpieczne jak na kogoś, kto widział zbyt mało, a czuł zbyt dużo, nieproporcjonalnie, jakby nagle olbrzymia góra zamieniła się w stos kamieni. Zastanawiał się, nie po raz pierwszy zresztą, co ją pchało w objęcia Anthony'ego Stallibrassa. Michael nie widział go nigdy, ale znał go z opowiadania — takie tam plotki dziennikarskie; powtarzał sobie, że owa namiętność Elsy jest kolejnym przejawem psychicznego dojrzewania, który i że wcześniej czy później musi umrzeć śmiercią naturalną. Jednak myśl ta nie dawała mu spokoju. Łatwo było się uśmiechać na myśl o Elsie żyjącej w nierealnym ubóstwie, jednak mniej zabawnie — myśleć o jej spragnionym wzroku wpatrującym się w twarz Anthony'ego. Być może gdyby wtedy spojrzała na swego ojca — nie odwzajemniona miłość została by nagle odwzajemniona i kto wie, jaki monstrualny wymiar mogłaby osiągnąć? Taka miłość mogłaby zmiażdżyć, gdyby powróciła, upewnił się cynicznie Michael. Był to ogień podsycany bólem. Elsa zmęczy się Anthonym, pochłonięta chęcią zemsty na Nicky — jedna obsesja stopniowo wykluczy drugą. Śmierć Ruperta wyzwoliła w niej zawiść, która pochłonęła jej całą miłość. Michaelowi nie podobało się to, ale służyło jego celowi.

W biurze czekała na niego koperta z napisem „Stallibrass”, dobrze znał jej zawartość. Ujrzawszy ją, poczuł się prześladowany, zmieszany, pełen wątpliwości.

W Knightsbridge Nicky siedziała na sofie w stylu Regencji — jak to zwykle czyniła każdego popołudnia od pogrzebu. Na stole leżał pilot telewizora, dwie książki i pudełko czekoladek. Lecz telewizor był zgaszony, książki sfatygowane, z oślimi uszami, a czekoladki ledwo ruszone. Bawiła się wieczkiem pudełka srebrzystym, ozdobionym srebrną różą, piękniejszą niż niejeden kwiat. Tego dnia pochodziła trochę po sklepach, czego dowo-

dem była nowa koktajlowa sukienka, niedbale rzucona na sofę — szyfońowa spódnica — krwistoczerwona mgiełka, a gorset wyszywany cekinami. Już widziała siebie w tej sukni, jakże odmienioną, nieskazitelnie biała skóra i kontrastujące z nią czerwonozłote włosy — jakże inną od tej kobiety w ponurym kostiumie oddanej wdowy, hołdującej czarnemu dostojeniu żałoby. Lecz gdzie były przyjęcia? Gdzie grajkowie? Gdzie muzyka, unosząca ją w tanecznym pląsie? Pragnęła powrotu do Paryża, piękna wdowa z majątkiem i nazwiskiem. Spędzająca noce w klubach, ubrana w zwiewne suknie, szykownie obwieszona błyskotkami mieniącymi się w bąbelkach szampana. Jej oczy były z diamentów, usta koralowe, ona to Nana, Angeliqne, Madame de Pompadour. Paryż leżał u jej stóp. Ale marzenia były marzeniami, została tylko nie noszona jeszcze suknia przerzucona przez sofę i szare popołudnie. Na zewnątrz resztki brudnego śniegu, stawały się brejowatą mazią. Niemal marzyła, by znaleźć się znów pod mostem, bez grosza, zupełnie wolna, twarzą w twarz z przygodą. Choć było to tylko pobożne życzenie, tak nierealne jak prawdziwy romans, to jednak poczuła się zażenowana. Rozejrzała się po pokoju, jakby w poszukiwaniu czegoś nowego, upewniając się, jak daleko zaszła, jak wiele osiągnęła. Jak długo nie zastanawiała się nad tym, wszystko wydawało się takie proste. Usilnie odpędzała każdą złą myśl, zabawiając się pilotem, kartkując książkę, powracając do przerwane go wątku swoich marzeń. Lecz myśli te nawiedzały ją, zniewalając umysł. Wyobrażała sobie życie jako nie kończący się ciąg spotkań, przyjęć, na które wślizgiwała się ukradkiem jak gość bez zaproszenia, używając sprytnych sztuczek, i z których ulatniała się wraz z wybiciem północy, jej mieniące się suknie zamieniały się w łachmany. Lecz tym razem, stwierdziła poruszona, tym razem nigdzie nie uciekała. Tym razem mogła chodzić z podniesioną głową, świadoma nienaruszonej godności — mogła dumnie kroczyć w swej

kiwistoczerwonej sukni, choć nikt na nią nie czekał, nie było w pobliżu żadnego przyjęcia. Jakaś przeszłość, jakaś przyszłość, jakieś koszty...

Dźwięk telefonu rozległ się tak nagle w cichym pokoju, że aż serce podskoczyło jej do gardła.

Podniosła słuchawkę za trzecim dzwonkiem. — Halo. Mało, Nikki — odpowiedział znajomy głos.

W mieszkaniu zjawił się dwadzieścia minut później. W prezencie przyniósł jej białe lilie.

— Kwiaty — oznajmił — dla pogrążonej w żalu wdowy.

Ostatni raz byli ze sobą owej pamiętnej nocy, ostatniej nocy Ruperta. Alex ulotnił się wczesnym rankiem, zanim gospodyni przyniosła jej tę mało istotną wiadomość: on zaś nic nie wiedział aż do wieczora, zanim kupił popołudniówkę. Rubryki zgonów prześcigały się w szczegółach, wywlekały na wierzch zapomniane właśnie kręgów artystycznych, zastarzałe skandale; lecz nikt nawet nie wspomniał, by owa śmierć była owiana tajemnicą, była zagadkowa. Mimo to Alex trzymał się na uboczu. Był ostrożny.

Zaproponowała herbatę. Wziął whisky. — Nalej sobie — uśmiechnął się szyderczo.

— O co chodzi?

— O nic, ślicznotko. Zupełnie o nic. Rupert był starym człowiekiem, był ciężko chory, umarł. To takie naturalne. A ty — ty jesteś młoda, piękna i bogata... i wolna. Mógłbym cię nawet poślubić. — Sącył whisky, nie śpieszył się.

— Nie wyjdę za ciebie — prychnęła Nicky — nawet gdybyś mnie poprosił.

— Nie prosiłem. — Podniósł ku niej kieliszek, uśmiechnął się, wypił. Ich oczy się spotkały, nie chcąc się zrozumieć.

— Naturalna śmierć — powtórzył Alex. — Zostawmy to tak. Bez policji, bez kłopotów. Tak wygodniej. O wiele czyściej, niż to było z biednym Montadorem.

— Theo sam się zastrzelił — krzyknęła Nicky wyprowadzona z równowagi. — Wiesz, że to prawda.

— Oczywiście.

— Oczywiście.

— Nie martw się. — Jego prowokacyjny ton zmienił się w delikatny i nonszalancki. — Jestem twoim przyjacielem, nie narobię ci smrodu. Zawsze byliśmy kumplami, prawda? Będę milczał jak grób.

Cisza przedłużała się niepokojąco.

— Wiedziałaś o pigułkach — dobitnie wycodziła Nicky. — Znałeś ich działanie i skutek. Ty, nie ja.

Byłeś tam i wiedziałeś, co zrobić. Byłeś tam, gdy on umarł.

Słowa te, wreszcie wypowiedziane głośno, rozbrzmiały niczym echo napawając strachem. Po raz pierwszy trzeźwo spojrzała na Alexa i dojrzała na jego twarzy grymas szatańskiego uśmiechu, żółtą, wykrzywioną bólem maskę.

— Obydwoje tam byliśmy — powiedział wolno, akcentując każde słowo. — Obydwoje wiedzieliśmy. Każde z nas.

Nawet nie zaprotestowała. Pochmurny zimowy dzień szybko zmienił się w wieczór, a Nicky nie zapaliła światła; jedynym kolorowym akcentem w szarym pokoju była koktajlowa suknia, wciąż niedbale leżąca w tym samym miejscu. Patrzyli na siebie w milczeniu, niczym dwa nieruchome posągi.

Zapytał: — Czy następnego ranka fiolka była pusta?

Nicky i tak wiedziała, do czego zmierza. — Kiedy znalazł ją pielęgniarz, była prawie pełna. Taka, jaka być powinna.

— Co z nią zrobiłaś?

— Wyrzuciłam ją.

Alex poruszył się. Szybki nieporadny gest. Złapał za whisky i opróżnił szklanekę stwierdzając dobitnie:

— Tak było. Wszystko skończone. Rupert umarł, został pochowany i nie zmartwychwstanie jak Łazarz, żeby nas oskarżyć. Pomówmy o innych sprawach. Co teraz zrobisz?

Sprzedam to, tak myślę. Wstała i zapaliła światło, nastrój od razu się zmienił, kolory ożyły. Sprzedam i wyjadę. „Z wdziękiem”, ale już nie powiedziała tego głośno.

— Nie ma pośpiechu — odparł. — Najpierw powinnaś pozbyć się tej starej kobiety.

— Pozbyć się?

- Oddaj ją do domu starców. Przecież nie możesz sprzedać domu z lokatorem. — Znów ta drwiąca, uszczypliwa kpina. — Nie masz się czego bać, Nicky. Jest po prostu starą zdziwaczalą kobietą. Nikt jej nie będzie słuchał.

— Któż by jej słuchał? — zapytała, mimowolnie przeczesując palcami włosy. — Ona gada bzdury.

— A co z resztą rodziny? — chciał wiedzieć Alex. — Ta córunia uwielbiająca ojca — może sprawić kłopoty?

Nicky wzruszyła ramionami, nie tak po francusku, przesadnie, lecz był to naprawdę nagły gest niepewności. Pamiętała Elbę przesywającą ją wzrokiem nad grobem i jej prawie bezgłośny szept „Morderczyni...” Zdarzały się chwile, gdy myślała, że gdziekolwiek ucieknie, cokolwiek zrobi, ów szept podąży za nią, głos prawie niedosłyszalny, na granicy strachu. Budziło w niej to grozę, odrazę, gorączkowe podniecenie, ale skrywała to przed Alexem. I tak wiedział już zbyt dużo.

— Ona chce pieniędzy — poinformowała. — Nie potrzebuje ich, ma szaloną forszę — ale chce je mieć. Może wytoczyć mi proces.

— Z pewnością, ale nie za to.

Nicky zacisnęła z determinacją pięści. — Ona ich nie dostanie.

— *Le bon Greenbaum* już tego dopilnuje — przyrzekł Alex. — Możesz mu zaufać.

— Jak bardzo?

Niespodziewanie po jego twarzy przemknął demoniczny, mrozący krew w żyłach uśmiech — Tak jak i mnie.

Wstał, nalał sobie szkockiej i poszedł do kuchni po lód. Siadając ponownie w fotelu, wskazał na sukienkę — Co to jest? Ucieczka? Zwycięstwo? Żałoba?

Było zbyt wcześnie na tryumf i zbyt późno na uciezkę.

— Żałoba — odparła Nicky.

Za sprawą detektywa napływały do Elsy — telefonicznie lub pocztą — wciąż nowe informacje, wręcz szokujące swoją pikanterią i niesamowitością. Dowiedziała się kilku cennych szczegółów z dzieciństwa Nicky,

O obecnej sytuacji jej matki, o utarczkach z policją. Dowiedziała się o politycznej karierze Montadora, o oficjalnych i nieoficjalnych przyczynach jego śmierci. Herbert Mowie przysłał jej kopie wycinków prasowych i nawet zdjęcia Isabelle, a ona studiowała je, wyciągała błędne konkluzje, dopasowywała, składała jak dziecko bawiące się układanką przekraczającą jego możliwości. Dowiedziała się, że pielęgniarz Ruperta był wręcz chorobliwie zakochany w swojej pani i wierzył, że śmierć Ruperta była dla niej Bożym wybawieniem, że ciotka Grizzle owej nocy wydostała się ze swego pokoju i krążyła po domu, niczego prawie nie rozumiejąc lub rozumiejąc bardzo niewiele. Dowiedziała się też, że lokalna plotka ma dwa źródła — wśród popleczników nieszczęśliwej wdowy oraz wśród lojalistów, uznających odwieczną krzywdę biednej córki.

Może po miesiącu Herbert Mowie poprosił Elsę o spotkanie u niej, twierdząc, że ma coś szczególnego. Być może dlatego, że biuro płaciło mu honoraria, poprosił również i Michaela. Elsa postanowiła nie sprzeciwiać się temu. W czasie ostatniego tygodnia spotkała się z Anthonym dwa, a może trzy razy; od owej sceny miłosnej, która skończyła się fiaskiem, wydawał się jej jeszcze piękniejszy, jeszcze boleśniej niedostępny niż kiedykolwiek. Nie miała potrzeby zawracać sobie głowy Michaeliem.

Nie była typem człowieka, który zwykle spostrzega

takie drobiazgi, ale nagle wydało się jej, że wygląda na bardzo zmęczonego. Jego postarzała twarz jeszcze bardziej zszarzała, oczy miał podkrążone. Przy pracy rękawy miał podwinięte — dojrzała mocno zarysowane mięśnie, tętnice i żyły, jakby był w ciągłym napięciu. Rozluźnił ręce, rozprostował palce — nie były to długie, stożkowate palce artysty, lecz grube, stwardniałe paluchy, ubabrane atramentem, zżyte z deską kreślarską, podobne wychodzącym spod nich projektom. Uświadomiła sobie nagle, że nie ma pojęcia, jak wyglądają ręce Anthony'ego. Nie miała jednak wątpliwości, że jest mężczyzną, którego palce są długie i smukłe jak u artysty; miał to zapisane w gwiazdach.

Michael rzekł: „Cześć”, ona rzekła „Cześć”, a Herbert Mowie zamrugał i zaczął zdawać relację. Praktycznie nie było szans na udowodnienie morderstwa, tak twierdził. Oczywiście zaczął od najgorszego. — To bardzo prawdopodobne — oświadczył. — W tym jednak cały problem. To wydaje się zbyt proste. Mogła zwiększyć dawkę digoxinu w przeciągu trzech czy czterech tygodni lub straciła głowę i któregoś dnia przedawkowała. Tabletki zmiksowane w jedzeniu, rozpuszczone w jakimś płynie — lub po prostu mógł pod jej naciskiem połknąć je, potulnie jak baranek. Chorzy ludzie czasami tak się zachowują. — Z powątpiewaniem pociągnął nosem, prychnął jak węszący zwierz. — We krwi nic nie zostało — kontynuował. — Żadnych śladów zabójstwa. To sprawa jego serca. Tak powiedział lekarz.

— Zażądałam sekcji — powiedziała Elsa — ale oświadczone mi, że to bez sensu.

— Zbyt proste — powtórzył detektyw. — To zbrodnia mordować tak prosto. Pokusa. Wydaje mi się, że ona żywi się pokusą, ta pani Van Leer.

— Dowiedział się pan czegoś o tym chłopaku? — zapytała Elsa. Gdy to mówiła, gardło jej się ścisnęło, chociaż wiedziała, że jej strach nie ma podstaw.

Pan Mowie skinął głową, trzepocząc powieką jak motyl skrzydełkami. — Śledziłem go do jej mieszkania. Jest Francuzem — jakimś znajomym z czasów Paryża, tak myślę. Nazwisko Alexandre Fauvelle. Sprawdziłem go od innej strony, kupa gnoju. Podejrzany o naciąganie. Zabił kogoś, jadąc na motorze; był zbyt młody na prawo jazdy. Bogaty tatuś nie chce go znać; wywalili go z domu, gdy miał osiemnaście lat. Kupa pieniędzy nie wiadomo jak zdobytych. Mam wiadomości, że mieszka w jednym z tych pstrokatych slumsów, wśród galerii i restauracji. Ma własne mieszkanie. Nie znam osobiście Paryża dość dobrze, lecz prawdopodobnie jest ono kosztowne.

— Czy on jest śniady? — zapytała Elsa głosem tak dziwnym, że Michael spojrział na nią zaskoczony.

— Czarne włosy. Czarne oczy. Ziemista cera. Niezbyt wysoki, raczej brzydki jak na mój gust, ale kobiety za takimi latają. — Mówił z nutą przekory w głosie, lecz Elsa zignorowała tę osobistą wycieczkę we własne życie.

— Czy on to mógł zrobić? — zapytała Elsa. — Był tam — w Churston — tej nocy?

— Może. Ogrodnik mieszka przy drodze — pamięta warkot motoru wcześniej rano. Fauvelle tam parkował. Zatrzymał się w jakimś nędznym pokoju w Londynie. W okolicy marketu. Może się złamać. Może być niebezpieczny. Mogą być razem — lub osobno. Może ją szantażować. Nie powinniśmy uważać, że szantaż jest bardziej w jego stylu niż morderstwo, z Francuzem nigdy nie wiadomo. — Na szczęście powrócił do sedna sprawy. — Nigdy pani tego nie udowodni. Nawet tysiące detektywów, szperających latami, nie wniosą nic nowego. Ona jest winna cudzołóstwa, ale to nie znaczy, że jest winna czego innego. To tylko pozwala w niej widzieć winną. Jeżeli chodzi o niego, jest ostrożny. Zwinny jak wąż. — Dodał, zupełnie niepotrzebnie: — Nie znoszę Francuzów.

— Czy to wszystko? — zapytał obcesowo Michael.

— Niezupełnie. Zachowałem na koniec najlepszy kasek. Mam coś z Paryża. — Przerwał, podkreślił wąsa, po czym ciągnął: — Prawdopodobnie wyszła tam za męża. Nie Fauvelle, ktoś inny. Było całe mnóstwo mężczyzn w życiu tej całej pani Van Leer. Ten jest Włochem. Wrócił do Mediolanu, zostawiając jej mieszkanie. Mam gdzieś jego adres. — Poszperał we wszystkich kieszeniach i wyjął zmięty zwitek papieru. — Jest. Stephane Maglioli — Zabrzmiało to jak Maggy — łowiły., — Rzecz w tym, że nigdy się nie rozwiodła.

— Co? — z trudem wyrzekła Elsa.

— Żadnych śladów ani we Francji, ani we Włoszech. Ani tutaj. Musimy z nim porozmawiać, to oczywiste, ale najpierw chciałem powiadomić was o tym. Jeśli to prawda — no cóż, pani ojciec nie był żonaty, więc nie ma żadnej wdowy do spadku. Jest pani jedyna. Nie może pani powiesić ją za morderstwo, lecz może pani oskarżyć ją o bigamię.

Michael parsknął śmiechem — był to specyficzny śmiech. Elsa jedynie starała się uśmiechnąć. Nagły rumieniec oblał jej twarz — na szczęście miała makijaż, była opanowana.

— Jak złapanie Al Capone za jego szachrajstwa podatkowe — podsunął Mr Mowie.

— Dobra robota, Eliot — powiedział Michael i podniósł się z krzesła. — Jeśli to wszystko, wracam do biura. Panna Van Leer zabierze ten adres, a ja prześlę na pańskie konto honorarium.

Elsa odprowadziła go do drzwi. Zatrzymał się na progu darząc ją nieprzychylnym spojrzeniem, usta zacisnęły mu się, gdy wypowiadał te słowa, których nigdy nie miał zamiaru wypowiedzieć. Mówił miękko, lecz jego głos był szorstki. — Powiadom prawników. Mayhew wszystko załatwi. Wróć do swego życia. Wróć do cholernego Ant-hony'ego, jeśli tylko chcesz. Nie zajmuj się morderstwem, którego nigdy nie udowodnisz. Teraz możesz ją zgnoić: nie

otrzyma zdobyczy, dla której go zabiła — jeśli go zabiła, co nie jest pewne. Niech sąd to dokończy. Zostaw Nicky w spokoju.

— Ja się z nią podzielę — powiedziała Elsa — po swojemu, możesz mi wierzyć.

Michael zawahał się. Miedzianą zasuwą zabarykadowała za nim drzwi. Już w chwilę potem zastanawiała się, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby został. Ale miał projekt na desce, spotkanie z klientami za pół godziny. Odszedł.

Wróciwszy do pokoju, Elsa studiowała świstek papieru z adresem Stephanego.

— Wiele zależy od ostatniej woli Sir Ruperta — mówił Mr Mowie. — Moja żona, Nicola, to niezłe ziółko. Właśnie Nicola może zapewnić jej wpływy w sądzie. Lecz pani Van Leer nie ma żadnych pieniędzy: jeśli będzie walczyć za wszelką cenę, nie będzie w stanie zapłacić. W każdym razie może iść do więzienia za bigamię. Wpakuje się w niezłe tarapaty, to pewne.

Elsa nie słuchała. — Skontaktował się już pan z tym mężczyzną?

— Jeszcze nie. Pomyślałem, że najpierw powiem pani. Możemy mieć jego zeznanie w tym tygodniu.

— Nie — ton Elsy go zaskoczył. — Ściągniemy go tutaj.

— Tutaj?

— Proszę mu powiedzieć, że mam coś dla niego. Tak się chyba mówi, czyż nie? Jeśli nie jest bogaty. A chyba nie jest, prawda?

— No cóż...

— Jeśli byłby bogaty, nie puściłaby go tak łatwo. On jest biedny i pazerny. On musi taki być.

Sprowadź go tutaj. A... bilet na mój koszt, nie agencji. — Jej palce zacisnęły się na tym skrawku papieru, chowając go skrzętnie niczym klucz do skarbcza. — Ja z nim porozmawiam.

Zadzwoiła do biura przed wizytą w nowym budynku Cable Star, starając się nie rozmawiać z Michaeliem. Wpadła na chwilę, powiedziała. Bądź co bądź, agencja dostarcza jej pewnych dochodów i czuje się chociaż w części odpowiedzialna za to wszystko. Nie, nie chce przewodnika. Po prostu chce się rozejrzeć.' Nie miało żadnego znaczenia, gdyby się o tym dowiedział, dobrze, że nie należał teraz, aby jej towarzyszyć.

Był to projekt zabudowy portu zaczęty przez Ruperta jeszcze przed jego atakiem — finalizacja spoczywała na barkach Michaela. Dla niego był to projekt życia i śmierci. Wywarł wrażenie na kliencie, powinien też wyrzucić je na całym świecie, aby udowodnić, że firma Ruperta może przetrwać też bez swojego mistrza, a on jest kimś więcej, niż tylko legalnym następcą myśli Van Leer. Widząc to po raz pierwszy, Elsa była zażenowana. Od razu stanął jej przed oczyma tamten obraz — ona na szczycie South Bank owej nocy rozmyślająca o samobójstwie. Zupełnie podświadomie oczekiwała czegoś podobnego do wieżowca Technico, bezkompromisowych pociągnięć, zygzakowatych schodów, jednolitych okien. Zamiast tego zobaczyła długą, wygiętą fasadę z wklęsłym dachem zapadającym się ku środkowi, a wznoszącym się na krawędziach ku zwieńczającym go wieżyczkom — nie ostrym, strzelistym wieżyczkom wdzierającym się w niebo, lecz harmonizującym z linią horyzontu. Olbrzymie okna i szerokie sklepienie wejście — gapiała się na to nieprzytomnie dobrych kilka minut, zanim uświadomiła sobie prawdę. Nie było w tym ani odrobiny z jej ojca. To był cały Michael, tylko Michael. Szkice jej ojca z pewnością zmięto i wyrzucono do kosza już dawno temu, w momencie gdy paraliż po raz pierwszy dał znać o sobie. Trzęsła się cała z gniewu i wściekłości zarazem. *Et tu, Brute?* wyszeptała z goryczą, myśląc jednocześnie, że nigdy nie ufała Michaelowi, nigdy nie wierzyła w jego lojalność. W tym momencie uznała ten budynek za akt zniszczenia: zniszczenia Ruper-

ta Van Leer. A Michael i ją w to też wplątał. Posiadł nie tylko jej ciało, lecz także duszę, wdzierając się w jej uczucia, okradając ją z ojca. To była ostateczna zdrada — zdrada, w którą ona także była wmieszana, bez swej wiedzy, wbrew własnej woli. Ból rozdzierał jej serce. Dopiero później przypomniała sobie, po co tu przyszła.

Nicky zjawiła się na spotkanie w sobotę około drugiej. Brama zabezpieczająca wejście była otwarta; za nią rozkopana ziemia; deski kołyszące się pod stopami; olbrzymie sterty gruzu i zwały bloków, dziwaczne długie metalowe zwoje i tuby, tu i ówdzie porozrzucane gruszki cementowe niczym skamieniałe dinozaury. Przed nią wyrastał budynek, olbrzymi łuk dachu rysował się na tle jasnego nieba. Mijając odcinek wciąż jeszcze opleciony rusztowaniami doszła do wejścia, zatrzymując się na chwilę na schodach, by zajrzeć przez nie oszklone jeszcze okno do wnętrza — ujrzała szkielet nie kończących się pokoi i płaszczyzn gipsowych, szarych, nie pomalowanych ścian. Ani śladu życia. Cienisty pasaż wiał chłodem; poniżej były otwory drzwiowe bez drzwi, schody bez stopni, pasaże splatające się ze sobą, wszystko identyczne, wszystko wypełnione takim samym chłodnym powiewem; z trudem przedostawało się tam światło słoneczne, bardzo blade, niczym w labiryncie. Ruch uliczny prawie tu nie docierał, jedynie jakieś stłumione odgłosy w tle; Nicky miała wrażenie, że odgłos jej kroków odbija się echem w bezkresnej głębi schodów, przecierając dla niej ślad po nietkniętej ludzką stopą płaszczyźnie. Gdyby ktoś tu był, pomyślała, z pewnością usłyszałabym go. Usłyszałabym jego oddech. Ale to był tylko stukot jej nowych szpilek, szelest skórkowej torebki i łomot jej serca.

Wspięła się na sam szczyt, siedem pięter nad ziemią. Obróć się w prawo, mówił głos w telefonie, i idź naprzód. Nie rozpoznała głosu; był zbyt przytłumiony. Prawdopodobnie chusteczka do nosa — czytała o tym. Żadnych

pogrózek i przytyków; tylko instrukcje. „Przyjdź”. Nicky przyszła. Ciekawość, fascynacja, strach, wszystko się w niej mieszało. A teraz nie było tu nic, jedynie ta osobliwa przestrzeń, wielka muszla podziurawiona otworami, przez które dostawało się zimno, promienie światła i głosy z oddali. Weszła do wielkiego pokoju z trzema smukłymi oknami sięgającymi od podłogi aż do sufitu; na zewnątrz dostrzegła misterne rusztowanie odcinające zmierzch popołudnia. Ten pokój był ciemniejszy od pozostałych, był cały w cieniu. Zatrzymała się na chwilę, jakiś hałas, nie do rozszyfrowania, dobiegł jej uszu. Ale była prawie pewna, że jest sama, zupełnie sama.

Postać mężczyzny pojawiła się nagle, bez ostrzeżenia w trzecim oknie. Wiedziała, że czekał na nią, przyszedł tu, by ją odnaleźć, tak jak i ona — by odnaleźć jego, lecz jednak był to szok. Pod światło niepokojąco majaczył czarną bezkształtną postacią. Podeszła do niego, by lepiej dojrzeć, ciekawa, co będzie dalej. Czegokolwiek oczekiwała, to nie było to. Facet około trzydziestki, tęgawy, obciste dżinsy opinające uda, panterka marszcząca się na brzuchu. Tłusta szyja zamazywała linię podbródka — twarz pełna i nadąsana, gęsta czupryna skręcona trwałą ondulacją prosto od fryzjera.

Podświadomie wiedziała, że ma brudny kołnierzyk. Zarozumiały pyszałek. Jej strach zniknął. Dzieliło ich kilka kroków, gdy go rozpoznała.

Wyszeptała z niedowierzaniem: — Steph?

Oczywiście. Znajoma pyszałkowatość, zmysłowe usta, brudny kołnierzyk, te same oczy z długimi rzęsami, brązowe, teraz trochę podpuchnięte. Przyglądając się jego fryzurze pomyślała: starał się. Wiedziała dobrze, jak potwornie życie może obejść się z człowiekiem przez te kilka lat, odczuła ulgę, że nie przyszła tu po to, by to oceniać.

Powiedział: — Wyjedźmy stąd.

— Dlaczego? — Wsparła rękę w rękawiczce o framugę okna. Poczowała się drobna i elegancka przy jego potężnym cielsku. — Co ty tu robisz? Po co to wszystko?

Rozejrzał się nerwowo, chociaż i tak nikogo nie było. Potem wpatrywał się w Nicky ze złością i podziwem zarazem.

Powiedział: — Dobrze zrobiłaś.

Przysłoniła policzek futrzanym kołnierzem, naśladując ruchy Grety Garbo z jakiegoś filmu. Mogła się domyślić, co mu chodziło po głowie. Porzucił ją, a teraz za wszelką cenę chciał ją odzyskać. Lecz to było niemożliwe.

Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, lecz* ręka cofnęła się, jak gdyby rażona dziwnym blaskiem.

— Zmieniłaś kolor włosów — powiedział, doszukując się w niej wad. — Wolałem blond.

— Tak? — Było jej wszystko jedno.

— Jesteś... zupełnie inna.

— Ty także.

Słowa te wymknęły się jej zbyt szybko, nie zdążyła ukryć goryczy. Okrutna prawda. Odskoczył, jakby go uderzyła. Ujrzała cień urazy na jego twarzy — jego usta wyrażały rozdrażnienie i złośliwość zarazem.

— Nie poślubiłem pieniędzy. Nie wcisnąłem się na siłę w *la dolce vita*. Godziwa zapłata za godziwą pracę. To może nie jest zbyt dużo, ale w końcu nie jestem płatną dziwką!

— To nie takie złe — odcięła się Nicky. — Mnóstwo piwa i spaghetti. Po twoim okazałym brzuszku widzę, że niewiele używałeś swojego ptaszka przez te lata — zresztą to nic nowego.

Zacisnął usta: wyglądał śmiesznie i tragicznie zarazem. Opanował się, strzelając na boki oczami, czy przypadkiem ktoś nie widzi jego zawstydzienia. Odparł: — Nie przyszedłem tu po to, żeby się z tobą kłócić. To wszystko przeszłość. Jeśli nie potrafiłaś mnie podniecić, to twoja wina. Może lepiej ci szło z twoim następnym mężem. — Jeśli nawet słowo „mąż” wypowiedział z naciskiem, to Nicky tego nie zauważyła. — Przyszedłem tu, by pogadać o interesach.

— Oj, o jakich interesach?

Powtórzył rozmyślnie: — Dobrze zrobiłaś.

— Miałam szczęście.

— *Si.* — Prawie syknął. — Ty miałaś szczęście, a ja szczęścia nie miałem. Być może — być może nadszedł czas, abyś się nim podzieliła.

Tego właśnie się spodziewała. Szantaż. Ale po doświadczeniach z Alexem Stephane był dziecinną zabawką. — Co powinnam zrobić? — zapytała lodowato. — Rupert nie żyje. Nic mu nie możesz powiedzieć. Spóźniłeś się — dodała lekceważąco. — Przykro mi, Steph.

— Wiem, że nie żyje — poruszył się niecierpliwie. — Nie jestem głupcem. Wiem, co się dzieje. On nie żyje, a ty odziedziczyłaś cały majątek.

— Tak.

— Jako wdowa po nim.

— Tak.

Na jego usta powoli wypełził demoniczny uśmiezek. — Tylko że ty nie jesteś wdową. — Uśmiechnął się od ucha do ucha. Moment zwycięstwa. Niewiele ich zaznał w swoim życiu. Delektował się nim jak smakiem kawioru. — Nigdy przecież nie rozwiodłem się z tobą. Gdy go poślubiłaś, popełniłaś przestępstwo. Jesteś przestępcą. Może popełniłaś następną zbrodnię, kiedy on tak sobie umierał.

Wszystko na nic. Wystarczy, że się ujawnię, a wtedy wszystko na nic.

Długi czas stała bez słowa. Myśli kłębiły się w jej głowie, lecz przy tym wiedziała, że musi pamiętać o jednym: nie wolno jej stracić panowania nad sobą. Grunt usuwał się jej spod nóg, a ona musiała stać spokojnie, opanowana, trzeźwo myśląca. Trudno jej to przychodziło, tak naprawdę wcale nie mogła myśleć.

— Nie rozumiem... Powiedziałaś, że postarasz się o rozwód — napisałaś w liście.

Nigdy nie dostała od niego żadnego listu. Starając się o rozwód musiałyby podpisać jakieś papiery, załatwić

formalności. Myślała, że to skończone, i zapomniała o tym zupełnie.

— Powiedziałem ci już — wzruszył ramionami. Był zupełnie rozluźniony, niedbale opierał się o metalową barierkę. — Nie zawracałem sobie tym po prostu głowy.

Co ja mam zrobić? myślała gorączkowo. Co ja mam zrobić? Widziała tysiące możliwości — pan Green-baum — Alex.

Alex jej nie zawiedzie. Jeśli mu się to opłaci.

Zapytała: — Ile?

— To zależy. — Łatwo wczuwał się w rolę szantażysty. — Chcesz być bogatą wdową. Ja chcę być tylko bogaty. Rozumiem, że Sir Rupert zostawił ci kupę pieniędzy.

— Ile?

Zignorował jej pytanie. Myślał nad dłuższą gadką, dobrze wyreżyserowaną. Dobierał każde zdanie. Jakkolwiek lepszy był we francuskim, to jednak rozmawiali po angielsku: Nicky nie zastanawiała się, dlaczego. — Wiele zrobiłaś, by dostać to, czego chciałaś. Doskonale wybrana chwila na śmierć twego męża — twego męża, który nie był twoim mężem. Mówią, że był inwalidą, a ty dawałaś mu lekarstwa. Podawałaś mu lekarstwa każdego wieczora. Zbyt dużo lekarstw może stać się trucizną. Mówią...

— Kto mówi? — Jej długie paznokcie pomalowane na srebrny kolor wczepiły się w futro. Rzeczy zmieniły bieg: pojawiło się coś strasznego, coś, co nie było jej obce. Widziała przed oczami potworne sceny niczym z tragicznego snu, układające się bez ładu i składu; panika i strach. — Kto tak mówi?

— Nikt. — Stephane wzdrygnął się; jego odpowiedź była zbyt szybka. — Wszyscy. Mówiłem ci, że nie jestem głupi. Czytam gazety. Śledzę skandale. Mogę zgadnąć. Wszyscy mogą się domyślić.

Stał przy niej bardzo blisko i nagle poczuła zapach jego potu. Zdziwiło ją to, bo przecież było tak zimno. Ale on zawsze łatwo się pociał.

Znam cię - mówił dalej. Chcesz pieniędzy — pamiętam, mówiłaś tylko o tym, gdy się poznaliśmy. Marzenia i pragnienia. Nie takie zwykłe pieniądze — lecz kupa forsy. Chciałaś być cholernie bogata. — Jego własna zawiedziona pazerność przebijała w każdym słowie. — Gdybyś nie mogła ich zdobyć sama, wymyśliłabyś coś — albo zabiłabyś, prawda, Nicky? Był starym, schorowanym człowiekiem i ty go zabiłaś, zabijałaś powolutku. Wywołałaś u niego atak i doprowadziłaś go do śmierci. Tak było, Nicky?

Nie mogła w to uwierzyć, ale widziała w jego oczach strach, jakby to oskarżenie przyprawiało go o obłąd. Pochwyciła to — tonący brzytwy się chwytła.

— A jeśli nawet? — Z rozpaczony brnęła na oślep. — Nikt nie może tego udowodnić. Nikt niczego nie może udowodnić. — Po czym rzuciła znowu: — Ile chcesz? Przełknął: — Jeśli morderstwo jest coś warte, to jest warte bardzo dużo, nieprawdaż?

Czekała.

Wyciągnął podłużną kopertę spod panterki. — Nasze świadectwo ślubu. Proszę bardzo.

W całym zamieszaniu, chaosie myślowym, uznała to za moment wybawienia. Zapomniała, że istnieją inne dokumenty ślubne, inne papiery. Wydawało się jej, że jak tylko dorwie ten świstek i podrze go, już będzie wolna. Wyciągnęła rękę: — Daj, zobaczę.

Nie mogła pojąć, co się później wydarzyło. Wyrwał kopertę. Ona rzuciła się na nią. Nagle w jakiś sposób straciła równowagę, poślizgnęła się, upadła chwytając się jego kurtki, ciągnąc go za sobą. Kotłowali się, mocując, próbując się podnieść. Miał nad nią fizyczną przewagę, lecz ona chwyciła kopertę, kopała chcąc wyzwolić się od niego. Przeklinał pod nosem, a jego oddech był gorący i nieświeży. Pchnęła mocniej. Jego ciało nagle przetoczyło się pod balustradą i runęło na ziemię, przedtem usłyszała jego straszliwy krzyk, ujrzała jego prosiące ramię. Potem już go nie było. Nie było.

To zdarzyło się tak szybko, że nie mogła się pozbierać.

Gwałtownie ucięty krzyk. Łomot. Cisza. Próbowwała usiąść, cała się trzęsła. W jej ręce była koperta. Futerko miała skołtunione, na pantofelku widniała rysa. Mdliło ją. Upłynęło wiele czasu, zanim jej tętno wróciło do normy. Podczołgała się do krawędzi i spojrzała w dół: Na szczęście niewiele było do zobaczenia. Ciało z pewnością zawadziło o bloki ściągając je za sobą. Stąd ten łomot. Wystawały tylko nogi i kawałek kurtki. Nicky wrzasnęła: — Steph — choć wiedziała, że jej nie odpowie. Mówiła do siebie raczej spokojnie — lecz jej własny głos był dla niej krzykiem, kurczyła się na sam jego dźwięk. Ale to było tylko echo błędzące po pustym budynku. Nic się nie ruszało. Nikt nie nadchodził. Z trudem podniosła się i stanęła na nogi chowając dokument do torebki. Musi znaleźć się w domu, zniszczyć dowody — pozbierać się. Poprzysięgła sobie, że w żadnym wypadku policja nie może wiązać jej ze Stephanem, w każdym razie nie teraz. Ktoś może znaleźć ciało — zostanie w porę zidentyfikowane i opisane. I to będzie koniec. Strach jednak nie dawał jej spokoju; wlokła się na dół po schodach, przywierając do ściany. Wreszcie puściła się pędem przez otwartą przestrzeń, nie bacząc, w którą stronę biegnie. Dopiero gdy była już kawał drogi od budowy, rozluźniła się nieco i zaczęła rozglądać za taksówką.

W pokoju poniżej tego, w którym Nicky spotkała się ze Stephanem, nadśluchiwała Elsa, aż do momentu, gdy kroki Nicky oddaliły się zupełnie. Magnetofon leżał na parapecie w rogu; nie używała go wcześniej i nie wiedziała, czy dobrze działa. Po chwili wyłączyła go. Czuła ostry piekący chłód w całym ciele. Jej plan to amatorszczyzna, pomyślała, raczej optymistyczny niż skazujący: wszystkiego by się spodziewała, ale nie tego. Nie tego. Ostatecznie, pchana wewnętrzną siłą, wdrapała się na rusztowanie, wychyliła i spojrzała w dół.

Ona także odeszła nie dając znać na policję.

Tego wieczoru Nicky spakowała się i opuściła Londyn. Nie chciała być w pobliżu, gdy znajdą ciało Stephanego: nie chciała nawet widzieć maleńkiej fotografii w „Standard” i usłyszeć wzmianki w lokalnych wiadomościach. Chciała wyrzucić to ze swej pamięci, wyrzucić ze swego życia. Pojechała do Churston, bo nie miała innego wyjścia.

Niedziela była szara i wilgotna, ponury wiejski dzień. W domu były tylko przeciągi i nuda. I ciotka Grizzle, zwieziona na dół przez swoją pielęgniarkę, by sobie mogła pooglądać telewizję. Nicky czekała na telefon, mając nadzieję usłyszeć Alexa: niestety, nie zadzwonił. Zdesperowana, poszła na spacer. Nicky nie była entuzjastką wiejskich spacerów, ale w Churston Grange niewiele było do roboty. A może, jeśli wyjdę, to zadzwoni Alex, pomyślała sobie. Cholerne prawo. A wtedy, gdy wrócę, będzie czekała na mnie jakaś wiadomość czy numer telefonu. Potrzebowała kogoś, komu mogłaby się zwierzyć — komu mogłaby zaufać. Niechby to był nawet Alex.

Resztki śniegu już stopniały, a na niebie wisiały ciężkie chmury zwiastujące deszcz. Pagórki były brudnozielone, a nagie drzewa — brudnobrązowe. Wszystko ociekało wilgocią. Nicky pomyślała o greckich zielonych wysepkach rozrzuconych po szmaragdowym morzu, o wypalonych słońcem złotych wzgórzach, purpurowych wieczorach i zapachu kurzu. Zapadała się w świat wspomnień: odrzuciła to, co sprawiło jej zawód — strach, brak gotówki — przywołując jedynie nie kończące się lato. Cały świat był pełen wysp, wieczorów, słonecznego lata. Po raz setny chyba uspokajała się. Wszystko będzie dobrze. Nie ma żadnych śladów mojego związku ze Stephanem. Żadnych. Ale panorama wysepek rozmyła się, a na ziemię sprowadził ją rześisty deszcz. Bez celu szła w kierunku Domu Stallibrassa, lecz zdecydowała się zawrócić, mając już połowę drogi za sobą. Lało jak z cebra — jej szeroka peleryna byłaby dobra raczej dla żony Cesara — tutaj nie stanowiła żadnej ochrony. Lodowate krople deszczu wpadały jej za koł-

nierz, wiatr szarpał włosy, ciskał je na policzki — przylepiały się do pomalowanych ust. Gdy usłyszała za plecami warkot silnika, odsunęła się nieco na bok. Samochód zajechał jej drogę i zatrzymał się: staroświecki mini nie był jej obcy. Szyba po stronie pasażera opuściła się na dół i wyrzuciła twarz, o jakiej śniła na jawie. — Wsiadaj — zawołał Anthony Stallibrass — podrzucę cię. Wsiadła. Gdy tak jechali, uprzytomniła sobie, że po raz drugi przyłapał ją przez zaskoczenie, nie przygotowaną na spotkanie. Teraz wyglądała jak zmokła kura. Anthony również miał wilgotną czuprynę — kropelki deszczu lśniły w skrzyconych lokach i na sfatygowanej kurtce, lecz nawet to nie przyćmiło jego blasku — blasku ciepłego, kojącego ognia ogrzewającego zimny dzień. Myślała, czy by go nie zagadnąć, zapytać o coś z jego dziedziny, co mogłoby go zafascynować; niestety, nic takiego nie przychodziło jej do głowy.

Zapytał bardzo grzecznie: — Na weekend? — a potem, gdy przytaknęła: — Masz zamiar zamieszkać w Churston?

— Nie. Nie, sprzedam to. Powinna była już dawno coś z tym zrobić, ale... wciąż wydaje mi się, że jest jeszcze za wcześnie. Poza tym jest tam jeszcze Ms Skerrit.

— Ms Skerrit? Och, ciotka Grizzle. Tak ją nazywały bliźniaczki. Grizzle — jako zdrobnienie imienia, i Grizzle — zrzęda, bo taki miała charakter. Nic do niej nie mam, ale nie sądzę, by była odpowiednią osobą do wychowywania dziewcząt.

— Nie wiem. To staruszka — Nicky szczelnie otuliła się płaszczem. Samochód był nie ogrzany i chłód przeszywał ją do szpiku kości. — Co tu robisz? Czy twoja matka sprzedała już dom?

— Prawie — Być może wydawało jej się tylko, że odpowiedź zabrzmiała szorstko. — Ma nagranego faceta. Przyjechałem, by z nim pogadać.

Skreślił w drogę prowadzącą do Churston Grange

i podjechał pod wejściowe drzwi. Proszę bardzo. Szofer jaśnie panienki. Do szczęścia potrzeba ci jeszcze lokaja z parasolem.

Przypomniała sobie, jak bardzo przydałby się jej lokaj w trakcie jego pierwszej wizyty, i mimowolnie uśmiechnęła się: — Już za późno — rzekła — I tak jestem cała zmoczona. — Zawahali się obydwójce nie wiedząc, co powiedzieć. Nicky była świadoma nadarzającej się okazji.

— Wejź, proszę — zaproponowała. — Napijemy się herbaty.

— W porządku.

Alex nie dzwonił, ale to teraz było mniej ważne, czymś innym miała zaprzątniętą głowę. Od śmierci Ruperta gospodyni zjawiała się sporadycznie, więc Nicky sama zaparzyła herbatę. Wypili ją w kuchni. Siedzieli przy stole z surowego drewna — Anthony twierdził, że pamięta go z czasów Diany. Pomieszczenie było ciepłe i winno być przytulne, ale nie wyglądało na takie — raczej na zimne, opuszczone, jakby nikt nigdy nie gotował tu żadnych smakołyków — jedynie zupy z torebki i konserwowy gulasz. W staromodnym kredensie zebrały się tony kurzu na wspaniałej chińskiej porcelanie.

Anthony powiedział: — Musisz być samotna.

— Czasami. Przywykłam do życia w samotności. — Sama się nieco zdziwiła, ale była to prawda.

Coś podobnego powiedziała mu Elsa, przypomniał sobie Anthony. „Przywykłam do życia w samotności”. Być może obie nie wiedziały, ile mają ze sobą wspólnego.

— Byłaś w nim zakochana? — zapytał. — Wiem, że to cholerne pytanie, ale... ciekaw jestem.

Wyglądasz na niespokojną, ale nie na smutną, absolutnie nie. Jeśli nie chcesz, to powiedz, że wtykam nos w nie swoje sprawy.

Potrząsnęła głową. — Wydaje mi się, że byłam — wyjaśniła. — Przynajmniej na początku. Miał taką charyzmę i był w pewnym sensie — boski. — Szukała słów, którymi

mogłaby jak najlepiej wyrazić to, co chciała, opowiedzieć całą historię, nie tylko kłamstwa. — Kłopot w tym, że miał bzika na punkcie swojej pracy. Przypuszczam, że to typowe dla artysty. — Zgrzyt, truizm. — Dawał z siebie zbyt wiele, pochłaniało to całą jego energię — nie miał już sił kochać ludzi. Chciał tylko, bym tu była i ładnie wyglądała. Nic mi nie dawał i niczego nie żądał. Nawet mnie nie znał.

— Wiele stracił — uprzejmie odparł Anthony. Zastanawiał się, jaka ona jest teraz bezbronna i dziewczęca, z potarganymi, wyschniętymi już nieco włosami, wciąż w nieładzie, ze zmytymi przez deszcz resztkami makijażu. Jakże inna od, tej z opowiadań Elsy.

Odruchowo wzięła go za rękę. — Tak bardzo chciałam być częścią jego życia — westchnęła; nawet coś ścisnęło ją w gardle od udawanego patosu — ale on mi nie pozwolił, po prostu nie interesowałam go. — Łzy, jedna po drugiej, spływały jej po policzkach. Dzielnie przełknęła ślinę.

Anthony przywykł do tego typu scen, wstał więc, obszedł stół i przytulił ją.

Zazgrzytały frontowe drzwi, ale jakoś uszło to ich uwagi. Elsa zastała ich razem — Anthony oparty o stół kuchenny i Nicky szlochająca, wypłakująca się w jego sweter. Znała ten sweter: sama kiedyś moczyła go swymi łzami. Dała mu go jedna z siostr, całe wieki temu; skurczył się w praniu, miał za krótkie rękawy i niezdarnie zacerowane dziury na łokciach — przypuszczalnie zrobiła to Cathleen Mirza. Elsa doskonale pomyślała nieprzyjemny zapach wełny.

Scenka z filmu, pomyślała. Grant Barrymore w szetlandzie na gołym ciele...

Wydusiła, nienaturalnie spokojnie: — Przepraszam... Nie wiedziałam. Zobaczyłam samochód, lecz nie wiedziałam. Przeszkadzam. Przepraszam...

— Oczywiście, że nie przeszkadzasz — Anthony był zaskoczony, ale wcale nie czuł się winny. — Cieszę się, Elso, że przyszłaś. Miałem taką nadzieję. Najwyższy czas, abyście się z Nicky pogodziły.

Ta jego głupia gadanina ją rozzłościła.

W popłochu palnęła pierwsze lepsze słowa, jakie nasunęły się jej na język: — Przyjechałam odwiedzić ciotkę.

Nicky spojrzała na nią, a jej olbrzymie oczy były zupełnie suche.

Tej nocy nie zamknięto drzwi pokoju ciotki i stara kobieta zeszła do ogrodu. Następnego ranka znaleziono ją przy głównej drodze. Samochód, który ją potrącił, nawet się nie zatrzymał.

XIII

Śledztwo wykazało, że zgon był spowodowany nieszczęśliwym wypadkiem. Sprawca nieznany. Wydarzenie miało tylko lokalny rozgłos: miejscowe dzienniki pełne były tytułów w rodzaju „Podwójna tragedia”, „Śmiertelna wędrówka ciotki zmarłego człowieka”, lecz prasa krajowa pominęła to milczeniem — jakieś drobne wzmianki, właściwie rutynowe, bez względu na to, kim był bratanek ofiary. Jedynie wieśniacy oblegali miejscowy posterunek, z nadzieją czekając na dalsze sensacje. Siedzieli wokoło, ssąc landrynki zamiast słomy, szeptali między sobą, pokazywali palcami. Była pielęgniarka ciotki odziana w czerń od Nexta, Nicky miała czarną suknię od Browna z South Molton Street. Koroner ostro skrytykował pielęgniarkę za nieostrożność i uwolnił Nicky od podejrzeń, robiąc tylko przytyk do jej braku odpowiedzialności za kogoś z nią nie spokrewnionego. Nicky z pewnością zaczerwieniłaby się, ale w głowie miała tyle innych myśli, że nawet te słowa do niej nie dotarły. Poproszono Elbę o oficjalne zidentyfikowanie zwłok; przyznała się, że odwiedziła ciotkę owego wieczoru, więc i ją posądzono o lekkomyślność. Co za ironia losu, stwierdził koroner, że ta kobieta otoczona troskliwą opieką musiała skończyć w tak nieszczęśliwy sposób. W miarę upływu czasu Nicky stuwuła się coraz bardziej zniecierpliwiona i jak zwykle postawiła swój sobolowy kołnierz lecz nie był to gest Greta Garbo, lecz po prostu

chęć ukrycia twarzy. Skierowała się do wyjścia, chcąc prześliznąć się nie zauważona przez tłum nachalnych dziennikarzy i fotoreporterów. Lecz owa grupa rozstała się przed nią, a Elsa czekała przed drzwiami. W tym krótkim czasie od śmierci Ruperta ich antagonizm przybrał inny wymiar. Stał się jakoś bardziej widoczny i odrażający. Zażarta wrogość, rzucająca się w oczy każdemu z obserwatorów, gdy stanęły twarzą w twarz. Bez szeptów, pulsujących żył, zaciskania zębów. Błysk oczu odpowiadał błyskowi oczu, zaciśnięte usta spotykały zaciśnięte usta. Nienawiść Elsy płonęła jednostajnym niesamowitym płomieniem; Nicky zaś była żarzącym się ognikiem, gasnącym, to znów rozbłyskującym, podsycanym starą animozją i nowym strachem, pragnieniem przetrwania.

Powiedziała: — Wybacz mi. — Kurtuazyjny zwrot, pozbawiony jednak kurtuazji, paradoksalna groteska. Elsie było nie do śmiechu.

— Nie masz zamiaru z tym skończyć? — spytała tonem kiepskiej aktorki.

— Przepuść mnie.

— Otworzyłaś jej drzwi? Pomogłaś trafić pod samochód? Dwie śmierci — tak bliskie w czasie, tak powiązane; to zbyt dużo jak na zwykły zbieg okoliczności, nieprawdaż? — Sarkazm był ciężki do zniesienia. — Czy ona coś wiedziała, czy była tylko ciężarem, którego chciałaś się pozbyć, zawadą na twej złotodajnej ścieżce?

— Ona była stara. Ty to powiedziałaś. Była stara, niedołączna, miała zamęt w głowie. Prawie nie wiedziała, kim jestem.

— Wyszła z pokoju tej nocy, gdy zmarł mój ojciec. Co ujrzała? Widziała, jak podałaś mu pastylki — zbyt dużo cholernych pastylek? Widziała? — Złapała Nicky za wywatowane ramiona, mnąc jej odzież. Delikatne futerko było niczym futerko żyjącego zwierzątka, żaden strój, lecz część ciała Nicky, jej zewnętrzna skóra podatna na rany i zdraśnięcia. Nicky gwałtownie odepchnęła ją od siebie,

w momencie gdy ktoś przebijał się przez tłum, by je rozdzielić.

— Zabiłaś go! — padło głośne oskarżenie. Zmieszany tłum oczekiwał dalszych sensacji; dwóch policjantów próbowało przywrócić spokój. Elsa nie panowała nad sobą, wrzeszczała ogarnięta szaleńczą furją. — Był chory i niedołężny, a ty go zabijałaś powoli, stopniowo. Spowodowałaś jego atak i postarałaś się, by umarł. Zabiłaś go... zabiłaś go...

Wbrew wszystkiemu, co mogłoby mieć związek ze zdrowym rozsądkiem, Nicky odnalazła te słowa w swojej pamięci. Słowa Stephanego. Wściekłość i przestraszanie doprowadziły ją do wybuchu.

— Zejdź mi z drogi!

Pchnęła Elbę z takim impetem, że sama się zdziwiła, iż ma tyle siły. Do czasu, gdy nadjechała policja, już jej nie było. Jeden z funkcjonariuszy zapytał Elbę: — Jakieś kłopoty? — lecz ona nie odpowiedziała. Nagle ujrzała postać zbliżającą się do niej i poczuła rękę na swoim ramieniu. Dobrze znana ręka, silna, z mocnymi paluchami i brzydkim stwardniałym naskórkiem.

— No chodź, Elso.

Spojrzała zmieszana. — Co ty tu robisz?

— Zabieram cię do Londynu.

Tak niedawny żar wygasł w niej, nawet gniew opadł: ogarnęła ją zupełna apatia. Rzekła: — Jestem swoim samochodem — ale wcale nie zabrzmiało to jak opór.

— A ja nie — powiedział Michael. — Przyjechałem pociągiem. Daj kluczyki. W takim stanie rozwalilibyś się na strzępy.

— Zawsze prowadzę zbyt szybko.

— Wiem. Mogłabyś przy okazji rozjechać kogoś, a to nie byłoby fair. Daj mi kluczyki.

Niesamowite, ale posłuchała. Osłaniając się od dziennikarzy, wepchnął ją do samochodu. Nicky już odjechała taksówką do Churston Grange. Elsa wiedziała, że teraz

tam mieszka. To mój dom, pomyślała Elsa, a ona tam jest. Intruz, natręt, wygryzacz. W moim domu. Przez całą drogę do Londynu nie odezwała się słowem.

Przyjechali do mieszkania Michaela. Elsa nie oponowała. Nie miała ochoty na miłość. Czuła się tak wypluta i pusta, że nawet nie wyobrażała sobie, iż w takim stanie można się kochać. Samo uprawianie miłości z Michaeliem już dawno się skończyło, czyniąc ich więź luźniejszą, mniej podniecającą. Była zmęczona, by się sprzeciwiać, zmęczona nie fizycznie, lecz psychicznie. Tu był Michael, tu było mieszkanie, a ona musiała dokądś pójść. Wjechali do garażu w kompletną ciemność. Za nimi zamknęła się ciężka metalowa brama. Słyszała ten odgłos tysiące razy, lecz teraz był to dla niej głuchy odgłos wrót zamykających wyjście z bezkresnego lochu. Coś ją tknęło, nakazując być czujną. Ale przecież był to tylko ten sam garaż, który znała i widziała tak często.

Jego twarz jest niezmienna, ani młoda, ani stara, twarz uformowana z tworzywa, w jakim pracuje, szorstka jak gips, ostra jak beton. Anthony jest piękny, lecz nierealny, tak enigmatyczny jak ulotne marzenie senne. Michael to rzeczywistość, Michael jest tu, jest drzewem i murem jednocześnie, przeszłością i przyszłością: nierozzerwalny jak światło i cień. Czekaający, wciąż czekaający z kamienną twarzą, świętą cierpliwością... ale na co?

— O czym myślisz, Elso moja kochana? — Komplement, nawet zabarwiony ironią, nie był w jego stylu. „Elso moja kochana...” Ta sama winda, ten sam apartament na czwartym piętrze. Ta sama Elsa. Ten sam Michael.

Złapała się na tym, że przypatruje mu się w ten sam sposób jak wtedy, tak dawno temu, gdy się spotkali w gmachu Technico. Zawsze widziała go oczami pamięci, jako przejaw własnych emocji, nigdy obiektywnie. On jest taki sam, pomyślała, zawsze taki sam, od czasu gdy miała trzynaście lat. Zakłopotало to ją nieco; jakby był przy niej

przez całe życie, wrastając w nie, jak drzewo wrasta w mur, będąc jego ostoją, częścią — mur stoi dopóty, dopóki podpira go drzewo, w przeciwnym razie — wali się.

— Myślałam o tobie.

— Niesamowite! — przycisnął usta do jej twarzy; pamiętali swoje namiętne pocałunki. Lecz nagle odsunął się. — To niezwykle. Zawsze myślałaś tylko o sobie. Dostrzegałaś innych, gdy tylko miałaś w tym swój interes, gdy ich życie miało coś wspólnego z twoim, nigdy bezinteresownie. Jeśli pomyślałaś o jakiejś żyjącej istocie w sposób obiektywny, to musiał być to ten pierwszy, ten jedyny raz.

— Nieprawda — odpowiadała Elsa, dodając z obcym sobie wahaniem: — Choć może...

— Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, co twój ojciec robił podczas wojny? Wiedziałaś, że Anthony oblał w Eton — i wszędzie tam, gdzie papa Stallibrass go wysłał, by zmienić swego czupurnego, cygańskiego syna w niebieskookiego blondyna? — Otworzył drzwi i wszedł do mieszkania, wskazując jej drogę. — Z pewnością w ogóle nie wiedziałaś, że był w Eton.

— Nie — przyznała Elsa — nie wiedziałam. Anthony nie rozmawia o takich rzeczach. Wiedziałam, że był w Cambridge. Wtedy, gdy chodził z Dianą. Był dobrym studentem.

— Mógłby być — Michael poszedł do kuchni, otworzył szafkę. — Kawy?

— Tak, proszę.

Wsypał kawę do młynka. — A co myślisz o mnie?

— Nic. Nic o tobie nie wiem. Mówisz mi coś, gdy masz ochotę, lecz ja dalej nic nie wiem. Odsunęła krzesło i usiadła, opierając łokcie na stole, brodę na dłoniach. — Raz zapytałam, czego chcesz — pamiętasz? Nie ode mnie, ale od życia. Czego chcesz? Nie odpowiedziałeś.

— A słuchałaś?

No tak. Czy rzeczywiście słuchała? Nie pamięta. Siadł naprzeciwko, młynek brzęczał. Jego oczy patrzyły prosto w jej oczy: oczy szare jak listopad, penetrujące jej duszę. Rzekł: — Zawsze byłem przy tobie, nieprawdaż, Elso? Ale nigdy, nawet jeden jedyny raz, nie byłaś mi za to wdzięczna. —W jego głosie nie było gorczy, tylko dziwna miękkość i przerażająca delikatność.

— A chciałbyś, żebym ci była wdzięczna? — zapytała z wahaniem.

— Nie. Jedynie szczerą. Potrzebujesz mnie, zawsze mnie potrzebowałaś. Potrzebowałaś swego ojca, lecz on o to nie dbał, a teraz on już nie żyje. Zbyt późno na zmiany. Kiedyś też potrzebowałaś swej siostry, ale to już historia. Nie potrzebujesz Anthony'ego, chociaż jest taki przystojny. Za to potrzebujesz mnie, Elso, wiesz o tym? Potrzebujesz mnie. Powiedz „tak”.

Potrzebowała go. Sama to wiedziała, już od dłuższego czasu, lecz nie przyznała się.

Potrząsnęła głową. Jego pogroźka była upojna jak pieszczota, prawie delikatna, lecz wciąż była pogroźką.

— Czego ode mnie chcesz?

Pauza — teraz ona była pierwszą, która spuściła wzrok. Nie widać było rozczarowania na jego twarzy; jedynie zrozumienie. Zbyt wiele tego zrozumienia.

— Prawdy. Znaleźli ciało człowieka na Cable Star w końcu tygodnia. Spadł z rusztowania. Obiekty Van Leera przynoszą nieszczęście, wiesz o tym? Inni ludzie stracili życie w ten sposób, realizując projekty Ruperta. Jedynie ten był mój — a ja nie wierzę w duchy.

— Wiem, że to był jeden z twoich projektów — odparła Elsa pamiętając wściekłość, która ją wtedy zdjęła. — No cóż. Nie podoba mi się.

— Nie musi. — Wcale go to nie ubodło. — Więc przyznajesz, że tam byłaś?

— Oczywiście, że tak.

— A ten człowiek?

— Wiesz przecież, kim był. Dlaczego więc pytasz? Grymas pojawił się na twarzy Michaela. — Och, nie wiem. Myślałem — Bóg mi świadkiem — że pogoń za Nicky coś ci przyniesie. Znalazłem ci detektywa, a on wyszukał ci przestępstwo. Mogłabyś wszyściuteńko jej odebrać. Ale to ci nie wystarczyło, prawda? A może zechcesz mi powiedzieć, jakim cudem znaleziono jej prawdziwego męża z przetrąconym karkiem na budowie? Spadł — czy go zepchnięto? A jeśli go zepchnięto, to kto to zrobił?

— To był wypadek — odparła Elsa. — Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie jestem pewna. — Przygryzła "dolną wargę. — To moja wina, lecz... nigdy nie przyszło mi do głowy, że coś takiego może się zdarzyć.

— Po jaką cholere tam się z nim spotkałaś?

— Nie ja się spotkałam. — Była przybita. — To Nicky. Ja tylko czekałam i patrzyłam w ukryciu. Powiedziałam Stephanemu, co ma mówić. Pomyślałam, że złapię ją na czymś, co mogłoby pomóc ją skazać. — Sięgnęła do torby po kasetę.

— Czy to... ją obciąża?

Nie odpowiedziała. Może roztrząsała to sama. Głowę miała spuszczoną, wzrok utkwiała w kasecie. Michael obserwował jej zmarszczone brwi, biegnące w prostej, doskonałej wręcz linii na spotkanie nosa, który tak artystycznie kazała zoperować i wymodelować. Jego perfekcyjność uderzała go, żałował wręcz, że jest aż tak piękna.

— No więc?

— Wyznała to — wreszcie wydusiła Elsa. — Mam to na taśmie. — W jej głosie było coś niesamowitego. — Potem — potem szarpali się. Nie wiem, jak spadł, nie widziałam. Być może ona go pchnęła. — Przyznała się? — Michael zabrał kasetę, zanim Elsa zdążyła zaprotestować. — Pozwól mi to usłyszeć.

— Stephane oskarżył ją — wyjaśniła Elsa — a ona powiedziała, że nawet gdyby to była prawda, nikt nie może tego udowodnić. To przecież przyznanie się, no nie?

To? Michael podniósł się, lecz usiadł ponownie, bawiąc się taśmą. Czy puszczałaś ją komuś?

Nie. Nie zdecydowałam jeszcze, co z nią zrobić.

— Nic. Wyrzucić! O ile mi wiadomo, dla sądu nie stanowi żadnego dowodu. Nicky podobno kłamie; często to powtarzałaś. To nie przyznanie się, to bluff. Wszystko robi, by stać się centrum zainteresowania. Spróbujesz jej użyć, lecz przyniesie to same kłopoty — tobie też. Bigamistka: masz na to dokument. Będziesz tylko dręczona pytaniami dotyczącymi śmierci Maglioli, a to nic nie da. Po prostu wyrzucić ją. — Strzelił kasetą o stół. — Puść ją z dymem.

Młynek już dawno przestał pracować, lecz żadne z nich tego nie zauważyło. — Dlaczego? To wszystko, co mam! — Głos miała płaczący, lecz nie płakała. Znowu zaczęła swoje: — Ona go zabiła! Jak może jej to ujść na sucho? Ona go zabiła!

Potrząsnął nią. — Przestań! Elsa, Elsa...

— Ona go zabiła! — Targała nią wściekłość, wściekłość miała wypisaną na twarzy. To już była furia. Zielone tęczówki, białka nabiegłe krwią. — Zabrała mi go, uwięziła, zniszczyła!

— Może. — Jego głos brzmiał wyjątkowo brutalnie. — Być może zniszczyła go, ja tego nie wiem, ty tego nie wiesz i nigdy się nie dowiemy. Lecz ona go nie zabiła. Musisz to potwierdzić, Elso.

— Nigdy!

— Musisz. Mam ci powtórzyć jeszcze raz? Wiem, że go nie zabiła. Wiem, że nie podała mu zwiększonej dawki tych pieprzonych pigulek. Ty też wiesz. Ty — też — wiesz.

Wtopiła się w krzesło. Łzy już jej obeschły, a twarz stała się jeszcze bledsza. Sporo czasu minęło, zanim spytała: — Skąd wiesz?

Trzymał ją za rękę, prostował jej palce, każdy z osobna, rysując linie na jej dłoni. Może usiłował odczytać

przeznaczenie. Bez konkretnego powodu. — Musiałem zdawać sobie, sprawę od samego początku — lecz nie chciałem tego przyjąć do wiadomości. Wciąż się łudziłem, że drań umarł śmiercią naturalną. To się przecież zdarza! Wiedziałem, że Nicky nie ma ciągotek do zabijania. Jeśli zaś chodzi o jej *petit ami*, to tylko przez moment pomyślałem, że nasz przyjaciel Mowie mógłby mu coś przypiąć, lecz to bez sensu. To także nie w jego stylu. Ty za to masz odwagę i ciągoty do skrajności — wszystkie atrybuty zabójcy. Wszystko, co w tobie kocham!

Kocham: nie usłyszał tego słowa, ona też nie. Oplótł jej palce wokół swoich. Wyrwała rękę. — Opowiesz mi o tym, Elso?

— Zrozumiesz?

— Zrozumiem. Nie będę cię oszukiwał, wiesz o tym. Nie ma żadnych dowodów. Nicky wyrzuciła fiolkę z pastylkami, którą skrupulatnie napełniałaś — prawdopodobnie podejrzewała swojego Alexandra. Żadnych dowodów, żadnych. Zresztą czy to ma jakieś znaczenie, zrozumiem czy nie?

— Nie.

Wreszcie przypomniał sobie o kawie. Dla niej zrobił czarną z brandy. Wypiła, nic nie zauważywszy. — Gdy powiedziałam, że Nicky go zabiła, to z pełną świadomością. — Rzekła to z wyjątkowym przekonaniem. — Była moralnie odpowiedzialna. Widziałeś go. Nie mógł rysować, nie mógł pisać, nie mógł mówić. Pielęgniarz powiedział mi, że moczył się w nocy. Nie mógł spacerować — nawet nie mógł sam poruszać swoim wózkiem. — Znowu ogarniała ją gorączka, wzrok stawał się błędny. — Wiem, że mi nie wierzysz, ale on mnie kochał. On mnie kochał. Musiałam mu pomóc. Musiałam go od niej uwolnić. Pojmujesz? Zrobiłam to, bo nic więcej zrobić nie mogłam. Kochałam go — teraz już wrzeszczała z całym przekonaniem — i to było wszystko, co dla niego zrobiłam. Ta jedyna rzecz... Ale to wystarczyło.

Nikt inny tak go nie kochał — tylko ja. Czy oni go kochali? Kochali?

— Nie, skarbie. Och, nie...

Próbowała się opanować; zacisnęła usta, zacisnęła oczy. Po chwili wyczyściła nos.

— Zdawał sobie sprawę — zapytał Michael — gdy podawałaś mu pigułki?

— Chyba tak. — Nagle jej twarz rozjaśniła się wspaniałym wspomnieniem. — Rozgniotłam je i dodałam do mleka. Ovaltina. Zawsze dawali mu ovaltinę; musiał jej nienawidzić. Ale tym razem wypił. Wciąż mieszałam, żeby się rozpuściły. Nie wiedziałam, czy są rozpuszczalne, czy nie. Wtedy podałam mu jeszcze kilka, by połknął, a później jeszcze parę. Był przyzwyczajony do zażywania mnóstwa lekarstw, lecz musiał wiedzieć. Leżał trzymając mnie za rękę. Lubił trzymać mnie za rękę... Spojrzała na swoją rękę, którą wyrwała Michaelowi, jakby wciąż oczekiwała, że znajdzie na niej ślad uścisku Ruperta.

Michael myślał o swoim zmarłym pracodawcy z taką nienawiścią, że teraz był zaskoczony uczuciem, jakie nim owładnęło.

— A ta cała zabawa z Nicky?

— Mówiłam ci. Jest moralnie odpowiedzialna, chcę, by ją ukarano.

— Chyba nie wierzyłaś, że możesz ją postawić w stan oskarżenia?

— Nie, nie, to nie to. Nie wiem. Chciałam, by cierpiała tak, jak ona zmuszała go do cierpienia.

Chciałam, by czuła się w pułapce, usidlona, bez wyjścia. Chciałam, by się bała. — Zacisnęła długie silne palce na kubku z kawą. — Anthony był nią zmartwiony, on zawsze martwi się o ludzi.

Myślałam... — Na moment przerwała. — Ale co tam, to już nie ma znaczenia.

— A twoja ciotka? — Wypuszczał ją delikatnie, łagodnym tonem. — A ona?

— Ona była bardzo stara. — Elsa zamyśliła się, jakby

targana wątpliwościami. Widział, jak z jednego nastroju wpada w drugi, z niesamowitą szybkością, gwałtownie, z jednej skrajności w drugą, bez stanów pośrednich. Z gniewu w apatię, raz oskarża, to znów wybacza. Tak jakby naturalne procesy rządzące reakcjami ludzkimi gdzieś przepadły, nie istniały. Mówiła dalej, próbując przekonać samą siebie. — Już nie była człowiekiem, lecz żywą, obumarłą istotą. Umysł miała przyćmiony. Ani nie żyła, ani nie umarła. Zawieszona między życiem a śmiercią. To straszne — osiągnąć takie stadium.

— Miała prawo tak żyć!

— Tak... być może. Nigdy o tym nie myślałam. Wydawało mi się, no wiesz, że miała pomieszane w głowie. Tej nocy gdy tatuś umarł, wyszła z pokoju. Tak powiedział detektyw. Musiała coś wiedzieć. A ja wyobraziłam sobie, co mogłaby zrobić Nicky — jeśli była zabójczynią. Co by zrobiła, gdyby została przyłapana, przestraszona. Wpadłaby w panikę. Więc... więc wróciłam, gdy Nicky była już w łóżku, i wypuściłam ciotkę Grizzle. Wyprowadziłam ją na drogę, a jak samochód nadjechał — bardzo szybko — zrobiłam to. Miałam nadzieję, że kierowca będzie pijany. Wtedy z pewnością nie zatrzymałby się. A on wysiadł i gdy zobaczył, że ona nie żyje, nawiał. Nie widział mnie. To wszystko było takie proste. O wiele za proste — dodała z przerażeniem. — Myślała, że ja to Diana. Zawsze tak myślała. Mówiła do mnie: Diana...

— Gdy byłaś dzieckiem — powiedział Michael — nienawidziłaś jej, prawda?

— Ona nienawidziła mnie — odparła tępo Elsa. — W końcu zresztą chyba miała ku temu powody.-

Cisza. Michael szukał odpowiednich słów, jeśli takie w ogóle istniały. Głos Elsy zapadł się w tę ciszę, niczym kropla deszczu w ocean.

— Biedaczka. Biedna, głupia ciotka Grizzle. Wiesz, gdy byłam mała, mówiła, że jestem przeklęta. To chyba moje oczy. Żółtozielone oczy mają bachory więdźmy: tak

mówiła. Cokolwiek zrobiłam, czułam się niedobra — złośliwość była tam w środku, we mnie, była mną, jak ciało, kości, skóra. Nie mogłam się jej pozbyć. Jakbym zamiast serca człowieka miała serce dzikiej bestii. Serce żmii. Czasem czułam, że moją pierś rozsadza złośliwość, ciągnie mnie za sobą. Ciotka Grizzle powiedziała mi, że ta złośliwość, niegodziwość tam siedzi — a ja w to uwierzyłam. Właśnie tak.

Zasłoniła rękami twarz. To co dostrzegł Michael, uderzyło go boleśnie. Nie płakała. Jej ciałem wstrząsały lekkie drgawki. Zmarszczyła brwi.

Wyszeptał: — Elsa.

Gdy nie odpowiedziała, podniósł ją, bardzo delikatnie.

Oparła się na nim, jej głowa zwisała mu przez ramię, jakby szyja nie była w stanie jej podtrzymać.

Była teraz potulna, jakby ostatnie wyznanie wypędziło z niej wszystkie demoniczne siły.

Zaprowadził ją do sypialni.

Była już rozebrana, leżała na łóżku — i wtedy zaczęła walczyć. Nie mówiła nic, nie protestowała, po prostu mocowała się z nim, nie dla zabawy, lecz z szaleńczą zajadłością, nie znaną mu dotąd, drapała go i gryzła, raniąc mu policzki, kopała i wierzgała, zaciskając uda, broniąc dostępu do siebie. Złapał ją za nadgarstki, wciskając je w łóżko, próbując okiełznać ją swoim ciałem, a ona gryzła i kąsała, jak małe dzikie zwierzątko, jak rozzłoszczony gryzoń, czujący przewagę człowieka, broniący się rozpaczliwie. Siłą rozwarł jej uda, jego członek gwałtownie ją rozdarł. Była sucha, lecz gdy poczuła go w sobie, nie była w stanie panować nad swoim ciałem. Należało do niego, nie miała na to wpływu, a ona sama nie broniła się przed gwałtem, lecz pojmaniem. Napierał mocniej i mocniej, plądrując ją głęboko. Jej spięte mięśnie zacisnęły się na nim; ból i rozkosz przeplatały się nawzajem, furia zlewała się z pragnieniem. I nagle cała walka się skończyła, ona tajała pod nim, ukąsze-

nia stały się pieścizną, poddała mu się cała. Mówił do niej — Elsa — moja śliczna — moja kochana — tych słów przedtem w ogóle nie używał. Zlizywała krew sączącą mu się po policzkach — jego krew była na jej ustach, mieszała się z jej śliną, poczuł jej język na swojej skórze, kojący i przynoszący pieściznę. Nie był w stanie wytrzymać tej rozkoszy, zawładnęła całym jego ciałem, powodując dreszcze, sapał i dyszał, zachłystywał się powietrzem, czuł jej oddech, słyszał pomruki, smakował słodycz wypływającą z jej wnętrza, czuł, że chyba umiera.

Ile czasu upłynęło — nie wiadomo, zanim Elsa zaczęła kojarzyć blednący świt i cienie pojawiające się na suficie. Leżała jak liść po szalejącej burzy — rzucony podmuchem wiatru, zmaltretowany, bez ruchu. Podniecenie i furia wyssały z niej życie, zostawiając ją pustą i uspokojoną. Zdawało jej się, że jest tylko samą powłoką, łuską delikatną i przezroczystą, wyzbytą z pasji. Michael zaś był naturalny, potężny, tchnący życiem, był zwartą strukturą fizycznej materii, ciepły, oddychający. Czasami wydawało się jej, że jest jedyną realną osobą, jaką знаła w życiu. Anthony, jej ojciec, Nicky — to . tylko fantomy miłości i nienawiści, wyciągnięte prosto ze snów. Diana — ona była kiedyś prawdziwa, ale to było bardzo dawno temu. Michael zawsze był prawdziwy, zawsze przy niej, był żyjącym drzewem i betonowym murem. Częścią całości. Jego dotyk obudził w niej żądzę, tłumiącą wszystkie inne uczucia, a kiedy się wycofał, nasycony, zanikała i żądza, i inne uczucia, jakby potęga jego ciała wysysała z niej udręki i wchłaniała je w siebie..

— Wszystkie moje grzechy — wymamrotała, widząc w nim średniowiecznego kozła ofiarnego, obrzucanego kamieniami przez wieśniaków, obciążonego złem, którego nie wyrządził.

— Co powiedziałaś? — Podniósł nieco głowę znad poduszki patrząc na nią półprzymkniętym okiem.

— Nic. Nic ważnego w każdym razie. — Dotknęła go delikatnie, jak we śnie, jak w swoich myślach, z pewnego rodzaju współczuciem.

— Głodna?

— Raczej tak.

Z lodówki wyciągnął ser i paszteciki, przyniósł chleb i otworzył butelkę wina. Elsa ubrała się i usiadła przy stole.

— Co będziemy pić?

— To co zwykle.

Napełnił szklanekę i sam wypił. Lecz ona nie piła.

— Czego ode mnie chcesz? — To samo pytanie, na które nigdy nie odpowiadał.

— A jak myślisz?

— Nie wiem, nie jestem pewna. Nie wiem, czy to miłość. Może to tylko chęć posiadania?

— No cóż... ja też chcę i tego. Mam twoją miłość, obojętne, czy przytaknieś, czy nie. Nic na to nie poradzisz. Czuję to w twoim ciele, to coś, czego nie możesz odrzucić, czemu nie możesz się oprzeć. A co się tyczy posiadania...

— Wiesz o mnie wszystko. — Przemawiała przez nią gorycz. — To jest właśnie posiadanie, nieprawdaż? To absolutna, nie kwestionowana własność. Mogłabym być twoją niewolnicą.

— Nie chcę niewolnicy. — Jego głos stawał się coraz ostrzejszy. — Spróbuj choć raz spojrzeć na wszystko inaczej — tu nie chodzi o mnie, lecz o ciebie. Wypełniłaś twoje życie szaloną obsesją swego ojca i osobistej vendetty przeciwko macosze. Chcę, żebyś się od tego uwolniła. Chcę, żebyś kochała i była kochana jak każda kobieta. Chcę cię w moim łóżku, w moim domu, w mojej codziennej monotonii. Chcę, żebyśmy się kłócili i godzili, rozmawiali o polityce i religii, planowali wspólne wakacje. Potrzebujesz zastrzyku rzeczywistości, by wyrwać się z sennego koszmaru: zwykłej, wygodnej, ziemskiej rzeczywisto-

ści. Ja jestem twoją rzeczywistością, Elso. Spójrz na nią. To ja. Uwierz w nią. To wszystko, czego chcę. — Włożył jej szklankę do ręki. — Napij się.

Michael równa się rzeczywistość. Rzeczywistość równa się Michael. Zawsze o tym wiedziała. Wypiła.

— Nawet Sokrates nie przełknąłby swej mikstury z większą buńczucznością — powiedział Michael. Uśmiechnęła się. Ciepły, prawdziwy uśmiech, bez ironii i bólu. W tym momencie wydawało się jej wszystko prawie doskonale, takie jakie być powinno.

Nastawił płytę — Jacqueline du Pre grała Elgara, wiedział, że Elsa to lubi. Słońce resztkami swojego zimowego blasku połyskiwało zza okna, tonąc w bezbarwnych głębiach niebiańskiej przestrzeni. Akordy muzyki wznosiły się aż do chmur, wyżej i wyżej, na sam szczyt nieba, a potem ginęły w słońcu. Elsa patrzyła tam, aż ostatnia smużka światła rozmyła się i chociaż wciąż w powietrzu unosiła się poświata, wydawało jej się, że świat okryła zasłona ciemności. Ciemność wtargnęła do jej wnętrza, obejmując w posiadanie serce.

— Jest coś, co muszę ci powiedzieć — powiedział Michael.

Zapaliła lampkę: w nagłym blasku światła jego twarz miała wyraz dziwnej niepewności, która była dla niej czymś nowym.

— Tak?

— Teraz moja kolej. — Znajomy cień uśmiechu pojawił się i zniknął, niczym przy kiepskim dowcipie. — I tak wcześniej czy później wyszłoby to na jaw: nie ma szans na zachowanie tego w tajemnicy, zresztą... wolałbym, abyś usłyszała to wprost ode mnie. To nie będzie dla ciebie łatwe, Elso. Wybacz mi.

— Co to jest? Co nie będzie łatwe?

Westchnął. — Odwróciłem twoją uwagę śledztwem w sprawie Nicky, bo nie chciałem, abyś się o tym dowie-

działa. To mało prawdopodobne, ale sama mogłabyś coś wywąchać. Jesteś udziałowcem — i jest Anthony. Pomyślałem sobie, że gdy będziesz zajęta Nicky, to zyskam trochę czasu. Chciałem być pewien, zupełnie pewien, sprawdzić wszystko, jeśli to możliwe. Łudziłem się — nie wiem — że to wszystko runie. Dla twojego dobra.

— Mój ojciec?

— Wszystko zawsze sprowadza się do twojego ojca, czyż nie tak?

— Nienawidziłeś go — wycodziła Elsa. — Nigdy tego nie powiedziałeś, ale ja wiedziałam. — Co takiego zrobiłeś?

— Ja niczego nie zrobiłem. To on. — Michael wiedział, że zabrzmiało to brutalnie, brutalniej, niż zamierzał. Starał się być taktowny, nawet wyrozumiały. Ale już było za późno. — Mówię o domu Stallibrassa. Jego pierwsze wielkie dzieło. Początek sukcesu. Szklano-betonowa świątynia funkcjonalizmu. Postawiona, czego niewątpliwie jesteś świadoma, z bardzo okrojonego budżetu milionera, który nie mógł zrozumieć, dlaczego ma kosztować więcej niż te cholerne biurowce, na których zbił swoje miliony. Nieszczęśliwie budżet był bardzo okrojony. A więc Rupert... odwalił fuszerkę.

— On nie mógłby.

— Niestety, zrobił to. To była szybka droga do sławy — wielka szansa. Nie mógł się oprzeć pokusie. Być może pomyślał, że Mr Joe o to poprosi — któż to wie? Kontrahent prowadził podobną politykę: postawił kilka biurowców. Stallibrass nie pytał o nic, dopóki rachunek był niski. Nikt o nic nie pytał, zanim nie obejrzał tego fachowiec geodeta. — Zamilkł, Elsa nie odezwała się ani słowem. Jej twarz była w cieniu, mógł więc tylko zgadywać, jaką ma minę. — Geodeta przyszedł do mnie. To jeden z moich znajomych. Wiedział, że będę z nim szczery. Poszedłem osobiście przyjrzeć się temu. Nie będę cię zanudzał wymienianiem defektów: studiowałaś architekturę. Znasz się na rzeczy. Źle zabezpieczona instalacja

elektryczna, słaba warstwa izolacyjna, zbyt dużo piachu w betonie. Najgorsze są fundamenty. Nie są wystarczająco głębokie. W ciągu ostatnich lat było kilka osunięć: wszystko trzeszczało. Ten budynek musi się zawalić.

— Nie!

— Elso... posłuchaj mnie. Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo dochodzenia sądowego — to było zbyt dawno — ale dom -jest niebezpieczny. Twój ojciec...

— Mój ojciec nigdy nie zbudowałby czegoś niebezpiecznego. Nigdy. To sprawa budowniczych. Powiedziałaś, że był kanciarzem. A skąd wiesz, że to właśnie on?

— Wiem. Sprawdziłem szkice. Obecne szkice są w porządku, ale część znalazłem w koszu. Pismo Ruperta. Notatki dla szefa budowy. Mam je ze sobą. — Wskazał głową na biurko w przeciwnym końcu pokoju. — Możesz sama zobaczyć, jeśli chcesz.

— Nie — wyszeptała. Przysunął się bliżej, by spojrzeć jej w twarz, ale nie patrzyła na niego. — Co będzie — zapytała w końcu — gdy to się wyda?

— Co się tyczy domu, to już ci mówiłem. Zburzą go.

— A ojciec?

— Będzie zrujnowany — ostro odparł Michael. Cała delikatność wyparowała. — Chcesz, żebym nazwał to tragedią? Nawet dla ciebie, Elso, nie mogę popełnić krzywoprzysięstwa. On na to zasłużył. Naraził na szwank nie tylko swój honor, ale honor całego zawodu, naraził na szwank bezpieczeństwo i tym samym zakpił z życia ludzkiego — a to ostatnie niewiele znaczyło dla Ruperta. Robotnik zginął przy budowie. Wiejski chłopak, nie znał się na rzeczy. Narzekał, że ta robota to partactwo. Spadł z rusztowania. Wypadek, tak mówili. Nie ma wątpliwości, że rusztowanie też było zrobione nie najlepiej. Było zbyt wiele takich wypadków. Zbyt wielu ludzi spadało na budowach Van Leera. Elsa próbowała powiedzieć: — Słyszałam o tym — lecz chociaż otworzyła usta, nie wydostał się z nich żaden

głos. Oczami wyobraźni widziała postać spadającą z budynku, kilka razy ten sam fatalny obraz. Nieznany robotnik. Diana, Stephane Maglioli. I ona wysoko nad Londynem, jakby coś ją pchało do skoku, jakby przyciągana czarem świateł miejskich rozrzuconych w głębi.

Pragnę przeżyć swoje życie w jednej chwili.

Chcę szybować na wietrze jak łabędzica...

Wszyscy upadamy, pomyślała. Od momentu urodzenia — zawsze upadamy. Wciąż w dół i w dół, w pierwotny chaos...

Czarna głębia ogarnęła jej duszę, pozbawiając ją najmniejszego promyka światła. Powiedziała spokojnie: — Jesteś zadowolony, prawda? Tylko do tego dążyłeś, przez te wszystkie lata. Zawsze to podejrzewałam, a gdy ujrzałam wieżowiec Cable Star, byłam już zupełnie pewna. Te krzywizny...

Mój ojciec nigdy ich nie używał. Chcesz go wszystkiego pozbawić — jego wielkości. Nicky jego życia i pieniędzy, a ty — ty chcesz jego pozycji, jego reputacji, każdego pomysłu, jaki stworzył. I mnie. Tak — mnie. Nawet gdy przyszedłeś do niego jako student, już czekałeś na to. Czekając i knując?

Milczał. Nie było to do końca prawdą, lecz nie mógł, a raczej nie potrafił zaprzeczyć. Pomyślał: Co za cholerny idiotyzm — antypatia do Ruperta zrodziła się w momencie, gdy ujrzał jego grubą, niezgrabną, niechcianą córkę. Być może od tej chwili ją pokochał, instynktownie, pchany jej potrzebą miłości — pamiętał jeszcze ulice Lubeki, szczeniaka, z którym się zaprzyjaźnił, a który wciąż go gryzł. W końcu psisko się oswoiło i łaziło za nim krok w krok. Lecz Elsa...

— Przejrzałeś jego interes — powiedziała chłodno. — Nie mogę tego zmienić. Zniszczyłeś jego ideały; teraz odbierasz mu jego reputację. Ale nic nie dostaniesz, słyszysz? Jestem jego córką i on mnie kochał, a ja kochałam jego — tego nie możesz zniweczyć. Wolałabym umrzeć niż należeć do ciebie!

— Elsa!

Chciał ją objąć, lecz ona zerwała się z miejsca i kurczowo przywarła do okna. Na zewnątrz był mały balkonik z niską metalową barierką. Wypadła na balkon i wychyliła się poza żelazną konstrukcję. Zbyt mocno. Michael, przestraszony, rzucił się za nią.

— Elso... nie szalej. W porządku: on kochał ciebie, a ty kochałaś jego. To ładna historia, jeśli lubisz opowiadać komuś ciekawe bajeczki...

— Zamknij się! Zamknij się, zamknij się!

— Jesteś dorosłą kobietą. Nie zaśmiecaj sobie głowy, zejdź z obłoków. Jesteś piękna, inteligentna, masz talent. Żyj rzeczywistością.

— Nie ma rzeczywistości.

— Nie gadaj. — Stał przy niej, oparty o poprzeczkę, i przyglądał się jej profilowi. Łapiąc ją za brodę, zwrócił jej głowę w swym kierunku. — Piłaś za to, nie pamiętasz? Za mnie, za ciebie, za rzeczywistość.

— Nie dotykaj mnie!

Jego palce wyzwołyły coś w jej wnętrzu. Nie chciała tego, ale to było; jego bliskość przyciągała ją jak magnes. Stał się jej częścią, zmusił ją, by stała się jego częścią, przepelniał ją swoją perfidią. Odczuła to, gdy zobaczyła budynek Cable Star, a teraz to było tuż przed nią, w jego twarzy, w jej reakcji.

Oszukiwała Ruperta z każdą sekundą swego wahania. Uświadomiła sobie istnienie tego obcego serca — serca żmii — bijącego w jej ciele, kierującego nią jak maszyną. Silniej niż pragnienie, silniej niż perfidia, silniej niż jej własna wola.

Odskoczyła do tyłu, odpychając Michaela. Musiała działać bardzo szybko, nie myśląc, nie czując.

Jedna wątpliwość, jedna chwila wahania i będzie zgubiona. Kopnęła go, stracił równowagę. Myślał, że przez przypadek. Potem odczuł mocne uderzenie w pierś — poczuł, jak przechyliła się przez barierkę.

Nie było czasu na walkę, nie było czasu na nic.

Przerażenie zmroziło jego ostatnią myśl w bezgłośnym wołaniu.

Dobry Boże... Elsa... Elsa...

Usłyszała, jak ciało spada na dół, do ogrodu, łamiąc gałęzie drzewa. Nie krzyczał. Z trudem łapała oddech, a fala mdłości osłabiła ją zupełnie. Zacisnęła pięści na barierce, ale nie spojrzała w dół.

Wiedziała to najważniejsze — nie wolno patrzeć w dół. Czekala na ruch w innych mieszkaniach, zapalające się światła, odgłosy. Lecz nic takiego nie nastąpiło.

Wpełzła do środka, zamykając okno. Zamykając ciszę i noc, i ogród z jego bezsilnym lokatorem.

Wiedziała, że musi działać błyskawicznie, ale z trudem przychodziło jej zebrać myśli. Umysł miała przyćmiony, chaos w głowie. Podeszła do biurka Michaela: była tam teczka z napisem „Stallibrass”.

Przycisnęła ją do siebie. Pod spodem był pęk kluczy. Kluczy do Domu Stallibrassa.

Przez dobrą chwilę stała z kluczami w dłoni. Powoli dochodziła do siebie. Porwała płaszcz i torebkę — zatrzymała się nad słuchując. Żadnych odgłosów z zewnątrz. Podeszła do telefonu, wystukała numer Churston Grange.

Odezwała się Nicky.

Kiepsko naśladowując podmiejski akcent, Elsa oświadczyła, że dzwoni w imieniu Anthony'ego Stallibrassa. Czy Nicky mogłaby się z nim spotkać w domu około jedenastej? Odłożyła słuchawkę, zanim Nicky zdążyła coś powiedzieć. Jedenasta godzina dawała jej wystarczająco dużo czasu na przygotowanie się. Nie miała wątpliwości — jej macocha przyjdzie na pewno. Sfinalizowała swe spotkanie ze Stephanem, to spotkanie też będzie sfinalizowane. Nawet gdyby Nicky coś podejrzewała, nawet gdyby była niepewna, przyjdzie, jeszcze raz przyjdzie sama.

Elsa wybiegła z mieszkania zatraskując drzwi i zjechała windą do garażu. Była już w połowie drogi do Churston, gdy przypomniała sobie o taśmie. Zostawiła ją w kuchni.

Nie mogła teraz zawrócić.

Nicky oczywiście zjawiała się. Była podejrzliwa, niepewna, ale przyszła. Wietrzyła jakiś podstęp, czuła się jak marionetka poruszana czyimiś rękami, w takt czyichś rozkazów. Faktycznie nie wierzyła, że zostanie Anthony'ego, lecz bardzo chciała w to uwierzyć — a owo pragnienie było silniejsze niż wątpliwości. Gdy zapłaciła taksówkarzowi, wmówiła sobie, że wszystko będzie dobrze, w końcu mogła zadzwonić po kogoś z Domu Stallibrassa. Stała tak na drodze patrząc, jak taksówka ginie za zakrętem. Cisza. Brama wydawała się zamknięta, lecz pod naciśnięciem klamki otworzyła się. W świetle księżyca szła podjazdem prowadzącym do domu. Trawska stawały jej na drodze, od wieków nie plewione zielsko i chwasty

O grubych liściach, zdrewniałych łodygach. Wokół wystrzelały drzewa, rzucające niesamowity cień w świetle księżyca. Noc była bezwietrzna, nie dochodziły żadne odgłosy ze wsi, nawet nie było słychać pohukiwania sowy. Jedynie absolutna cisza, kompletny bezruch. Miała wrażenie, że jest jedyną żyjącą istotą w parku, nie licząc zielska

I drzew; przypominało jej to spotkanie ze Stephanem w miejscu bezludnym na pustyni. Budynek Cable Star był nie wykończony, dom Sallibrassa był opuszczony. Obydwa nie zamieszkane... Krzewy kończyły się, a w oddali wyrastał dom, na trawniku, odizolowany, żadnego drzewa w pobliżu. Księżyc odbijał się w olbrzymich czarnych oknach. Nigdzie żadnego światła, ani śladu Anthony'ego. Poczwała niepokój, chęć ucieczki, wreszcie zdjął ją paniczny lęk — ale na złapanie taksówki nie było szans, musiałyby pieszo wracać do domu. Zaszła już tak daleko: mogła równie dobrze iść dalej. Weszła na schodek rozglądając się za dzwonkiem. Spostrzegła, że drzwi są otwarte. Tak jak brama, pomyślała. Zdała sobie sprawę, że to było celowe. Specjalnie dla niej. Niech się dzieje, co chce. Weszła. Trzask zamka za jej plecami zbiegł się z nagłym snopem światła. Zamrugła, odwróciła się. Elsa stała oparta o drzwi. Słaba żarówka — obsesja

Mra Joe — oświetlała jej twarz, pozbawiając ją kolorów, rzucając cieniste plamy. Nicky nie oczekiwała jej, lecz w gruncie rzeczy nie była zdziwiona. Głos przez telefon, pomijając niezbyt udany akcent londyński, wydawał jej się przez moment głosem Stephanego; Elsa była teraz nie tylko jej wrogiem, lecz jej zgubą.

— Wiedziałam, że przyjdiesz — powiedziała Elsa.

— Przyszłam spotkać się z Anthonym. — Lecz nie zabrzmiało to przekonująco.

— Przyszedłeś spotkać się ze mną — Elsa była wyraźnie zadowolona. — Posłałam po ciebie.

Wygrała, pomyślała dotknięta Nicky. Powiedziała: — To byłeś ty, wtedy. Przy telefonie. Udawałaś.

— Oczywiście, że ja. Chciałam cię spotkać. Sam na sam. Dlatego kazałam ci tu przyjść.

Ruszyła wzdłuż hallu i weszła przez otwór drzwiowy do czegoś, co mogło być salonem. Nicky za nią. Zwykła ciemna podłoga, równoległe do niej zwykły blady sufit, ciężkie zasłony kryjące olbrzymie, na całą ścianę okna i kupa mebli w szarych pokrowcach. Nigdzie kurzu ani pajęczyn. Pokój był nagi i nietknięty, w sam raz na sprzedaż; długie, drapowane zasłony zwisały sztywno, niczym kamienne rzeźby. W rogu na ścianie Nicky dojrzała pęknięcia i przebarwienia w okolicy listwy podłogowej. Pomyślała sobie: wszystko to zewnątrz wygląda ślicznie i nowocześnie, lecz sypie się od środka. Cały ten dom nagle wydał się jej straszny; wypolerowany, a przecież ukrywający rozkład, jak obraz Doriana Graya. Poczowała roznoszącą się woń, znajomą, ale i nienaturalną. Nie był to zapach zwykle kojarzony z nie zamieszkanym budynkiem. Ale z czasem przyzwyczała się, przestała go odczuwać. Zapytała: — Dlaczego tu?

Elsa nie odpowiedziała. Zerwała pokrowce z krzesel. — Zdejmij płaszcz — rozkazała. — Usiądź.

Nicky ściągnęła płaszcz i usiadła. Naprzeciw niej Elsa,

na oparciu, lecz nie w fotelu. Zarówno jej pozycja, jak i postura dawały jej przewagę: Nicky chciała wstać, ale jakoś nie mogła. Siedziała napięta, z palcami kurczowo zaciśniętymi na oparciu. — Co to wszystko ma znaczyć?

— Ty. — Zimne wyzwanie w głosie Elsy. — Wszystko o tobie wiem. Śledzę cię. Znam twoje występy w Paryżu — człowiek, którego doprowadziłaś do samobójstwa— chłopak, z którym knułaś przeciwko memu ojcu. Wiem, że byłaś aresztowana za kradzież. Wiem, że wyszłaś za mąż za francuskiego Włocha o nazwisku Stephane Maglioli... i nigdy się z nim nie rozwiodłaś. — Nicky podniosła się z krzesła, lecz Elsa nie pozwoliła sobie przerwać. — Wiem, co mu powiedziałaś, zanim wypadł z wieżowca Cable Star w zeszłym tygodniu. Słyszałam każde słowo. To ja go wysłałam. Odnalazłam go. Nagrałam całą rozmowę. Przyznałaś się.

Była tam, pomyślała Nicky, czekała. Dlatego Stephane był taki nerwowy. Prześladowała mnie, manipulowała mną. Nie los, lecz Elsa.

Wyjąkała: — Nie miałam na myśli...

— Doprawdy? — Elsa wisiała nad nią jak sęp. — To nie ma znaczenia, nie rozumiesz? Szamotałaś się ze Step-hanem, wypchnęłaś go. Nikt nie uwierzy, że to był wypadek. Gdy usłyszą taśmę, dowiedzą się, że zamordowałaś go, tak jak zamordowałaś mojego ojca. Powiem, że ściągnęłaś mnie tutaj i próbowałaś zabić. A oni mi uwierzą — każdy mi uwierzy.

— Próbowałam cię zabić?

— Oczywiście. — Elsa była nieubłagana. — Z powodu taśmy. Powiedziałam ci o niej, więc ty próbowałaś mnie zabić. Wszystko się zgadza.

— Jesteś szalona. — Nicky wstała, cała się trzęsła, ale wrócił jej zdrowy rozsądek. Łatwiej było to przyjąć, wiedząc, że Elsa oszalała.

— Zabiłaś mego ojca! — Im częściej to powtarzała, tym bardziej zaczynała w to wierzyć. — Poślubiłaś go dla

pieniędzy, a potem go oszukiwałaś. Przywiązałaś go do łóżka i miałaś niby boskim poświęceniem. — Kochałam go! — Krzyk rozgoryczenia. — Tak bardzo się starałam — kochałam go naprawdę. On mnie nie kochał, nawet na początku. On nie chciał kobiety; jedynie laleczkę, która wygląda i zachowuje się jak Diana. W łóżku bił mnie. Był szalony tak jak i ty. W nocy, po ślubie, nie kochał mnie, on mnie zgwałcił. Zgwałcił mnie, uderzył i nazwał mnie kurwą. Wiesz, jakiego imienia używał? Wiesz? Mówił: Diana — Diana, Diana.

Elsa wrzasnęła. Był to wybuch furii. Nicky widziała, jak twarz Elsy się wykrzywia, włosy rozsypują się wokół głowy. Przewróciła krzesło, zastawiając w ten sposób drogę Elsie, i rzuciła się do ucieczki. Była już przy drzwiach wyjściowych, lecz zawahała się i spojrzała w stronę schodów. Nie wiedziała, co ma robić. Za drzwiami czekał opuszczony ogród, głucha droga. Na górze nie zamieszkane pokoje. Wiedziała, że Elsa stoi tuż za nią, ale nie odwróciła się. Jej wzrok padł na łazienkę. Łazienki mają zamki. Wpadła do środka. Usłyszała stukot obcasów Elsy idącej po gołej podłodze. Potem cisza. Po obu stronach drzwi obydwie nadśluchiwały, łapiąc oddech. Nicky usłyszała kroki na półpiętrze. Czekala z ręką na klamce, serce jej waliło. Wydawało jej się, że stoi tam lata. Musiała zaryzykować. Dom stał na pustkowiu, nawet gdyby czekała do świtu, nikt by się nie pojawił. Żadnego ratunku. Musiała pomóc sobie sama.

Przykucnęła; oddech wracał do normy, tętno słabło. Nadśluchiwała całym ciałem. W końcu westchnęła, pomału podniosła się z klęczek i bardzo ostrożnie przekręciła klucz w zamku. Nie było nikogo. Wąską stróżką przez okno wślizgiwał się księżyc. Nicky przeszła na palcach i przylgnęła do ściany. Poniżej światło było zgaszone, hall zalewała ciemność. Cisza. Żadnych kroków, żadnego szelestu. Wtedy ujrzała je na szczycie schodów; w blasku księżycy. Buty Elsy.

Nicky zamarła. Była na dole, w ciemności, czekała na nią. Na bosaka, stąpająca bezgłośnie jak kotka. Ostrożnie zaczęła się wycofywać w stronę łazienki. Jeszcze raz dotarł do niej zapach, wydostający się z głębi; zaczęła wachać, zastanawiając się, co to jest. Teraz woń była mocniejsza i łatwiej ją rozpoznała: smród garażu i samochodu. Benzyna.

Zamknięta łazienka nie była żadnym ratunkiem w płonącym domu.

Słowa Elsy wróciły do niej przybierając nowe znaczenia. „Próbowałeś mnie zabić”. Czas przeszedł. Powiedziała to w czasie przeszłym. „Każdy mi uwierzy”. Dlaczego? Ponieważ Nicky już tam nie będzie, aby mogła się jej sprzeciwić...

Pomyślała: Muszę uciekać. Muszę uciekać.

To olbrzymi dom, musi być jakieś inne wyjście. Wysunęła się z za rogu i rzuciła przed siebie zapominając

O zachowaniu ostrożności. Pasaż ciągnął się wzdłuż pierwszego piętra, skręcił w lewo i znowu w lewo. Nicky zaglądała do przylegających pokoi, ale nie było z nich wyjścia, jedynie sterty przykrytych mebli, zasłony ciężko zwisające nad podłogą, zrolowane dywany, sterty pudeł. Przez nagie okna zaglądał księżyc, chował się i pojawiał, biegł wraz z nią, nieodłączny jak cień. Wreszcie za następnym rogiem, w końcu pasażu, dotarła do drugich schodów. Biegając i upadając na zmianę, przemierzyła parkiet i pchnęła drzwi. Znalazła się w wielkim pokoju, z wielkimi oknami, sufit był ze szkła osadzonego w metalu — widziała migocące gwiazdy. Smród był tak silny, że prawie miała go w ustach, wyczuwała go językiem. To chyba była kiedyś oranżeria, pomyślała sobie: żadnych roślin, jedynie wyszczerbione doniczki, włożone jedno w drugą, jakiś dziwaczny stwór, który kiedyś był palma, wiszący koszyk i wystające z niego resztki pączka. Patrząc na pozycję księżycy, mogła się zorientować, że cały czas biegała wokół centralnego dziedzińca i znów znalazła się w miejscu,

z którego wyruszyła; po przeciwległej stronie oranżerii były drugie drzwi prowadzące do salonu, z którego uciekła przed Elsą. Ale Nicky nie kojarzyła faktów. Chciała tylko się wydostać. Prześlizgnęła się przez pokój, szukając wyjścia na taras. Potrąciwszy pustą żardynierę, zatrzymała się na chwilę sparaliżowana hałasem. Resztką soku wypłynęła z wysuszonej roślinki tuż obok niej, na podłogę. Śmierdziało parafiną. Kręciło jej się w głowie. Z trudem znalazła drzwi i próbowała uporać się z zamkiem. Na szczęście klucz nie był potrzebny. Płomienie wytrysnęły jak spod ziemi. Pojawiły się w każdym kącie. Elsa stała po lewej stronie, jej sylwetka odbijała się w drzwiach. Wypływała z ciemności, rosła z wolna, stawała się coraz wymienniejsza; płomienie zajmujące jej włosy tworzyły wokół jej głowy jasną aureolę. Nicky w popłochu walczyła z zamkiem, ale strach paraliżował jej ręce. Elsa zatrzymała się, wyciągnęła coś z kieszeni. Trzask zapalonej zapałki; pojawił się wątył płomyczek. Nicky zatoczyła się.

— Nie.

Elsa wyciągnęła rękę, wysuszone liście zajęły się płomieniem. Nicky spojrzała w piękną nieziemską twarz i zobaczyła oczy Meduzy.

— Jesteś szalona...

Smużka parafiny rozlana na podłodze; ogień zżerał ją, iskry trzaskały na boki. Elsa złapała rękę Nicky, ciągnąc ją do tyłu. Nicky próbowała się wyszarpnąć — zawadziły o donicę, potknęły się i runęły na ziemię. Zapominając o ucieczce Nicky walczyła, jak nigdy dotąd w swoim życiu — jakby całe jej życie, całe jej przeznaczenie, osiągnęło w tym momencie punkt kulminacyjny, wszystkie pasje stały się jedną. Kopała, szamotała się, wiła w dzikim szale nie myśląc, nie bojąc się. Elsa była jej wrogiem, jej rywalem, chciała zająć jej miejsce — przeciwnikiem stającym jej na każdym kroku, niweczącym jej każdą nadzieję.

Szarpnęła ją za włosy i raniła jej ciało, czując, że z jej ciałem dzieje się to samo. Wokół nich skakały języki ognia, metalowe panele zaczęły się jarzyć, ogień wchłonał blask księżyca. Wiszący nad ich głowami koszyk stał się pochodnią tryskającą ognikami. Jeden upadł na Elbę, zamieniając jej rude loki w żywy płomień. Nicky zdążyła odskoczyć. Podnosząc się, ujrzała pierścień ognia zamykający się wokół niej. W wąskiej szczelinie majaczyły drzwi. Rzuciła się przez ogień. Rozpalona klamka poparzyła jej dłoń. Zimne powietrze uderzyło ją w twarz, usłyszała wybuch. Potem następny. Spojrzała w tył — przez ułamek sekundy widziała pokój, jak jeden wielki płomień, i coś na podłodze z wyciągniętymi zwęglonymi rękami. Wiedziała, że to niemożliwe, ale to coś się poruszało, pełzło przez ogień w jej kierunku... Pognała przez taras, oślepiona nagłą ciemnością. Nie widziała pustego basenu na swej drodze. Grunt osunął się jej pod nogami; spadła głową w dół, staczając się na samo dno. Zatrzymała się w cieniu trampoliny. Krople deszczu padały jej na policzki, zeszłoroczne liście oblepiały włosy i ciało.

EPILOG

Była w małym pustym pokoju bez okien, siedziała przy stoliku. Głowa ją bolała, wiedziała, że ma rozmazany tusz pod oczami. To ten gryzący dym. Po drugiej stronie stołu siedział policjant, już dłuższą chwilę wpatrując się wprost w nią. — Ty perfidna złodziejko — krzyczał — myślisz, że możesz mnie wykołować? To jest na taśmie, wszystko jest na taśmie. — Jego twarz stawała się coraz większa i większa, krew pulsowała mu w żyłach. Próbowwała uciec, lecz jej palce przykleiły się do fotela. I nagle ujrzała, jak pęka ściana; przez wyrwę przedostają się płomienie. Zawołała o pomoc, lecz nikt nie odpowiedział. W końcu oderwała się od krzesła, zdzierając skórę z dłoni. Pobiegnęła do drzwi, usiłowała je otworzyć — ale wtedy uświadomiła sobie, że Elsa musi być właśnie na zewnątrz, Elsa z pudełkiem zapalek, podpalająca swe własne włosy. Jakaś ręka wyciągnęła się zza drzwi, była czarna. Zwęglone ciało, osmalone kości...

Obudziła się wystraszona, serce jej łomotało, aż poczuła mdłości. Umysł miała jeszcze przyćmiony snem. Dojrzała pokój szpitalny, kremowy, ręce zabandażowane. Pielęgniarka stała przy łóżku — nie ta, która była ostatniej nocy, inna. I jakaś twarz wychylająca się ku niej, twarz z jej koszmarne snu. Inspektor Bullaid. Walczyła z sobą, by się przebudzić, ale twarz pozosłupn, była realna.

— Pani Van Leer? — Otworzyła usta, lecz wydobył NiC z nich jedynie słaby szept. Elsa miała po niego posłać.

Zaraz wszystko się zacznie: oskarżenia, dociekania, rutynowe śledztwo. Zaraz...

— Nadinspektor Bullard. A więc musiał awansować. — Chciałem pani zadać kilka pytań.

— Powiedziała panu — przerwała siostra — może nie pamiętać, co się stało. Jest w szoku.

— Załatwię to najszybciej, jak potrafię. Proszę pani. To podpalenie: a ja wykonuję swoje zadanie.

To nie mógł być po prostu zbieg okoliczności, pomyślała Nicky. Jeśli nawet — jeśli jest to jej ostatnia sztuczka — on musiał ją rozpoznać. Z pewnością zauważył.

— Poszła pani spotkać się z pasierbicą, Lady Van Leer: czy to prawda?

Nicky skinęła głową.

— Ciało nie udało się zidentyfikować, lecz kiedy znaleźliśmy samochód, uznaliśmy, że to była ona.

Portfel — plany domu na tylnym siedzeniu. To dom jej przyjaciela?

— Jego rodziny — wyszeptała Nicky.

— Po co spotkałyście się? Coś istotnego? — To właśnie to. Musiał odkryć taśmę. Musiał wiedzieć wszystko.

— Pewne drobiazgi, niedomówienia. — Usta Nicky drżały, tupet ją opuścił. — Chciałyśmy wszystko wyjaśnić.

— Bardzo smutne. — Rutynowe współczucie było pozorowane. — Nie widziała pani podpalacza, prawda?

— Nie...

— Tak myślałem. Będziemy mieli dużo szczęścia, jeżeli go złapiemy. Przypuszczalnie wiejskie chłopaczysko, tak dla zabawy, dla samego zniszczenia. Duży dom, nie zamieszkanym od lat — to dobry łup dla wandalii. Pani ich nie widziała i oni, śmiem twierdzić, nie widzieli pani. Strażacy mówią, że pożar zaczął się od oranżerii. Dlaczego nie mogła pani wydostać się frontowym wyjściem?

Nicky z trudem sięgnęła po szklankę wody. Pielęgniarka pośpieszyła z pomocą. Gdy wypila, rzekła:

— My... nie widziałyśmy ognia. Aż do czasu, gdy było już za późno. Po prostu weszliśmy w płomienie.

Niesamowite, niemożliwe, ale zamknął swój notes. Podniósł się z miejsca: — W porządku.

Poczekajmy, aż pani wydobrzeje. Przepraszam za kłopot, Lady Van Leer.

Lady Van Leer, bogata wdową po wielkim Sir Ruper-cie; a kiedyś blondyneczka, sekretarka oskarżona o przywłaszczenie sobie diamentowego pierścionka.

Kiedy wyszedł, Nicky opadła na poduszkę, zdenerwowanie mijało.

Następny gość pojawił się w dwa dni później. Michael Kovacs. Prawa ręka w gipsie, czarne siniaki pod oczami czyniły jego twarz jeszcze brzydszą. Powiedziała zaskoczona: — Ty też.

— Ja też. — Usiadł przy łóżku.- Siniak na czole prawie znikł, pozostały tylko podbite oczy. — Dziwię się, że ty ich nie masz.

— Mam siniaki na całym ciele — Wiedziała, że kiedyś byli blisko z Elszą, lecz ich faktyczny związek nie był dla niej jasny. Nigdy go zbyt nie lubiła, rzadko o nim myślała. Próbowwała się skupić, ale wciąż była rozkojarzo-na. — Co ci się stało?

— Wypadłem przez balkon.

— Nie! — Nie mogła się opanować, miała przed oczami Cable Star Building. Michael zrozumiał to.

— Tym razem nie z balkonu Van Leera. Jakiś plebej-ski architekt. Drzewo zamortyzowało mój upadek. Mówią, że mam szczęście, że żyję. — Zamilkł na chwilę. — Ty też.

— Tak przypuszczam.

— Wandale? To oficjalna wersja.

— No cóż... chyba tak.

Dlaczego nie powiedziałaś im prawdy?

Milczała, prawie nie patrzyła na niego. Zauważył, że włosy ma nadpalone, na tle jasnej pościeli jej mała twarzyczka była blada, z podkrążonymi oczami.

Z rozmysłem zapytał: — Być może gadanie kłamstw to twoje credo życiowe — mam rację? A nie obawiałaś się, co

z tego może wynikać? — Wyciągnął coś z kieszeni, rzucił na łóżko. — Taśma. Możesz ją sobie wziąć. Nicky podniosła się.

— Czy Elsa powiedziała ci o niej? — zapytał.

— Tak.

— To jedyny egzemplarz. Zrób z nią, co chcesz. Rzygać mi się chce tym wszystkim. — Jego głos był zmęczony. Miał dość. Nie wyglądał na szantażystę.

Zapytała: — Czego chcesz?

Michael westchnął. — Prawdy. Nie dla policji czy prasy. Nie dla ludzi. Jedynie dla mnie. Chcę wiedzieć, co naprawdę się stało tej nocy w Domu Stallibrassa. Ja — ja muszę to wiedzieć. Wskazał na kasetę. — Dobijemy targu?

Opowiedziała mu.

Siedział ze spuszczoną głową. Nie próbowała zobaczyć jego twarzy. Nawet dla Nicky to wszystko było w jakiś sposób nieprzyzwoite.

Na końcu zapytała: — Czemu ona to zrobiła?

Michael wie, pomyślała. Może wszystkiego nie wyjaśnić, ale wie.

— Och... Ona tylko próbowała cię zabić. To fatalny wypadek. Chciała zniszczyć dom. Był fuszerką, nie będę tłumaczył ci szczegółów. Wydawało jej się, że jak zniszczy dom, to uratuje reputację swego ojca. Musztarda po obiedzie. Fundamenty wciąż stoją... — Zacisnął usta. — Powiedziała mi kiedyś, że kochała ten dom. Opowiadała o jego niezniszczalności, jego nowoczesnym stylu. To bzdura. Kochała go, bo był jego. Kochała go i zniszczyła. Elsa niszczyła wszystko, co kochała. A miłość — zniszczyła ją.

— To był moment — skłamała Nicky. — Jestem pewna.

Była wyśmienitym kłamcą. Michael jej uwierzył.

— Dziękuję — powiedział na odchodnym. Cokolwiek zdecydujesz, nie będę ci przeszkadzał.

Wszystko zależy od ciebie.

Myślała o tym później. Miała dużo czasu, by wszystko przemyśleć, tu w szpitalu. Wszystko zależało od niej. Miała spadek, teraz należał tylko do niej. Miała oskarżającą taśmę. Nadinspektor Bullard nie rozpoznał jej, a jej pierwsze małżeństwo zostało pogrzebane wraz ze Stephanem. Ona przetrwała. Oczywiście był jeszcze Alex: na szczęście nie zwierzyła mu się, lecz wiedziała, że dopóki czuje pieniądze, zostanie. Być może nawet Anthony stałby się osiągalny — gdyby się postarał, gdyby ona się postarała, a widmo Elsy by ich nie rozdzielało. Przeszłość jest przeszłością, nie da się jej wykreślić. Lecz ona może mieć wszystko. Wszystko zależy od niej.

Gdy Nicky wyszła ze szpitala, udała się do biura Langleya i Mayhewa, gdzie zrzekła się roszczeń do spadku.

Zrobiła to tak szybko, jak tylko zezwalało na to prawo. Nie wyjawiała swoich motywów, a pan Mayhew był zbyt oszołomiony, by spytać. Obliczała, za co będzie żyła. Może sprzedać biżuterię; wystarczy jej na parę ładnych lat. Poza tym jakie to ma znaczenie? — przywykła do biedy. Kiedy już wszystko było załatwione, poczuła się lekka, czysta i świeża. Jest wolna — wolna od wszystkich upiorów i powiązań, może jechać gdzie dusza zapragnie, zrobić, co zechce. Efektowne wyjście — nowy start. Może pojechać do Australii czy Ameryki; czy nie tak robiły bohaterki z jej książek? Może polecieć samolotem, wznieść się ku słońcu lub popłynąć statkiem, kołysząc się na falach, obserwując białe skały wybrzeża, krzyczące mewy znikające na horyzoncie. Może mieć góry i pustynie, drapacze chmur, pokładowe romanse, wspaniałych potentatów handlowych. Przygoda. Jej zmienne serce, lekkie jak motyl, wyzbyte miłości i nienawiści, pograżyło się w marzeniach.

Alex zjawił się u niej pewnego popołudnia gdy się pakowała. Włosy miała obcięte krótko, już nie rude, lecz blond. Ręce nosiły ślady poparzeń, ale zapewniano ją, że to się zablizni. Zniknął jej pierścionek ze szmaragdem.

— Napij się — zaoferowała obojętnie. — Wiesz, gdzie jest alkohol.

Spojrzał na bagaże, zmarszczył brwi. — Co to wszystko znaczy? Nie ma potrzeby, byś uciekała. Nie teraz.

— Nie uciekam.

— A więc?

— Wyjeżdżam.

— *Quelle mer de.* — Wściekł się. — To przecież to samo. Usiądź, Nikki, porozmawiaj. Nie wpadaj w panikę.

— Nie panikuję. Po prostu wyjeżdżam. Zrobiłam zbyt wiele błędów. Chcę to wymazać i zacząć od nowa.

— Nowe życie? — Na jego twarzy pojawił się krzywy uśmiezek. — Moja biedna Nikki! Oni wszyscy tak mówią nie wiedziałaś? Żadnych kłamstw, żadnych kradzieży — czysty start. *T'es pas si bite.* Nowe życie będzie takie samo, jak stare, bo nowa Nikki będzie taka jak stara. Nie możesz zmienić siebie. Sama zobaczysz. A propos, co z pieniędzmi? Prawnicy podroczą się z tobą. Takie rzeczy wymagają czasu.

— Już załatwione. To też zostawiam. — Zacięła usta, które stały się jeszcze drobniejsze.

Zdezorientowany prychnął.

— Niezły dowcip. Głupi żart...

— To nie żart. — Jej głos był twardy, wykluczający wszelkie wątpliwości. — Oddałam to wszystko.

— Komu? — Na jego twarzy pojawiła się wściekłość Miała wrażenie, że ją uderzy. Lecz to nie leżało w naturze Alexa. Zawsze wolał raczej zakpić, oszukać niż użyć przemocy.

— Nie wiem. Może ktoś chce tego, bo ja nie. Te pieniądze przyniosły mi tyle kłopotów, tyle strachu...

Mam ich dość. Teraz wyjeżdżam, zostawiam pieniądze i opuszczam ciebie. To wszystko.

Opanował się, wściekłość przerodziła się w dezorientację i zamyślenie. Gapił się na nią, jakby zapadła na jakąś niesamowitą chorobę.

W końcu zapytał niepewnie: — Ale dlaczego wyjeżdżasz, tak naprawdę? Czego się boisz, Nikki?

— Nie boję się. Już się niczego nie boję.

— Rozumiem... — Cóż on rozumiał! — Czytałem o śmierci Elsy Van Leer. Mówią, że ogień podłożyli wandy. I ta stara kobieta, zawada na twojej drodze. I Rupert...

Nicky ujrzała w jego oczach ten sam błysk, który widziała u Stephanego, gdy prawie przyznała się do morderstwa. Ziarenko strachu. Rupert umarł w sposób naturalny, pomyślała. Mrs Skerrit zginęła potrącona przez samochód, Elsa sama podłożyła ogień. Poczula, że zaraz wybuchnie histerycznym śmiechem. Opanowała się, przybrała poważną minę.

Nigdy nie myślałem... Przerwał, nie umiał wyrazić jasno swoich wątpliwości.

— O czym nigdy nie myślałeś? — zapytała Nicky. Jej głos był nieprzychylny, chłodny.

Lecz Alex nie odpowiedział. Wymamrotał tylko: — *La pauwe* Elsa. Zastanawiam się, co ona wiedziała. I dlaczego się wynosisz. Właśnie teraz. Czy zostawiłaś dla kogoś jakieś wskazówki?

— Zobacz sam — odparła Nicky, pewna siebie i niewinna.

Spostrzegł ogień w jej oczach i wiedział już, co to znaczy. Nicky nagle dojrzała jego małość; była górą. Wiedziała, że zrobiła na nim silne wrażenie, zaszokowała go. Mógł sobie wyobrazić, jak podaje Rupertowi zwiększoną dawkę lekarstwa w chwilach słabości, lecz co innego było uwierzyć w jej trzy zaplanowane morderstwa. Tym razem triumfowała. Pierwszy raz w czasie ich znajomości.

Gdyby teraz nakazała mu, by sobie poszedł, to odszedłby. Na zawsze.

— Jesteś pewien, że nie masz ochoty na drinka? — zapytała siląc się na uprzejmość.

Alex zżymał się w sobie. Wreszcie zdobył się na uśmiech. Dlaczego nie?

Wodził za nią wzrokiem, gdy odkręcała butelkę, nalewała whisky do szklanki.

— Ty też — zasugerował.

— Nie — odparła. — Nie lubię whisky. Przypomniała sobie scenę, jak naśmiewał się z niej, gdy wzdrygała się przed piciem. Tym razem to on długo wpatrywał się w szklankę, zanim wypił. Wypił do dna. Był to gest wyzwania, pyszałkowatości, toast na cześć diabła. Na jego twarzy nie było cienia wątpliwości.

— Żegnaj, Nicky! — powiedział. — Nie sądzę, byśmy jeszcze kiedyś się spotkali.

— Ja też tak myślę — przyznała miękko. — Żegnaj. Odstawił szklankę, szybkim ruchem, jakby go parzyła.

Odprowadziła go do drzwi. Gdy wyszedł, nalala sobie dzinu i siadła wśród bagaży. Wy buchnęła śmiechem.

To co zrobiła Nicky, niezbyt interesowało Michaela. Był na pogrzebie Elsy, w wiejskim kościele koło Churston Grange, stał z tyłu w swojej starej kurtce. Nie rzucił się w oczy, sam niczego nie zauważał. Był to pierwszy prawdziwie wiosenny dzień: kwitły żonkile, powietrze było wonne i świeże, pączki na drzewach pękały, zieleniąc się młodymi listkami. W przeciwieństwie do chłodnej ceremonii pogrzebu Ruperta, tym razem była masa ludzi: znajomych z Londynu, z wioski, oczywiście dziennikarze. Pogrzeb, pomyślał gorzko Michael, jedyna okazja, gdy gospodarz nie może zamknąć drzwi przed intruzami. A tutaj było ich pełno, zerowali na tragedii.. Elsa była młoda, piękna i inteligentna, pastor musiał to podkreślić. Chusteczki do nosa, długopisy dziennikarzy. Nagłówki w gazetach sugerowały podobieństwo scenariusza tej całej historii do upadku rodziny Usherów. Michael wcale nie żałował, że Anthony Stallibrass skupiał na sobie uwagę: dzielny Romeo znosił cierpienie ze stoickim spokojem. Był z jakąś Metyską: żadna piękność, lecz z jej ciemnej twarzy emanowała niesamowita pogoda ducha, łagodność; miała ciemne gęste włosy. Musi mieć już dość rudych dziewcząt, pomys-

łał Michael. Fala niechęci ogarnęła go, gdy pomyślał o Anthonym — nic, tylko hipokryzja — ten styl życia, pozorne umiłowanie ubóstwa. Wręcz go nienawdził. Rozglądał się wokół — przyjaciele i nieznajomi -- miał wrażenie, że to widzowie w teatrze, tarzający się w luksusie zużytego, taniego smutku. Nikt z nich nie znał Elsy tak jak on. Nikt. Mógł zabrać jej tajemnicę do grobu. Jego oczy były suche, serce suche, dusza pusta.

W następnych tygodniach nie mógł pracować, nie mógł spać. Załatwił sprawy Elsy: Mr Mayhew, z kolosalną fortuną w rękach i posiadłościami Van Leerów rozrzuconymi wśród odległych zakątków Afryki Południowej, mógł być tylko zadowolony. Michael poszedł do jej mieszkania i poszperał w listach, głównie od Barbary Heydon, przeszukał stare szpargały, rachunki i formularze bankowe. Był tam nawet plik listów od Diany z czasów szkolnych, pisanych dziecinną ręką, o wspólnych knowaniach i sztuczkach. „Nie wolno ci słuchać ciotki Grizzle, wiesz, kim ona jest. Nie jesteś gruba, jedynie trochę pulchna, przełożona mówi, że to normalne w wieku dojrzewania i szybko z tego wyrośniesz. A poza tym jest tu taka dziewczynka, Sapphira Cavendish, która jest znacznie grubsza od Ciebie". Na dnie szuflady była koperta z serią szkiców. Jakaś głowa, załamane linie, raczej sama koncepcja niż regularny rysunek. Być może był to pomysł jakiejś rzeźby; nawet na papierze miał trzy wymiary, masywny, sugerował cierpienie pociągnięciem ołówka — nie ból obiektu, lecz cierpienie artysty. Struktura kostna niczym skręcony drut oblepiony gliną, przybity do skały. Smutek i grymas — ale pod nim twardość i nieugiętość — tak jak w jej rzeźbach. Patrzył na nie kilka minut, zanim zdał sobie sprawę, że to on sam.

Elsa nigdy nie robiła portretów. Jedynie ta pusta maska Nicky, którą później z pewnością zniszczyła. Musiała to zrobić z pamięci; nie pozował jej, nie miała jego fotografii. To była jej wewnętrzna wizja, wyobrażenie

uczuciu raczej niż wyglądu zewnętrznego. Na górze widniało wyważone słowo: Rzeczywistość...
Położył szkic na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Płakał...

Specjalne podziękowania

Dziękuję mojej matce za przepisanie tekstu na maszynie, mojemu ojcu za niezbędne informacje z dziedziny architektury, Grahamowi Midmerowi z Lloyd's Bank, Lewes za sfinansowanie mnie, Twinings i Earl Grey za ich herbatę, która utrzymywała mnie na nogach, i kanałowi czwartemu telewizji za kontakt ze światem.